

ETHEL LILIAN VOYNICH
SZERSZEŃ

iskry



ETHEL LILIAN VOYNICH
SZERSZEŃ

Iskry · Warszawa 1987r
przełożyła
Maria Kreczowska



CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Artur siedział w bibliotece seminiarium teologicznego w Pizie przeglądając stos opracowanych kazań. Wieczór czerwcowy był tak gorący, że okna szeroko otwarto, okiennice zaś na wpół przymknięto, by chłodniej było w pokoju. Dyrektor zakładu, kanonik Montanelli, przerwał na chwilę pisanie, by rzucić spojrzenie pełne miłości na głowę chłopca schyloną nad papierami.

- Nie możesz odszukać, *carino*¹? To daj pokój; będę musiał ustęp ten napisać ponownie. Może go nawet zniszczyłem i na próżno zabieram ci tyle czasu.

Montanelli miał głos raczej niski, lecz pełny i dźwięczny, o metalicznej czystości, co mowie jego nadawało specjalny urok. Był to głos urodzonego mówcy, o wszelkich możliwych odcieniach. Gdy mówił do Artura, słowa jego brzmiały zawsze pieszczotliwie.

- Nie, ojczu, muszę znaleźć; jestem pewny, że tu je włożyłeś.

Po raz drugi nie potrafisz już tak napisać.

Montanelli znów się zabrał do pracy. Senny chrząszczyk monotonicznie brzęczał za oknem, a długie melancholijne wołanie przekupnia owoców niesło się echem po ulicy: *Fragola! fragola!*²

- "O uzdrowieniu trędowatego", oto jest! - Artur przebiegł pokój swym bezszelestnym krokiem, który zawsze irytował jego współmieszkańców. Drobny, smukły chłopiec bardziej przypominał jakiś włoski portret z wieku XVI niż chłopca z średnich warstw Anglii. Od długiej linii brwi do delikatnie zarysowanych ust i małych rąk i nóg wszystko było u niego zbyt misterne, zbyt wyrzeźbione. Gdy siedział bez ruchu, mógł uchodzić za bardzo ładną dziewczynę przebraną za chłopca; chód jego i gibkość ruchów przypominały oswojoną panterę bez pazurów.

- Naprawdę znalazłeś? Arturze, co ja bym począł bez ciebie? Pogubiłbym rychło wszystkie moje notatki. No, nie będę już pisał. Chodźmy do ogrodu, a pomogę ci trochę. Cóż to za ustęp, którego nie możesz zrozumieć?

Wyszli razem do zacisznego, cienistego ogrodu okalającego klasztor. Seminarium mieściło się w budynkach starego klasztoru dominikańskiego. Przed dwustu laty czworokątne to podwórze było całkiem puste, krzewy rozmarynu i

¹ *Carino* (wł.) - kochanie (wszystkie przypisy: Józef Schlaf-Kozłowski).

² *Fragola* (wł.) - poziomki.

lawendy bramowały wysoki parkan. Biało odzianych mnichów, którzy je ongiś pielęgnowali, dawno już pokryła cisza i zapomnienie, lecz balsamiczne zioła dotąd kwitły i wydawały woń w uroczy wieczór letni, choć nikt ich już nie zrywał, by z nich sporządzać leki. Kępki dzikiej pietruszki i orlika wyrastały wśród gracowanych ścieżek, a wodotrysk pośrodku podwórza zakrywały paprocie i pryszczenie.

Róże rozrosły się dziko, ich kolczaste łodygi snuły się w poprzek ścieżyn. Po bokach płonęły ogromne czerwone maki; duże naparstnice opadały na zmierzwioną trawę, a stara winna latorośl, zdziczała i bezpłodna, opłotła swe pędy koło zaniedbanego niespliku, który liściastą głową potrzasał z wolna ze smutnym jakimś uporem.

Jeden róg ogrodu zajęła olbrzymia kwitnąca magnolia - gąszcz ciemnych liści tu i ówdzie upstrzonych śnieżnobiałym kwieciem. Prosta ława drewniana oparta była o jej potężny pień; na niej usiadł Montanelli.

Artur, słuchacz filozofii na miejscowym uniwersytecie, nie mogąc zrozumieć jakiegoś zawilego ustępu, zwrócił się do „ojca” o wyjaśnienie. Montanelli był dlań żywą encyklopedią, do której sięgał w potrzebie, choć nigdy nie był uczniem seminarium.

- A teraz odejdę - rzekł, gdy niezrozumiały ustęp został już wyjaśniony - chyba że mogę jeszcze być na coś potrzebny.

- Nie będę już pracował, ale chciałbym cię jeszcze trochę zatrzymać, jeżeli masz czas.

- O, tak! - Oparł się o pień drzewa i poprzez ciemne gałęzie patrzył w spokojne niebo, na którym zapalały się z wolna pierwsze, blade gwiazdy. Marzycielskie, mistyczne oczy, koloru ciemnoniebieskiego, pod czarnymi rzęsami, odziedziczył po matce Kornwalijce. Montanelli odwrócił głowę, by ich nie widzieć.

- *Carino*, wyglądasz, jakbyś był ogromnie przemęczony.

- Cóż poradzę? - W głosie Artura brzmiało znużenie, które tamten wyczuł natychmiast.

- Nie trzeba było wracać tak prędko na uniwersytet, jesteś zupełnie wyczerpany pielęgnowaniem chorej i czuwaniem po nocach. Powinienem być stanowczo nalegać, byś wypoczął należycie przed wyjazdem z Livorno.

- Ach, ojczy, na co by się to przydało? Nie mogłem przecież po śmierci matki pozostać w tym obrzydliwym domu. Julia byłaby mnie doprowadziła do obłądki!

Julia, której nie cierpiał, była żoną jego najstarszego przyrodniego brata.

- Nie żądałbym, żebyś pozostał u swych krewnych - łagodnie odparł Montanelli. - Wiem dobrze, że byłoby to dla ciebie czymś najgorszym. Żałuję jednak, że nie przyjąłeś zaproszenia swego angielskiego przyjaciela, doktora; miesiąc spędzony w jego domu byłby cię uczynił zdolniejszym do dalszej pracy.

- Nie, ojcze, nie mógłbym, naprawdę! Warrenowie są bardzo dobrzy i serdeczni, ale oni tego nie rozumieją... martwią się z mego powodu... Czytam to na ich twarzach... Zapewne próbowaliby mnie pocieszyć i mówiliby o matce. Gemma nie - to wiem... Ona zawsze wiedziała, o czym nie należy mówić, nawet wtedy, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Ale inni... Zresztą nie tylko to..

- Co więc, mój synu?

Artur zerwał kilka kwiatków ze zwisającej gałęzi naparstnicy i nerwowo miał je w palcach.

- Nie mogę znieść tego miasta - zaczął po chwilowej pauzie. - Na każdym kroku sklepy, w których zwykła kupować zabawki, gdy byłem dzieckiem, to znów wybrzeże, gdzie ją prowadziłem, zanim rozchorowała się na dobre. Gdzie stąpię, wszędzie to samo. Każda kwiaciarka na ulicy ofiarowuje kwiaty... jak gdyby teraz były mi potrzebne! Wreszcie ten cmentarz... Nie, musiałem stamtąd uciec! O chorobę przyprawiał mnie sam widok tego miejsca...

Urwał nagle i usiadł rwąc w strzępy dzwoneczki naparstnicy. Zapanowało milczenie tak długie i głębokie, że nareszcie podniósł oczy, zdumiony, iż ojciec nic nie odpowiada. Mrok już zapadał pod rozłożystym drzewem magnolii i wszystkie przedmioty wokół zacierały się z wolna, dość jednak było jasno, by Artur mógł widzieć, jak śmiertelnie blada stała się twarz Montanellego. Zwiesił głowę na piersi, a prawą ręką kurczowo obejmował brzeg ławy. Chłopak odwrócił oczy, zdjęty trwożnym zdumieniem. Miał wrażenie, że niechcący stąpił na ziemię poświęcaną.

Boże - pomyślał - jakże mały i samolubny jestem wobec niego! Gdyby mój smutek był jego własnym, nie mógłby go głębiej odczuwać.

W tej chwili Montanelli podniósł głowę i rozejrzał się wokoło.

- Nie chcę cię zmuszać, byś tam wracał, zwłaszcza teraz - rzekł tonem najbardziej pieśczośliwym - musisz mi jednak przyrzec, że postarasz się o zupełny wypoczynek podczas wakacji letnich. Sądzę, że najlepiej będzie, gdy je spędzisz z dala od Livorno. Nie mogę pozwolić, byś zapadł na zdrowiu.

- A ty, ojcze, gdzie zamierzasz wyruszyć po zamknięciu seminarium?

- Jak zwykle, ruszę z uczniami w góry i tam ich poumieszczam.

Ale w połowie sierpnia, gdy zastępca dyrektora wróci z wakacji, postaram się wyjechać w Alpy, by mieć jakieś urozmaicenie. Pojechałbyś ze mną? Zabrałbym cię chętnie na kilka górskich wycieczek, gdzie mógłbyś też poznać alpejskie mchy i porosty. Tylko obawiam się, czy w moim towarzystwie nie byłoby ci za nudno?

- Ojcie! - Artur ujął jego rękę w sposób „demonstracyjnie przesadny”, jak zwykła mówić Julia. - Oddałbym wszystko w świecie, aby móc wyjechać z tobą. Tylko... nie jestem pewny... - Urwał.

- Sądysz, że pan Burton nie pozwoli?

- Oczywiście, że mu to będzie nieprzyjemne, ale zakazać mi przecież nie może. Mam osiemnaście lat i mogę robić, co mi się podoba. Ostatecznie jest tylko przyrodnim moim bratem i nie widzę powodu, dla którego miałbym mu być posłuszny. Zawsze był niedobry dla mojej matki.

- Jeśli jednak sprzeciwi się stanowczo, to sądzę, że lepiej byłoby go nie drażnić; to mogłoby jeszcze pogorszyć twe stosunki domowe...

- Pogorszyć się już nie dadzą! - porywczo zawołał Artur. - Zawsze mnie nienawidzili i będą nienawidzić... bez względu na moje postępowanie. Zresztą, jakżeby James mógł się sprzeciwiać memu wyjazdowi z tobą, mym ojcem-spowiednikiem?

- Zważ, że jest protestantem. W każdym razie lepiej będzie napisać do niego i poczekać na odpowiedź, jak się na to zapatruje.

Tylko staraj się pisać spokojnie, mój synu, wszak postępowanie twoje musi być niezależne od tego, czy cię ktoś kocha, czy nienawidzi.

Napomnienie udzielone zostało w formie tak łagodnej, że Artur lekko się tylko zarumienił.

- Tak, wiem o tym - odpowiedział wzdychając - ale to tak trudno...

- Żałowałem, że nie mogłeś przyjść do mnie we wtorek wieczór - rzekł Montanelli przechodząc na inny temat. - Był tu biskup z Arezzo i chętnie byłbym cię z nim zapoznał.

- Przyrzekłem wpierw jednemu z kolegów, że przyjdę na zebranie w jego mieszkaniu. Czekaliby na mnie.

- Jakież to było zebranie?

Artur zdawał się zmieszany tym pytaniem.

- To... to nie było zebranie zwyczajne - odparł zacinając się nerwowo. - Przybył jeden student z Genui i wygłosił mowę... rodzaj wykładu.

Artur się zawahał.

- Cóż on wykładał?

- Ojcze, czy nie będziesz żądał, bym ci wymienił jego nazwisko? Bo przyrzekłem...

- Nie będę ci w ogóle zadawał żadnych pytań, a jeśli zobowiązałeś się do tajemnicy, to musisz ją, oczywiście, zachować. Sądzę jednak, że mogłeś już nabrać do mnie zaufania.

- Rozumie się, ojcze. Mówił nam... o naszych obowiązkach względem narodu... i... względem nas samych, no i o tym... w jaki sposób moglibyśmy przyjść z pomocą.

- Z pomocą, komu?

- Ludowi... i...

- I?

- Włochom.

Zapanowało długie milczenie.

- Powiedz mi, Arturze - ozwał się Montanelli tonem bardzo poważnym - od jak dawna myślisz już o tych sprawach?

- Od... zeszłej zimy.

- Jeszcze przed śmiercią matki? A czy ona o tym wiedziała?

- N-nie. Wówczas... mnie to nie obchodziło.

- A teraz cię obchodzi?

Artur zerwał znów garść naparstnic.

- Posłuchaj, ojcze, jak to się stało - zaczął, spuszczać oczy. - Zeszłej jesieni przygotowując się do egzaminu wstępnego poznałem wielu studentów, wszak pamiętasz? Otóż niektórzy z nich poczęli opowiadać o... wszystkich tych sprawach i pożyczali mi książki. Nie zajmowałem się tym zbytnio, bo śpieszyłem się zawsze do matki. Wiesz przecie, że była zupełnie sama wśród nich wszystkich w tym obrzydłym domu, jakby w kaźni więziennej, a język Julii zabijał ją po prostu. Później, w zimie, gdy tak ciężko zachorowała, zapomniałem zupełnie o studentach i ich książkach; no, a potem, jak wiesz, przenieśliem się na stałe do Pizy. Byłbym mówił z matką, gdybym o tym myślał, ale zupełnie mi to wyszło z głowy. A potem zrozumiałem, że zbliża się jej koniec... Wiesz, że byłem z nią ustawicznie aż do ostatniej chwili; często czuwałem

całą noc, a Gemma Warren przychodziła w dzień, bym mógł się trochę położyć. Tak, to stało się podczas owych długich nocy; wówczas zacząłem myśleć o tych książkach i o tym, co słyszałem od studentów... i zastanawiałem się, czy mieli słuszność i... czy... Pan Bóg byłby z tego zadowolony.

- Czy pytałeś Go o to? - Głos Montanellego drżał lekko.

- Często, ojciec. Nieraz modliłem się do Niego, by mi powiedział, co mam uczynić, lub pozwolił umrzeć razem z matką. Żadnej jednak nie otrzymałem odpowiedzi.

- I nigdy o tym nie rzekłeś ani słowa, Arturze! Sądziłem, że mi ufasz.

- Ojciec, wiesz dobrze, że ci ufam! Są jednak rzeczy, o których mówić nie można z nikim... Ja... miałem wrażenie, że nikt mi pomóc nie zdoła... ani nawet ty, ani matka; muszę otrzymać odpowiedź wprost od Boga. Widzisz przecie, że chodzi tu o całe moje życie, o duszę.

Montanelli odwrócił się i wlepił oczy w zasnute cieniem gałęzie magnolii. Zmierzch wieczorny był już teraz tak gęsty, że sylwetka księdza wyglądała upiornie, niby czarny duch wśród czarniejszych jeszcze gałęzi.

- A potem? - spytał powoli.

- A potem... ona umarła. Wiesz, że ostatnie trzy noce czuwałem przy niej...

Urwał i zamilkł na chwilę, lecz Montanelli siedział bez ruchu, nie przerywając milczenia.

- Przez całe dwa dni przed pogrzebem - począł znów Artur głosem znacznie cichszym - nie mogłem myśleć o niczym. A potem... po pogrzebie zachorowałem. Pamiętasz, ojciec, że nie mogłem pójść do spowiedzi.

- Tak, pamiętam.

- Otóż w nocy wstałem i poszedłem do pokoju matki. Był zupełnie pusty i tylko wielki krucyfiks stał w alkwie. Przyszło mi na myśl, że może teraz Bóg mi pomoże. Ukląknę i czekałem... całą noc. A rano, gdy oprzytomniałem... Ojciec, to się na nic nie zda... ja tego wytłumaczyć nie potrafię. Nie potrafię ci powiedzieć, co widziałem... sam dobrze nie wiem. Ale to wiem, że Bóg mi odpowiedział, i nie śmiem być Mu nieposłuszny.

Chwilę siedzieli w mroku milcząc. Następnie Montanelli odwrócił się i położył rękę na ramieniu Artura.

- Synu mój - rzekł. - Nie twierdzą bynajmniej, że Bóg nie mówił do twojej duszy. Przypomnij sobie jednak, w jakim byłeś wówczas stanie ducha, i nie bierz majaczeń płynących z choroby lub zgnębienia za prawdziwe Jego wezwanie. A jeśli rzeczywiście było Jego wolą dać ci odpowiedź poprzez cienie śmierci, to zważ, byś słowom Jego nie podsunął znaczenia mylnego. Cóż więc w sercu swym postanowiłeś?

Artur wstał i powoli, jakby powtarzając katechizm, odpowiedział:

- Oddać życie za Włochy, pomóc oswobodzić ojczyznę z niewoli i hańby i wypędzić Austriaków, by stała się wolną republiką, w której królowałby tylko Chrystus.

- Arturze, pomyśl tylko, co mówisz. Wszak nie jesteś nawet Włochem.

- To nie stanowi żadnej różnicy; jestem sobą. Sprawę tę widziałem oczyma duszy i do niej należę.

I znów zapadło milczenie.

- Przed chwilą mówiłeś, że chciałbyś wiedzieć, co by powiedział Chrystus... - powoli zaczął Montanełli, lecz Artur przerwał:

- Chrystus powiedział: „Ktokolwiek traci żywot dla mnie, odzyska go na powrót”.

Montanełli oparł się ramieniem o gałąź drzewa i oczy przysłonił ręką.

- Usiądź na chwilę, mój synu - rzekł wreszcie.

Artur usiadł, a Montanełli ujął obydwie jego ręce w silny, długi uścisk.

- Nie mogę dziś z tobą dyskutować - rzekł - wszystko spadło na mnie tak nagle... nie myślałem... muszę się nad tym zastanowić. Później pomówimy bardziej szczegółowo. Teraz muszę ci tylko przypomnieć jedno. Jeśli przez to wpadniesz w nieszczęście, jeśli zginiesz, złamiesz mi serce.

- Ojczy...

- Nie! Pozwól mi dokończyć. Mówiłem ci już raz, że nie mam na świecie nikogo prócz ciebie. Zdaje mi się, że nie rozumiesz w całej pełni, co to znaczy. Trudno jednak pojąć, gdy się jest tak młodym; ja w twoim wieku również nie zrozumiałbym tego. Arturze, ty jesteś dla mnie jakby... własnym moim... synem. Czy wiesz o tym? Jesteś światłem moich oczu i radością duszy. Oddałbym wszystko, by cię ustrzec od fałszywego kroku i zmarnowania życia. I nic uczynić nie mogę. Nie żądam od ciebie żadnych obietnic, proszę cię tylko, byś o tym pamiętał i był ostrożny. Zastanów się

dobrze, zanim uczynisz krok nieodwołalny; uczyn to dla mnie, jeśli już nie dla pamięci matki twojej w niebie.

- Będę nad tym myślał... i ojciec... módl się za mnie i za Włochy.

Ukląkł w milczeniu, a Montanelli w milczeniu położył rękę na jego pochylonej głowie. Po chwili Artur wstał, ucałował rękę księdza i cicho odszedł po zroszonej trawie. Montanelli został sam pod drzewem magnolii, zapatrzony w mrok wieczoru.

Pomsta Boga spada na mnie - myślał - jak ongi spadła na Dawida. Ja, który zbeczcęciłem Jego Przybytek i Ciało Pana skazonymi ująłem rękoma... Długo okazywał mi cierpliwość, a oto nadszedł dzień Jego gniewu, „Bo uczyniłeś to potajemnie, lecz ja uczynię to w obliczu całego Izraela i w świetle słońca; dziecko, które się z ciebie narodziło, niechybnie zginąć musi”.

ROZDZIAŁ II

Mr James Burton wcale sobie nie życzył, by jego młody brat przyrodni „wałęsał się po Szwajcarii” z Montanellim. Jednakże stanowczy zakaz odbycia niewielkiej przyrodniczej wycieczki w góry, w towarzystwie starszego profesora teologii, wydałby się Arturowi, który nie znał powodu takiej odmowy, po prostu głupią tyranią. Zaraz by ją przypisał poglądom religijnym lub rasowym, a Burtonowie szczylic się właśnie swym oświeceniem i tolerancją. Cała rodzina była protestancka i konserwatywna już wówczas, gdy „Burton & Synowie”, właściciele okrętów w Londynie i Livorno, otwierali swe przedsiębiorstwo, a zatem od przeszło wieku. Utrzymywali jednak, że dżentelmen angielski powinien postępować przyzwoicie nawet w stosunku do papistów³. Gdy przeto nieboszczyk ojciec, doszedłszy do przekonania, że stan wdowieński jest zbyt nudny, ożenił się z piękną katoliczką, guwernantką młodszych dzieci, dorośli dwaj synowie, James i Tomasz, mimo niechęci do macochy, niewiele starszej od nich samych, z głuchą rezygnacją poddali się woli Opatrzności. Po śmierci ojca starszy brat się ożenił, co bardziej jeszcze skomplikowało trudne stosunki rodzinne; obaj bracia starali się jednak o ile możności bronić Gladys, dopóki żyła, przed okrutnym językiem Julii i spełniać swe obowiązki względem Artura tak, jak je

³ Papiści - zwolennicy papieża. W protestanckiej Anglii nazwa ta miała odcień pogardliwy.

pojmwali. Nie udając nawet miłości dla chłopca, wspaniałomyślność swą przejawiali głównie hojnymi zasiłkami pieniężnymi i pozostawieniem mu zupełnej swobody.

Toteż w odpowiedzi na swój list Artur otrzymał czek bankowy na pokrycie kosztów podróży i chłodne pozwolenie spędzenia wakacji, jak mu się podoba. Połowę swego kapitału użył na kupno książek przyrodniczych i zielników, po czym wyruszył z ojcem Montanellim na pierwszą wycieczkę w Alpy.

Od pewnego czasu Montanelli był w pogodniejszym usposobieniu. Po pierwszym, wstrząsającym wrażeniu, jakie na nim wywarła owa rozmowa w ogrodzie, odzyskiwał stopniowo równowagę ducha, a obecnie patrzył już na całą tę sprawę znacznie spokojniej. Artur jest bardzo młody i niedoświadczony; postanowienie jego nie może być nieodwołalne. Łagodną perswazją i radą potrafi go jeszcze odzyskać i zawrócić z niebezpiecznej drogi, na którą dopiero wstępował.

Zamierzali pozostać parę dni w Genewie, lecz na widok oślepiająco białych ulic i pokrytych kurzem chodników, po których przechadzał się rój turystów, na twarzy Artura ukazała się drobna zmarszczka niechęci. Montanelli śledził to z ukrytym zadowoleniem.

- Nie podoba ci się tu, *carino*?

- Sam nie wiem. Tak inaczej to sobie wyobrażałem. Jezioro jest istotnie prześliczne, a kontury gór także mi się podobają. - Stali na wysepce Rousseau, skąd widać było długie, ostro zarysowane wybrzeża Sabaudii.

- Ale miasto jest takie sztywne i gładkie, takie jakieś... protestanckie... jakby było zupełnie z siebie zadowolone. Nie, nie podoba mi się; przypomina swym wyglądem Julię.

Montanelli się zaśmiał.

- Biedny chłopcze, co za przykrość! Ale ponieważ jesteśmy tu dla przyjemności, nie ma powodu się zatrzymywać. Co byś powiedział, gdybyśmy dzisiejszy dzień spędzili na żaglówce na jeziorze, a jutro rano ruszyli w góry?

- Ależ... ojczy, chciałeś się przecież tu zatrzymać?

- Mój drogi chłopcze, ja wszystkie te miejscowości widziałem już kilkakrotnie. Chciałbym ci sprawić przyjemność. To będzie dla mnie najlepszy wypoczynek. Dokąd chciałbyś wyruszyć teraz?

- Jeśli to ojcu istotnie nie sprawia różnicy, to najchętniej pojechałbym w górę rzeki.

- Rodanu?

- Nie, Arvy, płynie tak bystro...

- W takim razie udamy się do Chamonix.

Popołudnie spędzili na przejażdżce małą żaglówką. Piękne jezioro uczyniło na Arturze wrażenie znacznie słabsze niż szara, błotnista Arva. Wychował się w pobliżu Morza Śródziemnego i był przyzwyczajony do widoku błękitnych fal; szczególnie jednak miał upodobanie do wody szybko mknącej, a z szumem spadający strumień górski wprowadził go w prawdziwy zachwyty.

Następnego poranka ruszyli o wczesnej godzinie do Chamonix. Artur był w doskonałym humorze, dopóki przemierzali urodzajną równinę, z chwilą gdy znaleźli się na krętej drodze w pobliżu Cluses, zamknięci wyniosłymi, urwistymi wzgórzami, nagle spowaźniał i zamilkł. Od wzgórza Św. Marcina szli powoli doliną, zatrzymując się na noc w szałasach przydrożnych lub małych górskich wioseczkach, po czym znowu wyruszali dalej, zależnie od chwilowej chęci. Artur był niezwykle wrażliwy na piękno krajobrazu i pierwszy wodospad, koło którego przechodzili, wywołał w nim zachwyty bezgraniczny; w miarę jednak zbliżania się do śnieżnych szczytów radosne jego uniesienie ustępowało miejsca marzycielskiej egzaltacji, której Montanelli nie znał u niego aż do owej chwili. Pomiędzy nim a górami zdawała się istnieć mistyczna jakaś więź. Godzinami całymi mógł leżeć bez ruchu w ciemnym, tajemniczym lesie szpilkowym, po którym błąkały się dalekie jakieś echa; poprzez wysokie, smukłe pnie wpatrywał się w słońcem zalany krajobraz pełen błyszczących szczytów i nagich turni. Montanelli przyglądał mu się z pewnego rodzaju smutną zazdrością.

- *Carino*, chciałbym, żebyś mi mógł pokazać, co widzisz - rzekł pewnego dnia, odrywając oczy od książki i przenosząc je na Artura, który od godziny leżał obok niego w tej samej pozycji, wyciągnięty na mchu, wielkimi, rozmarzonymi oczyma zapatrzone w migotliwy przepych błękitu i bieli. Zboczyli z gościńca, by przenocować w spokojnej wsi niedaleko wodospadu Diosaz, a ponieważ słońce zaszło już nisko na bezchmurnym niebie, weszli na wierzchołek turni porosłej sosnami, by stąd obserwować zagwienie Alp na masywie i szczytach łańcucha Mont Blanc. Artur podniósł głowę, oczy jego miały wyraz tajemniczy i pełen podziwu.

- Co widzę, ojczy? Widzę wielką białą istotę w błękitnym przestworzu, nie mającą początku ani kresu. Widzę ją czekającą wiek za wiekiem na przyjście Ducha Bożego. Widzę ją niewyraźnie, niby poprzez szkła.

Montanelli westchnął.

- I ja kiedyś widywałem takie rzeczy.

- A teraz nie widzisz ich nigdy?

- Nigdy. I nigdy ich już nie ujrzę. One istnieją, wiem o tym, lecz moje oczy ujrzeć ich już nie zdołają. Widzę coś zgoła innego.

- A co?

- Co ja widzę, *carino*? Błękitne niebo i śnieżne góry, oto wszystko, co widzę podnosząc wzrok do góry. Ale tam w dole jest inaczej.

Wskazał leżącą u stóp góry dolinę. Artur ukląkł i przechylił się ponad krawędzią przepaści.

Wysokie sosny, posępne w zapadającym mroku wieczoru, stały niby strażnice wzdłuż wąskich brzegów zamykających rzekę. W tej chwili słońce czerwone jak rozżarzony węgiel zsunęło się poza zębaty wierzchołek gór i całe życie i światło uciekły z oblicza ziemi. Nad doliną zawisło coś ciemnego, ponurego, tchnącego upiorną grozą. Pionowe skały nagiego łańcucha gór zachodnich wyglądały niby kły potwora czającego się, by dopaść ofiary i wciągnąć ją w paszczę głębokiej doliny, czarnej od lasów zawodzących żałośnie w ciszy wieczoru. Smukłe sosny, niby najeżone ostrza noży, zdawały się szeptać: „uderzcie w nas!”, a wśród ciemności, coraz gęściej osłaniającej ziemię, strumień huczał i wył, bijąc o skalne ściany swego więzienia z wściekłością wieczystej rozpacz.

- Ojcie! - Artur powstał drżący i cofnął się znad przepaści. - To jakby piekło.

- Nie, synu - łagodnie odparł Montanelli - raczej jak dusza ludzka.

- Dusze tych, co pogrążeni są w mroku i cieniach śmierci?

- Dusze tych, których co dnia spotykasz na ulicy.

Artur zadrżał i znów utkwiał oczy w mroku. Zwiewne białe mgły niby biedny upiór, który nie może dać żadnej pociechy, majaczyły między sosnami, tłumiąc rozpaczliwy jęk strumienia.

- Spójrz! - zawołał nagle Artur - ludzie pogrążeni w mroku ujrzeli światło.

Śnieżne szczyty po stronie wschodniej płonęły w odblaskach zachodu. Gdy czerwone płomienie zgasły na wierzchołkach gór, Montanelli odwrócił się i dotknął ramienia Artura.

- Chodźmy, *carino*, robi się już ciemno. Zbłądzimy w mroku, jeśli tu jeszcze zostaniemy.

- Wygląda jak trup - rzekł Artur odwracając się od upiornego oblicza śnieżnego szczytu migocącego jeszcze w półmroku.

Ostrożnie zstępowali pomiędzy czarnymi sosnami ku szłasowi, gdzie mieli przenocować.

Wchodząc do izby, w której Artur czekał na niego z wieczerzą, Montanelli na pierwszy rzut oka zauważył, że chłopak otrząsnął się z wrażenia ponurych widziadeł i był w zupełnie innym usposobieniu.

- Och, ojczy, spójrz na tego śmiesznego psa! Tańczy na tylnych łapkach!

Pies i jego sztuczki zajmowały go niemal tak silnie jak poprzednio żagwienie Alp. Gospodyni szłasu, o czerwonej twarzy, w białym fartuszk, podparłszy się pod boki, z uśmiechem przyglądała się jego zabawie z psem.

- Widać, że nie ma żadnych zmartwień, skoro może się tak bawić - rzekła w dialekcie do swej córki. - A jaki śliczny chłopiec!

Artur zapłonął się jak pensjonarka, a kobieta widząc, że zrozumiał, co powiedziała, odeszła śmiejąc się z jego zmieszania. Podczas wieczerzy mówił wyłącznie o wycieczkach i snuł plany wspinaczek i wypraw na poszukiwanie górskiej roślinności. Widocznie marzycielskie fantazje nie psuły mu humoru ani apetytu.

Nazajutrz rano, gdy Montanelli się zbudził, Artura już nie było. O świcie wyruszył w góry, by z Gaspardem wypędzić kozy na pastwisko.

Zaledwie jednak podano śniadanie, wpadł do pokoju, z gołą głową, niosąc na ramieniu trzyletnią dziewczynkę wiejską, a w ręce ogromny pęk dzikich kwiatów.

Montanelli spojrzał nań z uśmiechem. Dziwny to był kontrast z milczącym, poważnym Arturem z Pizy lub Livorno..

- Gdzież to biegałeś, szalona pałko? Po górach się wspinałeś nie czekając śniadania?

- Och, ojczy, jak tam było przyjemnie! Góry wyglądają cudownie o wschodzie słońca, a jaka rosa obfita! Spójrz tylko!

Na dowód podniósł nogę w wilgotnym, zabłoconym bucie.

- Zabraliśmy z sobą trochę chleba i sera, a na pastwisku dostałem trochę koziego mleka; och, jakie to było paskudne! Ale znów jestem głodny i potrzebuję też czegoś dla tej małej osóбки. Anetko, chcesz trochę miodu?

Usiadł trzymając dziewczynkę na kolanach i pomagając jej uporządkować kwiaty.

- Nie, nie! - wmieszał się Montanelli. - Nie mogę pozwolić, byś się przeziębiał. Idź zaraz do pokoju i zmień obuwie. Pójdź do mnie tymczasem, Anetko. Gdzież to ją znalazłeś?

- Na samym końcu wsi. To dziecko tego człowieka, któregośmy spotkali wczoraj, tego wiejskiego szewca. Prawda, że ma ładne oczka? Złapała żółwia, schowała do kieszeni i nazywa go „Karolcia”.

Gdy Artur zmieniwszy obuwie wrócił na śniadanie, dziecko siedziało na kolanach Montanellego i szczebiotało o żółwiu, którego trzymało w pulchnej rączynie, odwróconego na grzbiet, by monsieur widział, jak porusza nóżkami.

- Patś, panie! - mówiła poważnie swym na wspólnie niezrozumiałym dialektem - patś na buty Kajolci!

Montanelli bawił się z malutką gładząc jej włosy, podziwiając ukochanego żółwia i opowiadając historyjki. Gospodyni szalasu, przyszedłszy zebrać ze stołu, osłupiała na widok Anetki gospodarującej w kieszeniach poważnego księdza.

- Bóg uczy dzieci poznawać dobrych ludzi - oświadczyła. - Anetka zawsze się boi obcych, a z jego świątobliwością taka jest śmiała. Jakie to dziwne! Anetko, ukłęknij i poproś dobrego ojca duchownego, by cię pobłogosławił, zanim odejdzie. To ci przyniesie szczęście.

- Nie wiedziałem, ojcze, że umiesz tak dobrze bawić się z dziećmi - mówił Artur w godzinę później, gdy szli skąpanymi w słońcu łąkami. - Ta dziewczynka przez cały czas nie odrywała oczu od ciebie. Wiesz, ojcze, mnie się zdaje...

- Co takiego?

- Chciałem tylko powiedzieć, że szkoda, iż Kościół nie pozwala księżom się żenić. Nie rozumiem dlaczego. Przecież wychowanie dzieci jest sprawą tak wielką i tak jest ważne zarazem, by od samego urodzenia pozostawały pod dobrym wpływem. Dlatego mi się zdaje, że im świętsze powołanie i czystsze życie ma człowiek, tym bardziej nadaje się na ojca. Jestem pewny, że gdyby ciebie, ojcze, nie wiązały śluby kościelne... gdybyś się był ożenił... to dzieci twoje byłyby...

- Cicho!

Słowo to, wyrzucone gorączkowym szeptem, zdawało się jeszcze pogłębiać milczenie, które po nim nastąpiło.

- Ojcze - zaczął Artur, zgnębiony posępnym wyrazem twarzy towarzysza - czy sądzisz, że powiedziałem coś złego? Zapewne myślę się, ale nie mogę, przecież myśleć inaczej, niż umiem.

- Być może - łagodnie odparł Montanelli - nie uświadamiasz sobie dokładnie znaczenia swych słów. Za kilka lat będziesz o tym sądził inaczej. A tymczasem mówmy o czym innym.

Było to pierwsze zakłócenie doskonałej harmonii, jaka panowała między nimi podczas tych uroczych wakacji.

Z Chamonix ruszyli przez Tete Noire do Martigny, gdzie zatrzymali się, by wypocząć, gdyż upał był nie do zniesienia. Po obiedzie siedzieli na tarasie hotelu osłoniętym od słońca i ukazującym piękny widok na góry. Artur przyniósł swe zielniki i niebawem potoczyła się żywa pogawędka przyrodnicza w języku włoskim.

Na tarasie siedzieli również dwaj angielscy artyści; jeden szkicował, drugi gawędził swobodnie. Nie przyszło mu na myśl, że zajęci roślinami cudzoziemcy mogą rozumieć po angielsku.

- Przestańże już smarować ten krajobraz, Willy - mówił - a naszkicuj tego ślicznego chłopca w ekstatycznym podziwieniu nad paprociami. Spójrz na te pyszne linie jego brwi! Daj mu tylko do ręki krucyfiks zamiast szkła powiększającego i rzymską togę zamiast kurtki i krótkich spodni, a masz gotowy portret swego „pierwotnego chrześcijanina” w wyrazie i postaci.

- Dalibóg, pierwotny chrześcijanin! Siedziałem obok tego młodzieńca przy obiedzie; otóż w taki sam zachwyt wprawiło go pieczone kurczę jak teraz te zeschłe zielska. Tak, ładny jest, przyznaję, ten oliwkowy odcień cery jest nawet bardzo piękny, ale ani w przybliżeniu nie wygląda tak malowniczo jak jego ojciec.

- Kto, powiadasz?

- Jego ojciec, który siedzi na wprost ciebie. Czyżbyś go przeoczył? To twarz przewspaniała.

- Och, ty niepoczytalny metodysto⁴! Nie poznajesz już katolickiego księdza?

- Księdza? Na Zeusa, masz rację! Zapomniałem na śmierć o tych ślubach wstrzemięźliwości i innych historiach. Bądźmy skromni i przypuśćmy, że ten młody jest jego bratankiem...

- Co za głupcy! - wyszeptał Artur, podnosząc swe bystre oczy. - A jednak to miło z ich strony, że dostrzegają we mnie jakieś podobieństwo do ciebie. Chciałbym naprawdę być twoim bratankiem... Co ci, ojcze? Taki jesteś błąd!

⁴ Metodyści - protestancka sekta religijna utworzona w XVIII w Anglii.

- Mam lekki zawrót głowy - rzekł głosem dziwnie przyciszonym, bezdźwięcznym. - Może za długo byłem dziś na słońcu. Położę się trochę, *carino*, to tylko ból głowy.

Po dwutygodniowym pobycie nad brzegiem Jeziora Czterech Kantonów Artur powrócił z Montanellim do Włoch przez przełęcz Św. Gotarda. Pogoda im sprzyjała i odbyli kilka wycieczek bardzo przyjemnych, lecz pierwszy czar ich wspólnego pobytu ulotnił się bezpowrotnie. Montanellego ustawicznie niepokoiła myśl o „stanowczej rozmowie”, do której wycieczka ta miała właśnie dostarczyć sposobności. W dolinie Arvy rozmyślnie unikał wszystkiego, co mogłoby w jakikolwiek sposób odnosić się do sprawy, o której mówili owego wieczora pod drzewem magnolii. „Byłoby okrucieństwem - mówił sobie - gdybym pierwsze piękne wrażenia, jakie uroki przyrody wywierają na duszę tak artystyczną jak Artura, zakłócał rozmową, która z konieczności musi być przykra”. Od przyjazdu do Martigny postanawiał każdego ranka: rozmówię się dzisiaj; a wieczorem powtarzał sobie: rozmówię się jutro. I oto wakacje mijały, a on ciągle jeszcze powtarzał: jutro, jutro. Dziwnie nieokreślone uczucie, że coś się zmieniło, że niewidzialna jakaś zasłona rozsnuła się między nim a Arturem, zamykało mu usta; dopiero ostatniego wieczora przed powrotem uświadomił sobie nagle, że jeśli w ogóle ma się z Arturem rozmówić, musi to uczynić zaraz. Zatrzymali się na noc w Lugano, a nazajutrz rano mieli wyjechać do Pizy. Musiał się przynajmniej dowiedzieć, jak daleko jego ukochany chłopiec został wciągnięty w fatalne ruchome piaski polityki włoskiej.

- Deszcz ustał, *carino* - rzekł po zachodzie słońca - mamy teraz jedyną sposobność zobaczenia jeziora. Wyjdźmy trochę, chciałbym z tobą pomówić.

Szli brzegiem jeziora ku zacisznemu miejscu, gdzie usiedli na niskim wale kamiennym. W pobliżu rósł krzak dzikiej róży okryty purpurowymi jagodami; jeden czy dwa spóźnione pęki kremowych kwiatów zwisały jeszcze z najwyższej gałązki, kołyszącej się smutnie i obciążonej kroplami deszczu. Po zielonej powierzchni jeziora mknęła łódka o białych żaglach, lekko poruszanych wilgotnym wietrzykiem. Wyglądała tak lekko i zwiewnie jak srebrne nasienie mleczu fruujące nad wodą. Na górze Salvator okno jakiejś chaty pasterskiej otworzyło złote swe oko. Róże pochyliły główki i śniły pod wrześnieją opołą chmur, a wody jeziora pluskały i szeptały łagodnie, podmywając żwir nadbrzeżny.

- Jedyna to sposobność rozmówienia się spokojnie z tobą - począł Montanelli. - Ty wrócisz teraz do swej pracy i przyjaciół, a ja również tej zimy będę bardzo zajęty.

Chciałbym wiedzieć zupełnie dokładnie, jaki ma być nadal wzajemny nasz stosunek, a jeśli... - Urwał na chwilę, po czym zniżonym głosem dodał: - A jeśli możesz mi ufać jak dawniej, to pragnąłbym usłyszeć od ciebie bardziej szczegółowo niż owego wieczora w ogrodzie, jak daleko zaszedłeś.

Artur, zapatrzony w wodę jeziora, słuchał spokojnie, nie dając odpowiedzi.

- Chcę, byś mi powiedział, jeśli możesz - mówił dalej Montanelli - czy związałeś się jaką przysięgą lub... innym zobowiązaniem.

- Drogi ojcze, nie mam nic do powiedzenia. Nie związałem się żadną przysięgą, lecz jestem związany.

- Nie rozumiem...

- Po co przysięgi? Przecież nie one wiążą ludzi. Jeśli z pewną sprawą łączy mnie węzeł uczuciowy, to on mnie z nią wiąże; gdzie węzeł taki nie istnieje, nic mnie wiązać nie może.

- Sądysz zatem, że to twoje uczucie jest niewzruszone? Arturze, czy pomyślałeś, co mówisz?

Artur odwrócił głowę i spojrzał Montanellemu prosto w oczy.

- Ojcze, pytałeś, czy mogę ci ufać. A czy ty nie możesz mi również zaufać? Doprawdy, gdybym miał coś do powiedzenia, powiedziałbym ci niewątpliwie, ale na nic się nie zda mówić o tych sprawach. Nie zapomniałem, co mi powiedziałaś owego wieczora, i nie zapomnę nigdy. Muszę jednak iść swoją drogą za światłem, które widzę.

Montanelli zerwał różę z krzaka i oskubywał z niej listek po listku, po czym wrzucił je do wody.

- Masz słuszość, *carino*. Nie będziemy już mówić o tych sprawach; zdaje się, że słowa nic tu pomóc nie mogą... Tak, tak, wracajmy do domu.

ROZDZIAŁ III

Jesień i zima minęły bez ważniejszych wypadków. Artur uczył się gorliwie i miał niewiele wolnego czasu. Raz tygodniowo lub częściej wpadał jednak do Montanellego bodaj na parę minut. Od czasu do czasu przychodził z książką prosić o wyjaśnienie niezrozumiałych ustępów, lecz wówczas rozmowa toczyła się wyłącznie w

granicach danego przedmiotu. Montanelli raczej odczuwał, niż zauważył lekki, niedostrzegalny przymus, jaki zaciążył na wzajemnym ich stosunku; trwożliwie też unikał wszystkiego, co mogłoby wydawać się próbą przywrócenia dawnej serdeczności. Odwiedziny Artura sprawiały mu teraz więcej przykrości niż przyjemności - tak bardzo męczyło go ciągle silenie się na spokój i udawanie, że żadnej w ich stosunku wzajemnym nie dostrzega zmiany. Artur również zauważył ten nieuchwytny odcień przymusu w zachowaniu Montanellego, a czując niejasno, że pozostaje w pewnym związku z przykrą kwestią „nowych idei”, unikał starannie wszelkiej wzmianki o sprawie zajmującej nieustannie wszystkie jego myśli. A jednak nigdy nie kochał Montanellego tak gorąco jak właśnie w owym czasie. Mętne a ustawiczne uczucie niezadowolenia, pustki duchowej, które usiłował zwalczyć gorliwym przestrzeganiem praktyk religijnych i modlitwą, nagle zniknęło pod żywym tchnieniem ducha Młodych Włoch⁵. Wszystkie chorobliwe mrzonki, zrodzone w samotności podczas długich nocy w pokoju chorej matki, rozwiały się teraz a wątpliwości, przed którymi opędał się modlitwą, pierzchły bez pomocy egzorcyzmów. Nowy entuzjizm, jaśniejsze, żywsze uczucia religijne, bo raczej jako wskazanie religijne niż akcję polityczną przedstawiał sobie cały ten ruch studentów, przejęło go uczuciem spokoju, zadowolenia z życia i serdecznym ciepłem dla ludzi; a ta egzaltacja ukazywała mu cały świat pięknym i jasnym. Odkrywał pierwiastki sympatyczne w ludziach, których wpierw nie cierpiał, a Montanelli, od lat pięciu najwyższy dlań ideał człowieka, obecnie zdawał mu się jaśnieć w blaskach nie znanej dotąd aureoli, niby potężny prorok nowej wiary. Z uwielbieniem wsłuchiwał się w jego kazania usiłując odkryć w nich ślad powinowactwa duchowego z ideałem republikańskim; nadto wczytywał się namiętnie w Ewangelię, zachwycony demokratycznym ruchem chrześcijaństwa w zaraniu jego dni.

Pewnego dnia w styczniu wstąpił do seminarium, by oddać wypożyczoną książkę. Dowiedziawszy się, że ojciec-dyrektor wyszedł, udał się do prywatnej pracowni Montanellego i położywszy książkę na odpowiedniej półce miał wyjść, gdy wzrok jego padł na tytuł książki rozłożonej na stole. Było to dzieło Dantego: *De*

⁵ Młode Włochy - burżuazyjno-demokratyczna organizacja założona w 1831 roku przez Giuseppe Mazziniego (1805—1872). Walczyła o wyzwolenie kraju spod panowania Austriaków i utworzenie zjednoczonej republiki włoskiej. Jednym z najwybitniejszych, obok Mazziniego, przywódców Młodych Włoch był Giuseppe Garibaldi (1807-1882).

*Monarchia*⁶. Zaczął czytać i po chwili tak już był zatopiony w książce, że nie usłyszał, jak drzwi się uchyliły i zamknęły. Ocknął się dopiero na dźwięk głosu Montanellego.

- Nie oczekiwałem cię dzisiaj - ozwał się tenże rzucając okiem na tytuł książki. - Właśnie miałem posłać do ciebie z zapytaniem, czy nie mógłbyś przyjść do mnie wieczorem.

- Czy coś ważnego? Mam dzisiejszy wieczór zajęty, ale mogę się zwolnić, jeśli...

- O, nie, możesz przyjść jutro. Chciałbym się tylko zobaczyć z tobą przed wtorkiem, gdyż zostałem wezwany do Rzymu.

- Do Rzymu? Na długo?

- List opiewa, że wrócę dopiero po Wielkanocy. To wezwanie z Watykanu. Byłbym cię zaraz powiadomił, lecz byłem ogromnie zajęty sprawami seminarium i przygotowaniami na przyjęcie nowego dyrektora.

- Ojczy, nie porzucisz przecież seminarium?

- Zdaje się, że będę musiał; prawdopodobnie jednak wrócę jeszcze do Pizy, choćby na krótko.

- Ale czemu stąd wyjeżdżasz?

- Bo widzisz, to jeszcze nie jest ogłoszone oficjalnie: zaofiarowano mi biskupstwo.

- Ojczy! Gdzie?

- Właśnie w tej sprawie wzywają mnie do Rzymu. Jeszcze niezdecydowane, czy mam osiąść gdzieś w Apeninach, czy też zostać tu w charakterze sufragana.

- A czy mianowano już nowego dyrektora?

- Tak. Ojca Cardi, który przybędzie tu jutro.

- Czy nie stało się to jakoś dziwnie nagle?

- Tak, lecz postanowienia Watykanu bywają czasem ogłaszane dopiero w ostatniej chwili.

- Czy znasz, ojczy, nowego dyrektora?

- Osobiście go nie znam, lecz wiem, że zażywa wielkiego szacunku. Monsignor Belloni pisze o nim w liście, że jest człowiekiem bardzo uczonym.

- Seminarium ogromnie odczuje brak twojej osoby, ojczy.

⁶ De Monarchia Dantego (1265-1321) - dzieło głoszące ideę zjednoczonego królestwa włoskiego, a skierowane przeciwko świeckiej władzy papieża. W wieku XIX książka ta znalazła się na indeksie kościelnym.

- Tego nie wiem, ale pewny jestem, *carino*, że ty to odczuwasz, tak samo jak ja odczuwać będę twoją nieobecność.

- Tak, ojczec, odczuwam ją, mimo to bardzo się cieszę, że zostałeś powołany na tak wysokie stanowisko.

- Doprawdy? Bo ja nie wiem, czy jestem zadowolony. - Usiadł przy stole z wyrazem znużenia na twarzy; nie wyglądał wcale na człowieka oczekującego zaszczytnego odznaczenia.

- Arturze, czy jesteś zajęty dziś po południu? - spytał po chwili. - Jeśli nie, to zostań u mnie, skoro nie możesz przyjść wieczorem.

Jestem trochę rozstrojony i przed wyjazdem pragnąłbym być z tobą jak najdłużej.

- Tak, mogę trochę pozostać. Umówiłem się dopiero na szóstą.

- Jedno z waszych zebrań?

Artur skinął głową, a Montanelli szybko zmienił temat rozmowy.

- Chciałbym ci powiedzieć, że pod moją nieobecność musisz mieć innego spowiednika.

- Ale po powrocie będziesz mnie znów spowiadał, nieprawdaż?

- Mój drogi chłopcze, jak możesz o to pytać? Rozumie się, że mówię tylko o mej nieobecności, która potrwa trzy do czterech miesięcy. Może pójdziesz do któregoś z ojców od świętej Katarzyny?

- Dobrze.

Przez chwilę mówili o innych sprawach, po czym Artur wstał.

- Muszę odejść, ojczec, studenci już tam czekają.

Na twarzy Montanellego znów pojawił się wyraz zgnębienia.

- Już? Rozproszyłeś mój kiepski humor. Więc do widzenia.

- Do widzenia. Jutro przyjdę z pewnością.

- Postaraj się przyjść wcześniej, bym mógł przez chwilę być tylko z tobą. Ma tu przyjść ojciec Cardi. Mój drogi chłopcze, bądź ostrożny, gdy stąd wyjadę; nie daj się wciągnąć do żadnej akcji nierozważnej, przynajmniej dopóki ja nie wrócę. Nie masz pojęcia, z jaką trwogą cię tu pozostawiam.

- Nie masz powodu, ojczec, jest tu zupełnie spokojnie. I długo jeszcze tak pozostanie.

Pierwszą osobą, na którą padły oczy Artura, gdy wszedł do izby, gdzie odbywały się zebrania studentów, była dawna jego towarzyszką zabaw, córka doktora Warrena. Siedziała w kącie pod oknem słuchając z poważną i skupioną twarzą opowiadania jednego z agitatorów, młodego, wysokiego Lombardczyka w mocno wyszarzałym surducie. W ciągu ostatnich paru miesięcy znacznie się zmieniła i rozwinęła; wyglądała teraz na dorosłą dziewczynę, pomimo że dwa grube czarne warkocze dotąd nosiła spuszczone na plecy jak pensjonarka. Ubrana była na czarno, a na głowę zarzuciła również czarny szal, gdyż w pokoju panował dotkliwy chłód i przeciąg. U piersi miała wpiętą gałązkę cyprysu - godło Młodych Włoch. Agitator opisywał jej w namiętnych słowach nędzę wieśniaków kalabryjskich, a ona słuchała w milczeniu, wsparłszy się na rękę, z oczyma wbitymi w ziemię. Arturowi wydała się smutnym obrazem wolności biadającej nad utratą Rzeczypospolitej (Julia widziałaby w niej jedynie długą tykę o bladej cerze, bynajmniej nie klasycznym nosie i w starej sukni, która była już na nią za krótka).

- Ty tutaj, Jim! - zawołał podchodząc do niej po odejściu Lombardczyka, którego odwołano w inny kąt pokoju. „Jim” było dziecinną przeróbką jej niezwyklego imienia: Jennifer. Koleżanki włoskie nazywały ją „Gemma”.

Podniosła głowę zrywając się lekko.

- Arturze! Och, nie wiedziałam, że ty... tu należysz.

- A ja nie miałem wyobrażenia, że i ty, Jim. Od jak dawna?...

- Nie rozumiesz! - przerwała szybko. - Nie jestem członkiem.

Spełniłam tylko jedno czy dwa drobne zlecenia. Widzisz, spotkałam się z Binim... znasz Carla Biniego?

- Rozumie się.

Bini był organizatorem grupy w Livorno, znanym przez całe Młode Włochy.

- Otóż on mi właśnie mówił o tych sprawach, a ja go poprosiłam, bym mogła pójść na któreś z zebrań studenckich. Odpisał mi do Florencji... Nie wiesz, że Boże Narodzenie spędziłam we Florencji?

- Rzadko otrzymuję teraz wiadomości z domu.

- Ach tak! Otóż spędziłam święta u Wrightów (Wrightówny były to dawne jej koleżanki, które osiedliły się we Florencji). Tam otrzymałam list od Biniego, w którym mi pisze, bym wracając do domu zatrzymała się w Pizie i poszła na zebranie. Ale oto i zaczynają.

Rozpoczął się wykład o idealnej republice i spoczywającym na młodzieży obowiązku przygotowania się do niej. Pojęcia prelegenta były nieco mętne, lecz Artur słuchał ze zbożnym podziwem... Umysł jego był jeszcze dziwnie bezkrytyczny; gdy zachwycał go jakiś ideał moralny, chłonał go w całości, nie zastanawiając się wcale, czy nie budzi zastrzeżeń. Po wykładzie nastąpiła długa dyskusja, po czym studenci zaczęli się rozchodzić. Artur podszedł do Gemmy ciągle jeszcze siedzącej na swym miejscu.

- Jim, mogę cię przecież odprowadzić? Gdzie mieszkasz?

- U Marietty.

- Starej gospodyni twego ojca?

- Tak, mieszka dość daleko.

Chwilę szli obok w milczeniu. Nagle Artur rzekł:

- Masz teraz siedemnaście lat, prawda?

- Skończyłam siedemnaście w październiku.

- Zawsze byłem pewny, że gdy wyrośniesz, nie będziesz jak inne dziewczęta chodzić po balach ani zajmować się podobnymi głupstwami. I nieraz myślałem, czy też ty przyjdiesz i połączysz się z nami.

- I ja nieraz o tym myślałam.

- Mówiłaś, że zrobiłaś coś dla Biniego, nie wiedziałem, że go znasz.

- To nie dla Biniego. Ten drugi dał mi pewne zlecenie, które wypełniłam.

- Jaki drugi?

- Ten, który dziś ze mną rozmawiał: Bolla.

- Znasz go tak dobrze? - spytał z lekkim odcieniem zazdrości.

Wspomnienie Bolli było dla niego trochę drażliwe; istniała bowiem między nimi rywalizacja z powodu pewnej sprawy, którą komitet Młodych Włoch powierzył ostatecznie Bolli, uważając Artura za zbyt młodego i niedoświadczonego.

- Tak, znam go dość dobrze i bardzo go lubię. Bawił przez jakiś czas w Livorno.

- Wiem, udał się tam w listopadzie...

- W sprawie okrętów. Arturze, czy nie sądzisz, że w waszym domu byłoby bezpieczniej niż w naszym? Nikt nie mógłby podejrzewać bogatej rodziny właścicieli okrętów, przy tym znasz wszystkich żeglarzy...

- Ciszej, moja droga! Więc to w waszym domu ukryte były książki z Marsylii?

- Tylko przez jeden dzień. Och, może nie powinnam ci była tego powiedzieć.

- Czemu nie? Wiesz przecież, że należę do związku. Moja droga Gemmo, nie na świecie nie mogłoby mnie tak uszczęśliwić jak twoje przyłączenie do sprawy... twoje i ojca.

- Twego ojca-dyrektora? Jak możesz...

- Tak, on ma inne przekonania. Chwilami jednak marzyłem... to jest... miałem nadzieję, sam nie wiem...

- Ależ Arturze, przecież to ksiądz!

- To cóż z tego? Przecież mamy w związku księży, dwaj piszą nawet w naszej gazecie. I czemu nie? Zadaniem kapłaństwa jest prowadzenie ludzkości ku coraz wyższym ideałom i celom, a czegoż innego pragnie nasz związek? W gruncie rzeczy jest to raczej kwestia religijna i etyczna aniżeli polityczna. Jeśli lud wyrósł już na wolnych i odpowiedzialnych obywateli, to nikt nie może zmusić go do niewoli.

Gemma ściągnęła brwi.

- Arturze, zdaje mi się, że twoja logika trochę chroma. Ksiądz głosi doktryny religijne. Nie widzę, co to ma wspólnego z wypędzeniem Austriaków.

- Ksiądz jest nauczycielem chrześcijaństwa, a największym ze wszystkich rewolucjonistów był Chrystus.

- Wiesz, mówiłam z ojcem w tych dniach o książkach i on powiedział...

- Gemmo, twój ojciec jest protestantem.

Po chwilowej przerwie spojrzała mu prosto w oczy.

- Porzućmy raczej ten temat. Ilekroć mowa o protestantach, stajesz się nietolerancyjny.

- Przykro mi, jeśli tak jest. Natomiast sędzę, że protestanci są zawsze nietolerancyjni w swych sądach o księżach.

- Bardzo możliwe. Ale tyle razy już się o to sprzeczailiśmy, że nie warto rozpoczynać na nowo. Co sądzisz o dzisiejszym wykładzie?

- Bardzo mi się podobał, zwłaszcza ostatnia część. Byłem zadowolony, że tak silnie zaakcentował potrzebę życia republikańskiego, a nie poprzestawał na marzeniach o republice. Jak Chrystus powiedział: „Królestwo niebieskie jest w was samych”.

- A mnie się właśnie ta część nie podobała. Tyle mówili o tych cudownych rzeczach, o których mamy myśleć, czuć, żyć nimi, nie dając ani jednej praktycznej wskazówki, co mamy czynić.

- Gdy nadejdzie chwila przełomowa, będziemy mieć dość zajęcia. Należy jednak być cierpliwym, te wielkie zmiany nie mogą się dokonać w ciągu doby.

- Im sprawa jakaś wymaga dłuższego czasu, tym rychlej winna być rozpoczęta. Mówisz o przygotowaniu się do wolności; czy znałeś kogokolwiek równie dobrze przygotowanego jak twoja matka? Czyż nie była najbardziej anielską kobietą, jaka kiedykolwiek żyła? I na co przydała się ta dobroć? Pozostała niewolnicą do ostatniej chwili życia - lżoną, dręczoną przez twego brata Jamesa i jego żonę. Byłoby dla niej znacznie lepiej, gdyby nie była taka słodka i cierpliwa, nie byłiby jej tak dokuczali. To samo z Włochami: nie cierpliwości tu potrzeba... powinien ktoś powstać i rozpocząć dzieło obrony...

- Jim droga, gdyby gniew i porywczosć mogły Włochy ocalić, to byłyby już wolne od dawna; tu nie potrzeba nienawiści, lecz miłości.

Przy tym słowie nagły rumieniec oblał mu całą twarz i natychmiast zniknął. Gemma nie widziała tej raptownej zmiany, zapatrzona przed siebie, ze zsuniętą brwią i zaciśniętymi ustami.

- Arturze, tobie się zdaje, że się mylę - rzekła po chwili - a jednak ja mam słuszość i pewnego dnia ty sam dojdiesz do tego przekonania. Oto dom, gdzie mieszkam. Czy wejdiesz?

- Nie, już późno. Dobranoc, kochana.

Stał na schodach wiodących do domu, w obydwie ręce ujawszy jej dłoń.

- Za Boga i lud...⁷

Powoli i w skupieniu dokończyła:

- Teraz i na wieki.

Wysunęła rękę i wbiegła do domu. Gdy drzwi się za nią zamknęły, pochylił się i podniósł gałązkę cyprysu, którą miała przedtem u piersi.

ROZDZIAŁ IV

Artur wracał do swego mieszkania, jakby miał skrzydła u ramion. Był najzupełniej szczęśliwy. Na zgromadzeniu padły pewne słowa o przygotowaniach do zbrojnego powstania; Gemma była towarzyszką, a on ją kocha. Będą mogli razem

⁷ Hasło Młodych Włoch

pracować, może nawet umrzeć razem dla przyszłej republiki. Nadeszła chwila rozkwitu ich nadziei; ojciec to uzna i uwierzy w ich sprawę.

Następnego ranka jednak obudził się w usposobieniu trzeźwiejszym i przypomniał sobie, że Gemma wyjeżdża do Livorno, a ojciec do Rzymu. Styczeń, luty, marzec - trzy długie miesiące do Wielkanocy! A jeśli Gemma ulegnie w domu wpływom protestanckim (w słowniku Artura słowo „protestant” było równoznaczne ze słowem „filister”)? Ale Gemma nie będzie nigdy flirtować ani wabić turystów i łysych właścicieli okrętów, jak inne Angielki w Livorno; jest po prostu ulepiona z innej gliny. Ale może czuć się tam bardzo źle - taka młoda, bez przyjaciół, zupełnie sama wśród tych wszystkich drewnianych ludzi. Gdyby to matka jego żyła...

Wieczorem poszedł do seminarium, gdzie Montanelli podejmował nowego dyrektora. Twarz ojca miała wyraz zmęczony, a równocześnie znudzony; zamiast rozjaśnić się, jak zwykle na widok Artura, stała się jeszcze bardziej posępna.

- Oto właśnie student, o którym mówiłem - rzekł przedstawiając sztywno Artura. - Będę bardzo zobowiązany, jeśli mu dyrektor pozwoli nadal korzystać z biblioteki.

Ojciec Cardi, starszy ksiądz o dobrodusznej twarzy, natychmiast rozpoczął z Arturem rozmowę o uniwersytecie Sapienza, z łatwością i swobodą dowodząc, że dobrze jest obeznany z życiem studenckim. Rychło wywiązała się dyskusja o regulaminach uniwersyteckich, będących palącą kwestią dnia. Ku wielkiej radości Artura nowy dyrektor wyrażał się ostro o władzach uniwersyteckich wprowadzających zwyczaj ustawicznego dokuczania studentom bezsensownymi a przykrymi ograniczeniami swobody osobistej.

- Mam duże doświadczenie w wychowywaniu młodzieży - mówił - i trzymam się reguły, że nigdy nie wydaję żadnych zakazów, jeżeli nie zajdzie ważna przyczyna. Istnieje bardzo niewielu młodych ludzi, z którymi nie można by sobie dać rady, jeśli tylko okazuje się im należne zrozumienie i szacunek. Z drugiej strony, najłagodniejszy koń zacznie wierzgać, gdy mu ustawicznie przykracać cugli.

Artur szeroko otworzył oczy; nie spodziewał się usłyszeć z ust nowego dyrektora obrony sprawy studenckiej. Montanelli nie brał udziału w tej dyskusji - widocznie go nie interesowała. Twarz jego miała wyraz tak beznadziejnego smutku i znużenia, że ojciec Cardi nagle urwał.

- Przykro mi, że może kanonika zmęczyłem. Proszę mi wybaczyć moją gadatliwość, tak gorąco przejmuję się tą sprawą, że zapominam niekiedy, iż dla drugich może być męcząca.

- Przeciwnie, bardzo mnie zainteresowała - Montanelli był tak daleki od stereotypowych grzeczności, że ton jego odpowiedzi zabrzmiał w uszach Artura jak przykry dysonans.

Po odejściu ojca Cardiego Montanelli zwrócił na Artura spojrzenie przenikliwe i pełne posępnego jakiegoś blasku, który przez cały wieczór płonął w jego źrenicach.

- Arturze, mój drogi chłopcze - zaczął powoli - mam ci coś do powiedzenia.

Musiał otrzymać jakieś złe wiadomości - przemknęło Arturowi przez myśl, gdy trwożnym spojrzeniem objął wychudłą twarz ojca. Nastąpiła długa pauza.

- Jak ci się podoba nowy dyrektor? - spytał nagle.

Pytanie to było tak nieoczekiwane, że przez chwilę Artur nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Mnie... mnie... się bardzo podoba... a właściwie... nie jestem pewny. Trudno coś powiedzieć po jednorazowym zetknięciu.

Montanelli usiadł na fotelu, lekko uderzając ręką o poręcz, co było u niego nieomylną oznaką rozdrażnienia czy niepokoju.

- Co się tyczy tego wyjazdu do Rzymu - począł znowu - to jeśli sądzisz, że... byłoby dobrze... to znaczy, jeśli ty sobie tego życzysz... mogę napisać odmownie.

- Ojcze! Przecież Watykan...

- Watykan znajdzie sobie kogo innego. Mogę się usprawiedliwić.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem.

Montanelli jedną ręką przesłonił czoło.

- Lękam się o ciebie. Przychodzą mi do głowy różne myśli... a ostatecznie ja nie widzę potrzeby wyjeżdżania stąd...

- A biskupstwo?

- Och, dziecko! Na co mi się przyda zdobycie biskupstwa, jeśli utracę...

Urwał. Artur nie widział go nigdy w podobnym stanie i był ogromnie zaniepokojony.

- Nie rozumiem - rzekł. - Ojcze, gdybyś mógł mi powiedzieć coś więcej... wyraźniej, co myślisz...

- Ja nic nie myślę, tylko męczy mnie straszliwa trwoga. Powiedz mi, czy istnieje jakieś niebezpieczeństwo?

Coś słyszał - pomyślał Artur przypominając sobie poszepty dotyczące projektowanego powstania. Nie było to jednak jego tajemnicą, więc odpowiedział tylko:

- Jakiego mogłoby istnieć niebezpieczeństwo?

- Nie zadawaj mi pytań, tylko odpowiadaj! - Głos Montanellego, pełen podniecenia, brzmiał prawie surowo. - Czy tobie grozi jakieś niebezpieczeństwo? Nie chcę waszych tajemnic, tylko na to jedno daj mi odpowiedź.

- Ojczy, wszyscy jesteśmy w ręku Boga; nie wiadomo, co może się zdarzyć. Nie widzę jednak, dlaczego nie miałbyś mnie po powrocie zastać przy życiu i w pełnym bezpieczeństwie.

- Po powrocie... *Carino*, słuchaj, oddaję to w twoje ręce. Nie potrzebujesz mi podawać powodów, powiedz tylko: „zostań”, a wyrzeknę się tej podróży! Nikomu nie przyniesie to szkody, a ja będę spokojniejszy mając ciebie w pobliżu.

Podobnie chorobliwe urojenia były tak obce naturze Montanellego, że Artur patrzył nań z głębokim zaniepokojeniem.

- Ojczy, z całą pewnością jesteś niezdrów. Rozumie się, że musisz wyjechać do Rzymu i starać się tam wypocząć, a przede wszystkim pozbyć się bezsenności i bólu głowy.

- Dobrze, dobrze - przerwał Montanelli, jakby znużony tym tematem - wyjadę jutro rano.

Artur spojrział nań zdumiony.

- Miałeś mi coś powiedzieć - zauważył.

- Nie, nie! Już nic ważnego. - Po twarzy jego przemknął nagły lęk, a nawet przerażenie.

W kilka dni po wyjeździe Montanellego Artur poszedł wypożyczyć sobie książkę do biblioteki seminarialnej i na schodach spotkał ojca Cardiego.

- Ach, pan Burton! - wykrzyknął dyrektor. - Właśnie pana potrzebuję. Proszę wejść i pomóc mi wybrnąć z pewnych trudności.

Otworzył drzwi pracowni, a Artur wszedł za nim z cichym i nie dorzecznym uczuciem żalu. Ciężko mu było w tej kochanej pracowni, najbardziej osobistym sanktuarium ojca Montanellego, widzieć teraz obcego, intruza.

- Jestem strasznym molem książkowym - zaczął dyrektor - i pierwszą rzeczą, do której się zabrałem, było zbadanie biblioteki.

Wydaje mi się bardzo zajmująca, tylko nie mogę się zorientować w systemie katalogu.

- Katalog jest niezupełny, niektóre najlepsze książki z ostatnich czasów nie zostały jeszcze wpisane.

- Czy mógłbyś pan poświęcić pół godzinki i udzielić mi pod tym względem pewnych objaśnień?

Weszli do biblioteki, gdzie Artur z całą ścisłością wytłumaczył system katalogu. Gdy zabierał się do odejścia, ojciec Cardi powstrzymał go śmiejąc się:

- No, no, nic z tego! Nie pozwolę na taką ucieczkę. Dziś jest sobota, więc można odłożyć pracę do poniedziałku. Proszę zostać u mnie na wieczery, skoro już zatrzymałem pana tak długo. Jestem sam, towarzystwo pana jest mi bardzo miłe.

Zapraszał tak prosto i serdecznie, że Artur poczuł się od razu zupełnie swobodny. Po kilku oderwanych zdaniach dyrektor zapytał, jak dawno zna Montanellego.

- Od siedmiu lat. Powrócił z Chin, gdy miałem lat dwanaście.

- Ach, tak! I tam zdobył sławę jako misyjny kaznodzieja. Czy od tego czasu jest pan jego uczniem?

- Zaczął mnie uczyć w rok po powrocie, gdy po raz pierwszy spowiadałem się przed nim. Odkąd wstąpiłem do Sapienzy, dopomagał mi w naukach nie objętych programem zakładu. Był dla mnie bardzo dobry, niepodobna sobie wprost wyobrazić...

- Bardzo wierzę, to człowiek ogólnie podziwiany, charakter niesłychanie szlachetny i piękny. Stykałem się z duchownymi, którzy wraz z nim byli w Chinach; nie mieli dość słów sławiących jego energię i odwagę wśród rozmaitych niebezpieczeństw oraz żarliwą pobożność. Jesteś pan szczęśliwy, że spędziłeś młodość pod kierunkiem i pieczą takiego człowieka. Wspominał mi, że pan utracił rodziców.

- Tak, ojciec umarł, gdy byłem jeszcze dzieckiem, a matka przed rokiem.

- A ma pan rodzinę?

- Tylko braci przyrodnych, którzy byli już dorośli, gdy ja się urodziłem.

- To musiałeś mieć smutne dzieciństwo. Może z tego powodu tym bardziej cenisz dobroć kanonika Montanellego. Ale a propos czy ma pan już spowiednika na czas jego nieobecności?

- Miałem zamiar pójść do któregoś z ojców od świętej Katarzyny, jeśli nie są już zbyt zajęci.

- Może się pan przede mną wyświadczyć.

Artur spojrział nań zdumiony.

- Ojciec wielbny... rozumie się, że byłbym bardzo szczęśliwy, lecz...

- Chcesz pan powiedzieć, że dyrektor seminarium teologicznego nie przyjmuje świeckich penitentów? To prawda. Ale ponieważ kanonik Montanelli tak gorąco się panem opiekuje, a nawet się trochę lęka o swego pupila - tak samo jak ja lękałbym się opuszczając kochanego wychowanka - sądzę, że będzie mu przyjemnie, gdy pan będzie pod duchowym kierunkiem kolegi. A mówiąc już całkiem otwarcie, bardzo mi się podobasz, mój synu, i pragnąłbym ci pomóc, jeżeli potrafię.

- W takim razie będę ojcu bardzo zobowiązany.

- Więc przyjdiesz, synu, do mego konfesjonału w przyszłym miesiącu, dobrze? A proszę, zaglądam też do mnie wieczorami, ilekroć czas pozwoli.

Na krótki czas przed Wielkanocą ogłoszono oficjalnie, iż Montanelli otrzymał małą siedzibę biskupią w Brisighelli, w Apeninach etruskich. On sam pisał o tym Arturowi z Rzymu spokojnie i pogodnie; widać zgnębienie jego mijało. „Musisz do mnie przyjeżdżać na każde wakacje - pisał - ja również będę cię często odwiedzał w Pizie. Mam więc nadzieję dużo z tobą przebywać, jakkolwiek nie tyle może, ile bym pragnął”.

Doktor Warren zaprosił Artura, by Wielkanoc spędził z nim i jego dziećmi, zamiast w niemiłym starym pałacu, gdzie teraz królowała Julia i tłukły się szczury. Do listu dołączony był drobny świstek zapisany dziecinnym, niewyrobnym pismem Gemmy proszącej go, by przybył, jeśli to możliwe, „gdyż chcę się z tobą rozmówić w pewnej sprawie”. Jeszcze więcej otuchy dodawały szeptki krążące wśród młodzieży uniwersyteckiej: wszyscy mieli być przygotowani do wielkich rzeczy mających wyjść na jaw po Wielkanocy.

Wszystko to razem wprawiło Artura w stan gorączkowego oczekiwania, wskutek czego najdziwsze, najbardziej nieprawdopodobne wieści, posłyszane od tego lub owego kolegi, wydały mu się czymś zupełnie naturalnym i możliwym do urzeczywistnienia w ciągu najbliższych dwóch miesięcy.

Postanowił pojechać do domu w Wielki Czwartek i tu spędzić pierwsze dni wolne, gdyż obawiał się, że przyjemność pobytu u Warrenów i rozkosz przebywania obok Gemmy uczynią go niezdolnym do rozmyślań religijnych, jakich Kościół w owym tygodniu wymaga od wszystkich swoich dzieci. Napisał więc do Gemmy, że przyjedzie do nich w drugi dzień Wielkanocy.

W Wielką Środę wieczorem ze spokojem w duszy udał się do swej sypialni i ukląkł przed stojącym tam krucyfiksem. Ojciec Cardi miał go przyjąć w konfesjonale nazajutrz rano; postanowił więc długą i żarliwą modlitwą przygotować się do ostatniej spowiedzi przed komunią wielkanocną. Klęcząc ze złożonymi rękami i pochyloną głową, robił w myśli obrachunek miesięcznych drobnych grzechów, jak niecierpliwość, niedbalstwo, porywczosć, które lekkie swe znamię wycisnęły na czystej jego duszy. Prócz tych drobnych wykroczeń nic sobie przypomnieć nie mógł; zbyt był szczęśliwy w ostatnich tygodniach, by dużo grzeszyć. Przeżegnał się, powstał z klęczek i zaczął się rozbierać.

Gdy rozpinał koszulę, wypadł mu z zanadru świstek papieru i sfrunął na podłogę. Był to liścik Gemmy, który przez cały dzień spoczywał na jego piersi. Podniósł go, rozłożył i ucałował te drogie bazgroty. Po chwili zaczął składać papier z niejasnym uczuciem, że zrobił coś bardzo śmiesznego, gdy nagle na samym brzeżku zauważył drobne postscriptum, którego wpierw nie widział: „Przybądź jak najprędzej, bo chcę, byś się spotkał z Bollą. Bawił tu znowu i co dzień czytaliśmy razem”.

Gorący rumieniec oblał twarz Artura.

- Zawsze Bolla! Co on tam znów ma do roboty w Livorno?

I czemu Gemma codziennie z nim czytuje? Czyżby oczarował ją tym swoim przemysłnictwem? Przecież to było widoczne już na zgromadzeniu styczniowym, że się w niej kocha: dlatego był tak gorliwym agitatorom. A teraz jest znów w pobliżu niej... i codziennie czytują razem.

Artur gwałtownie odrzucił list i znów ukląkł przed krucyfiksem. I to była dusza mająca przyjąć sakrament i otrzymać rozgrzeszenie przed Wielkanocą... dusza pojednana z Bogiem, sobą i światem! Dusza zdolna do głuchej zawiści i podejrzeń, do osobistych animozji i nieszlachetnych przypuszczeń względem towarzysza!

Obydwoma rękami zakrył twarz w gorzkim upokorzeniu. Przed pięciu minutami marzył o męczeństwie, a teraz oto dopuścił się myśli tak małej i marnej.

Wszedłszy w czwartek rano do kaplicy seminarialnej zastał ojca Cardiego samego. Po odmówieniu *Confiteor* przystąpił natychmiast do wyznania grzesznych myśli z ubiegłej nocy.

- Mój ojcie, uniosłem się zazdrością i gniewem, nadto myślą uwłaczającą skrzywdziłem człowieka, który nie uczynił mi nic złego.

Ojciec Cardi wiedział już dostatecznie, z jakim grzesznikiem ma do czynienia. Rzekł więc łagodnie:

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego, mój synu!

- Ojcie, człowiek, przeciw któremu zgrzeszyłem myślą niechrześcijańską, jest właśnie tym, którego szczególnie winienem kochać i szanować.

- Łączą cię z nim więzy krwi?

- Jeszcze bliższe.

- Jakież to, mój synu?

- Więzy koleżeństwa.

- Jakiego?

- W rzeczy wielkiej i świętej.

Chwilowa pauza.

- A twój gniew na... tego towarzysza i zawiść zostały wywołane jego większym powodzeniem w pracy?

- Ja... tak, po części. Zazdrościłem mu doświadczenia... dzielności... Przy tym... sądziłem... obawiałem się... że zabierze mi serce dziewczyny, którą kocham.

- A ta dziewczyna, którą kochasz, czy jest córką świętego Kościoła?

- Nie, protestantką.

- Heretyczką?

Artur w rozpaczy załamał rękę.

- Tak, heretyczką - powtórzył. - Wychowaliśmy się razem; matki nasze były przyjaciółkami... a ja... zazdrościłem mu, gdyż wiedziałem, że także ją kocha i że... że...

- Mój synu - przemówił ojciec Cardi po chwilowej pauzie powoli i poważnie - nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego. Więcej jeszcze ciąży na twojej duszy.

- Ojcie, ja... - wymamrotał i znów urwał.

Ksiądz czekał cierpliwie.

- Ja mu zazdrościłem, ponieważ stowarzyszenie... Młodych Włoch... do którego ja także należę...

- Więc?

- Powierzyło mu pracę, którą ja spodziewałem się otrzymać, do której czułem się specjalnie uzdolniony.

- Jaką pracę?

- Odbieranie książek... politycznych... przywożonych przez majtków... i wyszukanie dla nich... tajnego składu... w mieście...

- A pracę tę partia oddała twemu współzawodnikowi?

- Tak, Bolli... i ja mu zazdrościłem.

- A czy on dał powód do tego? Czy możesz mu zarzucić, że niespełnił powierzonej mu misji?

- Nie, ojciec, pracował gorliwie i dzielnie. Jest prawdziwym patriotą i zasługuje jedynie na miłość i szacunek.

Ojciec Cardi zastanowił się.

- Mój synu, jeśli nowe światło wstąpiło w twą duszę, marzenie o wielkim dziele mającym przynieść szczęście bliźniemu, nadzieja, która ujmie ciężaru biednym i pokrzywdzonym, to zważ dobrze, jak postąpić z najcenniejszym darem Bogiem. Wszystkie dobre dary pochodzą od Niego i z Niego też poczęta została ta nowa idea. Jeśli znalazłeś drogę ofiary, drogę wiodącą do pokoju, jeśli połączyłeś się z kochanymi towarzyszami, by przynieść wyzwolenie tym, co płaczą i cierpią w ukryciu - starać się musisz, by dusza twoja wolna była od zawiści i gniewu, a serce stało się ołtarzem, na którym wiecznie płonie święty ogień. Pamiętaj, że chodzi o sprawę świętą i wielką, a serce, które ma dla niej zapłonąć, musi być wolne od wszelkiej myśli osobistej. To powołanie jest powołaniem kapłańskim, nie o miłość dla kobiety, nie o przemijającą namiętność tu idzie, lecz o walkę świętą za Boga i lud, teraz i na wieki.

- Ach - Artur drgnął i złożył ręce jak do modlitwy; na dźwięk znanego hasła omal nie wybuchnął łkaniem. - Ojciec, udzielasz nam sankcji Kościoła! Chrystus jest z nami...

- Mój synu - uroczyście rzekł ksiądz - Chrystus wypędził przekupniów ze świątyni, gdyż dom Jego ma się stać domem modłów, a oni zrobili z niego jaskinię złodziei.

Po długim milczeniu Artur drżącym głosem wyszeptał:

- A Włochy będą Jego świątynią, gdy oni zostaną wypędzeni...

Urwał, w odpowiedzi zaś spłynęły łagodne słowa:

- „Ziemia i wszystko, co na niej, moje jest - powiada Pan”.

ROZDZIAŁ V

Tego popołudnia Artur czuł potrzebę dalekiej przechadzki. Rzeczy swe pozostawił u kolegi i pieszo ruszył do Livorno. Dzień był wilgotny i chmurny, lecz ciepły, a rozległa płaszczyna krajobrazu wydawała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. Nieuchwytną rozkoszą przejmowała go miękka elastyczność wilgotnej trawy pod jego stopami i jasne, zdumione oczy polnych kwiatów przydrożnych. Na skraju małego lasu wśród gęstych gałęzi akacji ptak wił sobie gniazdko, a spłoszony jego krokami, uleciał szybko, trzepocąc skrzydełkami.

Samotny wędrowiec usiłował skupić się na zbożnych rozmyślaniach odpowiednich na wilię Wielkiego Piątku. Jednakże wspomnienie Montanellego i Gemmy tak często stawało w poprzek jego medytacjom, że ostatecznie porzucił daremne próby i pozwolił fantazji swej ulecieć ku cudom i chwale zbliżającego się powstania, wyznaczając w nim czynny udział swym obydwu bożyszczom. Ojciec miał być przywódcą, apostołem, prorokiem, którego święty gniew unicestwi moce ciemności, po czym młodzi obrońcy wolności u stóp jego słuchać będą na nowo dawnej nauki, dawnych prawd w świetle nowego, nie odkrytego dotąd znaczenia.

A Gemma? Och, Gemma będzie walczyć na barykadach. Wszak ona stworzona została z gliny, z której tworzy się bohaterki; będzie doskonałym towarzyszem, dziewicą bez skazy i lęku, o jakiej marzyło tylu poetów. Będzie walczyć obok niego, ramię przy ramieniu, z nim razem stawi czoło uskrzydłonej burzy śmierci. I razem zginą, może w chwili zwycięstwa... bo przecież zwycięstwo jest niewątpliwe. O swej miłości wcale jej nie wspomni, ani jednym słowem nie zakłóci jej spokoju, nie zepsuje koleżeńskiej pogody. Dla niego ona jest świętością, ofiarą bez zmyzy, która ma płonąć na ołtarzu dla wyzwolenia ludu; a kimże jest on, by wejść miał w niepokalane sanktuarium duszy miłującej tylko Boga i Włochy?

Bóg i Włochy... Nagle oprzytomniał na widok wielkiego, ponurego domu na ulicy Pałaców. Wszedł do bramy i zaraz na schodach spotkał spokojnego, sztywnego i jak zawsze uprzejmie kwaśnego lokaja Julii.

- Dobry wieczór, Gibbonsie, czy moi bracia są w domu?

- Tak, panie. Pan Tomasz i pani Burton są w salonie.

Artur wszedł z głuchym uczuciem przygnębienia. Cóż to za straszny dom! Fala życia zdawała się go omijać i nigdy nie sięgać ponad granicę zakreśloną. Nic się nie zmieniło - ani ludzie, ani portrety rodzinne, ani ciężkie meble, ani obrzydliwe serwisy, ani prostackie popisywanie się bogactwem, ani bezduszna atmosfera całego domu. Nawet kwiaty na mosiężnych postumentach wyglądały jak z pomalowanego metalu, jakby nigdy nie zaznały falowania soków w swych komórkach w ciepłe dni wiosenne. Julia ubrana już do obiadu i oczekująca gości w salonie, który stanowił centrum jej życia, z bezdusznym swym uśmiechem, lnianymi loczkami i pinczerem pokojowym na kolanach, robiła wrażenie figury wyciętej z żurnala.

- Jak się masz, Arturze? - rzekła, sztywno podając mu końce palców, by je natychmiast przenieść ruchem serdeczniejszym na jedwabny płaszczyk pieska. - Mam nadzieję, że jesteś zdrow i zrobiłeś postępy w nauce.

Artur wymamrotał pierwszy komunał, jaki mu przyszedł na myśl, i popadł w krępujące milczenie. Nadejście Jamesa, pełnego przesadnej powagi, w towarzystwie ceremonialnego, podstarzałego ajenta okrętowego, wcale nie wpłynęło na rozproszenie ciężkiej atmosfery; gdy więc Gibbons oznajmił, że podano obiad, chłopak zerwał się z lekkim westchnieniem ulgi.

- Nie zostanę na obiedzie. Wybacz, Julio, że pójdę do swego pokoju.

- Przesadny jesteś z tymi ciągłymi postami, mój chłopcze - rzekł Tomasz - jeszcze się rozchorujesz.

- O, nie! Dobranoc.

W korytarzu spotkał służącą i poprosił ją, by zapukała do jego drzwi o szóstej rano.

- Signorino pójdzie do kościoła?

- Tak. Dobranoc, Tereso.

Wszedł do swego pokoju. Poprzednio należał on do jego matki, a w niszy naprzeciw okna urządzone podczas jej długiej choroby kapliczkę. Wielki krucyfiks na czarnym postumencie zajmował środek ołtarza; przed nim wisiała mała rzymska

lampa. W tym pokoju umarła. Portret matki wisiał obok łóżka; na stole stały w chińskiej wazie jej ulubione fiołki. Rok właśnie minął od śmierci matki, lecz włoskie służące jej nie zapomniały.

Wydobył z torby podróżnej obrazek troskliwie zapakowany. Był to pastelowy portrecik Montanellego, nadesłany mu z Rzymu przed kilku dniami. Rozpakowywał właśnie swój skarb, gdy wszedł lokajczyk Julii z tacą, na której stara kucharka włoska, usługująca Gladys przed przybyciem nowej, surowej pani, ustawiła rozmaite przysmaki, sądząc, że kochany jej signorino może się nimi posilić nie łamiąc reguł Kościoła. Artur wziął tylko z tacy kawałek chleba, co widząc lokajczyk, siostrzeniec Gibbonsa, niedawno przybyły z Anglii, uśmiechnął się znacząco. W pokoju dla służby należał bowiem do obozu protestanckiego.

Artur wszedł do niszy i ukląkł przed krucyfiksem, starając się skupić do modlitwy i rozmyślań. Nie mógł tego jednak dokonać. Zbyt go wyczerpały posty, jak słusznie zauważył Tomasz, i w tej chwili był jakby oszołomiony starym winem. Lekkie dreszcze przebiegały wzdłuż jego pleców, a krucyfix rozpływał się w mistycznej mgłę. Dopiero po długiej, mechanicznie odmówionej litanii zdołał swą wyobraźnią spocząć na tajemnicy Odkupienia. Ostatecznie jednak znużenie fizyczne zwyciężyło gorączkowe podniecenie nerwów i zasnął spokojnie, wolny od wszelkich przykrych i niepokojących myśli.

Był pograżony w śnie głębokim, gdy rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

Ach, to Teresa - pomyślał na wpół sennie, przewracając się leniwie na drugi bok. Pukanie powtórzyło się jeszcze gwałtowniejsze. W jednej chwili zbudził się i oprzytomniał.

- Signorino! Signorino! - wołał głos męski po włosku. - Wstawaj, na miłość Boga!

Artur wyskoczył z łóżka.

- Co się dzieje? Kto tam!

- To ja, Gian Battista. Wstawaj, signorino, co prędzej! O, Matko Boska święta!

Artur szybko się ubrał i otworzył drzwi. Z najwyższym zdumieniem patrzył na bladą, przerażoną twarz furmana, gdy z głębi korytarza doleciał odgłos kroków i brzęk metalu, w okamgnieniu uświadamiając mu sytuację.

- Po mnie? - spytał spokojnie.

- Tak, signorino. Śpiesz się! Czy masz co do ukrycia? Ja mogę...

- Nie mam nic do ukrycia. Czy moi bracia wiedzą?

Pierwszy uniform ukazał się na skrócie korytarza.

- Wezwano pana; cały dom się zbudził. Niestety! Takie nieszczęście! Takie straszne nieszczęście! I do tego w Wielki Piątek! Wszyscy święci, ratujcie!

Gian Battista wybuchnął płaczem. Artur podszedł parę kroków ku żandarmom, którzy zbliżali się brzęcząc bronią, w otoczeniu całego tłumu drżącej służby w byle jak, pośpiesznie narzuconej odzieży.

W chwili gdy żołnierze otoczyli Artura, pan i pani domu ukazali się na końcu tego dziwnego korowodu; on w szlafroku i pantoflach, ona w długim peniuarze, z włosami zwiniętymi w papiloty.

Zapewne zbliża się nowy potop, a te pary przychodzą szukać schronienia w arce. Oto nadchodzi bardzo dziwna para zwierząt - pomyślał Artur na widok tych śmiesznych postaci. Stłumił gwałtem śmiech, jako rażąco nieodpowiedni w tej chwili, godnej myśli podnioślejszych.

- *Ave Maria, Regina coeli!* - szeptał odwracając oczy, by chwiejące się papiloty Julii znów nie pobudziły go do pustego śmiechu.

- Zechciej mi pan wytłumaczyć - rzekł Burton zbliżając się do oficera żandarmerii - co znaczy to wtargnięcie do prywatnego domu? Ostrzegam pana, że jeśli nie otrzymam odpowiedniego wyjaśnienia, będę zmuszony wnieść zażalenie do angielskiego ambasadora.

- Przypuszczam - chłodno odparł oficer - że pan to uzna za zadowalające wyjaśnienie, a w każdym razie wystarczy ono angielskiemu ambasadorowi. - Wyjął rozkaz uwięzienia Artura Burtona, studenta filozofii, i wręczając go Jamesowi, dodał chłodno:

- Jeśli pan życzy sobie dalszych wyjaśnień, to najlepiej będzie zwrócić się osobiście do dyrektora policji.

Julia wyrwała papier z rąk męża, rzuciła nań okiem i skoczyła do Artura z takim właśnie wyrazem twarzy, jaki przybiera rozgniewana dama z towarzystwa.

- Taką hańbą okryć całą rodzinę! - krzyczała. - Już cała hołota z miasta zbiegła się tutaj gapić jak na widowisko! Więzienie! Aż do tego doprowadził święty pobożniś! Ale czego się można było spodziewać po synu tej papistki...

- Zwracam pani uwagę, że nie wolno mówić do więźnia w obcym języku - wmieszał się oficer, lecz uwagę jego zagłuszył potok zjadliwej angielszczyzny Julii.

- Oto, czegośmy się mogli spodziewać! Posty i modlitwy, i nabożne rozmyślenia, a pod tym wszystkim co się kryło! Wiedziałam dawno, że to się tak skończy.

Doktor Warren porównał kiedyś Julię do sałaty, na którą kucharz wylał całą flaszeczkę octu.

Na dźwięk jej cienkiego, twardego głosu Artur zaciął usta, a porównanie doktora nagle ożyło w jego pamięci.

- Na nic się nie przyda to gadanie - rzekł spokojnie. - Nie potrzebujesz się obawiać żadnych nieprzyjemności, rychło się okaże, że wy jesteście niewinni. Panowie, przypuszczam, że chcecie przejrzeć moje rzeczy. Nie mam nic do ukrywania.

Gdy żandarmi przetrząsali pokój czytając listy i przeglądając notatki uniwersyteckie, wypróżniając szuflady i pudełka, on siedział na brzegu łóżka trochę podniecony, lecz wcale nie zrozpaczony. Rewizja nie zaniepokoiła go. Miał zwyczaj palenia wszystkich listów mogących kogokolwiek skompromitować i prócz kilku rękopisów wierszy na wpół rewolucyjnych, na wpół mistycznych i dwóch czy trzech numerów pisma „Młode Włochy” żandarmi nie znaleźli żadnej rekompensaty za swój trud.

Julia po długim oporze uległa na koniec prośbom szwagra i wróciła do sypialni, przechodząc obok Artura z pogardliwą wyniosłością. Za nią pokornie oddalił się James.

Gdy oboje wyszli z pokoju, Tomasz, który przez cały ten czas chodził tam i z powrotem, siląc się na obojętność, przystąpił do oficera, prosząc o chwilę rozmowy z więźniem. Otrzymawszy przyzwolenie podszedł do Artura i głosem na pół zdławionym mruknął:

- A to ci piekielnie głupia sprawa. Bardzo mi przykro...

Artur podniósł nań oczy pogodne jak letni ranek.

- Ty zawsze byłeś dobry dla mnie - rzekł. - Nie masz się o co martwić. Nic mi się nie stanie.

- Arturze, posłuchaj - Tomasz szarpnął wąsa i od razu postanowił zadać to przykre pytanie. - Czy... chodzi tu może o... pieniądze? Bo jeśli tak, to ja...

- Pieniądze! Ale skąd? Cóż by tu...

- A zatem jakaś awantura polityczna? Domyślałem się tego. No, nie daj się tylko omotać i nie zważaj na te brednie Julii. Ona już ma taki złośliwy język. Gdybyś jednak potrzebował pomocy... pieniędzy lub czegokolwiek... to daj mi znać, dobrze?

Artur wyciągnął doń rękę w milczeniu, a Tomasz wyszedł z pokoju starając się przybrać obojętny wyraz twarzy, skutkiem czego wyglądał jeszcze bardziej niewzruszenie niż zwykle.

Żandarmi ukończyli tymczasem rewizję i oficer polecił Arturowi, by włożył płaszcz. Usłuchał natychmiast i zwrócił się ku wyjściu, gdy nagle się zawahał. Ciężko mu było pożegnać kaplicę matki w obecności tych ludzi.

- Czy może mnie pan pozostawić na chwilę samego? - spytał. - Nie mogę przecież uciec, nie mam też nic do ukrycia.

- Żałuję, nie wolno mi zostawić więźnia samego.

- Niech i tak będzie.

Wszedł do kapliczki, ukląkł i ucałował krucyfiks szepcząc gorąco:

- Panie pozwól mi dochować wiary aż do śmierci.

Gdy wstał, oficer, pochylony nad stołem, oglądał portret Montanellego.

- Czy to pański krewny? - spytał.

- Nie, to mój spowiednik, nowo mianowany biskup Brisighelli.

Na schodach czekała włoska służba, strwożona i smutna. Wszyscy kochali Artura dla jego osobistego czaru i przez pamięć na jego matkę, więc cisnęli się teraz całując jego ręce i suknie z serdecznym żalem. Gian Battista stał obok, a łzy spływały po jego siwych wąsach. Nikt z rodziny Burtonów nie wyszedł go pożegnać. Ich obojętność podkreślało jeszcze przywiązanie służby i Artur z trudem zdołał zachować równowagę ściskając wyciągające się doń ręce.

- Bądź zdrów, Gian Battista. Ucałuj ode mnie dzieci. Bądź zdrowa, Tereso. Módlcie się za mnie wszyscy i niech was Bóg ma w swej opiece. Bądźcie zdrowi!

Szybko zbiegł ze schodów. W chwilę później mała tylko grupa milczących i łkających kobiet stała u bramy odprowadzając oczyma znikającą z ulicy dorożkę.

ROZDZIAŁ VI .

Artur został uwięziony w olbrzymiej, średniowiecznej twierdzy w pobliżu wejścia do portu. Życie więzienne wydało mu się dość znośne. Celę dostał wprawdzie wilgotną i ciemną, lecz wychowany był w pałacu na via Borra, więc ani stęchłe powietrze, ani szczury, ani woń zgnilizny nie były mu obce. Pożywienie otrzymywał

również liche i skąpe, lecz James rychło uzyskał pozwolenie dostarczania mu wszystkiego czego potrzebował. Trzymano go w samotnej celi, a choć czujność dozorców nie była tak wielka, jak się spodziewał, to jednak nie mógł się dowiedzieć, co spowodowało jego uwięzienie. Mimo to zachował spokój ducha, z jakim wszedł do twierdzy. Nie wolno mu było otrzymywać książek, więc spędzał czas na modlitwie i pobożnych rozmyślaniach, bez niecierpliwości i lęku czekając na dalszy rozwój wydarzeń.

Pewnego dnia żołnierz jakiś odemknął drzwi jego celi i zawołał: - proszę tędy! - Po dwóch czy trzech pytaniach, na które zamiast odpowiedzi usłyszał: „mówić nie wolno”, Artur poddał się konieczności i w milczeniu szedł za żołnierzem przez labirynt podwórzy, korytarzy i schodów, mniej lub więcej cuchnących pleśnią, aż znalazł się w obszernej, jasnej sali, w której przy długim stole, nakrytym zielonym sukniem i zarzuconym papierami, siedziało trzech mężczyzn w wojskowych mundurach, rozmawiając leniwie i ospale. Gdy wszedł, przybrali sztywne, urzędowe miny, a najstarszy, wymuskany pan z siwymi bokobrodami, w mundurze pułkownika, wskazał mu krzesło po drugiej stronie stołu i rozpoczął wstępne przesłuchanie.

Artur, przygotowany na groźby i obelgi, postanowił w duchu, że będzie odpowiadał z godnością i spokojem, lecz czekało go przyjemne rozczarowanie. Pułkownik był sztywny, chłodny i urzędowy, lecz nienagannie uprzejmy. Zadawał mu zwykle pytania o imię, nazwisko, wiek, narodowość, stanowisko społeczne, a odpowiedzi zapisywano w jednostajnej kolejności. Artur zaczął się już nudzić i niecierpliwić, gdy pułkownik rzucił pytanie:

- A teraz, panie Burton, proszę powiedzieć, co pan wie o Młodych Włoszech.

- Wiem, że jest to związek, który wydaje w Marsylii dziennik rozpowszechniany we Włoszech, a mający na celu wywołanie w kraju powstania i wypędzenie armii austriackiej.

- Sądzę, że pan czytywał tę gazetę?

- Owszem, ta sprawa zajmuje mnie.

- Czytając ową gazetę był pan świadom, że popełnia czyn nielegalny?

- Oczywiście.

- Skąd pan otrzymał numery, które znaleźliśmy w pańskim pokoju?

- Tego powiedzieć nie mogę.

- Panie Burton, nie wolno panu mówić: „nie mogę powiedzieć”, jest pan obowiązany odpowiadać na moje pytania.

- Więc nie chcę, skoro się panu nie podoba: „nie mogę”.

- Pożałuje pan, jeśli sobie pozwoli używać takich wyrażen - zauważył pułkownik.

Gdy Artur nie odpowiadał, podjął znowu:

- Mogę pana zapewnić, że posiadamy dowody stwierdzające bliższe stosunki pana z tym związkiem, a nie samo tylko czytanie zakazanej literatury. Będzie dla pana korzystniej złożyć szczere zeznanie. Tak czy owak prawda wyjdzie na jaw i zobaczy pan, że na nic się nie zda zasłaniać wybiegami i zaprzeczeniami.

- Nie mam zamiaru się zasłaniać. Czego pan chce się dowiedzieć?

- Przede wszystkim, w jaki sposób pan, cudzoziemiec, został wmieszany w sprawy tego rodzaju?

- Myślałem o nich wiele, czytałem, co tylko mi wpadło pod rękę, i na tej podstawie doszedłem do pewnych wniosków.

- Kto pana namówił, byś wstąpił do związku?

- Nikt, wstąpiłem z własnej woli.

- Bawi się pan ze mną w ciuciubabkę - ostro rzekł pułkownik, którego cierpliwość zaczynała się już wyczerpywać. - Nikt nie może wstępować do stowarzyszenia bezpośrednio. Komu pan zakomunikował chęć przyłączenia się do związku?

Milczenie.

- Czy będzie pan uprzejmy odpowiadać na moje pytania?

- Nie na pytania tego rodzaju.

Głos Artura brzmiał ostro; ogarniał go dziwny niepokój nerwowy. Wiedział już, że uwięziono dużo osób w Livorno i Pizie, a choć nie znane mu jeszcze były rozmiary klęski, w każdym razie to, co słyszał, wystarczyło, by go przejąć lękiem o losy Gemmy i innych przyjaciół. Sztuczna uprzejmość oficerów, unikanie i parowanie ciosów, podchwytliwe pytania i wymijające odpowiedzi - wszystko to męczyło go i irytowało, a ciężkie kroki dozorca, chodzącego po korytarzu tam i z powrotem, drażniły go w sposób nieznośny.

- A propos, kiedy widziałeś pan po raz ostatni Giovanniego Bollę? - spytał pułkownik po chwilowej szermierce słów. - Tuż przed wyjazdem z Pizy, prawda?

- Nie znam nikogo o tym nazwisku.

- Jak to? Giovanniego Bollę? Niewątpliwie pan go zna - wysoki, młody człowiek, całkiem ogolony. Przecież to jeden ze słuchaczy uniwersytetu.

- Jest wielu studentów na uniwersytecie, których nie znam.

- Och, ale Bollę znasz pan na pewno. Patrz pan, oto jego pismo. On pana zna dobrze.

Pułkownik niedbałym ruchem podsunął mu przed oczy papier z nagłówkiem „Protokół” i podpisem „Giovanni Bolla”. Przebiegłszy okiem papier Artur zobaczył własne nazwisko. Spojrzał zdumiony.

- Czy mam to przeczytać?

- Można, to dotyczy pana.

Zaczął czytać, a oficerowie w milczeniu śledzili wyraz jego twarzy. Dokument zdawał się być zbiorem odpowiedzi na długi szereg pytań. Widocznie Bolla był również uwięziony. Pierwsze odpowiedzi miały zwykły swój, stereotypowy charakter; po nich następowało krótkie zeznanie Bolli o jego kontaktach ze związkiem, o rozrzucaniu zakazanej literatury w Livorno i zgromadzeniach studentów. A potem ustęp: „Do członków związku należy młody Anglik, Artur Burton, z bogatej rodziny właścicieli okrętów”.

Krew uderzyła mu do twarzy. Bolla go zdradził! Bolla, który wziął na siebie święty obowiązek agitatora... Bolla, który nawrócił Gemmę... który się w niej kochał. Odłożył papier i wbił oczy w ziemię.

- Spodziewam się, że ten drobny dokument odświeży pańską pamięć? - uprzejmie zagadnął pułkownik.

Artur potrząsnął głową przecząco.

- Nie znam nikogo o tym nazwisku - powtórzył głosem posępnym, twardym. - Musiała zajść jakaś pomyłka.

- Pomyłka? Ach, głupstwo? Widzi pan, panie Burton, rycerskość i donkiszoteria są w swoim rodzaju czymś bardzo pięknym, lecz nie należy dopuszczać się przesady. A wy, wszyscy młodzi, jesteście z początku przesadni pod tym względem. Bo pomyśl pan tylko! Cóż panu z tego przyjdzie, że się pan skompromituje i zwicnie sobie karierę jedynie dla prostej formalności, tym bardziej że chodzi o człowieka, który pana zdradził? Sam pan widzi, że on nie był tak skrupulatny w swych zeznaniach o panu.

Lekki odcień jakby szyderstwa brzmiał w ostatnich słowach pułkownika. Artur nagle spojrzął na niego i błyskawica olśniła mu umysł.

- To kłamstwo! - krzyknął. - Oszustwo! Czytam to w pańskiej twarzy; pan chce podstępnie... Macie jakiegoś więźnia, którego chcecie skompromitować, albo też mnie pragniecie zwabić w pułapkę. Jesteś pan kłamcą, oszustem, nędznikiem...

- Milczeć! - krzyknął pułkownik zrywając się z gniewem; dwaj jego koledzy wprawdzie już zerwali się z krzesel. - Kapitanie Tommasi - rozkazał zwracając się do jednego z nich - zadzwoń na straż, by tego młodzieńca umieściła na kilka dni w celi poprawczej. Potrzebuje, jak widzę, nauczki, by nabrał rozumu.

Cela poprawcza była ciemną, wilgotną, stęchlą dziurą w podziemiach. Zamiast nauczyć Artura rozumu, doprowadziła go do wściekłości. Przyzwyczajony do życia w zbytku, był niezmiernie wrażliwy na czystość otoczenia, toteż pierwsze wrażenie, jakiego doznał dotknąwszy wilgotnej ściany pokrytej robactwem, podłogi pełnej śmieci i odpadków wydzielających potworny odór pleśni i zgnilizny, było dość silne, by zadowolić obrażonego oficera. Gdy go wepchnięto do tego lochu i zamknięto drzwi, ostrożnie z wyciągniętymi rękoma postąpił trzy kroki naprzód, a wzdrygnąwszy się przy dotknięciu oślizłej ściany, po omacku szukać począł miejsca mniej plugawego, gdzie mógłby usiąść.

Długi dzień upłynął w nieprzerwanym mroku i ciszy, a noc nie przyniosła żadnej zmiany. W absolutnej pustce, pozbawiony wszelkich wrażeń zewnętrznych, Artur tracił stopniowo świadomość czasu i gdy nazajutrz rano klucz zgrzytnął w zamku, a wystraszone szczury piszcząc zmykały obok niego, zerwał się w nagłej trwodze. Serce waliło mu w piersi jak miot, a w uszach szumiało tak strasznie, jak gdyby był pozbawiony światła i odgłosów życia nie przez jedną dobę, lecz przez wiele długich miesięcy.

Drzwi się rozwarły i do lochu wsączyła się nikła smuga światła latarni - jemu wydała się oślepiającą luną jasności - po czym zbliżył się dozorca niosąc kawał chleba i dzban wody. Artur postąpił krok naprzód; był przekonany, że przychodzą go zwolnić. Zanim miał czas przemówić, dozorca wsunął mu do rąk chleb i dzbanek, odwrócił się i nie rzekłszy słowa wyszedł zamykając drzwi.

Artur tupnął nogą. Po raz pierwszy w życiu uczuł dziki gniew. Ale w miarę jak godziny upływały, świadomość czasu i miejsca stopniowo coraz bardziej się zacierała. Ciemność wydawała się nieskończonością, bez początku i końca, a życie jakby dlań stanęło w miejscu. Wieczorem trzeciego dnia, gdy drzwi się otworzyły, a na progu stanął główny dozorca z żołnierzem, więzień spojrzął oszołomiony, zasłaniając oczy

odzwyczajone od światła, a w myśli jego zjawilo się bezwiedne pytanie, ile godzin lub tygodni spędził w tym grobie.

- Proszę za mną - zabrzmiał chłodny głos dozorca. Artur wstał i jakoś mechanicznie, niepewnie posuwał się naprzód, chwiejąc się i potykając jak pijany. Odsunął ramię dozorca, który go chciał podtrzymać na wąskich, stromych schodach wiodących na podwórze, lecz na najwyższym stopniu doznał nagłego zawrotu głowy, zachwiał się i byłby runął na wznak, gdyby dozorca nie ujął go w pól.

- Tak, teraz już będzie dobrze - odezwał się życzliwy głos - prawie wszyscy to przechodzą wydostając się na powietrze.

Artur rozpaczliwie walczył o oddech, gdy nowa struga zimnej wody bluznęła mu w twarz. Ciemność zdawała się opadać zeń wśród ogłuszającego szumu, po czym w pełni odzyskał świadomość i usunawszy ramię dozorca przeszedł korytarz i schody krokiem niemal pewnym. Na chwilę przystanął pod drzwiami, które się rozwarły, i zanim mógł pomyśleć, dokąd go prowadzą, znalazł się w jasno oświetlonej sali badań, koło stołu założonego papierami, przy którym oficerowie zajmowali zwykle swe miejsca.

- Ach, pan Burton! - zaczął pułkownik. - Mam nadzieję, że dzisiaj zechce pan odpowiadać nieco uprzejmiej. Jakże się panu podoba ciemnica? Mniej wspaniała niż salon pańskiego brata, he?

Artur podniósł oczy na śmiejącą się twarz pułkownika. Porwała go wściekła chęć chwycenia za kark tego siwobrodego durnia i rozszarpania go zębami. Ujawniło się to widocznie na jego twarzy, gdyż pułkownik dodał natychmiast tonem zupełnie innym.

- Siadaj pan, panie Burton, i napij się trochę wody, bo zdajesz się być wzburzony.

Artur odsunął podaną szklankę i oparłszy ramiona na stole, przycisnął rękę do czoła, jakby zbierając myśli. Pułkownik przyglądał mu się bystro, doświadczonym wzrokiem obejmując drżące jego ręce i usta, włosy ociekające wilgocią, błędne spojrzenie świadczące o fizycznym wyczerpaniu i zdenerwowaniu.

- A zatem, panie Burton - zaczął po kilku minutach - zaczniemy od punktu, w którym przerwaliśmy poprzednio, a co do tych niemiłych słów, jakie wymieniliśmy ostatnio, to ja ze swej strony oświadczam, iż pragnę być dla pana pobłażliwy. Jeżeli

będzie pan się zachowywał rozsądnie, to zapewniam, że postaramy się unikać wszelkiej zbytecznej surowości.

- Czego pan ode mnie żąda?

Głos Artura brzmiał ponuro, twardo, niczym nie przypominając zwykłego swego dźwięku.

- Chcę tylko, by nam pan odpowiedział szczerze, w sposób jasny i prosty, co pan wie o związku i jego członkach. Przede wszystkim, od jak dawna pan zna Bollę?

- Nie zetknąłem się z nim nigdy w życiu. Nic o nim nie wiem.

- Istotnie? Dobrze, wrócimy jeszcze do tego punktu. Sądzę, że pan zna młodego człowieka zwanego Carlo Bini?

- Nigdy nie słyszałem o takim człowieku.

- To bardzo dziwne. A co pan wie o Franciszku Neri?

- Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

- A oto list pisany do niego przez pana. Proszę spojrzeć!

Artur obojętnie rzucił okiem na list i odłożył go.

- Poznaje pan ten list?

- Nie.

- Pan przeczy, iż pisany jest przez pana?

- Wcale nie przeczę. Nie przypominam sobie.

- To może pan sobie przypomni ten list?

Podał mu inny list pisany przez niego w jesieni do jednego z kolegów.

- Nie pamiętam.

- Ani osoby, do której list adresowany?

- Ani osoby.

- Ma pan dziwnie krótką pamięć.

- Zawsze to odczuwałem.

- Istotnie! A onegdaj dopiero mówił mi jeden z profesorów uniwersytetu, że pan nie uchodzi wcale za upośledzonego, przeciwnie, za bardzo zdolnego.

- Pan zapewne mierzy zdolności miarą szpiega policyjnego, a profesory uniwersytetu używają tego słowa w innym znaczeniu.

W głosie Artura brzmiał wzmagający się z każdą chwilą gniew. Był fizycznie wyczerpany głodem, zgniłym powietrzem i bezsennością; każda kość bolała go

straszliwie, a głos pułkownika szarpał jego podrażnione nerwy niby zgrzyt rysika po kamiennej tabliczce.

- Panie Burton - rzekł pułkownik poważnie, rozpierając się w fotelu - znów się pan zapomina, ponownie więc ostrzegam, że podobne zachowanie nie wyjdzie panu na dobre. Sądzę, że miał pan już dość ciemnicy i na razie nie pragnie tam powrócić. Uprzedzam też, że ucieknę się do środków surowych, skoro łagodne nie skutkują. Zważ pan, że mam dowody... dowody całkiem pewne, że niektórzy z owych ludzi przemycali do portu zakazaną literaturę, a pan z nimi obcował. Czy teraz powie mi pan dobrowolnie, co wie o całej tej sprawie?

Artur pochylił głowę jeszcze niżej. Ślepa, bezrozumna, dzika wściekłość zaczęła nim miotać niby żywe jakieś stworzenie. Możliwość utraty panowania nad sobą bardziej go przerażała niż wszelkie groźby. Po raz pierwszy w życiu zaczął sobie uświadamiać, jakie ukryte możliwości drzemią pod powłoką wyższej kultury lub chrześcijańskiej pobożności; strach przed samym sobą stał się silniejszy nad wszystko inne.

- Czekam na odpowiedź - odezwał się pułkownik.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Więc stanowczo odmawia pan odpowiedzi?

- Nie powiem nic.

- W takim razie muszę po prostu kazać pana zamknąć na powrót do ciemnicy i więzić dopóty, aż zmienisz postanowienie. A jeśli będzie z panem za wiele kłopotu, to każę nałożyć kajdanki.

Artur podniósł oczy drżąc od stóp do głowy.

- Uczyni pan, jak zechce - rzekł powoli - zobaczymy, jak angielski ambasador będzie się zapatrywał na podobne postępowanie z angielskim poddanym, któremu nie udowodniono żadnej zbrodni.

Ostatecznie odprowadzono Artura do poprzedniej jego celi, gdzie rzucił się na łóżko i spał aż do rana. Nie nałożono mu kajdan i nie wtrącano już do ciemnicy, której się tak lękał, lecz nienawiść między nim a pułkownikiem potęgowała się za każdym nowym badaniem. Na próżno Artur modlił się w swej celi o siłę dla opanowania gniewu lub większą część nocy rozmyślał nad cierpliwością i łagodnością Chrystusa. Zaledwie go wprowadzono do długiego pokoju ze stołem okrytym zielonym sukniem, widok pułkownika z wypomadowanym wąsem w jednej chwili rozbudzał w nim ducha nienawiści podsuwając ironiczne przymówki i pogardliwe odpowiedzi. Po niespełna jednomiesięcznym pobycie w więzieniu wzajemne rozdrażnienie przybrało takie

rozmiary, że ani on, ani pułkownik nie mogli sobie wzajem spojrzeć w twarz, by od razu nie utracić panowania nad sobą.

Te ustawiczne drobne utarczki straszliwie szarpały mu nerwy. Widząc, jak ściśle jest strzeżony, i przypominając sobie rozmaite opowiadania o więźniach, których upajano potajemnie belladoną, żeby posłuchać, co mówią w oszołomieniu, zaczął się obawiać snu i jedzenia. Gdy w ciszy nocnej przebiegała mysz, zrywał się oblany zimnym potem, drżąc z trwogi, czy ktoś nie ukrywa się w celi, by podsłuchać, gdyby coś mówił przez sen. Żandarmi najwidoczniej pragnęli go oplatać i wymusić jakieś zeznanie mogące skompromitować Bolle, on zaś tak bardzo się obawiał, by przez nierozwagę nie wpaść w pułapkę, że istotnie był zdolny to uczynić wskutek ogromnego rozdrażnienia. Nazwisko Bolli dźwięczało mu w uszach dniem i nocą, mieszając się nawet do modlitwy i wciskając przemocą między paciorki różańca zamiast imienia Matki Boskiej. Ale najgorsze ze wszystkiego było, że jego religijność, podobnie jak świat zewnętrzny, oddalała się od niego coraz bardziej. Tej ostatniej ostoji trzymał się z wytrwałością gorączkową, kilka godzin dziennie spędzając na modlitwach i rozmyślaniach; lecz myśli jego coraz częściej i częściej wędrowały do Bolli, a modlitwy stawały się straszliwie mechaniczne.

Największą pociechą w tych ciężkich chwilach był dlań główny dozorca więzienia, staruszek niewielkiego wzrostu, otyły i łysy, który początkowo przybierał minę bardzo surową. Powoli jednak dobroduszość, wyglądająca z każdego dołka jego tłuściutkiej twarzy, zwyciężyła skrupuły urzędowe i starowina zaczął więźniom przynosić wieści, które wędrowały z jednej celi do drugiej. Pewnego popołudnia w połowie maja wszedł on do celi z twarzą tak posepną i chmurną, że Artur spojrział nań zdumiony.

- Enrico! - wykrzyknął. - Cóż wam się dziś przydarzyło tak bardzo złego?

- Nic - krótko i ostro odparł dozorca. Podszedł do barłogu i zrzucił z niego koc, który należał do więźnia.

- Co robicie z moimi rzeczami? Czy mnie może przeniosą do innej celi?

- Nie, uwolnią pana.

- Uwolnią? Co... dziś jeszcze? Już całkiem, Enrico!

W radosnym podnieceniu chwycił starca za ramię, lecz ten wyrwał się gniewny.

- Enrico! Co wam się dziś stało? Czemu mi nie odpowiadacie?

Czy wszystkich nas uwolnią?

Pogardliwe mruknięcie było jedyną odpowiedzią.

- Posłuchajcie! - Artur, śmiejąc się, znów chwycił go za ramię. - Dajcie spokój! Nie warto się na mnie gniewać, bo i tak się nie obrażę. No, szybko mówcie, co się stanie z innymi.

- Z jakimi innymi? - mruknął Enrico, rzucając nagle koszulę, którą składał. - Chyba nie o Bollę panu chodzi?

- Rozumie się, że o Bollę i wszystkich innych. Enrico, co się wam stało?

- No, no, biedak, nie wydostanie się stąd tak szybko, skoro towarzysz go zdradził. Uff! - Enrico podniósł koszulę z obrzydzeniem.

- Zdradził go? Towarzysz? Och, jakież to straszne! - W oczach Artura malowała się groza. Enrico szybko się odwrócił.

- Jak to, więc nie pan?

- Ja? Człowieku, czyś stracił zmysły? Ja...

- W każdym razie powiedziano mu tak wczoraj podczas badania. Bardzo się cieszę, że to nie pan, bo ja zawsze pana uważałem za porządnego chłopca. Tędy, proszę! - Enrico wyszedł na korytarz. Artur za nim, nagle błyskawica rozjaśniła jego pogmatwane myśli.

- Powiedzieli Bolli, że ja go zdradziłem? Oczywiście! Czy wiecie, mnie znów mówili, że on mnie zdradził. Ale chyba Bolla nie jest taki głupi, by podobnym bredniom dać wiarę?

- Więc to istotnie nieprawda?

Enrico przystanął na schodach i badawczo spojrzął na Artura, który wzruszył tylko ramionami.

- Rozumie się, że kłamstwo.

- To mnie cieszy i zaraz mu to powiem. Ale widzi pan, oni mu powiedzieli, że pan go zdradził dlatego, no... przez zazdrość, że obaj kochaliście się w tej samej dziewczynie.

- To kłamstwo! - Artur powtórzył te słowa gorączkowym szeptem. Nagle zdjął go obezwładniający lęk. - Ta sama dziewczyna... zazdrość! Skąd oni mogą to wiedzieć!... skąd mogą wiedzieć?

- Synu, poczekaj chwileczkę. - Enrico zatrzymał się w korytarzu wiodącym do sali badań i rzekł cicho: - Ja panu wierzę, ale powiedz mi tylko jedno: wiem, że jest pan katolikiem. Czy pan nie powiedział czegoś przy spowiedzi?

- To kłamstwo! - Tym razem głos Artura był raczej stłumionym krzykiem.

Enrico wzruszył ramionami i poszedł dalej.

- Pan wie najlepiej, ale niejedynemu głupi chłopiec wyspał się już w ten sposób. Okropna teraz wrzawa w Pizie z powodu jednego księdza, którego pańscy przyjaciele zdemaskowali. Publicznie go ogłosili szpiegiem.

Otworzył drzwi sali, a widząc, że Artur stoi nieruchomy, z utkwionym przed siebie szklanym wzrokiem, popchnął go lekko za próg.

- Dzień dobry, panie Burton - rzekł pułkownik odsłaniając zęby w uprzejmym uśmiechu. - Szczerze panu winszuję. Otrzymaliśmy z Florencji rozkaz uwolnienia pana. Zechce pan podpisać ten papier?

Artur zbliżył się doń.

- Muszę wiedzieć - rzekł głosem martwym, bezdźwięcznym - kto mnie zdradził. Pułkownik podniósł brwi z uśmiechem.

- Pan nie może odgadnąć? Proszę się trochę zastanowić.

Artur potrząsnął głową przecząco. Pułkownik wyciągnął obydwie ręce z gestem zdziwienia.

- Nie może pan odgadnąć? Istotnie? Ależ pan się sam zdradził.

Któż inny mógłby znać pańskie tajemnice miłosne?

Artur odwrócił się w milczeniu. Na ścianie wisiał duży drewniany krucyfiks, na który teraz powoli podniósł oczy. Nie widniała w nich jednak prośba, lecz tylko tępe zdumienie, iż Bóg jest tak łagodny i cierpliwy, że nie rzuca gromów na kapłana zdradzającego tajemnicę konfesjonału.

- Zechce pan potwierdzić podpisem odbiór swych papierów? - uprzejmie spytał pułkownik. - Będzie się pan mógł oddalić. Zapewne spieszno panu do domu, ja również mam czas zajęty sprawą tego głupiego młodzieńca Bolli, który na tak ciężką próbę wystawiał chrześcijańską wyrozumiałość pana. Obawiam się, że będzie skazany na ciężką karę. No, żegnam pana.

Artur podpisał, co mu podsunęto, zabrał swe papiery i wyszedł w głuchym milczeniu. Kroczył za dozorcą ku ciężkiej bramie i bez słowa pożegnania począł zstępować ku wodzie, gdzie czekał już przewoźnik, by go przewieźć na drugi brzeg fosy. Gdy wchodził na kamienne schody wiodące na ulicę dziewczyna w płóciennej sukni i słomkowym kapeluszu wybiegła ku niemu z wyciągniętymi rękoma.

- Arturze! Och, jakże się cieszę! Jakże się cieszę! Cofnął ręce cały drżący.

- Jim! - wymówił nareszcie głosem całkiem obcym. - Jim!

- Czekałam tu na ciebie całe pół godziny. Mówili, że wypuszczą cię o czwartej. Arturze, czemu patrzysz na mnie tak dziwnie? Coś się musiało stać! Arturze, mów, co ci jest?

Odwrócił się i powoli szedł przed siebie, jakby zapomniał o jej obecności. Przerażona jego zachowaniem, pobiegła za nim i chwyciła go za ramię.

- Arturze!

Przystanął i spojrzał na nią zdumionymi oczyma. Ujęła go pod ramię i przez parę chwil szli tak oboje w milczeniu.

- Mój drogi, posłuchaj - zaczęła miękko - nie powinieneś sobie tak bardzo brać do serca tej przekłetej sprawy. Ja wiem, że musi to być strasznie bolesne dla ciebie, ale wszyscy przecież rozumieją...

- Jakiej sprawy? - spytał tym samym bezdźwięcznym głosem.

- No, tego listu Bolli.

Na dźwięk tego nazwiska bolesny skurecz wykrzywił twarz Artura.

- Sądziłam, żeś o tym nie słyszał - mówiła znów Gemma - ale widocznie ci powiedziano. Bolla chyba oszalał, jeśli mógł coś podobnego uczynić.

- Co?

- Więc nie wiesz? Napisał przecież okropny list, że ty opowiedziałeś o tych statkach i dlatego został uwięziony. Podobny idiotyzm!

Rozumie się, że nikt ze znajomych w to nie wierzy; tylko ci, co cię nie znają, byli strasznie oburzeni. I dlatego właśnie przyszedłam, by... by ci powiedzieć, że nikt z naszej grupy ani na chwilę w to nie uwierzył.

- Gemmo! Kiedy to... prawda!

Powoli wysunęła ramię i przystanąła zmartwiała, z rozszerzonymi i pociemniałymi od grozy oczyma. Twarz jej zbladła jak chusta. Lodowata fala milczenia ogarnęła ich nagle, usuwając oboje w jakiś świat daleki, obcy życiu, które się obok nich przewalało.

- Tak - wyszeptał nareszcie - o statkach... mówiłem... i wymienilem też jego nazwisko... Och, Boże mój. Boże mój! Co ja pocznę?

Nagle oprzytomniał uświadamiając sobie jej obecność i śmiertelne przerażenie na jej twarzy. Rozumie się... ona myśli... - Gemmo, ty nie rozumiesz! - wybuchnął przybliżając się do niej, lecz ona cofnęła się, a z gardła jej wyrwał się ostry krzyk:

- Nie dotykaj mnie!

Artur gwałtownie schwycił ją za rękę.

- Posłuchaj, na miłość Boga! To nie moja wina; ja...

- Puść! Puść moją rękę! Puszczaj!

W następnej chwili wyrwała uwięzione palce i rozwartą ręką wymierzyła mu policzek...

Mgła przesłoniła mu oczy. Przez chwilę nie widział nic, tylko bladą, zrozpaczoną twarz Gemmy i prawą jej rękę, którą gwałtownie wycierała o swą płócienną suknię. Po czym światło dnia znów mu wpełzło pod powieki. Rozejrzał się i ujrzał, że jest sam.

ROZDZIAŁ VII

Dawno już zapadł mrok, gdy Artur zadzwonił do frontowej bramy wielkiego domu na via Borra. Pamiętał, że włóczył się ulicami, ale gdzie i jak długo, nie miał pojęcia. Bramę otworzył lokajczyk Julii ziewając i uśmiechając się znacząco na widok wychudłej, kamiennej twarzy. Widok młodego pana powracającego z aresztu i wyglądającego jak „pijany, brudny żebrak” był dla niego znakomitą farsą. Artur wszedł na schody. Na pierwszym piętrze spotkał Gibbonsa, który przywitał go twarzą wyrażającą głębokie i wyniosłe niezadowolenie. Próbował przejść obok służalca mruknąwszy: „dobry wieczór”, lecz Gibbons nie należał do tych, których można się pozbyć wbrew ich woli.

- Panowie wyszli - rzekł obrzucając krytycznym spojrzeniem zaniedbany ubiór i zwichrzone włosy Artura. - Wyszli z panią na przyjęcie i wrócą dopiero po północy.

Artur spojrzął na zegarek: dziesiąta. Tak, będzie dość czasu... aż nadto...

- Pani kazała zapytać, czy pan życzy sobie kolację. Spodziewa się, iż pan nie położy się przed jej powrotem, gdyż pragnie z panem pomówić dziś wieczór.

- Nie potrzebuję kolacji, dziękuję, możecie powiedzieć, że się nie położyłem...

Wszedł do swego pokoju. Nic się tu nie zmieniło od chwili jego uwięzienia: portret Montanellego leżał na stole, tam gdzie go położył, a krucyfiks stał w niszy jak przedtem. Przystanął chwilę na progu nasłuchując, lecz w domu panowała cisza zupełna; nikt nie będzie mu przeszkadzać. Wszedł cicho do pokoju i zamknął drzwi.

Więc taki to jego koniec. Nie ma nad czym rozmyślać ani czym się trapić; pozbyć się tylko nieznośnej i bezużytecznej świadomości... i nic więcej. Bądź co bądź, takie to głupie i bezcelowe.

Nie postanowił popełnić samobójstwa - w istocie niewiele o tym myślał - było to przecież zupełnie jasne i nieuniknione. Nie wybrał nawet rodzaju śmierci, chodziło tylko o to, by skończyć z tym wszystkim szybko... pozbyć się i zapomnieć. Nie miał w pokoju żadnej broni ani nawet scyzoryka, ale co to znaczy... wystarczy też ręcznik lub prześcieradło podarte na pasy.

Nad samym oknem jest wielki gwóźdź. W sam raz; czy tylko dość mocny... Stał na krześle, by zbadać, czy tkwi dość silnie. Nie, nie wytrzyma. Wyjął z szuflady młot i umocnił gwóźdź. Miał właśnie zerwać z łóżka prześcieradło, gdy nagle przypomniał sobie, że nie odmówił pacierzy. Tak, należy się pomodlić przed śmiercią; każdy chrześcijanin to czyni. Są nawet modlitwy dla umierających.

Wszedł do kapliczki i ukląkł przed krucyfiksem.

- Boże wszechmocny i litościwy... - zaczął głośno; następnie urwał i zamilkł. Istotnie, świat stał się tak pusty, że nie ma się o co modlić, a zresztą, cóż Chrystus mógł wiedzieć o takim cierpieniu - Chrystus, który nigdy podobnych cierpień nie zaznał. - On tylko został wydany, tak jak Bolla; ale nikt podstępem nie wymusił na Nim zdrady.

Wstał z klęczek żegnając się z przyzwyczajenia. Zbliżywszy się do stołu ujrzał list zaadresowany do niego ręką Montanellego, ołówkiem...

Mój drogi chłopcze! Bardzo mi przykro, że nie mogę Cię widzieć w dniu uwolnienia, lecz zawezwano mnie do umierającego. Wrócę dopiero późno w nocy. Przyjdź do mnie zaraz rano. Piszę na wyjezdnym, w wielkim pośpiechu.

L.M.

Odłożył list z westchnieniem. Będzie to ciężki cios dla niego.

Jak się ci wszyscy ludzie śmiali i gawędzili na ulicach! Nic się nie zmieniło od tego czasu, kiedy on sam należał do żyjących. Najmniejszy nawet drobiazg życia codziennego nie uległ zmianie z tego powodu, że dusza ludzka, żyjąca dusza ludzka została zamordowana. Wszystko było takie jak przedtem. Woda szemrała w fontannach, wróble świergotały pod rynnami, tak jak świergotały wczoraj i jak będą świergotać jutro. A on nie żyje... umarł.

Siadł na brzegu łóżka, ramiona splótł dokoła poręczy i oparł na nich czoło. Czasu ma dosyć, a głowa boli go tak okropnie... jakby w samym środku mózgu. A wszystko takie jakieś głupie... i puste, i tak strasznie bezsensowne...

Rozległ się dzwonek u bramy domu, a on zerwał się w trwodze śmiertelnej, bez tchu, obiema rękami chwytając się za szyję. Wrócili... Siedział tu pogrążony w bezprzytomnych dumaniach, marnując cenne chwile... a teraz musi widzieć ich twarze i słuchać ich okrutnych słów: szyderstw i uwag... Gdybyż miał szczyryk...

Rozpaczliwym spojrzeniem objął cały pokój. Na komodzie stoi koszyczek matki; może będą w nim nożyczki... przetnie arterię. Nie, pewniejszy gwóźdź i prześcieradło, jeśli tylko starczy czasu. Zerwał z łóżka koc i w szalonym pośpiechu zaczął go drzeć na pasy. Na schodach słyhać już odgłosy kroków. Nie, to za szerokie, nie zaciśnie mocno, przy tym potrzebna pętla. Pracował coraz szybciej w miarę zbliżania się kroków, a krew szalała mu w skroniach i huczała w uszach. Prędejj, prędejj! O Boże! jeszcze pięć minut!

Pukanie do jego drzwi. Sznur skręcony z podartego koca wypadł mu z ręki, a on siedział nieruchomy, z zapartym oddechem. Z zewnątrz próbowano nacisnąć klamkę, po czym ozwał się głos Julii:

- Arturze!

Wstał, z trudem chwytając oddech.

- Arturze, proszę otworzyć drzwi, czekamy.

Podniósł rozdarte pasy koca, wrzucił je do szuflady i szybko przyglądził rozrzuconą pościel.

- Arturze! - Tym razem zawołał James, niecierpliwie szarpiąc klamkę. - Czy śpisz?

Artur rozejrzał się po pokoju, a widząc, że wszystko uprzątnięte, otworzył.

- Sądziłam, że zastosujesz się przynajmniej do wyraźnej mej prośby, żebyś czekał naszego powrotu! - zawołała Julia wpadając do pokoju rozgniewana. - Widocznie sądzisz, że powinniśmy czekać pół godziny pod twymi drzwiami.

- Cztery minuty, moja droga - łagodnie sprostował James wchodząc do pokoju i nadeptując koniec czerwonego trenu wlokącego się za atlasową suknią żony. - Doprawdy, Arturze, byłoby z twej strony... bardziej odpowiednie...

- Czego chcecie? - przerwał Artur. Stał ciągle z ręką na klamce, przelotne spojrzenie rzucając to na jedno, to na drugie, jak zwierzę pochwycone w sidła. Ale James był zbyt ograniczony, a Julia zbyt wzburzona, by zauważyć wyraz jego twarzy.

Burton podsunął żonie krzesło i sam usiadł, troskliwie wyglądając na kolanach swe nowe spodnie.

- Julia i ja - począł - uważamy za obowiązek rozmówić się z tobą stanowczo...

- Nie mogę słuchać dzisiaj... jestem... niezdrów. Głowa mnie boli - musicie to odłożyć.

Powiedział to głosem obcym, niewyraźnym, jakby pomieszany i roztargniony. James spojrział zdumiony.

- Czy ci coś dolega? - spytał trwoźnie, przypominając sobie nagle, że Artur wyszedł dopiero co z prawdziwej wylęgarni chorób zakaźnych. - Nie rozchorujesz się chyba. Wyglądasz, jakbyś miał gorączkę.

- Głupstwo! - ostro przerwała Julia. - To tylko zwyczajne jego komedianctwo, bo wstydzi się spojrzeć nam w oczy. Arturze, przybliź się i siadaj.

Powoli przeszedł przez pokój i usiadł na brzegu łóżka.

- Słucham - rzekł bezdźwięcznie.

James odkaslnął, przyglądał swą starannie utrzymywaną brodę i rozpoczął mowę, widocznie z góry przygotowaną:

- Uważam za swój obowiązek... przykry obowiązek... rozmówić się z tobą poważnie w sprawie tego dziwnego zachowania się... obcowania z tymi wyrzutkami... podżegaczami... ludźmi o haniebnej reputacji. Sądzę, że byłeś może bardziej naiwny niż zepsuty i...

Urwał.

- Słucham - znów powtórzył Artur.

- Otóż ja wcale nie chcę być dla ciebie surowy - mówił dalej James, bezwiednie łagodząc głos wobec bezgranicznego znużenia, o jakim świadczyło zachowanie się Artura. - Chciałbym wierzyć, że zostałeś zbałamucony przez złe towarzystwo, i wziąć w rachubę twą młodość, niedoświadczenie i... nierozważny a... impulsywny... charakter, który, obawiam się, odziedziczyłeś po swej matce.

Oczy Artura powoli skierowały się na portret matki i wróciły stamtąd, lecz nie rzekł ani słowa.

- Zrozumiesz jednak, sądzę - ciągnął James - że jest dla mnie niepodobieństwem mieć dłużej pod swym dachem człowieka, który ściągnął publiczną hańbę na nasze nazwisko otaczane ogólnym szacunkiem.

- Słucham - ponownie rzekł Artur.

- Może będziesz łaskaw powiedzieć coś innego prócz tego „słucham”? - ostro przerwała Julia, z trzaskiem zamykając wachlarz.

- Uczynisz, oczywiście, co uznasz za stosowne - odparł Artur powoli. - Zresztą wszystko mi już obojętne.

- Jak to... obojętne? - powtórzył James przerażony, a Julia zerwała się z głośnym śmiechem.

- Och, oczywiście, że mu to obojętne, całkiem obojętne. I cóż, James, chyba rozumiesz, ile wdzięczności możesz się stąd spodziewać. Mówiłam ci przecież, co się zyskuje okazując miłosierdzie takim papistkom-awanturnikom i ich...

- Cicho! Cicho! O tym ani słowa! Proszę cię...

- Głupstwo! Aż nadto już mieliśmy tego sentymentalizmu.

Bękarta przyjął na członka rodziny... już czas najwyższy, by się dowiedział, kim była jego matka! Czemuż to my mamy być obarczeni dzieckiem księżej kochanki! Patrz tylko... czytaj!

Wyrwała z kieszeni zmięty arkusz papieru i poprzez stół rzuciła go Arturowi. Rozwinął papier i poznał pismo matki. Data wskazywała, że pisała cztery miesiące przez jego przyjściem na świat. Było to wyznanie uczynione mężowi i potwierdzone dwoma podpisami.

Oczy Artura powoli przebiegły stronicę zakończoną imieniem matki, skreślonym niepewną ręką, i zatrzymały się na silnym, znajomym podpisie: „Lorenzo Montanelli”. Przez chwilę wpatrywał się w papier, osłupiały, następnie nie rzekłszy słowa położył go na stole.

James wstał i ujął Julię pod ramię:

- Julio, dość tego. Zejdź teraz na dół, już późno, a ja muszę omówić z Arturem pewną sprawę, która cię nie może interesować.

Spojrzała na męża, potem znów na Artura, który milcząc wpatrywał się w podłogę.

- Wygląda jak półidiota - szepnęła.

Ujawszy długi tren sukni wyszła z pokoju. James ostrożnie zamknął drzwi i znów zajął swe miejsce przy stole. Artur siedział jak wpierw, zupełnie bez ruchu i milczący.

- Arturze - zaczął teraz James łagodnie, gdy, Julia nie mogła go już słyszeć - bardzo mi przykro, że ta historia wyszła na jaw. Lepiej byłoby, gdybyś się nie dowiedział. Skoro się to jednak już stało, cieszę się, że umiesz nad sobą panować. Julia jest trochę rozdrażniona, kobiety często... Bądź co bądź, nie chciałem być dla ciebie zbyt surowy.

Przerwał, by się przekonać, jakie wrażenie wywarły jego dobrotliwe słowa, lecz Artur siedział jak przedtem, zupełnie nieruchomy.

- Mój drogi chłopcze - po chwili znów zaczął James - bardzo to przykra historia i najlepsze, co możemy zrobić, to po prostu trzymać język za zębami. Mój ojciec był tak wspaniałomyślny, że nie dał matce twej rozwodu, gdy mu wyznała swój upadek, zażądał tylko, by człowiek, który ją zbałamucił bezzwłocznie opuścił kraj, i jak wiesz, wyjechał on wówczas do Chin jako misjonarz. Co do mnie, to bardzo się sprzeciwiałem, by po powrocie z Chin stykał się z tobą, ale ojciec mój pozwolił ostatecznie, by cię uczył, pod warunkiem, że nigdy nie będzie się starał zetknąć z twą matką. I przyznać muszę, że oboje zobowiązania tego dotrzymani. Cała ta historia jest bardzo przykra, lecz...

Artur podniósł oczy. Wszelkie oznaki życia znikły z jego twarzy; wyglądał jak maska woskowa.

- Cz... czy nie sądzisz - rzekł łagodnie, z dziwnym jęklwym zaciniem się - i... że... to wszystko jest... b... bardzo zabawne?

- Zabawne? - James odsunął się wraz z krzesłem od stołu i wlepił w niego oczy, zbyt osłupiały, by mógł się rozgniewać. - Zabawne! Arturze, czyś ty oszalał?

Artur nagłym ruchem odrzucił głowę w tył i wybuchnął szalonym śmiechem.

- Arturze! - krzyknął właściciel okrętów, z godnością podnosząc się z krzesła - Jestem zdumiony twą lekkomyślnością!

W odpowiedzi nowy wybuch śmiechu, a po nim następny i znów następny, tak głośny i hałaśliwy, że nawet James zaczął podejrzewać, czy to jednak nie coś innego jak lekkomyślność.

- Zupełnie jak histeryczna kobieta - mruknął odwracając się z pogardliwym wzruszeniem ramion i niecierpliwie przemierzając pokój tam i z powrotem.

- Doprawdy, Arturze, gorszy jesteś niż Julia. Przestańże się śmiać nareszcie! Nie mogę tu przecież siedzieć do rana.

Tak samo mógł być zażądać od ukrzyżowanego Chrystusa, by zstąpił do niego z postumentu. Artur niedostępny był wszelkim jego napomnieniom i radom; śmiał się tylko i śmiał, śmiał się bez końca.

- To po prostu idiotyzm! - rzekł James zaprzestając na koniec swej niecierpliwej bieganiny po pokoju. - Jesteś widocznie zbyt wzburzony, by się zdobyć na odrobinę rozsądku. Skoro się tak zachowujesz, nie mogę z tobą pomówić o interesach. Przyjdź do mnie jutro rano po śniadaniu. A teraz się połóż. Dobranoc.

Wyszedł zatrząskując drzwiami.

- Na odmianę znów te historie na dole - mruknął, hałaśliwie schodząc ze schodów. - Przypuszczam, że będą łyzy.

Obłądny śmiech zamarł na ustach Artura. Chwycił młot leżący na stole i uderzył w krucyfiks.

Łoskot, który nastąpił, przywrócił mu nagle świadomość. Stał przed pustym postumentem z młotem w ręku, a szczątki potrząskanej figury leżały na podłodze dokoła jego stóp.

Odrzucił młot.

- Tak łatwo! - rzekł odwracając się. - Jakież ze mnie głupiec!

Usiadł przy stole, z trudem chwytając oddech, i obie ręce przycisnął do czoła. Nagle wstał, podszedł do umywalni i pełny dzban zimnej wody wylał sobie na twarz i głowę. Wrócił zupełnie niemal spokojny i usiadł, by się zastanowić.

I to z powodu takich rzeczy... tych fałszywych i niewolniczych ludzi, tych niemych, bezdusznych bóstw... on wycierpiał wszystkie te tortury wstydu, męki rozpacz; skreślił już sznur, by się powiesić, dlatego że jeden ksiądz był kłamcą! Dalibóg! jak gdyby wszyscy nie byli kłamcami! Precz z tym wszystkim, już skończone. Teraz jest rozsądniejszy. Wystarczy tylko odrzucić to wstrętne robactwo i rozpocząć życie na nowo.

Tyle okrętów towarowych czeka w przystani; nie będzie zbyt trudno ukryć się na jednym z nich i umknąć do Kanady czy Australii, czy na Przylądek, dokądkolwiek. Gdzie, to obojętne - byle daleko. A co do dalszego życia, to zobaczy; jeśli mu się nie spodoba tu, spróbuje gdzie indziej.

Wyjął pugilares. Tylko trzydzieści trzy paole, ale zegarek ma dużą wartość. To mu starczy na jakiś czas, a zresztą niewiele go to obchodzi - jakoś przetrzyma. Ale oni rozpoczną tu poszukiwania, wszyscy, ci... ludzie; niewątpliwie będą rozpytywać w porcie. Nie! musi ich skierować na fałszywe tropy... niechaj sądzą, że umarł, a wówczas będzie wolny, całkiem wolny. Zaśmiał się cicho do samego siebie na myśl, jak Burtonowie rozkażą szukać jego zwłok. Jakie to wszystko śmieszne!

Wziął arkusik papieru i nakreślił pierwsze słowa, jakie mu się nasunęły:

*Wierzyłem w Ciebie jak w Boga. Bóg jest figurą ulepioną z gliny,
którą mogę rozbić młotem, a Ty mnie mamieś kłamstwem.*

Złożył papier, zaadresował go do Montanellego, po czym sięgnął po drugi arkusik i napisał w nim w poprzek:

Szukajcie ciała w Darsenie⁸.

Następnie włożył kapelusz i wyszedł. Przechodząc koło portretu matki spojrzał nań, zaśmiał się i wzruszył ramionami. Przecież ona go również okłamała.

Cicho wysunął się na korytarz i odsunawszy zawory bramy znalazł się w wielkiej, ciemnej, głuchym echem rozbrzmiewającej klatce schodowej z zimnego marmuru. Gdy zstępował na dół, zdawała się rozwierać przed nim niby ciemna studnia.

Minął podwórzec stąpając ostrożnie, by nie zbudzić Giana Battisty, który spał na parterze. W drewnitni było małe okratowane okienko wychodzące na kanał, nie wyżej jak cztery stopy ponad ziemią. Pamiętał, że zardzewiała krata była z jednej strony uszkodzona; wystarczy rozszerzyć trochę otwór, a potrafi się prześliznąć.

Krata była jednak mocna; szarpiąc ją pokrwaził sobie ręce i oderwał rękaw. Co to szkodzi? Rozejrzał się po ulicy; nigdzie żywej duszy, tylko kanał czarny i milczący - szkaradny rów między dwiema prostymi oślizłymi ścianami. Cały nie znany mu świat może się okazać straszną pułapką, ale żadną miarą nie może być bardziej ponury i pusty od zaułka, który porzuca. Nie ma tu czego żałować ani za czym się obejrzeć. Zaraźliwy, ciemny, zamknięty w sobie światek, pełen brudnych kłamstw, niezdarnych oszustw i cuchnących rowów, nie dość nawet głębokich, by człowiek mógł się utopić.

Brzegiem kanału doszedł aż do małego skwerku koło pałacu Medyceuszów⁹. Tu Gemma biegła dzisiaj naprzeciw niego z radosną twarzą i wyciągniętymi rękami.

⁸ Darsena - sieć kanałów tworząca port w Livorno.

Tutaj mokre schodki wiodą do fosy, a nieco w głębi forteca okolona pasmem brudnej wody. Nigdy przedtem nie zauważył, jaka była wstrętna.

Wąskimi uliczkami doszedł do Darseny, gdzie stały okręty, zdjął kapelusz i rzucił go do wody. Oczywiście, że go wyłowią, szukając jego zwłok. Szedł dalej brzegiem wody, chaotycznie myśląc, co teraz należy uczynić. Musi się przede wszystkim ukryć na jakimś okręcie, co jednak jest rzeczą trudną. Nie pozostaje mu nic innego, jak dojść do ogromnego starego falochronu Medyceuszów i dalej, aż na sam jego koniec. Jest tam podrzędny szynk, prawdopodobnie zastanie w nim jakiegoś majtka, który się da przekupić.

Ale prawda! Bramy domów są zamknięte. Jakże się przedostanie, jak minie strażników celnych? Nie starczy mu pieniędzy na łapówkę dla nich, by go przepuścili w nocy, i to bez paszportu. Zresztą mogliby go poznać.

Gdy przechodził koło brązowego pomnika Czterech Murzynów¹⁰, ze starego jakiegoś domu na przeciwległym brzegu zatoki wyłoniła się postać mężczyzny i zdążyła w stronę mostu. Artur cofnął się w mroczny cień pomnika i przycupnął w ciemności, ostrożnie rozglądając się wkoło.

Była łagodna noc wiosenna, ciepła i jasna. Woda podmywała kamienne ściany zatoki zataczając łagodne kręgi koło schodków, z pluskiem podobnym do cichego śmiechu. Tu i ówdzie brzęknął łańcuch falujący lekko na powierzchni wody. Olbrzymi żelazny dźwig wznosił się w półmroku, melancholijny i wyniosły. Na migotliwym tle gwiazdzistego nieba i perłowych obłoków czarne figury skutych, walczących niewolników wznosiły się w daremnym i groźnym proteście przeciw bezlitosnemu losowi.

Mężczyzna chwiejnym krokiem zbliżał się wzdłuż brzegów, śpiewając uliczną piosenkę angielską. Widocznie majtek wracający z pijatyki w jakiejś tawernie. Nikogo więcej nie było widać w pobliżu. Gdy się zbliżył, Artur wyszedł z ukrycia i stanął na środku ulicy. Majtek urwał piosenkę, rzucił przekleństwo i przystanął.

- Chcę z wami pomówić - rzekł Artur po włosku. - Czy rozumiecie?

Majtek potrząsnął głową.

- Do mnie tą gwarą nie mówią - rzekł, po czym kiepską francuszczyzną spytał ponuro: - Czego chcesz ode mnie? Czemu mi nie dasz przejść?

⁹ Medyceusze - słynny ród florencki, który w XIII wieku osiągnął wielkie wpływy i bogactwa.

¹⁰ Pomnik Czterech Murzynów - pomnik księcia toskańskiego, Fernanda Medyceusza. Dookoła pomnika przykute są odlane w spizu figury czterech Murzynów.

- Chodźcie trochę na bok, chcę wam coś powiedzieć.

- Doprawdy?... Na bok... A masz nóż przy sobie?

- Nie, nie! Człowieku, czy nie widzisz, że potrzebuję twojej pomocy? Zapłacę za nią.

- He? Co? A ubrany jak paniczyk... - mruknął znów po angielsku. Teraz cofnął się w cień i wsparty o ogrodzenie pomnika odezwał się łamaną francuszczyzną:

- A więc czego potrzebujesz?

- Wydostać się stąd.

- Aha! Otóż i jest! A ja mam niby ukryć? Coś się przeszkrobało, prawda? Pewnie nóż był w robocie! Zawsze tak z tymi cudzoziemcami! A dokąd chciałbyś się dostać? Przypuszczam, że nie na odwach?

Zaśmiał się pijackim śmiechem i mrugnął okiem.

- Z którego okrętu jesteście?

- Z „Carlotty”. Płynie z Livorno do Buenos Aires, wiezie oliwę, a z powrotem skóry. Czeka już gotowa - wskazał palcem w kierunku falochronu - przeklęty stary kadłub!

- Buenos Aires... Tak! Możecie mnie ukryć gdzieś na pokładzie?

- Ile zapłacisz?

- Niewiele, mam tylko kilka paolów.

- Niżej pięćdziesięciu nie wezmę. A i to tanio... za takiego paniczyka.

- Co to ma znaczyć: paniczyk? Jeśli wam się podoba moje ubranie, to możecie się zamienić ze mną, ale pieniędzy nie mogę wam dać więcej, niż mam.

- Masz zegarek. Dawaj go.

Artur wyjął damski złoty zegarek, w delikatnej oprawie, emaliowany, z inicjałami „G.B.” na kopercie. Był to zegarek jego matki... lecz co go teraz obchodzi?

- Ach! - wykrzyknął żeglarz rzucając szybkie spojrzenie na zegarek. - Skradziony, rozumie się! Pokaż!

Artur odsunął wyciągniętą rękę.

- Nie! - odrzekł. - Dostaniecie go, gdy będziemy już na pokładzie. Nie wcześniej.

- Nie takiś ty jednak głupi, jak się wydaje! Przysięgnę, że pierwszy raz dostałeś się w pułapkę, prawda?

- To moja sprawa. Ach! nadchodzi strażnik.

Przycupnęli za grupą pomnika i czekali, aż strażnik się oddali.

Następnie żeglarz wstał i skinąwszy na Artura ruszył pierwszy, śmiejąc się do siebie głupkowato. Artur szedł za nim w milczeniu.

Majtek zawrócił znów do małego, nieregularnego skweru przed pałacem Medyceuszów i stanąwszy w ciemnym kącie wymamrotał siląc się na ostrożny szept:

- Zaczekaj tu, jak się zbliżysz, ujrzą cię tam żołnierze.

- A co wy zamierzacie? .

- Dostać dla ciebie jakie ubranie. Nie mogę cię przecie wziąć na pokład z tym okrwawionym rękawem.

Artur spojrzał na rękaw oderwany przy wyłamywaniu kraty w drewnitni. Parę kropel krwi spłynęło z zadraśniętej ręki. Najwidoczniej majtek brał go za mordercę. Ach, cóż go teraz obchodzi, co ludzie o nim pomyślą.

Majtek wrócił tryumfujący, niosąc w ręku tłumoczek.

- Przebierz się - szepnął - i to jak najprędzej. Muszę wracać, a ten stary Żyd targował się i handryczył całe pół godziny.

Artur usłuchał mimo instynktownego wstrętu do znoszonej odzieży. Na szczęście była stosunkowo czysta, choć gruba i ordynarna. Gdy wyszedł z mroku w nowym ubraniu, żeglarz obejrzał go z powagą pijaka i skinął głową potakująco.

- Teraz dobrze - oświadczył. - No, za mną, a cicho.

Artur niosąc swe zdjęte przed chwilą ubranie szedł za nim przez labirynt krętych kanałów i ciemnych, wąskich uliczek. Tę średniowieczną, brudną dzielnicę nędzarzy mieszkańcy Livorno nazwali Nową Wenecją. Tu i ówdzie ponury stary pałac, samotny pośród brudnych domostw i wilgotnych podwórz, stał pomiędzy dwoma szumiącymi rowami wody, rozpaczliwie usiłując zachować dawną godność, a równocześnie świadom beznadziejności swego wysiłku. O niektórych uliczkach Artur wiedział, że są to znane jaskinie złodziei, rzezimieszków i paserów, na innych ciążyło tylko przekleństwo nędzy.

Przy jednym z mostów majtek przystanął i rozejrzawszy się, czy ich kto nie śledzi, zaczął schodzić na dół kamiennymi schodkami wiodącymi ku małej przystani. Pod mostem kołysała się brudna, zniszczona łódź. Ostрым głosem rozkazał Arturowi wskoczyć do niej i położyć się, po czym sam wszedł i począł wiosłować w stronę wejścia do portu. Artur leżał na mokrym i dziurawym dnie łodzi, ukryty pod

ubranie, które majtek rzucił na niego, i tylko przez mały otwór widział uciekające wstecz, dobrze mu znane ulice i domy.

Teraz wjeżdżali pod most, gdzie rozpoczynała się część kanału tworząca rów forteczny. Potężne mury zdawały się jakby wyrastać z wody, szerokie u podstawy, a zwężające się ku górze i zakończone ponurymi wieżami. Jak mocne, jak groźne wydawały mu się przed kilku godzinami! A teraz...

Zaśmiał się leżąc tak na dnie łodzi.

- Cicho - szepnął majtek - i nie wystawiaj głowy. Dojeżdżamy do urzędu celnego.

Artur nasunął ubranie na głowę. Parę sążni dalej łódź stanęła przed szeregiem związanych razem masztów, które leżąc na powierzchni kanału zagradzały wąski przesmyk między budynkiem celnym a murem fortecznym.

Zaspany strażnik wyszedł ziewając i z latarką w ręku pochylił się nad brzegiem wody.

- Proszę paszporty.

Majtek podał swe legitymacje. Artur na wpół dusząc się z braku powietrza leżał cichutko, powstrzymując oddech.

- Wcześniej wracasz na okręt, ani słowa - burknął strażnik. - Pewnie była hulanka? Hej! A co tam w łodzi?

- Stare ubranie. Nadarzyło mi się tanio. - Podał kamizelkę do obejrzenia. Strażnik zniżając latarkę pochylił się wyżej wzrok.

- Wszystko w porządku. Możesz jechać.

Otworzył rogatek i łódź powoli wypłynęła na ciemne, wzdymane wiatrem fale. Po chwili Artur usiadł i rzucił ubranie, którym był szczelnie przykryty.

- Jesteśmy - szepnął niebawem majtek odkładając wiosła. - Pójdiesz za mną i język za zębami.

Wspiął się na olbrzymi, czarny kadłub statku klnąc przez zęby ociężałość szczura lądowego, mimo że dzięki wrodzonej zręczności Artur wdrapał się za nim stosunkowo szybko. Dostawszy się tak na pokład przeczołgiwali się ostrożnie wśród ciemnej masy lin i maszyn, aż na koniec stanęli u drzwiczek w podłodze, które majtek cicho otworzył.

- Tam! - szepnął. - Wrócę tu za minutę.

Nora była nie tylko mokra i ciemna, lecz nadto potwornie stęchła. W pierwszej chwili Artur cofnął się instynktownie, na wpół odurzony smrodliwą wonią skór i zjełczanej oliwy. Ale w tejże chwili przypomniał sobie „cełę poprawczą” i zaczął zstępować z drabiny, wzruszywszy tylko ramionami. Zdaje się, że życie jest niemal wszędzie jednakowe: brzydkie, cuchnące, pełne robactwa, wstrętnych tajemnic i ciemnych zaułków. Niemniej życie jest życiem i trzeba się z nim pogodzić jakiegokolwiek by ono było.

Po kilku minutach majtek wrócił trzymając w rękach coś, czego Artur nie mógł rozróżnić w ciemności.

- A teraz dawaj pieniądze i zegarek. Prędko!

Korzystając z ciemności Artur zatrzymał kilka monet.

- Musicie mi dać coś do jedzenia - rzekł. - Jestem strasznie wygłodzony.

- Przyniosłem. Oto jest i napój.

Majtek podał mu dzbanek, trochę sucharów i kawałek słoniny.

- A teraz uważaj. Musisz się ukryć w tej pustej beczce, gdy jutro rano przyjdą urzędnicy celni. I siedzieć cicho jak mysz, dopóki nie wypłyniemy na pełne morze. Dam ci znać, kiedy będziesz mógł stąd wyjść. No i nie pokazywać się kapitanowi. Tyle! Ustawieś dobrze dzbanek? Dobranoc!

Drzwi się zamknęły. Artur, ustawivszy bezcenny „napój” w bezpiecznym miejscu, usiadł na beczce z oliwą, by spożyć suchar ze słoniną. Następnie skurczył się na brudnej podłodze i po raz pierwszy od dzieciństwa sposobił się do snu bez pacierza. Szczury skakały koło niego w ciemności, lecz ani ustawiczny hałas, jaki sprawiały, ani kołysanie okrętu, ani wstrętna woń oliwy, ani czekająca go nazajutrz choroba morska nie zdołały odpędzić od niego snu. Nie dbał już o to bardziej niż o pogruchotane i zbezczeszczone bóstwa, do których jeszcze wczoraj modlił się jak do bogów.

CZEŚĆ DRUGA

W TRZYNAŚCIE LAT PÓŹNIEJ

ROZDZIAŁ I

Pewnego lipcowego wieczoru w 1846 roku kilku znajomych zebrało się u profesora Fabriziego we Florencji w celu omówienia przyszłej działalności politycznej.

Niektórzy z uczestników należący do partii Mazziniego żądali ni mniej, ni więcej, tylko demokratycznej republiki i zjednoczenia Włoch. Inni byli konstytucyjnymi monarchistami i liberałami rozmaitych odcieni. W jednym punkcie jednak wszyscy byli zgodni - w niezadowoleniu z cenzury toskańskiej; dlatego ogólnie lubiani profesorowie urządzili zebranie w nadziei, że przynajmniej w tej sprawie przedstawiciele rozmaitych stronnictw potrafią się zdobyć na godzinę spokojnej dyskusji.

Dwa tygodnie dopiero upłynęło od sławnej amnestii, jakiej Pius IX, wstępując na stolicę papieską, udzielił więźniom politycznym w państwie kościelnym¹¹, ale fala entuzjazmu wolnościowego, wywołana tym czynem, zdołała już rozszerzyć się po całych Włoszech. Zdawało się, że zdumiewający ten czyn wywarł wrażenie nawet na rządzie toskańskim. Fabrizi i inni wybitni mężowie Florencji uważali przeto chwilę za odpowiednią do przeprowadzenia śmiałej reformy ustawy prasowej.

- Rozumie się - oświadczył dramaturg Lega, gdy po raz pierwszy przedstawiono mu tę sprawę - że byłoby rzeczą niemożliwą założyć nowe pismo, zanim nam się nie uda zmienić ustawy prasowej; inaczej nie wydamy ani jednego numeru. Niemniej jednak możemy już teraz rozrzucić kilka pamfletów, a im wcześniej zabierzemy się do roboty, tym prędzej zdołamy zmienić ustawę.

W tej chwili rozwijał właśnie w bibliotece Fabriziego swe teorie co do taktyki, jakiej mieli się trzymać w chwili obecnej pisarze liberalni.

- Nie ulega wątpliwości - wtrącił jeden z uczestników, siwy prawnik o nieco rozwlekłej wymowie - że w jakiś sposób musimy korzystać z odpowiedniej chwili. Nie tak rychło nadarzy się druga, równie sprzyjająca przeprowadzeniu ważnych reform. Wątpię jednak, czy pamflety odniosą pożądany skutek. Rozdrażnią tylko i przerażą

¹¹ Papież Pius IX - wstąpił na tron watykański po Grzegorzu XVI. W drodze liberalnych ustępstw zamierzał zdobyć zaufanie i w ten sposób rozładować nastroje rewolucyjne w kraju. Udzielił on amnestii więźniom politycznym i emigrantom, złagodził cenzurę itd. Wkrótce jednak, przerażony rewolucyjnymi wydarzeniami 1848 r., powrócił do skrajnie reakcyjnej polityki swych poprzedników.

rząd, gdy nam właśnie chodzi o przeciągnięcie go na naszą stronę. Gdy władze zaczną nas uważać za niebezpiecznych agitatorów, stracimy wszelką nadzieję zyskania ich pomocy.

- Więc, pańskim zdaniem, co należy czynić?

- Wnieść petycję.

- Do wielkiego księcia¹².

- Tak, o rozszerzeniu wolności prasy.

Mały brunet o bystrym spojrzeniu, siedzący pod oknem, popatrzył na prawnika i roześmiał się.

- Dużo zyskacie petycjami - zadrwił. - Sądziłem, że wynik sprawy Renziego¹³ mógł uleczyć wszystkich raz na zawsze z podobnego postępowania.

- Mój drogi panie, żałuję zarówno jak pan, że nam się nie udało zapobiec wydaniu Renziego. Jednakże... nie mając zamiaru dotknąć kogokolwiek, muszę wyznać, że niepowodzenie tej sprawy należy w znacznej mierze przypisać niecierpliwości i porywczosci niektórych współdziałaczy. Istotnie, wahałbym się...

- Jak każdy Piemontczyk, zawsze i wszędzie - ostro przerwał brunet. - Ja nie wiem, w czym przejawiała się taka niecierpliwość i porywczosc pana zdaniem, chyba... w zbiorze naszych poniżających petycji. Może to jest uważane za porywczosc w Toskanii lub Piemoncie, ale u nas, w Neapolu, nie nazywa się tego porywczoscia.

- Na szczęście - odparł Piemontczyk - porywczosc neapolitańska jest specjalnością Neapolu.

- Panowie, dosyć - wmieszał się profesor. - Zwyczaje neapolitańskie mogą być bardzo dobre, piemonckie również. W tej chwili jednak jesteśmy w Toskanii, a zwyczaj tokański każe zająć się sprawą będącą na porządku dziennym. Otóż Grassini głosuje za petycjami, a Galli przeciw. Co pan o tym sądzi, doktorze Riccardo?

- Ja nie widzę, w jaki sposób petycje miałyby zaszkodzić, i jeśli Grassini je sformułuje, z całą przyjemnością położę swój podpis. Nie sądzę jednak, by same tylko petycje mogły odnieść wielki rezultat.

Dlaczego nie mielibyśmy równocześnie wnosić petycji i rozrzucać pamfletów?

- Po prostu dlatego, że pamflety wywołują u rządu nastrój nieodpowiedni do przyjmowania petycji - rzekł Grassini.

¹² Wielki książę - Leopold II, książę Toskanii.

¹³ Renzi Pietro (1807-1882) - przywódca powstania w Romani, okręgu papieskim, w 1846 roku. Rząd tokański wydał Renziego w ręce papieża.

- Ja bym tego nie uczynił w żadnym wypadku. - Neapolitańczyk wstał i zbliżył się do stołu. - Panowie, jesteście na fałszywej drodze. Zjednywanie rządu nie doprowadzi do niczego dobrego.

Naszym zadaniem jest wezwać lud do powstania.

- Łatwiej to powiedzieć niż wykonać. Jak pan zamierza przystąpić do tego dzieła?

- Sądzę, że o to należy spytać Gallego! On oczywiście rozpocząłby od rozbicia łba cenzorowi.

- Wcale nie - poważnie odparł Galli. - Wam się zawsze zdaje, że południowiec nie może znać innych argumentów prócz zimnej stali.

- A zatem, co pan proponuje? Panowie, proszę o spokój. Galli rozwinie nam swój plan.

Całe towarzystwo, rozbite na pojedyncze grupki z dwóch, trzech osób oddzielnie dysputujących, zgromadziło się dokoła stołu, by słuchać. Galli wykonał ręką gest przeczący.

- Nie, panowie, to nie plan, lecz tylko propozycja. Zdaje mi się, że w tej radości z powodu nowego papieża tkwi wielkie niebezpieczeństwo. Ludzie sądzą, że ponieważ papież nakreślił nowe wytyczne postępowania i udzielił amnestii, potrzeba tylko, abyśmy wszyscy... całe Włochy, rzucili się w jego ramiona, a on nas już zawiedzie do ziemi obiecanej. Otóż ja jestem ostatni, który by niesławił postępowania papieża - amnestia była czynem wzniosłym...

- Jestem pewny, że ojcu świętemu niezmiernie to pochlebi pogardliwie wtrącił Grassini.

- Grassini, proszę nie przerywać! - zawołał Riccardo. - To aż dziwne, że wy dwaj musicie ciągle gryźć się z sobą jak pies z kotem. Galli, prosimy dalej.

- Chciałbym tylko powiedzieć - podjął znowu Neapolitańczyk - że ojciec święty działa niewątpliwie w najlepszej intencji; pytanie tylko, o ile zdoła reformy swe urzeczywistnić. Na razie oczywiście wszystko jest ułagodzone i reakcyjniści będą przez jakiś miesiąc lub dwa siedzieć ze stulonymi uszami, dopóki nie ostygnie zapal z powodu amnestii. Niepodobna jednak przypuszczać, by bez walki wypuścili władzę ze swych garści, dlatego też jestem przekonany, że już w połowie zimy będziemy mieli

całe zgraje jezuitów, gregorian¹⁴, sanfedystów¹⁵ i jak oni się tam wszyscy zowią, którzy będą intrygować, spiskować i truć każdego, kogo nie zdołają przekupić.

- Bardzo to prawdopodobne.

- A zatem: mamy czekać marnując czas na poniżające petycje, aż Lambruschini¹⁶ i jego banda przekonają wielkiego księcia, by nas oddał pod batutę jezuitów i w dodatku kilku huzarom austriackim powierzył patrol na ulicach, żeby nas trzymać w należytych karbach? Czy też uprzedzić ich i wykorzystać chwilową ich nieporadność, by zadać pierwszy cios?

- Powiedz pan wpierw, jaki to ma być ów cios.

- Proponowałbym rozpocząć zorganizowaną agitację przeciw jezuitom.

- Więc wypowiedzenie wojny w pamfletach?

- Tak, trzeba wyjaśnić ich intrygi, odsłaniać wszystkie tajemnice i wzywać naród do wspólnej przeciw nim obrony.

- Ależ na razie nie ma tu przecież jezuitów.

- Nie ma ich? Dobrze! Poczekajcie, zobaczycie, ilu ich tu będzie za trzy miesiące. Tylko że wtedy na obronę będzie już za późno.

- Jednakże podburzając miasto przeciw jezuitom musicie wystąpić otwarcie, a wtedy jakim sposobem unikniecie cenzury?

- Wcale jej nie myślę unikać, przeciwnie, chcę jej rzucić wyzwanie.

- Chce pan drukować pamflety anonimowe? To wszystko bardzo dobre, ale faktem jest, że dość już widzieliśmy tej potajemnej bibuły, by wiedzieć...

- Nie to miałem na myśli. Pamflety drukowałbym jawnie z naszymi podpisami i adresami. Niech nas prześladują, jeśli się odważą.

- Projekt zupełnie szalony! - zawołał Grassini. - Po prostu leż w paszczę lwa, ot tak, dla igraszki.

- Och, pan się nie potrzebuje lękać - odciął Galli - nie będziemy pana ciągnąć do więzienia za nasze pamflety.

- Galli, zamilknij! - rzekł Riccardo. - Tu nie idzie o lęk, każdy z nas jest tak samo gotów iść do więzienia, jak wy, jeśli to przyniesie jakąś korzyść, lecz narażać się

¹⁴ Gregorianie - zwolennicy skrajnie reakcyjnej polityki Grzegorza XVI. Przeciwnicy reform liberalnych papieża Piusa IX.

¹⁵ Sanfedysty - członkowie „Stowarzyszenia Wyznawców Świętej Wiary” założonego w 1799 roku przez reakcjonistów włoskich dla zwalczania ruchu wyzwolenczego. W swej nienawiści do ludu nierzadko wysługiwali się najeźdźcami i ściśle z nimi współpracowali.

¹⁶ Lambruschini Luigi (1776-1854) - kardynał, sekretarz stanu okręgu papieskiego za czasów Grzegorza XVI. Zaciekły wróg włoskiego ruchu wyzwolenczego. Niejednokrotnie oddawał usługi Austriakom.

na niebezpieczeństwo bez żadnej potrzeby - to dziecinada. Co do mnie, to do przedłożonego projektu dodałbym jeszcze pewną poprawkę.

- Mianowicie?

- Sądzę, że działając przezornie, moglibyśmy zwalczać jezuitów nie wchodząc w kolizję z cenzurą.

- Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób dałoby się to przeprowadzić.

- Sądzę, iż wszystko można wyrazić w formie tak misternej, że...

- Że cenzura się nie połapie? W takim razie jak zdoła biedny rzemieślnik czy robotnik w swej ciemnocie odkryć sens takiej zagadki? Ten pomysł nie może być chyba uważany za zbyt praktyczny.

- Martini, co wy o tym myślicie? - spytał profesor zwracając się do siedzącego obok barczystego mężczyzny o długiej kasztanowej brodzie.

- Wstrzymam się ze swym zdaniem, dopóki nie zbiorę więcej faktów. Tu chodzi przecież o przeprowadzenie różnych prób i wysnucie z nich wniosków.

- Sacconi, a wy?

- Pragnąłbym usłyszeć zdanie signory Bolla. Jej propozycje są zawsze cenne.

Wszyscy zwrócili się ku jedynej obecnej kobiecie; siedziała na sofie i oparłszy brodę na ręce w milczeniu przysłuchiwała się dyskusji mężczyzn. Miała głębokie, poważne czarne oczy, ale gdy je w tej chwili podniosła, widać w nich było wyraźnie błyski wesołości.

- Obawiam się - rzekła - że sprzeciwię się wszystkim obecnym.

- Jak zwykle, a co najgorsze, że zawsze pani ma słuszość - wtrącił Riccardo.

- Sądzę, że jezuitów zwalczać musimy koniecznie; i jeśli nie da się jedną bronią, trzeba będzie użyć innej. Ale samo tylko wyzwanie jest bronią słabą, a wybiegi i okrażanie - zbyt męczącą. Co do petycji, to moim zdaniem są one dziecinną zabawką, niczym więcej.

- Mam nadzieję - patetycznie przerwał Grassini - że nie doradzi pani takich metod, jak... mordowanie?

Martini szarpnął długi wąs, a Galli wprost parsknął śmiechem. Nawet poważna młoda kobieta nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Proszę mi wierzyć - rzekła - że gdybym nawet była na tyle okrutna, by myśleć o takich rzeczach, to na pewno nie jestem tak dziecinna, by o tym mówić. Wiem

jednak, że bronią najskuteczniejszą jest śmieszność. Jeśli raz uda wam się ośmieszyć jezuitów i ich zamiary w oczach ludu, odniesiecie zwycięstwo i bez przelewu krwi.

- Ma pani zupełną słuszość - rzekł Fabrizi - nie widzę tylko możliwości urzeczywistnienia tego pomysłu.

- Dlaczego nie moglibyśmy go urzeczywistnić? - podjął Martini. - Satyra łatwiej się nawet prześliznie przez cenzurę niż poważna rozprawa, a skoro już musimy się uciekać do przenośni, to przeciętny czytelnik woli łamać sobie głowę nad dwuznacznością pozornie głupiego żartu niż artykułu naukowego czy ekonomicznego.

- Pani zatem proponuje wydawanie satyrycznych pamfletów czy też założenie pisma humorystycznego? Co do ostatniego, to jestem pewny, że cenzura absolutnie się nie zgodzi.

- Nie myślałam o żadnej z tych form. Sądzę, że kolportowanie ulotnych wierszy lub artykułów satyrycznych, bezpłatnie bądź po cenie bardzo niskiej, mogłoby się okazać ogromnie skuteczne.

A gdyby się nam udało pozyskać zdolnego jakiegoś artystę, umiejącego dostosować się do charakteru tych rzeczy, można by też dodawać odpowiednie ilustracje.

- Doskonała myśl, gdyby ją tylko można w czyn wprowadzić.

Bo jeśli się już coś takiego robi, to musi być zrobione dobrze. Należałoby pozyskać pierwszorzędneho satyryka, lecz skąd go wziąć?

- Widzicie - ozwał się Lega - my wszyscy jesteśmy przeważnie pisarzami poważnymi, a nie ubliżając towarzystwu, śmiem wyrazić zdanie, że takie silenie się na humor byłoby podobne do popisu słonia próbującego odtańczyć tarantelę.

- Nigdy też nie proponowałam, abyśmy wszyscy brali bezpośredni udział w pracy, do której nie jesteśmy uzdolnieni. Sądziłam natomiast, że można by się starać o pozyskanie satyryka prawdziwie zdolnego - taki musi chyba istnieć gdzieś we Włoszech - no i zebrać na ten cel potrzebne fundusze. Naturalnie, że musielibyśmy wiedzieć coś o takim człowieku i upewnić się, iż będzie pracował w naszym duchu.

- Gdzie jednak szukać takiego człowieka? Satyryków jako tako utalentowanych mogę policzyć na palcach, a przy tym żadnego z nich nie uda nam się pozyskać.

Giusti¹⁷ nie przyjmie - i tak ma nadmiar zajęcia. Jest może dwóch zdolnych ludzi w Lombardii, lecz ci piszą dialektem mediolańskim.

- Zresztą - zabrał głos Grassini - na lud toskański można jeszcze oddziaływać lepszymi środkami niż ten. Jestem pewny, że odczułby to, mówiąc delikatnie, jako brak politycznego savoir faire¹⁸, gdybyśmy tę poważną kwestię wolności obywatelskiej i religijnej traktowali w sposób tak lekki. Florencja nie jest tylko zbiorowiskiem fabryk i dorobkiewiczów, jak Londyn, lub też areną pustego zbytku, jak Paryż. Jest to miasto posiadające wielkie tradycje historyczne.

- Tak samo jak Ateny - przerwała z uśmiechem - lecz skutkiem wielkości stały się ociążałe i trzeba było szerszenia, by je drażnił...¹⁹

Riccardo ręką uderzył w stół.

- Że też nam nie przyszedł na myśl Szerszeń²⁰! Toż to człowiek jakby stworzony dla nas!

- Kto to jest?

- Szerszeń - Feliks Rivarez. Nie pamiętacie go? Jeden z oddziału Muratoriego²¹, który przed trzema laty przyszedł z Apenin.

- Och, znaliście ich przecie? Pamiętam nawet, że jechaliśmy z nimi, gdy wyjeżdżali do Paryża.

- Tak, udałem się wtedy aż do Livorno, by pożegnać Rivareza odjeżdżającego do Marsylii. Nie chciał pozostać w Toskanii, mówił, że po upadku powstania nic tu nie pozostaje do roboty, tylko śmiać się, i wobec tego woli wracać do Paryża. Niewątpliwie, pod tym względem zgadzał się w zupełności z signorem Grassinim, uważając Toskanię za nieodpowiednie miejsce do śmiechu. Jestem jednak pewny, że wróciłby, gdybyśmy go wezwali, gdyż jest teraz możliwość robienia czegoś we Włoszech.

- Jak on się nazywa?

- Rivarez. Zdaje się, że Brazylijczyk. A w każdym razie wiem, że tam przebywał. Jeden z najdowcipniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Bóg wie, że nie było się z czego radować podczas owego tygodnia w Livorno, serce krwawiło na sam widok

¹⁷ Giusti Giuseppe (1809-1850) - poeta i satyryk włoski. W swych utworach wykpiwał reakcję włoską i najeźdźcę austriackiego.

¹⁸ Savoir faire (fr.) - umiejętność postępowania.

¹⁹ Porównanie zaczerpnięte z „Obrony Sokratesa” Platona.

²⁰ Szerszeń - w oryginale The Gaiifly, po franc. Le Taon, dosłownie: giez.

²¹ Oddział Muratoriego - latem 1843 roku w Bolonii i Rawennie wykryto przygotowujące się powstanie, na czele którego stali bracia Muratori. Wraz z grupą wiernych towarzyszy udało im się ująć w góry, skąd dokonywali wypadów na garnizony wojskowe. W jednej z potyczek zostali rozbici. Wielu uczestników powstania schwymano i stracono w Bolonii.

biednego Lambertiego; ale niepodobna było poddawać się smutkom w towarzystwie Rivareza. Ledwie wszedł do pokoju, rozpoczął się ustawiczny fajerwerk dowcipów. Otrzymał w twarz cięcie szablą, pamiętam, jak zszywano bliznę. Dziwny to był człowiek, ale zdaje mi się, że swym humorem ocalił niejednego biedaka od ostatecznej rozpacz.

- Czy to ten sam, który pod pseudonimem Le Taon umieszcza polityczne satyry w pismach francuskich?

- Tak, przeważnie krótkie artykuły i felietony humorystyczne. Przemysłowcy w Apeninach nazwali go „Szerszeniem” z powodu ostrego języka, a on przyjął to przezwisko i nim się podpisuje.

- Wiem cośkolwiek o tym panu - ozwał się Grassini swym rozwlekłym, pełnym namaszczenia tonem - i nie mogę twierdzić, by to, co o nim słyszałem, budziło doń wielkie zaufanie. Niewątpliwie posiada on pewien powierzchowny, błyskotliwy talent, choć moim zdaniem sądy o jego zdolnościach brzmią zbyt przesadnie. Być może, nie zbywa mu też na odwagę fizyczną, lecz opinia o nim zarówno w Paryżu, jak w Wiedniu nie jest wcale najlepsza. Zdaje się; że to człowiek mający za sobą... dość awantur i kart niejasnych. Powiadają, że został z litości przygarnięty przez ekspedycję naukową Dupreza²² gdzieś w dzikich okolicach Ameryki Południowej, gdzie znajdował się jakoby w stanie ostatecznego zdziczenia i w najstraszniejszej nędzy. Nigdy podobno nie zdołał wyjaśnić, jakim sposobem doszedł do takiego stanu. Co się zaś tyczy powstania w Apeninach, to rzecz wiadoma, że w nieszczęsnej tej sprawie brali udział ludzie różnej wartości²³. Ci, których stracono w Bolonii, byli przecież tylko zwyczajnymi złoczyńcami, a charakter tych, co umknęli, urąga wprost wszelkim opisom. Oczywiście, że niektórzy z działaczy byli ludźmi o nieposzlakowanym charakterze...

- Niektórzy z nich byli bliskimi przyjaciółmi ludzi tu obecnych! - przerwał Riccardo głosem wzburzonym. - Bardzo to pięknie być ekskluzywnym i wymagającym, lecz owi „zwyczajni złoczyńcy” zginęli za swoje przekonania, czego dotąd nie uczyniliśmy ani ja, ani wy.

- A gdyby jeszcze ktokolwiek powtarzał tę głupią plotkę paryską - dodał Galli - to możecie mu powiedzieć ode mnie, że grubo się myli co do ekspedycji Dupreza.

²² Ekspedycja Dupreza - nic bliższego o wyprawie tej nie wiadomo. Z dalszych rozdziałów wynika, że w latach 1838-1841 badała ona dorzecze Amazonki.

²³ Autorka ma prawdopodobnie na myśli nieudaną próbę powstania pod przywództwem braci Baodierra. W 1844 roku wylądowali oni z niewielkim oddziałem powstańczym w Kalabrii, lecz zostali schwytani i straceni.

Znam osobiście sekretarza Dupreza, Martela, który opowiedział mi całą tę historię. Prawda, że spotkali Rivareza w przykrew sytuacji. Walcząc za republikę argentyńską²⁴ dostał się do niewoli jako jeńiec wojenny i zdołał umknąć. Pieszko, w przebraniu przekradł się do Buenos Aires. Ale ta historia o przyjęciu go z litości jest głupim wymysłem. Tłumacz ich zachorował w drodze i musiał wrócić; a żaden z Francuzów nie znał tamtejszych języków, zaangażowali więc Rivareza, który spędził z nimi całe trzy lata, prowadząc studia nad szczepami osiadłymi w dorzeczu Amazonki. Martel twierdzi, że cała ta wyprawa byłaby się fatalnie zakończyła, gdyby nie pomoc Rivareza.

- Kimkolwiek on jest - rzekł Fabrizi - musi być bądź co bądź człowiekiem niepospolitym, jeśli zdołał wywrzeć wpływ na takich dwóch praktycznych ludzi jak Martel i Duprez. Signora Bolla, co pani o tym sądzi?

- Nie znam całej tej sprawy, byłam w Anglii, gdy rozbitkowie zatrzymali się w Toskanii. Sądzę jednak, że jeśli koledzy z trzechletniej wyprawy pośród dzikich szczepów, a także towarzysze broni z powstania dobrze o nim myślą, równoważy to w zupełności plotki bulwarowe.

- U towarzyszy broni sąd o nim jest zupełnie ustalony - rzekł Riccardo. - Od Muratoriego i Zambeccariego²⁵ do ostatniego górala, wszyscy byli mu całym sercem oddani. Jest też osobistym przyjacielem Orsiniego²⁶. Z drugiej strony prawdą jest, że krążą o nim w Paryżu przeróżne niezbyt przyjemne historie. Ale gdyby człowiek nie chciał sobie robić wrogów, nie byłby satyrykiem politycznym.

- Nie jestem pewny - odezwał się Lega - ale zdaje mi się, że widziałem go tu kiedyś między emigrantami. Zdaje się, że on utyka albo jest ułomny czy coś w tym rodzaju.

Profesor otworzył szufladkę swego biurka i zaczął czegoś szukać wśród stosu papierów.

- Zdaje się, że mam tu gdzieś jego opis policyjny. Pamiętacie, gdy wówczas uciekli i ukrywali się w górach, wystawiono wszędzie ich podobizny na widok

²⁴ W Argentynie toczyła się w latach 30-40 XIX wieku wojna domowa, w której brali udział liczni emigranci z Europy. W 1833 roku wybuchła interwencyjna wojna między Anglią i Francją z jednej strony a Argentyną z drugiej.

²⁵ Zambeccari Livio (1802-1862) - rewolucjonista włoski. Brał udział w wojnach południowoamerykańskich o niepodległość Urugwaju. W 1846 roku powrócił do Włoch. Walczył podczas rewolucji 1848 roku.

²⁶ Orsini Felice (1819-1858) - bojownik o wyzwolenie i zjednoczenie Włoch. Stracony w Paryżu po nieudanym zamachu na Napoleona III.

publiczny, a kardynał... jak on się tam zowie ten łajdak? Aha, Spinola²⁷, wyznaczył cenę na ich głowy.

- A propos, przypominam sobie znakomitą historię o Rivarezie i tym jego konterfekcie policyjnym. Nabył gdzieś stary mundur żołnierza i w tym przebraniu włókł się ku granicy jako karabinier, raniony na posterunku, szukający swego oddziału. Istotnie, został przygarnięty przez plądrujących żołdaków Spinoli i na ich wozie jechał cały dzień, opowiadając im niestworzone historie, jak został ujęty przez buntowników i zaciągnięty aż do kryjówki w górach, gdzie w straszny sposób się nad nim znęcali. Oni odwzajemniając się pokazali mu jego opis policyjny, a on znów opowiadał im, co mu tylko na język przyszło, o tym diable wcielonym, przezwanym Szerszeniem... A w nocy, gdy zasnęli, wlał im do prochu konewkę wody i ulotnił się zabrawszy spory zapas żywności i amunicji...

- Oto i papier - przerwał Fabrizi. - Feliks Rivarez, zwany Szerszeń. Wiek - około lat trzydziestu; miejsce urodzenia i rodzina nie znane, prawdopodobnie w Ameryce Południowej; zawód - dziennikarz. Wzrost średni, włosy czarne, broda czarna, cera ciemna, oczy błękitne, czoło szerokie, kwadratowe, nos, usta, broda... Oto jest... Znaki szczególne: utyka na prawą nogę, lewe ramię strzaskane, u lewej ręki brak dwóch palców, świeża blizna w poprzek twarzy, jąka się. Osobno dodana uwaga: Strzela bardzo celnie - uważać przy aresztowaniu go.

To jednak dziwne, że wobec takiej listy „znaków szczególnych” mógł podejść żołdaków Spinoli.

- Umożliwiła mu to jedynie szalona odwaga. Gdyby wzbudził jakiegokolwiek podejrzenie, byłby stracony. Ale wyraz niesłychanej szczerości, jaki umie przybierać w razie potrzeby, może niejednego wywieść w pole. A zatem, panowie, co sądzicie o tej propozycji? Widzę, że wielu z nas zna Rivareza dostatecznie. Czy mamy mu dać do zrozumienia, że jego pomoc byłaby tu pożądana?

- Ja myślę - odrzekł Fabrizi - że należy go wpierw wysondować, czy byłby skłonny zająć się tą sprawą.

- Och, zgodzi się z pewnością, skoro idzie o zwalczanie jezuitów. Najzacieklejszy to antyklerykał, jakiego kiedykolwiek spotkałem, po prostu oszalały na tym punkcie.

- Więc napiszecie do niego, Riccardo?

²⁷ Spinola Ugo (1791-1858) - kardynał. Namiestnik papieski. Wsławił się okrucieństwem w stosunku do uczestników powstań w 30-40 latach XIX wieku.

- Rozumie się. Tylko gdzie go szukać? Zdaje się, że jest w Szwajcarii. Ten człowiek nie może wprost wytrzymać na jednym miejscu; ustawicznie fruwa, to tu, to tam. Ale wracając do pamfletów...

Rozpoczęła się długa, ożywiona dyskusja. Gdy towarzystwo zaczęło się wreszcie rozchodzić, Martini przystąpił do młodej kobiety, dziwnie skupionej i spokojnej.

- Gemmo, odprowadzę cię do domu.
- Dzięki, chcę z tobą pomówić o sprawie.
- Czy coś tam zaszło z adresami? - spytał zniżając głos.
- Nic ważnego, ale sądzę, że czas poczynić pewne zmiany.

Dwa listy zostały w tym tygodniu przetrzymane na poczcie. Obydwa były mało ważne i być może, że stało się to przypadkowo, lecz bądź co bądź nie możemy się narażać. Skoro policja zaczęła podejrzewać któryś z naszych adresów, należy go zmienić natychmiast.

- Przyjdę w tej sprawie jutro. Nie chcę cię już męczyć dzisiaj; masz twarz taką znużoną.

- Nie jestem zmęczona.
- W takim razie znów przygnębiona.
- Och nie! Niespecjalnie.

ROZDZIAŁ II

Katie, czy pani w domu?

- Tak, proszę pana, ubiera się właśnie. Może pan wejdzie do pokoju? Pani będzie zaraz gotowa.

Wprowadziła gościa z pogodną uprzejmością cechującą dziewczęta z zachodniej Anglii. Martini cieszył się specjalnymi jej względami. Mówił co prawda po angielsku jak cudzoziemiec, ale zupełnie poprawnie i nigdy nie wysiadywał jak inni goście do pierwszej w nocy, politykując na całe gardło, gdy pani była zmęczona. Co więcej, przyjechał nawet do Devonshire pomagać biednej pani, gdy dziecko jej umarło, a mąż był konający. Od tego też czasu ten wysoki, nieśmiały i milczący mężczyzna był w oczach Katie jakby „członkiem rodziny”, tak samo jak czarny kot zwinięty w tej chwili w kłębek na jego kolanach. Pasht znowu uważał Martiniego za

użyteczny sprzęt domowy. Gość ten nigdy nie nadeptywał mu na ogon, nie puszczał mu w oczy kłębow dymu z cygara ani w żaden inny przykry sposób nie przypominał swej przewagi. Zachowywał się zupełnie jak na człowieka przystoi: dostarczał zwierzęciu wygodnego miejsca na kolanach, gdzie mogło się wylegiwać i mrużyć, nigdy też nie zapominał, że widok ludzi jedzących ryby wcale nie jest dla kota zajmujący. Przyjaźń ich datowała się od dawna. Raz, kiedy Pasht był jeszcze małym kociakiem, a pani jego zbyt była chora, by się o niego troszczyć, Martini przywiózł go z Anglii w koszyczku. Od tego czasu długie doświadczenie przekonało go, że może polegać na przyjaźni tego ciężkiego, niedźwiedziowatego człowieka.

- Jak wyście się tu obaj wygodnie usadowili! - rzekła Gemma wchodząc do pokoju. - Jakbyście mieli zamiar spędzić tak cały wieczór.

Martini ostrożnie zdjął kota z kolan.

- Przyszedłem wcześniej - rzekł - w nadziei, że dostanę herbaty, zanim wyruszamy. Prawdopodobnie będzie tam „wielkie towarzystwo”, a Grassini nie da nam uczciwej kolacji. Tego nie można się nigdy spodziewać w tych eleganckich domach.

- No, popatrzcie! - zaśmiała się Gemma - jesteś już niemal tak złośliwy jak Galli! Biedny Grassini ma przecież dość własnych grzechów, po co go jeszcze czynić odpowiedzialnym za niegospodarność żony. Ale herbata będzie u mnie natychmiast. Katie zrobiła nawet dla ciebie jakieś specjalne placuszki.

- Katie jest pocziwą istotą, nieprawdaż, Pasht? No, nareszcie włożyłaś tę piękną suknię. Obawiałem się, że zapomnisz.

- Przyrzekłam, że ją włożę, chociaż na taki ciepły wieczór jest trochę za ciężka.

- W Fiesole będzie znacznie chłodniej, a w niczym nie wyglądasz tak dobrze jak w białym kaszmirze. Przyniosłem kilka kwiatów, które musisz przypiąć.

- Ach, co za piękne róże! Tak ogromnie je lubię! Ale włożę je raczej do wody. Nie cierpię przypinania kwiatów.

- Znów jedna z tych przesadnych fantazji.

- Wcale nie, zdaje mi się tylko, że strasznie by się zmęczyły przypięte przez cały wieczór do tak nudnej towarzyszki.

- Obawiam się, że wszyscy się zmęczymy dzisiejszym wieczorem. Zebranie będzie chyba nudne nad wszelki wyraz.

- Dlaczego?

- Po części dlatego, że czegokolwiek tknie się Grassini, staje się tak nudne jak on sam.

- No, nie bądź złośliwy. Zwłaszcza teraz, gdy mamy być jego gośćmi.

- Madonna ma zawsze słuszość. A zatem nudno będzie dlatego, że połowa zajmujących ludzi wcale nie przyjdzie.

- A to czemu?

- Nie wiem. Wyjechali już z miasta, to znów chorzy czy coś podobnego. Bądź co bądź będzie dwóch czy trzech ambasadorów, kilku uczonych Niemców i zwyczajny nieokreślony tłum turystów i rosyjskich książąt, literatów klubowych i francuskich oficerów. Nikt inny, jak mi wiadomo... z wyjątkiem, rozumie się, nowego satyryka, który ma być atrakcją wieczoru.

- Ten nowy satyryk? Co? Rivarez? Ależ Grassini był do niego tak źle usposobiony!

- Tak, ale skoro już tak jest i niewątpliwie stanie się bardzo modny, Grassini musi przecież dbać o to, by nowy ten lew po raz pierwszy ukazał się właśnie w jego salonach. Oczywiście, że Rivarez nie wie, jak Grassini się doń odnosi, chociaż dość jest bystry, by się domyślić.

- Nie wiedziałam, że już przyjechał.

- Dopiero wczoraj. Ale oto mamy herbatę. Nie wstawaj, już ja podam czajnik.

Nigdzie nie było mu tak dobrze, jak w tej małej pracowni. Przyjaźń Gemmy, jej głęboka nieświadomość, jaki urok nań wywiera, pełna prostoty i szczerości koleżeńskość stanowiły najjaśniejsze strony jego życia, które wcale nie było zbyt jasne. Ilekroć czuł się bardzo zgnębiony, przychodził tu po godzinach pracy, by siedzieć, najczęściej w milczeniu, przyglądając się pochylonej nad robotą Gemmie. Nigdy się nie wypytywała, co mu dolega, ani nie wyrażała swego współczucia słowami: mimo to odchodził od niej zawsze silniejszy i spokojniejszy, czując, że potrafi, jak sam to określił, „znów porządnie harować przez jakie dwa tygodnie”. Nie wiedząc o tym posiadała rzadki dar uśmierzenia bólu; i gdy przed dwoma laty najdrożsi jego przyjaciele zostali w Kalabrii zdradzeni i zastrzeleni jak wilcy, właśnie spokojna jej przyjaźń uchroniła go od ostatecznej rozpacz.

Czasem przychodził w niedzielę rano „mówiąc o interesach” - pod tę rubrykę podciągano wszystko, co odnosiło się do praktycznej pracy stronnictwa Mazziniego, którego oboje byli czynnymi i gorliwymi członkami. W owych chwilach była całkiem inną istotą; chłodną, bystrą, logiczną, najdoskonalej ścisłą i obojętną. Ci, którzy

stykali się z nią tylko przy pracy politycznej, uważali ją za doświadczoną i zdyscyplinowaną konspiratorkę, której można ufać, za dzielnego i odpowiedzialnego członka partii, lecz nieco bezbarwnego i pozbawionego indywidualności człowieka. „Urodzona z niej konspiratorka, mogąca zastąpić cały tuzin innych, lecz nie też więcej”, powiedział o niej Galli. Niełatwo bowiem było znaleźć dostęp do tej „madonny Gemmy”.

- I jakże się przedstawia ten wasz „nowy satyryk?” - spytała rzucając mu spojrzenie przez ramię, na wpół odwrócona od szafy, którą właśnie otwierała. - Cezarze, proszę: oto twoje słodowe cukierki i placuszki. Swoją drogą, nie wiem, czemu wszyscy rewolucjoniści tak lubią łakocie?

- Inni je też lubią, lecz nie chcą się przyznać z obawy, że to ubliżałoby ich godności. Nowy satyryk? Och, jeden z tych mężczyzn, za którymi zwykle kobiety szaleją, ale tobie nie będzie się podobał. Coś w rodzaju specjalisty w zgryźliwościach, idącego przez świat z miną efektownie tęskną, no i z piękną baletniczką.

- Czy to prawdziwa baletniczka, czy tylko ty jesteś w kiepskim humorze i chcesz naśladować „zgryźliwość”?

- Broń Boże! Baletniczka jest całkiem prawdziwa i nawet piękna dla tych, co gustują w tego rodzaju urodzie. Ja tego typu nie lubię. Węgierska Cyganka czy coś podobnego, jak twierdzi Riccardo, z jakiegoś podrzędnego galicyjskiego teatru. On zachowuje się trochę bezczelnie, przedstawia ją znajomym, jakby była jego ciotką.

- To bardzo pięknie, skoro ją zabrał z ojczyzny.

- Droga madonno, tak ty możesz sądzić, ale nie świat. Myślę, że większa część jego znajomych będzie się czuć urażona, iż w ten sposób przedstawiał ich kobiecie, o której wiadomo, iż jest jego utrzymanką.

- Skądże mogą o tym wiedzieć, jeśli on sam im tego nie powiedział?

- To przecież jasne, przekonasz się, gdy ją zobaczysz. Sądzę jednak, że nawet on nie będzie miał odwagi przyjść z nią do Grassinich.

- Nie przyjęłoby jej po prostu. Signora Grassini nie dopuściłaby do podobnej ekstrawagancji. Ja jednak chciałam się dowiedzieć czegoś o signorze Rivarezie jako satyryku, a nie mężczyźnie. Mówił mi Fabrizi, że zgodził się przyjechać i podjąć kampanię przeciw jezuitom, ale poza tym nic już o nim nie słyszałam. Taki był nawał pracy w ostatnim tygodniu.

- Ja również nie wiem nic bliższego. Zdaje się, że kwestia pieniężna, której obawialiśmy się, nie nastrożyła żadnych trudności.

Jest podobno dobrze sytuowany i chce pracować dla nas bezpłatnie.

- Więc to zamożny człowiek?

- Zdaje się, choć to dość dziwne... zważywszy, co kiedyś mówiono u Fabriziego, w jakim stanie spotkał go Duprez podczas swej ekspedycji. Mówią, że ma podobno jakiś udział w kopalniach brazylijskich, zresztą cieszył się ogromnym powodzeniem jako felietonista w Paryżu, Wiedniu i Londynie. Władza znakomicie chyba sześcioma językami: a ostatecznie może i stąd utrzymywać stosunki z pismami zagranicznymi. Ośmieszanie jezuitów nie zabierze mu przecież całego czasu.

- Tak, to prawda. Ale czas nam wyruszyć, Cezarze. Dobrze, przypnę twoje róże. Jedną tylko chwileczkę.

Wbiegła na górę i za chwilę wróciła z różami u gorsu i w koronkowym czarnym szalu hiszpańskim narzuconym na głowę. Martini patrzył na nią z artystycznym zadowoleniem.

- Moja madonna wygląda jak królowa - wielka, mądra królowa Saba.

- A to złośliwość! - odparta ze śmiechem. - Zwłaszcza że wiesz, ile mnie kosztuje, gdy mam wleźć w skórę typowej damy. Po co konspiratorka miałaby wyglądać jak królowa Saba? To by chyba nie odwróciło uwagi szpiegów.

- Madonna nie zdoła się nigdy upodobnić do głupiej burżujki, choćby nie wiem jak się o to starała. Zresztą, to nie gra roli, zbyt jesteś piękna, by szpiedzy mieli się troszczyć o twoje tajemnice, mimo że nie umiesz się tak uśmiechać i ukrywać za wachlarzem jak signora Grassini.

- Cezarze, daj już pokój tej biedaczce! No, weź jeszcze trochę słodyczy, to złagodzi twój kwaśny humor. Jesteś gotowy? Więc ruszajmy.

Martini miał zupełną rację twierdząc, że zebranie będzie liczne i nudne. Literaci prowadzili uprzejmą konwersację, mając miny beznadziejnie znudzone, zaś „nieokreślony tłum turystów i rosyjskich książąt" falował po pokojach tam i z powrotem, wypyując się o rozmaite znakomitości i siląc się na inteligentną rozmowę. Grassini przyjmował swych gości z wyszukaną uprzejmością, która przypominała jego starannie wyglansowane buty. Dopiero na widok Gemmy błysk radości przemknął po jego twarzy. Właściwie nie lubił jej, a nawet trochę się jej obawiał w skrytości duszy; lecz z drugiej strony wiedział dobrze, że była wielką atrakcją jego salonu. Teraz, gdy zaszedł już w swej karierze wysoko, był człowiekiem bogatym i znanym, za szczyt ambicji uważał zbieranie w swym domu grona liberałów i intelektualistów. Z przykrością uświadamiał sobie, że mała, niczym się nie wyróżniająca, przesadnie

wystrojona kobieta, którą nierozważnie poślubił w młodości, nie mogła płytką swą gadaniną i zwiędłymi wdziękami olśniewać w wielkim salonie literackim.

Ilekróć więc udało mu się nakłonić Gemmę, by przybyła, pewny był, że przyjęcie wypadnie dobrze. Jej spokojny wdzięk pozwalał wszystkim czuć się od razu swobodnie, a sama jej obecność wystarczała do usunięcia piętna wulgarności, która zawsze, jak mu się zdawało, ciążyła na całym jego domu. Signora Grassini przywitała Gemmę niezwykle serdecznie.

- Jak cudownie pani dziś wygląda! - krzyknęła obrzucając jej białą suknię krytycznym, złośliwym spojrzeniem. Nienawidziła Gemmy z tych samych powodów, dla których ją kochał Martini i nienawidziła jej spokojnej siły charakteru, poważnej, szczerzej prostoty, równowagi umysłu, a nawet wyrazu twarzy. A gdy signora Grassini czuła nienawiść do jakiejś kobiety, okazywała jej nadmierną serdeczność. Gemma przyjęła komplementy i czułość, jak na to zasługiwały, nie zwracając na nie zbytnej uwagi. W ogóle „składanie wizyt” było w jej oczach jednym z raczej przykrych obowiązków, które sumiennie spełniać musi spiskowiec, by nie ściągnąć na siebie podejrzania szpiegów. Stawiała je w jednym rzędzie z męczącym szyfrowaniem, a wiedząc, jak doskonałą tarczę, osłaniającą kobietę od podejrzeń, stanowi elegancki strój, studiowała żurnale z równą troskliwością jak szyfrowane pismo.

Znudzone i melancholijne miny lwów literackich rozjaśniły się nieco na dźwięk nazwiska Gemmy. Znali ją dobrze i lubili, zwłaszcza radykalni dziennikarze od razu ją otoczyli. Była jednak zbyt doświadczona, by się pozwolić zmonopolizować. Radykałów mogła mieć codziennie, toteż rychło się od nich uwolniła, przypominając z uśmiechem, że nie powinni tracić czasu na jej nawracanie, gdy tylu turystów potrzebuje objaśnień. Sama zaś zabrała się do pewnego angielskiego członka parlamentu, na którego względach ogromnie zależało republikańskiej partii. Wiedziała, że jest specjalistą w sprawach finansowych, i od razu go zainteresowała pytając o zdanie w pewnej technicznej kwestii odnoszącej się do kursu monety austriackiej, po czym zręcznie skierowała rozmowę na dochody państwowe lombardzko-weneckie. Anglik, który widocznie oczekiwał nudnej salonowej paplaniny, spojrzał na nią badawczo, obawiając się, że wpadł w szpony jakiejś sawantki; upewniwszy się jednak że jej wygląd jest równie wdzięczny, jak zajmująca rozmowa, stopniał i rozpoczął poważną dyskusję o finansach Włoch, jak gdyby

towarzyszka jego była Metternichem²⁸. Gdy Grassini przyprowadził do niej jakiegoś Francuza „pragnącego dowiedzieć się od signory Bolla bliższych szczegółów z dziejów Młodych Włoch”, członek parlamentu zerwał się zmieszany, zadając sobie szybko pytanie, czy też nie istnieje głębszy powód niezadowolenia Włochów, aniżeli przypuszczał.

Późno wieczorem Gemma wymknęła się na terasę pod oknami salonu, by chwilę odetchnąć wśród ogromnych kamelii i oleandrów. Duszne powietrze i ustawiczny tłok w salonach przyprawiły ją o ból głowy. W najdalszym kącie terasy rosły palmy i paprocie w ogromnych kadziach osłoniętych gęstwą lili i innych kwiatów. Całość tworzyła pyszny parawan; za nim znajdował się mały zakątek, skąd roztaczał się cudny widok na całą równinę. Gałęzie granatu, obwieszane spóźnionymi pękami kwiecia, zasłaniały do reszty wąski otwór wśród palm i paproci. Tutaj to schroniła się Gemma myśląc, że nikt jej nie odszuka, dopóki chwilowy spoczynek i cisza nie rozproszą bólu głowy. Noc była cicha i ciepła, lecz wyszedłszy z parnego mieszkania kobieta uczuła chłód i szczelnie otuliła głowę koronkowym szalem.

Wtem dźwięk głosów i kroków zbliżających się do terasy rozbudził ją z zadumy, w jaką się pogrążyła. Usunęła się w cień, w nadziei, że jej nie spostrzegą i zyska jeszcze kilka chwil, zanim znów będzie zmuszona wysilać umysł na konwersację. Ku wielkiej przykrości Gemmy kroki zatrzymały się w pobliżu drzew, po czym cienki, szczebiotliwy głosik signory Grassini przestał na chwilę świergotać. Drugi głos, męski, brzmiał niezwykle miękko i melodyjnie, ale słodycz jego zakłócało dziwne przewlekanie poszczególnych sylab, będące może afektacją, a może też rezultatem unikania zająknięć - w każdym jednak razie czyniło wrażenie niemiłe.

- Angielka, mówi pani? - pytał. - Nazwisko jednak brzmi jak włoskie. Podobno... Bolla?

- Tak, jest wdową po biednym Giovannim Bolla, który umarł w Anglii przed czterema laty, pamięta pan? Ach, zapomniałam, że pan prowadzi takie koczownicze życie, więc nie może znać naszych wszystkich nieszczęśliwych męczenników-patriotów, których jest tylu!

Signora Grassini westchnęła. Tym stylem zwykła zawsze mówić do obcych; rola patriotycznej płaczki doskonale licowała z jej afektacją pensjonarki i dziecinnym szczebiotem.

²⁸ Metternich Clemens Lothar (1773-1859) - minister spraw zagranicznych, następnie kanclerz Austrii. Stał na czele reakcji europejskiej zwalczającej ruchy wolnościowe podbitych narodów.

- Umarł w Anglii! - powtórzył głos męski. - Czy był wygnańcem? Zdaje mi się, że nazwisko to jest mi znane; czy w młodości swej nie był członkiem Młodych Włoch?

- Był właśnie jednym z tych biedaków uwięzionych w 1833 r., pamięta pan tę nieszczęsną sprawę? Uwolniono go po kilku miesiącach, ale w dwa czy trzy lata później znów go zasądono. Uciekł wtedy do Anglii. Później słyszeliśmy, że się tam ożenił. Ogromnie romantyczna historia, ale biedny Bolla zawsze był romantykiem.

- I umarł w Anglii?

- Tak, na suchoty. Nie mógł znieść straszego klimatu angielskiego. A jedyne dziecko umarło tuż przed jego śmiercią - na szkarlatynę. Jakie to smutne, nieprawdaż? A my wszyscy tak kochamy tę drogą Gemmę! Trochę jest sztywna, biedaczka, jak zwykle Angielki, ale zdaje mi się, że to wskutek ciężkich przeżyć stała się melancholijna... i...

Gemma wstała i odsunęła gałęzie granatu. Nie mogła znieść, by najosobistsze jej smutki obnażano w tej pustej paplaninie, i na twarzy jej widniało wyraźne wzburzenie, gdy wyszła ze swego ukrycia.

- Ach! Otóż i ona! - z doskonałą obojętnością zawołała gospodyni. - Droga Gemmo, dziwiłam się, gdzie nam pani zniknęła. Signor Rivarez pragnie panią poznać.

Więc to jest Szerszeń - pomyślała Gemma patrząc nań z pewnym zaciekawieniem.

Skłonił się wytwornie, lecz równocześnie objął całą jej postać i twarz bystrym spojrzeniem, które jej się wydało zuchwałe i badawcze. - Znalazła tu pani r... r...rozkoszny kącik - rzekł wskazując na zielony parawan - a j...j...jaki stąd śliczny widok!

- Tak, ładne miejsce. Przyszłam tu zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

- To prawdziwa niewdzięczność względem dobrego Boga zamykać się w mieszkaniu w noc tak cudowną - rzekła gospodyni wznosząc oczy ku gwiazdom. Miała ładne rzęsy i lubiła je pokazywać. - Patrz pan! Czy nasza słodka ojczyzna nie byłaby istnym rajem na ziemi, gdyby tylko była wolna? Pomyśleć, że kraj mający takie kwiaty i takie niebo musi jęczeć w niewoli!

- I takie patriotki! - dokończył Szerszeń swym słodkim, przewlekłym głosem.

Gemma spojrzała nań z pewnym niepokojem; jego bezczelność była zbyt wyraźna, by ktokolwiek mógł ją brać za dobrą monetę. Nie doceniała widocznie signory Grassini, gwałtownie spragnionej komplementów. Biedaczka spuściła skromnie oczy, wzdychając:

- Ach, signor, kobieta tak mało może zdziałać! Może pewnego dnia dowiodę mego prawa do miana Włoszki, kto wie? Ale teraz muszę wracać do mych obowiązków gospodyni, ambasador francuski prosił mnie, bym zapoznała jego wychowankę ze wszystkimi znakomitościami. Muszę jej jak najprędzej przedstawić pana. Czarująca dziewczyna! Droga Gemmo, przyprowadziłam tu pana Rivareza, by mu pokazać nasz krajobraz, a teraz zostawiam go pod opieką pani. Proszę się zająć gościem i zaznajomić go z wszystkimi. Ach! oto ten zachwycający księżę rosyjski! Czy go państwo znają? Podobno jest ulubieńcem cara Mikołaja. Jest komendantem jakiegoś polskiego miasta, którego nazwy nikt nie potrafi wymówić. *Quelle nuit magnifique! N'est-ce pas, mon prince?*²⁹

Szczebiocąc, żywo odfrunęła do barczystego mężczyzny o mocno rozwiniętych szczękach, obwieszzonego błyszczącymi orderami, a żalosne jej biadania nad *notre malheureuse patrie*³⁰, przeplatane wykrzyknikami *charmant*³¹ i *mon prince*, cichły w miarę ich oddalania się od terasy.

Gemma stała bez ruchu pod drzewem granatu. Żal jej było tej biednej, głupiej kobiety, a z drugiej strony irytowało ją chłodne zuchwalstwo Szerszenia. Spoglądał za oddalającą się parą z wyrazem twarzy, który ją gniewał; uważała za nieszlachetność wyszydzenie istot tak mizernych.

- Oto odchodzą patriotyzm włoski i... rosyjski - rzekł zwracając się do niej z uśmiechem - ręka w rękę i wzajem zachwyceni swym towarzystwem. A który z nich pani woli?

Zmarszczyła lekko brwi i nie odpowiadała.

- R...rozumie się - mówił dalej - że to kwestia o...osobistego gustu. Co do mnie, to wolę odmianę rosyjską, jest taka wyraźna. Gdyby przewaga Rosji zależała od kwiatów i nieba, a nie od prochu i kul, jak długo, sądzi pani *mon prince* byłby gubernatorem tej polskiej twierdzy?

- Sądzę - odparła chłodno - że możemy zachować osobiste swe sądy bez ośmieszania kobiety, której gościem jesteśmy.

- Ach, prawda!... Z...zapomniałem o obowiązkach gościnności we Włoszech; przedziwnie gościnny naród z tych Włochów. Jestem pewny, że Austriacy są tego samego zdania. Może pani usiądzie?

²⁹ *Quelle nuit magnifique! N'est-ce pas, mon prince?* (fr.) - Co za cudów noc, nieprawdaż, księżę?

³⁰ *Notre malheureuse patrie...* (fr.) - Nasza nieszczęśliwa ojczyzna...

³¹ *Charmant...* (fr.) - czarujące...

Utykając przeszedł wszerz obszerną terasę, przyniósł jej krzesło, a sam stanął naprzeciw, wsparty o balustradę. Światło z okien salonu padało prosto na jego twarz; mogła się jej przyjrzeć dokładnie.

Była rozczarowana. Oczekiwała twarzy jeśli już nie sympatycznej, to w każdym razie niezwyklej i wybitnej; tymczasem najbardziej charakterystycznym rysem całej tej postaci była pewna afektacja w ubiorze i silna skłonność do maskowanej z lekka impertynencji, przebijającej zarówno z wyrazu twarzy, jak obejścia. Poza tym był czarny jak Mulat i mimo kulawej nogi zwinny jak kot. W ogóle cały jego wygląd dziwnie przypominał czarnego jaguara. Czoło i lewy policzek miał straszliwie oszpecone długą blizną pochodzącą od dawnego cięcia szabli; zdążyła też zauważyć, że ilekroć się zaciął mówiąc, tę część twarzy wykrzywił nerwowy skurcz. Mimo wszystkich braków twarz ta - choć pełna jakiegoś szarpiącego niepokoju - była w swoim rodzaju przystojna, wcale jednak nie pociągająca.

- Słyszałem - mówił głosem miękkim, przyciszonym (takim samym głosem mówiłby jaguar, gdyby umiał mówić i był w dobrym humorze - pomyślała Gemma ze wzrastającym rozdrażnieniem) - słyszałem, że pani się zajmuje prasą radykalną i pisuje do dzienników.

- Rzadko pisuję, nie mam czasu.

- Ach, rozumie się! Signora Grassini dała mi do zrozumienia, że pani zajmuje się także innymi poważnymi sprawami.

Gemma lekko podniosła brwi. Ta głupia kobieta paplała widocznie przed tym niepewnym człowiekiem, który dla niej stawał się istotnie antypatyczny.

- Tak, mam czas przeważnie zajęty - rzekła chłodno - lecz signora Grassini przecenia znaczenie moich zajęć. Są przeważnie natury bardzo prozaicznej.

- Tak, byłoby trochę za smutno, gdybyśmy wszyscy spędzali czas na pianiu żałobnych hymnów nad Włochami. Moim zdaniem towarzystwo dzisiejszego naszego gospodarza i jego żony musi każdego uczynić lekkomyślnym, choćby dla samoobrony. Ach tak, wiem co pani chce powiedzieć; zupełna racja, ale kiedy oni jednak bajecznie są zabawni ze swym patriotyzmem. Już pani odchodzi? Tak tu ładnie na terasie.

- Trzeba wracać! Czy to mój szal? Dziękuję.

Podniósł z ziemi szal, a podając go spojrzął na nią oczyma szeroko rozwartymi, błękitnymi i niewinnymi jak niezabudki nad strumieniem.

- Wiem, że pani czuje się dotknięta - rzekł z miną skruszoną - iż drwiłem trochę z tej woskowej lalki, ale co począć z takim stworzeniem?

- Skoro mnie pan pyta, to powiem, że uważam za rzecz nie szlachetną, a nawet... za tchórzostwo podobne wyśmiewanie ludzi umysłowo niższych. To tak... jakby się ktoś naśmiewał z kaleki lub...

Raptownie i boleśnie zatamowało mu oddech; cofnął się rzucając spojrzenie na swą kulawą nogę i okaleczoną rękę. Ale natychmiast odzyskał równowagę i wybuchnął śmiechem.

- Wcale niestosowne porównanie, signora, bo my, kaleki, nie narzucamy ludzkim oczom swych ułomności, tak jak oni swą głupotę. A przynajmniej, przyzna pani, że staramy się zrozumieć, iż garb nie jest milszy od głupoty. Tu są schodki; czy mogę służyć ramieniem?

Wróciła do salonu w krępującym milczeniu; niespodziewana jego drażliwość do reszty ją rozstroiła.

Zaledwie otworzył drzwi wielkiego salonu, poznała natychmiast, że pod jej nieobecność zaszło coś niezwykłego. Większość mężczyzn miała miny gniewne lub zakłopotane. Panie z gorączkowymi wypiekami na policzkach i siląc się na chłodną obojętność skupiły się wszystkie w jednym kącie salonu. Gospodarz przecierał okulary ze źle ukrywanym gniewem, a mała grupa turystów stała na uboczu, rzucając rozbawione spojrzenia w przeciwny koniec pokoju. Widocznie działo się tu coś, co oni uważali za żart, a przeważna część towarzystwa za obelgę. Jedna tylko signora Grassini zdawała się nic nie dostrzegać; kokieteryjnie składając i rozkładając swój wachlarz szczebiotała do sekretarza ambasady holenderskiej, który słuchał z szerokim uśmiechem na twarzy.

Gemma przystanęła na chwilę w drzwiach i odwróciła się do Szerszenia, by zobaczyć, czy on także zauważył ogólne zmieszanie towarzystwa. Wyraźny błysk złośliwego triumfu zamigotał w jego źrenicach, gdy szybkim spojrzeniem objął niczego nieświadomą twarz gospodyni, a następnie sofę w najdalszym rogu salonu. Zrozumiała w okamgnieniu, że pod jakimś fałszywym nazwiskiem wprowadził tu swą utrzymankę, nie zdoławszy jednak wywieść w pole nikogo prócz signory Grassini.

Cyganka siedziała wsparta o poduszki sofy, otoczona grupką przemądrzałych dandysów i uprzejmie ironicznych oficerów. Jej strój żółto-szkarłatny, wschodni przepych barw i nadmiar ozdób odcinały się jaskrawo od tła literackiego salonu, jak egzotyczny ptak od stadka wróbli i szczygłów. Ona sama zdawała się czuć na nieodpowiednim miejscu i patrzyła na obrażone damy z gniewem i pogardą.

Dostrzegłszy Szerszenia wchodzącego z Gemmą zerwała się i podbiegła ku niemu, obsypując go potokiem słów w łamanej francuszczyźnie.

- Panie Rivarez, wszędzie pana szukam. Księżę Sałtykow pragnie wiedzieć, czy może pan do niego przyjść jutro wieczór. Będą tańce.

- Żałuję, że nie mogę pójść; zresztą nie mógłbym tańczyć, chociażbym poszedł. Signora Bolla, pozwoli pani przedstawić sobie panią Zitę Reni.

Cyganka spojrzała na Gemmę na w pół wyzywająco i sztywno się skłoniła. Tak, była bardzo przystojna, tą specjalną urodą, zwierzęcą, bez wyrazu, a doskonała harmonia i swoboda jej ruchów była istotnie zachwycająca; lecz czoło miała niskie i wąskie, a linia delikatnych nozdrzy była niesympatyczna, prawie okrutna.

Przykre wrażenie, jakiego Gemma doznała w towarzystwie Rivareza, spotęgowała jeszcze obecność Cyganki i gdy w chwilę potem gospodarz przyszedł prosić signorę Bolla, by mu pomogła bawić kilku turystów w przyległym salonie, wyszła z nim z dziwnym uczuciem ulgi.

- I cóż madonna sądzi o Szerszeniu? - pytał ją Martini, gdy późną nocą wracali do Florencji. - Czy ktoś kiedy słyszał o takiej bezczelności, jak ośmieszanie tej biednej głupiej Grassini?

- Przez wprowadzenie do jej salonu baletnicy?

- Tak, wmówił w nią, że dziewczyna stanie się lwicą tegorocznego sezonu. A signora Grassini zrobiłaby nie wiadomo co dla pozyskania znakomitości.

- Uważam to za postępek złośliwy i nieuczciwy; Grassinich postawił w fałszywej pozycji, a wobec tej dziewczyny było to niemal okrucieństwo. Jestem pewna, że bardzo źle się czuła w tym towarzystwie.

- Rozmawiałaś z nim, prawda? I cóż o nim sądzisz?

- Och, Cezarze, ja nic o nim nie sądzę poza tym, że byłam szczęśliwa, gdy się go pozbyłam. Nigdy w życiu nie spotkałam człowieka tak strasznie irytującego. W ciągu dziesięciu minut dostałam bólu głowy. Istne uosobienie demona niepokoju.

- Wiedziałem, że nie będzie ci się wydawał sympatyczny, a prawdę mówiąc, mnie on się również nie podoba. To człowiek śliski jak węgorz, nie mam do niego zaufania.

ROZDZIAŁ III

Szerszeń wynajął mieszkanie za Bramą Rzymską, w pobliżu mieszkania Zity. Najwidoczniej miał w sobie coś z sybaryty i choć nie było w jego mieszkaniu nic nadzwyczajnego, to jednak w całym urządzeniu i różnych drobiazgach czuło się wytworność gustu i zamiłowanie do zbytku, co zarówno Gallego, jak Riccarda wprawilo w zdumienie. Spodziewali się, że człowiek, który żył w dzikich okolicach Amazonki, będzie prostszy w swych upodobaniach, i dziwili się jego nienagannym krawatom, długiemu szeregowi trzewików i mnóstwu kwiatów stale zdobiących jego biurko. W ogólności jednak pozostawali z nim na bardzo dobrej stopie. Dla wszystkich był gościnny i uprzejmy, zwłaszcza dla miejscowych członków stronnictwa Mazziniego. Jedna tylko Gemma stanowiła w tej regule wyjątek; od pierwszego zetknięcia zdawał się czuć do niej pewną niechęć i wyraźnie unikał jej towarzystwa. Dwa czy trzy razy okazał się dla niej wprost szorstki ściągając na siebie najgłębszą wzgardę Martiniego. Ci dwaj od pierwszej chwili nie okazywali sobie sympatii; mieli temperamenty zbyt różne, by mogli czuć dla siebie coś innego niż niechęć, która u Martiniego przeobrażała się niemal w nienawiść.

- Nic sobie z tego nie robię, że mnie nie lubi - mówił pewnego dnia do Gemmy wyraźnie urażony. - Zresztą ja go równie nie lubię, więc odplącamy sobie równą miarką. Nie mogę jednak znieść jego postępowania wobec ciebie. Gdyby nie to, że nie chciałbym w partii robić skandalu zaczepiając człowieka, którego tu zaprosiliśmy, to musiałby mi za to odpowiedzieć.

- Ależ, Cezarze, daj mu spokój! Mnie tak niewiele obchodzi, a przy tym więcej w tym mojej winy niż jego.

- Twojej winy?

- W tym, że mnie tak nienawidzi. Powiedziałam mu coś brutalnego owego wieczora u Grassinich, gdy po raz pierwszy się z nim zetknęłam.

- Ty - i coś brutalnego! Madonno, trudno w to uwierzyć.

- Oczywiście, że zrobiłam to bezwiednie, lecz strasznie mi było przykro. Powiedziałem coś o ludziach wyśmiewających kaleki, a on to wziął jako przymówkę do siebie. Nie przyszło mi nawet na myśl uważać go za kalekę, nie jest przecież tak ułomny.

- Wcale nie. Ma wprawdzie jedno ramię wyższe, a u lewej ręki brak mu palców, ale nie jest ani garbaty, ani kulawy. Prawic nie znać, że utyka.

- Mimo to wzdrygnął się przy moich słowach i zbladł raptownie. Przyznaję, że popełniłam okropny nietakt, ale z drugiej strony dziwna jest ta jego drażliwość. Przypuszczam, że musiał dużo wycierpieć z powodu okrutnych żartów tego rodzaju.

- Sądzę raczej, że on sam się ich dopuszczał. Ten człowiek jest tak bezwzględny i brutalny, mimo całej delikatności w obejściu, że zetknięcie się z nim sprawia mi po prostu ból fizyczny.

- No, Cezarze, teraz stajesz się już niesprawiedliwy. Ja go tak samo nie lubię jak ty, ale po co czynić go gorszym niż jest? Jest rzeczywiście trochę afektowany i drażniący - sądzą, że zbyt był pusty jako lew salonowy - a te jego ciągłe dowcipy niesłychanie mnie męczą; poza tym jednak nie wierzę, by miał złe intencje.

- Nie wiem, jakie ma intencje, lecz wydaje mi się, że musi być coś niejasnego w życiu człowieka, który ze wszystkiego szydzi i drwi. Do reszty mnie już rozczarował podczas ostatniej debaty u Fabriziego, kiedy ośmieszał reformy Rzymu. Po prostu jakby wszędzie i zawsze musiał węszyć zgniliznę.

Gemma westchnęła. - Obawiam się, że w tym wypadku raczej się zgadzam z nim niż z tobą - rzekła. - Wy wszyscy, dobrodusznicy ludzie, jesteście pełni najrozkoszniejszych nadziei i oczekiwań. Niech tylko taki dżentelmen w średnim wieku, pełen dobrych intencji, zasiądzie na stolicy papieskiej, natychmiast spodziewacie się, że wszystko ulegnie zmianie samo przez się. Zaledwie otworzył bramy więzienia i udzielił wszystkim wokół swego błogosławieństwa, a już się łudzicie, że w ciągu trzech miesięcy raj nastanie na ziemi. Nie możecie po prostu zrozumieć, że on nie jest w stanie wielu kwestii rozwiązać, gdyby nawet chciał. Zło tkwi w samej zasadzie, a nie w postępowaniu tego lub owego człowieka.

- W jakiej zasadzie? Świeckiej władzy papieża?

- Czemu tylko w tym? Wszak to tylko drobna cząstka zła ogólnego. Zło zasady na tym polega, że w ogóle jeden człowiek posiada nad drugim moc wiązania i rozwiązywania. To stwarza fałszywy stosunek człowieka do jego bliźnich.

Martini podniósł ręce do góry.

- Dość już, madonno! - zaśmiał się. - Nie mogę z tobą dyskutować, skoro mówisz jak zawzięta antynomianka³². Jestem pewny, że twoi przodkowie byli w XVII wieku lewellerami³³. Zresztą przyszedłem dziś w sprawie tego oto rękopisu.

Wyrwał go gniewnie z kieszeni.

- Jakiś nowy pamflet?

- Głupia rzecz, którą ten przekłety Rivarez przysłał wczoraj na ręce komitetu. Wiedziałem, że wcześniej czy później przyjdzie do starcia z nim.

- Co się znów stało? Cezarze, mówiąc szczerze, jesteś zbyt uprzedzony. Rivarez może być niesympatyczny, ale nie jest głupi.

- Ach, wcale nie przeczę, że jest to na swój sposób dowcipne, ale proszę, przeczytaj sama.

Pamflet był satyrą na gorący entuzjazm rozbrzmiewający dotąd we Włoszech na cześć nowego papieża. Jak wszystko pióra Szerszenia był gorzki i mściwy; choć jednak zirytował ją styl utworu, Gemma musiała w głębi duszy uznać słuszność krytyki.

- Zgadzam się z tobą, że jest to napisane w sposób potwornie złośliwy - rzekła odkładając rękopis. - Ale najgorsze ze wszystkiego, że od początku do końca prawdziwe.

- Gemmo!

- A jednak tak jest. Ten człowiek jest zimnym węgorzem, jeśli chcecie, lecz trafił w sedno sprawy. Na nic nie zda wmawiać w siebie, że tak nie jest, skoro jest!

- Więc byłabyś za tym, by to drukować?

- Ach, to inna sprawa. Oczywiście, że nie głosowałabym za wydrukowaniem w formie obecnej; zbyt wielu ludzi by to zraziło i dotknęło, nie przynosząc korzyści. Gdyby jednak zechciał przerobić i skreślić wycieczki osobiste, uważałabym to za rzecz bardzo cenną. Jako krytyka polityczna jest znakomite. Nie miałam wyobrażenia, że on tak dobrze pisze. Wypowiada rzeczy, które powinny być wypowiedziane, a których nikt z nas nie ma odwagi poruszyć. Ustęp, gdzie porównuje Włochy do pijaka wylewającego łzy rozczulenia na szyi złodzieja, który mu wypróżnia kieszenie, jest świetny.

³² Antynomianie - sekta utrzymująca, że prawo moralne nie jest obowiązujące, bo sama tylko wiara wystarcza do zbawienia.

³³ Lewellerzy - ugrupowanie wolnych chłopów, stanowiące radykalny nurt burżuazyjnej rewolucji angielskiej XVII wieku.

- Gemmo! Toż to najzjadliwsze z całej satyry. Nienawidzę tego zacieklego ujadania na wszystko i wszystkich!

- Ja również, lecz nie o to chodzi. Rivarez ma styl bardzo niemiły, a jako człowiek również nie jest pociągający; ale gdy mówi, że upoił się tymi ciągłymi procesjami, serdecznościami i wykrzykiwaniem na wszystkie strony o miłości i pojednaniu, z czego korzystają jezuici, sanfedyci i kto tylko zechce, to w tym wszystkim ma po stokroć rację. Żałuję, że nie byłam na wczorajszym posiedzeniu komitetu. Co ostatecznie postanowiono?

- Z tym właśnie przychodzę, prosić cię, byś poszła do niego i starała się go skłonić do złagodzenia tej rzeczy.

- Ja? Ależ ja go prawie nie znam, zresztą on mnie nie cierpi. Czemu właśnie ja mam pójść do niego?

- Po prostu dlatego, że nikt inny tego dziś zrobić nie może.

Przy tym jesteś rozsądniejsza niż ktokolwiek z nas i nie wdasz się z nim w pustą argumentację lub sprzeczkę, jak my.

- Tak, tego z pewnością nie zrobię. Dobrze więc, pójdę, skoro żądacie, choć nie obiecuję sobie pomyślnego wyniku.

- Jestem pewny, że zdołasz go skłonić, jeśli tylko zechcesz.

Aha! Powiedz mu jeszcze, że cały komitet zachwycił się jego satyrą z literackiego punktu widzenia. To go wprawi w dobry humor. Zresztą tak było istotnie.

Szerszeń siedział przy stole pełnym kwiatów i paproci, w głębokiej zadumie, z oczyma wlepionymi w podłogę. Rozpieczętowany list leżał na jego kolanach.

Kudłaty owczarek, spoczywający na macie u jego stóp, podniósł głowę i warknął na Gemmę pukającą do otwartych drzwi. Szerszeń zerwał się szybko i złożył sztywny, ceremonialny ukłon. Twarz jego przybrała wyraz twardy i obojętny.

- Bardzo pani łaskawa - rzekł tonem jak najbardziej lodowatym. - Gdyby mnie pani była zawiadomiła, że chce się ze mną rozmówić, byłbym się stawiał.

Czując, że najwidoczniej pragnęłaby ją widzieć o sto mil stąd, Gemma co szybciej wyłuszczyła, z czym przychodzi. Skłonił się ponownie i podał jej krzesło.

- Komitet polecił mi przyjść do pana - zaczęła - gdyż istnieje pewna różnica poglądów w sprawie pańskiego artykułu.

- Spodziewałem się tego. - Uśmiechnął się i usiadł naprzeciw niej, ustawiając ogromną wazę chryzantem pomiędzy swą twarzą a światłem.

- Większość członków gorąco podziwiając literacką stronę satyry wyraziła zdanie, że w obecnej swej formie niezupełnie nadaje się do druku. Obawiają się, że gwałtowność tonu mogłaby dotknąć i zniechęcić ludzi, na których pomocy i życzliwości stronnictwu zależy.

Wyjął z wazy chryzantemę i zaczął powoli oskubywać białe płatki, jeden po drugim. Zauważywszy bezwiednie ruch jego delikatnej ręki, obrywającej jeden po drugim płatki kwiatu, Gemma doznała nagle dziwnego uczucia niepokoju, jak gdyby już gdzieś kiedyś widziała ten sam gest.

- Literacka strona - zauważył swym miękkim, chłodnym głosem - nie przedstawia żadnej wartości i mogła być podziwana jedynie przez ludzi nie mających najbliższego wyobrażenia o literaturze.

A co się tyczy wywołania obrazy i niechęci, to przecież w tym celu pisałem.

- Zupełnie to rozumiem. O to jednak chodzi, czy nie uczują się dotknięci ludzie, których pan nie zamierzał obrazić.

Wzruszył ramionami, wsuwając między zęby listek chryzantemy.

- Sądzę, że się pani myli - odparł. - Chodzi bowiem o to w jakim celu komitet mnie tu zaprosił? Myślałem, że dla zwalczania i ośmieszania jezuitów. Z tego zobowiązania wywiązuję się według moich sił.

- A ja mogę pana zapewnić, że nikt nie wątpi ani o pańskich zdolnościach, ani o dobrej woli. Komitet obawia się tylko, by partia liberalna nie uczuła się dotknięta, a także, by robotnicy miejscy nie cofnęli swej moralnej pomocy. Pan mógł uważać swój pamflet za atak na sanfedystów, lecz wielu czytelników może w nim widzieć napaść na Kościół i nowego papieża, a tego partia pragnęłaby uniknąć ze względów taktycznych.

- Zaczynam rozumieć. Dopóki chodzi o odłam kleru, z którym partia jest właśnie na nieprzyjaznej stopie, dopóty wolno mi mówić prawdę, jeśli mi przyjdzie ochota; gdy jednak dotknę księży popieranych przez komitet... Widzi pani: prawda jest to pies, którego korbaczem wyganiają do budy, gdy tymczasem... ojcu świętemu wolno przy kominie stać i...³⁴ Rozumie się, że muszę się giąć przed wolą komitetu, lecz

³⁴ Parafraza mowy błazna z „Króla Leara” Szekspira, akt I, scena IV. Autor chce przez to wyrazić, że prawda bywa tłumiona siłą, jeśli wymagają tego interesy ojca świętego.

nie przestanę myśleć, że komitet rozdzielił swój dowcip jak jajko na dwie połowy, pozostawiając środek m...mon,..-signorowi M...m...montan...n...ellemu³⁵.

- Montanellemu? - powtórzyła Gemma. - Mówi pan o biskupie Brisighelli?

- Tak, nowy papież mianował go właśnie kardynałem. Otrzymałem list dotyczący jego osoby. Czy pani chce posłuchać? Autor listu jest moim przyjacielem po drugiej stronie granicy.

- Papieskiej?

- Tak. Oto co pisze... - Wziął list, który trzymał w ręku, gdy wchodziła, i zaczął go odczytywać, gwałtownie się jękając:

B...będziecie mieli r...rychło prz...przyjemność p...-po.. .poznania jednego z naszych n..... najgorszych wrogów, k...kardynała Lorenza M...m...montanellego, b...b...biskupa Brisighelli. Z...am...

Urwał, zamilkł na chwilę, po czym czytał znów bardzo powoli, nieznośnie przewlekając sylaby, lecz nie zacinając się jak poprzednio:

Zamierza w przyszłym miesiącu objechać Toskanię w misji pojednawczej. Będzie wygłaszał kazania najpierw we Florencji, gdzie zabawi trzy tygodnie, następnie w Sienie i Pizie, wróci zaś do Romanii przez Pistoję. Należy widocznie do liberalnej partii Kościoła i jest osobistym przyjacielem papieża i kardynała Ferettiiego³⁶. Za Grzegorza postradał łaski i był trzymany w jakiejś dziurze w Apeninach. Teraz jednak wypłynął na samo czoło. Rozumie się, że chodzi na pasku jezuitów, jak każdy sanfedysta. Ta misyjna podróż została podsunęta przez któregoś z przywódców jezuitów, bo jest jednym z najświetniejszych mówców Kościoła i w swoim rodzaju niemniej szkodliwy niż sam Lambruschini. Zadaniem jego jest podtrzymywać powszechny entuzjazm dla papieża i trzymać na uwadze uwagę publiczną aż do chwili podpisania przez wielkiego księcia projektu, który właśnie przygotowują ajenci jezuitów. Co projekt ten zawiera, dotąd odkryć nie mogłem.

A oto ustęp:

Czy Montanelli wie, w jakim celu go wysyłają do Toskanii, czy też służy jezuitom za igraszkę, dociec nie możemy. Najdziwniejsze jest to, że o ile ja zdołałem zbadać, nie bierze łapówki i nie ma kochanek... po raz pierwszy zetknąłem się z czymś podobnym.

³⁵ Szekspir „Król Lear”, akt I, scena IV: „Oberwałś swój rozum z obu stron i nic nie pozostawiłeś pośrodku”.

³⁶ Kardynał Feretti- zaufany współpracownik Piusa IX.

Odłożył list i patrzył na nią na półprzymkniętymi oczyma, czekając widocznie, by coś powiedziała.

- Czy jest pan pewny ścisłości tych informacji? - spytała po chwili.

- Co do nieskazitelności prywatnego życia mon signora M...mont...tan...nellego? Nie; lecz mój informator również nie ma pewności. Jak pani zauważyła, pisze z zastrzeżeniem: „o ile ja zdołałem zbadać...”

- Nie o tym mówię - przerwała chłodno - lecz o owej projektowanej misji.

- Najzupełniej ufam piszącemu. Stary mój przyjaciel... jeden z towarzyszy z 1843 roku, posiadający wyjątkową sposobność śledzenia tych spraw³⁷.

Jakiś urzędnik przy Watykanie - szybko pomyślała Gemma. - Więc ma takie stosunki? Domyślałam się czegoś podobnego.

- List ten jest oczywiście tajemnicą prywatną i pani rozumie, że treść jego ma pozostać w najściślejszym obrębie komitetu.

- To się rozumie samo przez się. A co się tyczy satyry: czy mogę powiedzieć komitetowi, że pan zgadza się na pewne zmiany i złagodzenie formy, czy też...

- Czy pani nie sądzi, że owe zmiany łagodząc gwałtowność tonu zepsują także „kompozycję literacką”?

- Pan pyta o mój sąd osobisty, ja zaś przyszedłam tutaj jako rzeczniczka całego komitetu.

- Czy mam z tego wnioskować, że p...pani nie zgadza się z ogółem komitetu? - Wetknął list do kieszeni; przechyliwszy się ku niej spoglądał na nią z wyrazem zaciekawienia i skupienia, który w jednej chwili zmienił całą jego twarz. - Czy pani sądzi...

- Jeśli panu zależy na moim zdaniu, to muszę wyznać, że nie zgadzam się z większością komitetu ani co do jednego, ani co do drugiego punktu. Nie zachwyca mnie wcale literacką stroną pamfletu, lecz uważam go za wierne przedstawienie faktów i rozsądne ze stanowiska taktyki.

- To znaczy...

- Zgadzam się z panem, że Włochy dały się wywieść na ma nowce przez błędne ogniki i że cały ten entuzjazm i radość zaprowadzą je w straszne bagno; najgoręcej bym też pragnęła, by to zostało wypowiedziane jasno i otwarcie, nawet za cenę zrażenia sobie lub dotknięcia obecnych naszych sprzymierzeńców. Jednakże jako

³⁷ W 1843 roku wybuchło powstanie pod wodzą braci Muratori.

członek stowarzyszenia, którego większość jest przeciwnego zdania, nie mogę upierać się przy swych poglądach osobistych. Poza tym sędzę, że skoro rzeczy tego rodzaju muszą być wypowiedziane, to należy je wypowiedzieć z umiarkowaniem i spokojem, nie zaś tonem jakim się pan posługiwał.

- Zechce pani chwileczkę zaczekać, bym przejrzał rękopis?

Wziął manuskrypt i szybko przebiegł go oczyma. Zmarszczka niezadowolenia ukazała się na jego czole.

- Tak, oczywiście, ma pani zapewne rację. To jest napisane jak pamflet z *café chantant*³⁸, a nie jak satyra polityczna. Ale co począć? Poważnej rzeczy publiczność nie zrozumie, znudzi się, gdy nie znajdzie dość złośliwości.

- Nie sądzi pan, że złośliwość gotowa się stać nudna, gdy nas nią obdarzają w nadmiarze?

Rzucił jej bystre spojrzenie i wybuchnął śmiechem. - Już widzę, że signora należy do tej strasznej kategorii ludzi mających zawsze słuszość. Jeśli więc ulegnę pokusie i pozostanę złośliwy, to z czasem mogę się stać tak nudny jak signora Grassini? Wielkie nieba, cóż za los! Nie, proszę się nie marszczyć. Wiem, że mnie pani nie lubi, ale wracam już do interesów. Otóż praktycznie rzecz się przedstawia następująco: jeśli wykreślę nazwiska, a pozostawię zasadniczą część satyry, komitet wyrazi głęboki swój żal, że nie może wziąć odpowiedzialności za wydrukowanie. Jeśli zaś wykreślę prawdę polityczną, a powsuwam nazwiska samych przeciwników partii, komitet będzie sławił taką rzecz pod niebiosami, ale pani i ja będziemy wiedzieć, że rzecz ta niewarta jest druku. I oto zagadnienie metafizyczne: co jest bardziej pożądane - drukować rzecz niegodną druku czy nie drukować rzeczy godnej druku? I cóż, signora?

- Nie zdaje mi się, by pan był krępowany taką alternatywą. Jeśli pan wykreśli nazwiska, komitet zgodzi się na wydrukowanie, choć większość będzie się sprzeciwiać; no i jestem przekonana, że przyniesie to wielką korzyść. Tylko musi się pan wyzbyć swej złośliwości. Jeśli pan ma do powiedzenia rzecz, która treściowo jest trudna do przełknięcia, to po co już z góry straszyć czytelnika samą formą utworu?

Westchnął i wzruszył ramionami z wyrazem rezygnacji.

- Poddaję się, signora, lecz pod jednym warunkiem: jeśli teraz nie pozwolicie mi się śmiać, muszę sobie to wynagrodzić w przyszłości. Gdy jego świątobliwość

³⁸ Café chantant (fr.) - kawiarnia, w której odbywają się produkcje kabaretowe.

nieskazitelny kardynał ukaże się we Florencji, ani pani, ani komitet nie zabronicie mi wyładować całego zasobu mej złośliwości. To będzie moja rekompensata!

Powiedział to swym najswobodniejszym i najchłodniejszym tonem, wyjmując z wazy chryzantemy i obserwując w świetle przezroczyście ich płateczki.

Jakąż on ma drżącą rękę - pomyślała widząc, jak kwiaty chwieją się i słaniają. - Przecież nie jest chyba alkoholikiem!

- Lepiej będzie, gdy pan omówi tę sprawę z innymi członkami komitetu - rzekła wstając. - Nie mogę wiedzieć, jak się na to będą zapatrywać.

- A pani? - Wstał także i wsparty o stół przyciskał do twarzy pęk kwiatów.

Zawahała się. Pytanie to przejęło ją nagłym smutkiem rozbudzając dawne, przykre wspomnienia.

- Ja... sama nie wiem - rzekła wreszcie. - Przed wielu laty tu i ówdzie słyszałam coś o monsignorze Montanellim. Wówczas był dopiero kanonikiem i dyrektorem seminarium teologicznego na prowincji, gdzie mieszkałam będąc jeszcze dziewczyną. Wtedy słyszałam o nim wiele od... kogoś, kto go znał bardzo blisko, nie słyszałam jednak nigdy nic ujemnego. Jestem też przekonana, że wówczas był niewątpliwie człowiekiem bardzo niezwykłym. Ale to tak dawno, mógł się zmienić. Władza bez odpowiedzialności psuje tak wielu ludzi.

Szerszeń podniósł głowę znad kwiatów i spojrzał na nią poważnie.

- Bądź co bądź - rzekł - jeśli monsignor Montanelli nie jest sam nicponiem, jest narzędziem w nieuczciwych rękach. Dla mnie to wszystko jedno, a także dla moich przyjaciół po tamtej stronie granicy. Kamień leżący na ścieżce może mieć najlepsze intencje, lecz mimo to musi być ze ścieżki usunięty. Pani pozwoli!

Zadzwoił i utykając odprowadził ją do drzwi, otwierając je do wyjścia.

- Signora była bardzo łaskawa odwiedzając mnie. Czy posłać może po dorożkę? Nie? Więc do widzenia! Bianco, proszę otworzyć drzwi od korytarza!

Gemma wyszła na ulicę w trwożnej zadumie.

„Moi przyjaciele po tamtej stronie granicy”. Kto oni? I co znaczy: „usunąć ze ścieżki kamień?” Jeśli to tylko przenośnia, dlaczego powiedział to z takim niebezpiecznym błyskiem oczu?

ROZDZIAŁ IV

Monsignor Montanelli przybył do Florencji w pierwszych dniach października. Przyjazd jego wprawił całe miasto w lekkie podniecenie. Był głośnym kaznodzieją i przedstawicielem zreformowanego papieżstwa, toteż z upragnieniem oczekiwano z jego ust „nowej nauki”, ewangelii miłości i pojednania, mającej uleczyć cierpienia Włoch. Mianowanie kardynała Gizziiego sekretarzem państwa kościelnego na miejsce ogólnie znienawidzonego Lambruschiniego spotęgowało zapal publiczny do najwyższego stopnia, a Montanelli był właśnie tym, który z największą łatwością mógł utrzymać ów entuzjazm w stanie napięcia. Nieskazitelna czystość jego życia była zjawiskiem dostatecznie rzadkim wśród dygnitarzy Kościoła, by ściągnąć nań uwagę narodu przyzwyczajonego uważać wyzysk, łapówki i intrygi za nieodstępne atrybuty kariery prałata. Prócz tego miał istotnie wielki talent kaznodziejski, a dzięki cudownemu głosowi i niezwykle pociągającej osobowości musiałby się wybić na czoło wszędzie i zawsze.

Grassini, jak zwykle, czynił wszelkie możliwe zabiegi w celu ściągnięcia do swego domu nowo przybyłej znakomitości, lecz Montanelli nie był łatwą zdobyczą. Na wszystkie zaproszenia odpowiadał tą samą uprzejmą, lecz stanowczą odmową, tłumacząc się wątłym zdrowiem i brakiem czasu.

- Cóż to za zachłanni ludzie ci Grassini! - z oburzeniem mówił Martini do Gemmy, gdy w chłodny, lecz pogodny ranek niedzielny przechodzili skwerem Signoria. - Zauważyłaś, jak Grassini zgiął się we dwoje składając ukłon przejeżdżającej karecie kardynała? Im wszystko jedno, jaki człowiek, aby tylko o nim mówiono. W życiu nie spotkałem podobnych łowców znakomitości. W sierpniu był Szerszeń, a teraz Montanelli. Sądzę, że jego eminencja czuje się uszczęśliwiony tymi względami, które dzieli bądź co bądź ze sporą bandą awanturników.

Wracali właśnie z kazania Montanellego. Wielka katedra tak była zapchana ciekawymi słuchaczami, że Martini, w obawie, by Gemma nie nabawiła się znów swego dawnego, przykrego bólu głowy, zdołał ją nakłonić do wyjścia przed zakończeniem nabożeństwa. Słoneczny ranek, pierwszy po całotygodniowej słońce, posłużył mu za usprawiedliwienie prośby, by przeszli się razem za miasto.

- Nie - odparła - chętnie przejdę się z tobą, jeśli masz czas, ale nie ku wzgórzom. Chodźmy wzdłuż brzegu Arno; Montanelli będzie tędy wracał z kościoła, a ja jestem podobna do Grassinich - łaknę widoku wielkości.

- Widziałas go przecież przed chwilą.

- Niedokładnie. Taki był ścisk w katedrze, a gdy przejeżdżał, był od nas odwrócony. Stańmy blisko mostu, to go zobaczymy, mieszka na Lungarno.

- Ale skąd ci nagle przysła fantazja zobaczenia Montanellego? Nigdy nie zwracałaś uwagi na sławnych kaznodziejów.

- Nie chodzi mi o sławnego kaznodzieję, lecz o człowieka. Chcę zobaczyć, czy bardzo się zmienił od czasu, gdy go widziałam po raz ostatni.

- Kiedy to było?

- W dwa dni po śmierci Artura.

Martini rzucił na nią trwożne spojrzenie. Wpatrywała się w fale Arno wzrokiem bezprzytomnym, z wyrazem twarzy, którego tak bardzo u niej nie lubił.

- Gemmo, moja droga - rzekł po chwili - daj spokój tym okropnym myślom dręczącym cię całe życie. Każdy z nas popełnił jakąś omyłkę mając lat siedemnaście.

- Nie każdy zabił najdroższego swego przyjaciela mając lat siedemnaście - odparła głosem zgnębionym i oparłszy się o kamienną balustradę mostu wlepiła oczy w rzekę. Martini zamilkł; obawiał się mówić do niej, gdy była w podobnym usposobieniu.

- Ilekroć patrzę na wodę, muszę o tym myśleć - rzekła, z wolna podnosząc nań oczy; następnie, drżąc lekko, dodała: - Chodźmy, Cezarze, chłodno tak stać w miejscu.

W milczeniu przeszli mostem na drugi brzeg rzeki. Po kilku minutach znów zaczęła mówić:

- Jaki ten człowiek ma cudowny głos! Jest w nim coś dziwnie pociągającego, czego nie słyszałam w żadnym innym głosie. Sądzę, że temu należy przypisać połowę jego wpływu.

- Tak, prześliczny ma głos - potwierdził Martini, skwapliwie podejmując temat mogący odwieść jej myśli od strasznych wspomnień rozbudzonych widokiem rzeki. - Ale pomijając głos, uważam go za najświetniejszego ze znanych mi kaznodziejów. Sądzę jednak, że tajemnicy jego wpływu należy szukać głębiej. Ja przypisuję ją jego życiu tak zgoła różnemu od życia innych prałatów. Wątpię, czy w obrębie całego Kościoła rzymskiego znalazłby się bodaj jeden jeszcze wysoki dostojnik - z wyjątkiem

papieża - o reputacji tak bezwzględnie czystej. Przypominam sobie, że gdy zeszłego roku będąc w Rumunii przejeżdżałem przez jego diecezję, tamtejsi butni górale wystawali na deszczu, by tylko zobaczyć go przelotnie lub dotknąć rąbka jego szaty. Czczą go tam wszyscy jak prawdziwego świętego, a to wiele znaczy w owych stronach, gdzie ludność wprost nienawidzi widoku sutanny. Zauważyłem w rozmowie z jednym starym wieśniakiem - najbardziej typowym przemytnikiem, jakiego w życiu widziałem - że ludność zdaje się być bardzo przywiązana do swego biskupa, na co mi odpowiedział: „Nie lubimy biskupów, bo to kłamcy, ale kochamy monsignora Montanellego. On nigdy w życiu nie skłamał ani nie popełnił niesprawiedliwości”.

- Ciekawam - rzekła Gemma na wspólnie do siebie - czy też on wie, co o nim myślą.

- Czemu nie miałyby wiedzieć? Sądzisz, że to nie jest prawdą?

- Wiem, że nie jest prawdą.

- Jak możesz wiedzieć?

- Ponieważ mi sam powiedział.

- On ci powiedział? Montanelli? Gemmo, co ty mówisz?

Odgarnęła włosy z czoła i zwróciła się ku niemu. Znow przystanąli; on wsparty o balustradę, ona powoli rysując na bruku zygzaki końcem swej parasolki.

- Cezarze, tyle lat byliśmy w przyjaźni, a dotąd ci nic powiedziałam, co naprawdę zaszło między mną a Arturem.

- Droga moja, to całkiem zbyteczne - przerwał pośpiesznie - wiem już wszystko.

- Giovanni ci powiedział?

- Tak, niedługo przed śmiercią. Pewnej nocy, gdy przy nim czuwałem. Powiedział... Gemmo, moja droga, sądzę, że skorośmy już zaczęli, to lepiej powiedzić ci od razu całą prawdę. Otóż, mówił mi, że ciągle myślisz o tej okropnej historii, i błagał, bym był twoim przyjacielem i starał się odpędzić od ciebie te myśli. I starałem się ze wszystkich sił, choć mi się nie udało...

- Tak, byłeś mi przyjacielem - rzekła łagodnie, na chwilę podnosząc oczy - nie wiem, co by się ze mną stało bez twojej przyjaźni. Ale... czy Giovanni mówił ci także o monsignorze Montanellim?

- Nie, nie wiedziałem, że on pozostaje w jakimkolwiek związku z tym wszystkim. Giovanni mówił mi tylko o... całej tej aferze szpiegowskiej i o...

- O tym, że uderzyłam Artura w twarz i że się utopił. Otóż ja ci jeszcze opowiem o Montanellim.

Zawrócili znów w kierunku mostu, którym miał przejeżdżać kardynał. Gemma mówiąc miała oczy stale utkwione w rzekę.

- W owych czasach Montanelli był kanonikiem i dyrektorem seminarium teologicznego w Pizie. Arturowi udzielał lekcji filozofii i czytywał z nim, gdy był on już na uniwersytecie. Ogromnie byli do siebie przywiązani; bardziej jak zakochani niż jak nauczyciel i uczeń. Artur czcił wprost ślady stóp Montanellego, a raz, przypominam sobie, powiedział, że gdyby utracił swego „ojca” - tak nazywał Montanellego - natychmiast by się utopił... Tę historię szpiegowską już znasz. Nazajutrz ojciec mój i Burtonowie - przyrodni bracia Artura, wstrętne kreatury - spędzili cały dzień na szukaniu zwłok w Darsenie, a ja siedziałam sama w swym pokoju rozmyślając nad tym, co uczyniłam...

Zamilkła na chwilę, po czym znów zaczęła:

- Późnym wieczorem ojciec mój wszedł do pokoju i rzekł - Gemmo, zejdź na dół, czeka tam ktoś, z kim musisz się zobaczyć. - Gdy zeszłam do poczekalni ojca, zobaczyłam jednego ze studentów z naszego stowarzyszenia, był śmiertelnie blady i drżący. Opowiedział nam o drugim liście Giovanniego, napisanym z więzienia, w którym donosi, czego dowiedział się od dozorca o Cardim i o tym, jak ksiądz podszedł Artura przy spowiedzi. Pamiętam dokładnie słowa tego studenta. „Wiemy przynajmniej, że był niewinny”. Mój ojciec ujął mnie za rękę i starał się pocieszyć; nie wiedział o owym nieszczęsnym policzku. Całą noc przesiedziałam sama w swym pokoju. Rano ojciec znów wyszedł z Burtonami przeszukać port. Spodziewali się znaleźć tam zwłoki.

- Nie znaleziono?

- Nie, woda uniosła je niezawodnie do morza, ale oni myśleli, że może je przecież wyłowią. Byłam sama w pokoju, gdy służąca przyszła mi oznajmić, że jakiś *reverendissimo padre*³⁹ był u ojca; powiedziała mu, że ojciec jest w porcie, więc odszedł. Wiedziałam, że to musiał być Montanelli, wybiegłam więc tylną bramą i spotkałam go przy furcie ogrodu. Gdy rzekłam: „Kanoniku, chcę coś powiedzieć”, przystanął i czekał w milczeniu. Och, Cezarze, gdybyś widział jego twarz, przez kilka miesięcy strach mnie zdejmował na samo wspomnienie!... Powiedziałam: „Jestem córką doktora Warrena i przyszedłam powiedzieć, że to ja zabiłam Artura”. Wszystko

³⁹ reverendissimo padre (wł.) - przewielebny ojciec.

mu wyznałam, a on stał i słuchał jak posąg kamienny, dopóki nie skończyłam, po czym rzekł: „Uspokój się, moje dziecko, to ja jestem jego mordercą, nie ty. Oszukałem go, a on to odkrył”. Po tych słowach odwrócił się i w milczeniu wyszedł przez bramę.

- A co potem?

- Nie wiem co się z nim później stało, słyszałam tylko tego samego wieczoru, że upadł na ulicy, podobno wskutek ataku serca, i że go zaniecono do jakiegoś domu w pobliżu doków; nic więcej już o nim nie wiem. Ojciec robił dla mnie, co tylko było w jego mocy, gdy mu wyznałam całą prawdę. Porzucił praktykę i wyjechał ze mną do Anglii, by w ten sposób usunąć ode mnie wszystko, co mogło budzić wspomnienia. Obawiał się, że ja również się utopię, i rzeczywiście przez pewien czas nosiłam się z myślą samobójstwa. Ale później, gdy jak wiesz okazało się, że ojciec ma raka... musiałam się opanować, bo nikt inny nie mógł go pielęgnować. A po jego śmierci trzeba się było zająć młodszym rodzeństwem, dopóki starszy brat nie zabrał małych do siebie. A potem znów Giovanni. Wiesz, gdy przybył do Anglii, nie mieliśmy wprost odwagi się spotkać, obarczeni tym strasznym wspomnieniem, jakie nas łączyło. On czuł tak okropne wyrzuty z powodu tego fatalnego listu pisanego z więzienia... Sądzę jednak, że właśnie to wspólne cierpienie zbliżyło nas do siebie.

Martini uśmiechnął się i przecząco potrząsnął głową.

- Może tak było z twojej strony - rzekł - ale Giovanni zawrócił sobie tobą głowę od pierwszego zetknięcia. Pamiętam, jak wrócił do Mediolanu po pierwszej bytności w Livorno i bezustannie o tobie opowiadał: aż się mi w głowie kręciło od tego ciągłego słuchania o Angielce Gemmie. Nienawidziłem cię prawie za to. Ach! jedzie...

Powóz skręcił od mostu ku wielkiemu domowi na Lungarno. Montanelli siedział wsparty o poduszki, zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na rozentuzjasmowane tłumy, które zgromadziły się koło bramy, by go zobaczyć bodaj przelotnie. Natchniony wyraz, jaki twarz jego miała w katedrze, przygasł zupełnie, natomiast w jasnym świetle słońca rysowały się wyraźnie ślady trudu i cierpienia. Gdy wysiadł z powozu i ciężkim, beznadziejnym krokiem znużonej, złamanej starości wchodził do domu, Gemma odwróciła oczy i powoli skierowała je w stronę mostu. Przez chwilę twarz jej zdawała się odzwierciedlać znużenie i rezygnację tamtego oblicza. Martini szedł obok niej w milczeniu.

- Tak często rozmyślałam - zaczęła po chwilowej przerwie - co on miał na myśli mówiąc, że oszukał Artura. I czasem przychodziło mi na myśl...

- Co?

- To takie dziwne, a jednak było między nimi uderzające podobieństwo.

- Między kim?

- Arturem i Montanellim. Nie tylko ja to zauważyłam. Przy tym w całej tej rodzinie było coś tajemniczego. Pani Burton, matka Artura, była jedną z najmiłszych kobiet, jakie spotkałam w życiu. Twarz jej miała ten sam uduchowiony wyraz co twarz Artura i zdaje mi się, że mieli ten sam charakter. Zawsze jednak wydawała się strwożona jak ścigany złoczyńca, a żona jej pasierba obchodziła się z nią tak, jak żaden przyzwoity człowiek nie obchodziłby się z psem.

Przy tym sam Artur stanowił uderzający kontrast z tymi wszystkimi ordynarnymi Burtonami. Rozumie się, że jako dziecku wszystko to wydawało mi się zupełnie naturalne, później jednak, patrząc wstecz, nieraz zadawałam sobie pytanie, czy Artur był istotnie synem Burtona.

- Być może, iż dowiedział się czegoś o matce i to pchnęło go do samobójstwa, nie zaś owa afera z Cardim - wtrącił Martini ofiarowując jedyną pociechę, na jaką mógł się w tej chwili zdobyć. Gemma potrząsnęła głową przecząco.

- Cezarze, gdybyś widział jego twarz w chwili, gdy go uderzyłam, nie mówiłbyś tego. To, co mi powiedział Montanelli, może być prawdą, bardzo możliwe... ale tego, co ja popełniłam nie da się odrobić.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Moja droga - rzekł nareszcie Martini - gdyby istniał jakikolwiek sposób cofnięcia czynów raz spełnionych, warto by rozmyślać nad dawnymi błędami, ale ponieważ tak nie jest, zostawmy umarłych w spokoju. Straszna historia, to prawda, ale biedny chłopiec skończył już ze wszystkim i lepiej mu niż niejednemu, co pozostał przy życiu - na wygnaniu lub w więzieniu. O nich musimy myśleć i ani ja, ani ty nie mamy prawa trwonić swych uczuć dla umarłych. Przypomnij sobie słowa waszego Shelleya⁴⁰: „Przeszłość należy do śmierci, przyszłość do ciebie”. Trzeba ją brać, dopóki jest nasza, w niej skupić wszystkie siły i nie myśleć o bólu zadanym przed tylu laty, lecz według sił uśmierzać ból obecny.

Głęboko przejęty, ujął jej rękę, lecz nagle puścił ją i cofnął się na dźwięk przewlekłego głosu, jaki doszedł go zza pleców.

- Monsignor Montan...n...nelli - mamrotał ten powolny głos - jest niewątpliwie takim, jakim go przedstawiacie, kochany doktorze. Istotnie, wydaje mi się wprost za

⁴⁰ Shelley Percy Byssbe (1792-1822) - Wybitny poeta angielski.

dobry dla tego świata; toteż należałoby go jak najgrzeczniej wyprawić na drugi. Jestem pewny, że w niebie wywołałby nie mniejsze wrażenie niż tutaj; pr...prawdopodobnie jest tam wiele dawno osiadłych duchów, które nigdy jeszcze nie widziały podobnie niezwykłego zjawiska jak ucziwy kardynał. A duchy niczego tak bardzo nie lękają jak nowości...

- Skąd o tym wiecie? - ozwał się doktor Riccardo tonem źle skrywanej irytacji.

- Z Pisma Świętego, kochany doktorze. Jeśli należy ufać ewangelii, to wiadomo przecież, że nawet najczcigodniejsze duchy okazywały sk...skłonność do zawierania związków najbardziej kapryśnych. A zdaje mi się, że ucziwość i k...k...kardynałowie to związek bardzo kapryśny, a nawet bardzo niestosowny, jak na przykład raki z lukrecją. Ach, signor Martini i signora Bolla! Przyjemne powietrze po deszczu, prawda? Czy państwo także słyszeli nowego S...Savonarolę⁴¹?

Martini szybko się odwrócił. Szerszeń z cygarem w ustach i egzotycznym kwiatem w butonierce wyciągnął ku niemu smukłą rękę w eleganckiej rękawiczce. Słońce odbijało się w jego starannie wyglansowanym obuwiu. Martini, odwróciwszy wzrok od migotliwej powierzchni wody, ujrzał nagle śmiejącą się twarz Szerszenia, który wydał mu się w tej chwili mniej kulawy, lecz bardziej afektowany niż zwykle. Podali sobie ręce, jeden z gestem życzliwym, drugi raczej pogardliwie, gdy nagle Riccardo zawołał:

- Signora Bolla! Czy pani słabo?

Była tak blada, że twarz jej w cieniu rzucanym przez kapelusz wyglądała jak martwa, a wstążka na szyi drżała najwidoczniej od gwałtownego bicia serca.

- Muszę wracać do domu - rzekła słabym głosem.

Przywołano dorożkę i Martini wsiadł z nią, by ją odwieźć do domu. Gdy Szerszeń zbliżył się, by poprawić płaszcz, który się osunął na koło powozu, i nagle spojrzął w jej oczy, Martini ujrzał, że drgnęła, jakby przerażona.

- Gemmo, co ci jest? - spytał po angielsku, gdy powóz ruszył. - Co ci ten łajdak powiedział?

- Nic, Cezarze, to nie jego wina. Ja... ja... się przeraziłam...

- Przeraziłaś się?

- Tak, zdawało mi się... - Przesłoniła oczy ręką, a on w milczeniu czekał, aż się uspokoi. Po chwili twarz jej odzyskała zwykły wygląd.

⁴¹ Savonarola Girolamo (1452-1498) - kaznodzieja florencki. Występował przeciw niemoralnemu życiu duchowieństwa i dostojników świeckich. W 1498 roku został powieszony i spalony jako kacerz.

- Masz słusność - rzekła nareszcie, zwracając się ku niemu i mówiąc głosem spokojnym - na nic się nie zda wracać do tej strasznej przeszłości. Szarpie nerwy i podsuwa wizje niemożliwe. Nigdy już nie będziemy o tym mówić, inaczej w każdej napotkanej twarzy będę się dopatrywać fantastycznego podobieństwa z Arturem. To rodzaj halucynacji, jakby zmora w jasny dzień. Wyobraź sobie, gdy ten wstrętny fircyk ukazał się nagle przed nami, wydawało mi się, że to Artur.

ROZDZIAŁ V

Szerszeń posiadał prawdziwy talent robienia sobie wrogów. Przybył do Florencji w sierpniu, a już z końcem października trzy czwarte członków komitetu, który go zaprosił, podzielało sąd Martiniego. Dzięki napaści na Montanellego zraziły nawet jego wielbicieli, a sam Galli, który początkowo pochwalał każde słowo i każdy postępek dowcipnego satyryka, zaczął przyznawać z miną zniechęconą, że Montanellego należy pozostawić w spokoju. Przyzwoity kardynał jest taką rzadkością, że gdy się raz pojawi, należy go traktować uprzejmie.

Jedynym człowiekiem, który pozostał obojętny wobec burzy karykatur i paszkwili, był sam Montanelli. Zdaje się, że Martini miał słusność twierdząc, iż nie warto zużywać tyle energii na ośmieszanie człowieka przyjmującego wszystko tak spokojnie. Opowiadano sobie na mieście, że kiedyś po obiedzie, którym podejmował arcybiskupa Florencji, Montanelli przeczytał jedną z najzłośliwszych satyr Szerszenia, skierowaną przeciw jego osobie, i podał gazetę arcybiskupowi mówiąc:

- Bardzo zręcznie napisane, prawda?

Pewnego dnia ukazało się ulotne pisemko z naczelnym artykułem *Tajemnica Zwiastowania*. Gdyby nawet piszący nie umieścił swego podpisu, tak dobrze znanego: szerszenia z rozpostartymi skrzydłami, to i tak gorzki, zjadliwy styl byłby większości czytelników ujawnił autora. Satyra napisana była w formie dialogu pomiędzy Toskanią, przedstawioną tu jako Najświętsza Panna, a Montanellim, który jako anioł z białą lilią w ręku, uwieńczony oliwną gałązką pokoju, zwiastuje przybycie jezuitów. Całość była naszpikowana aluzjami i przycinkami najbardziej uwłaczającymi i cała Florencja odczuła tę satyrę jako nieuczciwą i nieszlachetną. A jednak śmiało się całe miasto. W niesmacznych dowcipach Szerszenia było tyle humoru, że budziły śmiech niepowstrzymany zarówno u jego stanowczych przeciwników, jak u gorących

wielbicieli. Jakkolwiek wstrętny w tonie, paszkwil ten pozostawił jednak swój ślad na opinii publicznej. Osobista reputacja Montanellego zbyt była nieposzlakowana, by jakiś świstek, nawet najbardziej dowcipny, mógł jej przynieść ujmę; niemniej jednak pod pierwszym wrażeniem fala zwróciła się przeciw niemu. Szerszeń wiedział, gdzie ukąsić, i chociaż ciągle gromadziły się jeszcze przed mieszkaniem kardynała tłumy ludzi pragnących go ujrzeć, gdy wyjeżdżał lub wracał do domu, to jednak wśród okrzyków zapału i uwielbienia dawały się też słyszeć fatalne dysonanse, jak „Jezuita!”, „Szpieg sanfedystów!”.

Montanellemu nie zabrakło wszakże obrońców. W dwa dni po ukazaniu się owej satyry „Duchowny”, sztandarowy organ klerykałów, umieścił świetny artykuł zatytułowany: *Odpowiedź na tajemnicę Zwiastowania*, a podpisany „Syn Kościoła”. Artykuł zawierał płomienną obronę Montanellego, zbijającą oszczerczą napaść Szerszenia. Anonimowy autor, wyluszczywszy z wielką wymową i zapałem doktrynę pokoju na ziemi i dobrej woli względem ludzi, głoszoną przez nowego papieża, zakończył wezwaniem, by Szerszeń udowodnił bodaj jedno ze swych twierdzeń, i solennym apelem do publiczności, by nie dawała wiary haniebnemu potwarcy. Artykuł zarówno świetną obroną, jak i wytworną formą odbiegał tak bardzo od przeciętności dziennikarskiej, że rozbudził w mieście ogromne zainteresowanie, spotęgowane jeszcze tą okolicznością, że nawet sam redaktor nie domyślał się autora. Artykuł ten, przedrukowany osobno, krążył niebawem po całym mieście i w każdej kawiarni rozprawiano o bezimiennym obrońcy.

Szerszeń odpowiedział gwałtowną napaścią na nowy pontyfikat papieski i wszystkich jego stronników, zwłaszcza na Montanellego, dając z lekka do poznania, że to on sam zainicjował panegiryk na swoją cześć. Bezimienny obrońca zaprzeczył temu z oburzeniem w najbliższym numerze „Duchownego”. Przez cały czas pobytu Montanellego toczyła się szalona polemika między tymi dwoma pisarzami, interesując publiczność w wyższym jeszcze stopniu niż świetne kazania kardynała.

Niektórzy członkowie stronnictwa liberalnego odważyli się zwrócić Szerszeniowi uwagę na jego zbytnią złośliwość względem Montanellego, lecz nie osiągnęło to żadnego rezultatu. Uśmiechał się tylko życzliwie i odpowiadał przewlekłym swym tonem, lekko się jękając:

- D...doprawdy, panowie, to trochę niesprawiedliwe. Najwyraźniej sobie zastrzegłem, ustępując wówczas signorze Bolli, że będę się mógł raz trochę pośmiać. „Taki był układ!”

Z końcem października Montanelli powrócił do swej siedziby w Romanii, a przed wyjazdem z Florencji wygłosił kazanie pożegnalne, w którym wspomniął o toczącej się zacieklej polemice i strofując łagodnie obydwu przeciwników, prosił nieznanego swego obrońcę, by dał przykład tolerancji i zakończył zbyteczną a nieodpowiednią wojnę na słowa. Następnego dnia „Duchowny” zamieścił notatkę, że "na publicznie wyrażone życzenie monsignora Montanellego „Syn Kościoła” wycofuje się z dalszej polemiki.

Ostatnie słowo zostało więc przy Szerszeniu. Wydał ulotkę, w której oświadczył, że do tego stopnia czuje się rozbrojony i nawrócony chrześcijańską łagodnością Montanellego, iż gotów wylewać łzy pojednania na piersi pierwszego napotkanego sanfedysty. „Jestem nawet gotów - brzmiało zakończenie - uściskać mego bezimiennego przeciwnika, a gdyby moi czytelnicy wiedzieli równie dobrze jak jego eminencja i ja, co to znaczy i dlaczego pozostaje on bezimienny, to niewątpliwie uwierzyliby w szczerość mego nawrócenia”.

W drugiej połowie listopada Szerszeń zawiadomił komitet literacki, że wyjeżdża na dwa tygodnie nad morze dla wypoczynku. Miał się udać do Livorno, lecz Riccardo, który tam wyjechał w parę dni później i pragnął się z nim zobaczyć, na próżno przeszukał całe miasto. Piątego grudnia państwo kościelne wzdłuż całego łańcucha Apenin było widownią ostrej demonstracji politycznej⁴² i wówczas zaczęto rozumieć nagły kaprys Szerszenia: wyjazd na wypoczynek zimową porą. Wrócił do Florencji po stłumieniu buntu, a spotkawszy Riccarda na ulicy zauważył uprzejmie:

- Słyszałem, że szukaliście mnie w Livorno, a ja tymczasem byłem w Pizie. Prześliczne stare miasto! Jest w nim coś idyllicznego.

Na parę dni przed Bożym Narodzeniem uczestniczył w posiedzeniu komitetu literackiego, który zebrał się po południu w domu doktora Riccardo, w pobliżu Porta della Croce. Zebranie było liczne, a gdy Szerszeń spóźnił się nieco, uśmiechem i ukłonem prosząc o przebaczenie, nie było już wolnego miejsca. Riccardo wstał, by przenieść krzesło z przyległego pokoju, lecz Szerszeń go powstrzymał: - Dajcie spokój! Będzie mi tu bardzo wygodnie. - Podszedł do okna, koło którego stało krzesło Gemmy, i usiadłszy na parapecie, niedbałym ruchem oparł głowę o framugę.

Gdy spojrzął na Gemmę na wpół przymrużonymi oczyma, z lekkim zagadkowym uśmiechem, nadającym mu podobieństwo do portretu Leonarda da

⁴² W grudniu 1846 i styczniu 1847 roku w państwie kościelnym wybuchły potężne demonstracje głodujących robotników, rzemieślników i chłopów. W wielu miejscowościach doszło do krwawych starć.

Vinci, instynktowna nieufność, jaką ją przejmował, spotęgowała się nagle w uczucie nieokreślonej trwogi.

Obradowano nad wydaniem broszurki dającej wyraz poglądom komitetu na zagrażającą Toskanii klęskę głodu i wskazując środki zaradcze. Sprawa okazała się trudna do załatwienia, gdyż jak zwykle zdania były podzielone. Grupa bardziej postępową, do której należeli Gemma, Martini i Riccardo, oświadczyła się za energicznym wezwaniem rządu i ludności do podjęcia bezzwłocznie odpowiednich kroków w celu ulżenia włościąństwu. Umiarkowani - do których oczywiście należał Grassini - obawiali się, by zbyt stanowczy ton raczej nie zraził rządu zamiast go przekonać.

- To bardzo pięknie, moi panowie, że od razu chcielibyście ludowi dopomóc - zaczął Grassini, spokojnym i nieco pogardliwym spojrzeniem mierząc roznamięt-nionych radykałów. - My wszyscy prawie potrzebujemy różnych rzeczy, których najpewniej nie otrzymamy, ale jeśli zaczniemy takim tonem, jaki wy proponujecie, to rząd nie podejmie żadnych środków, dopóki naprawdę nie nastanie głód. Gdybyśmy na razie zdołali skłonić ministerstwo do zebrania danych o zapasach zboża w kraju, byłby to już duży krok naprzód.

Galli, siedzący w kącie pod piecem, zerwał się, by odpowiedzieć swemu przeciwnikowi.

- Krok naprzód... tak, drogi panie; tylko że klęska głodowa nie będzie na nas czekać, jeśli mamy iść takim krokiem. Chłopi zdechną wpierw, zanim wystaramy się o jakąś pomoc.

- Ciekawe byłoby... - zabrał głos Sacconi, lecz przerwano mu z różnych stron:

- Głośniej mówić! Nie słyszymy!

- Niepodobna przy tej piekielnej wrzawie na ulicy! - gniewnie zawołał Galli. - Riccardo, czy tam okno otwarte? Człowiek nie słyszy samego siebie!

Gemma się obejrzała.

- Okno zamknięte. Zdaje mi się, że tam jakieś widowisko uliczne czy coś podobnego.

Krzyk i śmiechy, brzęk dzwonek i odgłos kroków dolatywał z ulicy, pomieszany z ogłuszającym biciem w bębny i potwornym rykiem trąby.

- Trzeba wytrzymać przez kilka dni - rzekł Ricardo - musimy być w tym czasie świątecznym przygotowani na zgiełk uliczny. Coście chcieli powiedzieć, Sacconi?

- Chciałem rzec, że ciekawą byłoby rzeczą usłyszeć, co mówią o tej sprawie w Pizie i Livorno. Może by nam signor Rivarez coś o tym powiedział wobec tego, że stamtąd przybywa.

Szerszeń nie odpowiedział. Tak był zapatrzony w ulicę, że zdawał się nie słyszeć pytania.

- Signor Rivarez - rzekła Gemma. Ona jedna siedziała w jego pobliżu, a gdy nie dawał odpowiedzi, przechyliła się i dotknęła jego ramienia. Powoli odwrócił się do niej. Zadrżała ujrzawszy jego twarz zastygłą, straszliwie zmartwiałą. Przez chwilę wyglądał jak trup, potem wargi jego poruszyły się dziwnie, automatycznie.

- Tak - wyszeptał - przedstawienie kuglarzy.

Pierwszym jej odruchem było zasłonić go przed ciekawością obecnych. Nie zdając sobie sprawy, co mu jest, od razu jednak poznała, że pozostaje pod wrażeniem okropnego jakiegoś widziadła czy halucynacji, zdany w tej chwili całym swym jestestwem, ciałem i duszą, na łaskę i niełaskę owego mamidła. Zerwała się szybko i stając między nim a resztą towarzystwa otworzyła okno, jakby chciała wyrzeć. Nikt oprócz niej nie widział jego twarzy. Ulicą przeciągał cyrk wędrowny - linoskoczki na kozłach i arlekiny w jaskrawych gałgankach. Rozbawiony tłum masek wśród śmiechów i nawoływań wymieniał z kłownami żarty i pociski z confetti, torebkami cukierków obrzucając kolombinę, która strojna w świecidełka i pióra, ze sztucznymi loczkami nad czołem i sztucznym uśmiechem na malowanych ustach, królowała na swym wozie. Za wozem sunął cały korowód pstrych postaci - bezdomna zgraja uliczników, żebraków, kłownów wywracających koziołki i przekupniów obwołujących swe towary. Cała ta rozbawiona gawiedź, szturchając się i miotając pociski, oklaskiwała postać, której Gemma nie dostrzegła w pierwszej chwili z powodu nadmiernego tłoku. Niebawem jednak dokładnie zobaczyła: oto pośrodku całej tej zgrai szedł garbaty, potworny karzeł w stroju błazna, w papierowej czapce z dzwonekami. Widocznie należał do wędrownego cyrku i zabawiał tłum ohydnyymi grymasami i konwulsyjnymi ruchami.

- Co się tam dzieje? - spytał Riccardo podchodząc do okna. - Zdajecie się być bardzo zainteresowani.

Był trochę zdziwiony, że pozwalają czekać całemu komitetowi, by się przyglądać cyrkowcom. Gemma odwróciła głowę.

- Nic zajmującego - rzekła - zwykły cyrk wędrowny, tak jednak krzyczeli, że myślałam, iż się coś stało na ulicy.

Stała ciągle we framudze okna, jedną ręką wsparta o parapet; nagle uczuła, że zimne palce Szerszenia kurczowo ściskają jej rękę. - Dziękuję! - szepnęła cicho, po czym zamknęła okno i znów usiadł na parapecie.

- Przykro mi - rzekł swym niedbałym tonem - że panom przerwałem. Chciałem się prz...przyjrzeć temu cyrkowi, to t...taki ładny widok.

- Sacconi pana o coś pytał - mrukliwie rzekł Martini. Zachowanie Szerszenia wydało mu się jakąś głupią afekcją i przykro mu było, że Gemma okazała się tak nietaktowna i poszła za jego przykładem. To nie zgadzało się z jej usposobieniem.

Szerszeń oświadczył, że nie orientuje się w nastrojach Pizy, gdyż bawił tam jedynie dla wypoczynku, po czym wszczął od razu żywą dyskusję w kwestii najbliższych zbiorów rolnych, a następnie omawianej broszury. Jąkając się i zacinając wyrzucił w tej sprawie taki potok słów, że całe zgromadzenie było już znużone. Zdawał się ucyzuwać gorączkową jakąś rozkosz słuchania własnego głosu.

Po skończonym posiedzeniu, gdy członkowie komitetu zabierali się do odejścia, Riccardo podszedł do Martiniego.

- Może byście zostali u mnie na obiedzie? Fabrizi i Sacconi już przyrzekli.

- Dziękuję, ale chciałem odprowadzić signorę Bolla.

- Naprawdę boisz się, że sama nie potrafię wrócić do domu? - spytała otulając się narzutką. - Oczywiście, że zostanie, doktorze Riccardo; niech się trochę rozerwie. I tak już za mało bywa wśród ludzi.

- Jeśli pani pozwoli, to ja mógłbym ją odprowadzić - wtrącił Szerszeń - idę w tym samym kierunku.

- Jeśli pan istotnie idzie w tę stronę...

- A może byście zechcieli zajść do mnie w ciągu wieczora, panie Rivarez? - spytał Riccardo otwierając im drzwi.

Szerszeń odwrócił głowę i zaśmiał się. - Ja? Nie, moi drodzy, ja pójdę przyjrzeć się trochę tym klownom.

- Cóż to za dziwny człowiek! I ta jego szczególna słabość do kuglarzy! - rzekł Riccardo wracając do swoich gości. - Ten człowiek jest sam najdoskonalszym kuglarzem.

- Przypuszczam, że to uczucie koleżeństwa - odparł Martini.

- Oby tylko to - poważnie wtrącił Fabrizi. - Jeśli jest kuglarzem, to bardzo niebezpiecznym.

- Dlaczego niebezpiecznym?

- Ach, wiecie, nie lubię tych jego tajemniczych wycieczek dla przyjemności, które sobie tak często urządza. Przecież to już po raz trzeci i absolutnie nie wierzę, że był w Pizie.

- To już chyba publiczna tajemnica, iż wyjeżdża w góry - rzekł Sacconi. - Przecież nie usiłował nawet zaprzeczać, iż pozostaje dotąd w stosunkach z przemytnikami, których poznał w aferze Savigna. Całkiem zresztą naturalne, że korzysta z ich pomocy w przemycaaniu broszur do państwa kościelnego.

- Właśnie w tej sprawie chciałem się z wami rozmówić - rzekł Riccardo. - Bo zdaje mi się, że zrobimy najlepiej zwracając się do Rivareza, by podjął się także przemykania naszych rzeczy. Całe to wydawnictwo w Pistoii jest, naszym zdaniem, dość marne, a przemykanie broszur zawsze w formie cygar to już więcej niż prymitywne.

- A jednak jak dotąd okazało się zupełnie wystarczające - porywczo rzekł Martini. Irytowało go, że Galli i Riccardo ustawicznie wysuwali Rivareza jako przykład do naśladowania. Jego zdaniem, świat sobie jakoś dawał radę, zanim ten „afektowany korsarz” zjawił się na widowni, by wszystko uporządkować, ulepszyć, udoskonalić.

- O tyle wystarczające, że musieliśmy poprzestać na tym sposobie przemykania w braku lepszego, dobrze jednak wiecie, ile było konfiskat i aresztowań. Otóż sądzę, że gdyby Rivarez zechciał się tego podjąć, byłoby znacznie lepiej.

- A to dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że przemytnicy uważają nas za obcych, z którymi robią interesy, lub za głupców, których radzi by obedrzeć, Rivarez zaś jest ich osobistym przyjacielem, prawdopodobnie przywódcą, którego zlecenia spełniają z ufnością. Możecie być pewni, że dla człowieka, który brał udział w powstaniu Savigna, każdy przemytnik w Apeninach zrobi to, czego nie zrobiłby dla nas. Następnie, nikt z nas nie zna gór tak dokładnie, jak je zna Rivarez. Przypomnijcie sobie, że wałęsał się tam jako zbieg i na pamięć zna wszystkie tajemne ścieżki. Żaden przemytnik nie ośmieliłby się go oszukać, gdyby nawet chciał, i żaden nie zdołałby go oszukać, gdyby się nawet ośmielił.

- Czy proponujecie powierzyć mu całą robotę koło naszej bibuły: przemykanie przez granicę, wysyłkę, adresy, nasze tajne składy, jednym słowem, zwrócić się do niego, by podjął się załatwienia wszystkich naszych spraw po tamtej stronie?

- Otóż co się tyczy adresów i tajnych składów, to zna prawdopodobnie nie tylko te, które my mamy, ale i wiele innych. Nie sądzę, by potrzebował pod tym względem naszych informacji. Co do rozdawania bibuły, to możemy się jeszcze naradzić. Dla mnie najważniejszą rzeczą jest przemykanie jej przez granicę. Skoro książki znajdują się w Bolonii, rozrzucanie ich będzie już sprawą stosunkowo łatwą.

- Co do mnie - ozwał się Martini - to jestem przeciwny całemu temu planowi. Przede wszystkim nie przekonaliśmy się dotąd, czy posiada wszystkie te zdolności, jakie mu przypisujemy. Nie widzieliśmy go przy przemykaniu i nie wiemy, czy w krytycznej chwili nie straci głowy.

- Och, co do tego, to bądźcie całkiem spokojni! - wtrącił Riccardo. - Jego udział w rewolucie Savigna najzupełniej dowiódł, że głowy nie traci.

- Poza tym - podjął znów Martini - te niedostateczne wiadomości, jakie mam o Rivarezie, wcale mnie nie zachęcają do powierzania mu wszystkich tajemnic partii. Mnie on się wydaje nierozważny i komediancki. Powierzać komuś całą kontrabandę stronnictwa - to chyba rzecz poważna. Co wy o tym sądzicie, Fabrizi?

- Gdybym miał tylko takie zastrzeżenia jak wy - odparł profesor - to wcale bym na nie nie zważał, gdy chodzi o człowieka posiadającego jak Rivarez wszystkie te kwalifikacje, o których mówi Riccardo. Bo ja osobiście nie mam żadnych wątpliwości co do jego odwagi, uczciwości i przytomności umysłu, a że zna doskonale góry i ich mieszkańców, mieliśmy dostateczne dowody. Mnie chodzi jednak o coś innego. Nie jestem pewny, czy jego wycieczki w góry mają na celu jedynie przemykanie broszur. Zaczynam się obawiać, czy nie chodzi tu o coś innego. Oczywiście ma to zostać pomiędzy nami. To tylko domysł, nic pewnego. Po prostu zdaje mi się, że pozostaje w stosunkach z jakąś „bojówką”, kto wie, czy nie z najniebezpieczniejszą.

- Myślicie o... Czerwonych Pasach?

- Nie, o Occoltellatori⁴³.

- Nożowcy! Ależ to mała grupa chłopów banitów, przeważnie bez wykształcenia i doświadczenia politycznego.

- Tacy sami byli stronnicy Savigna, mieli jednak kilku wykształconych przywódców, a to drobna partia również może ich mieć. A przypomnijcie sobie, o czym wszyscy wiedzą, że członkowie tych najbardziej radykalnych stronnictw w

⁴³ Powstanie Occoltellatori (Nożowców) wybuchło z początkiem 1850 roku w Mediolanie. Autorka książki przeniosła to wydarzenie na okres wcześniejszy, to jest do 1846 roku. Nieliczna grupa patriotów uzbrojonych w kindżały miała napaść na garnizon austriacki, wyciąć oficerów, po czym zawładnąć Mediolanem. Spisek Nożowców został udaremniony przez Austriaków. Uczestników spisku stracono.

Romanii brali przeważnie ongi udział w aferze Savigna, a czując się zbyt słabymi do zwalczania kleru w jawnym powstaniu, znów wrócili do mordów. Ręce nie mające dość siły do dźwigania broni jęły się noży.

- Co was jednak skłania do przypuszczenia, że Rivarez pozostaje z nimi w stosunkach.

- Ja nie przypuszczam, tylko podejrzewam. W każdym razie sędzę, że należy się najpierw upewnić pod tym względem, zanim powierzmy mu naszą kontrabandę. Bo gdyby równocześnie zajmował się jednym i drugim, zaszkodziłby straszliwie naszej partii; po prostu zniszczyłby jej opinię, a nic nie zdziałał. Ale o tym innym razem. Teraz chciałbym z wami omówić wiadomości z Rzymu. Powiadają, że ma być ustanowiona komisja do opracowania projektu ustawy miejskiej.

ROZDZIAŁ VI

Gemma i Szerszeń szli w milczeniu wzdłuż Lungarno. Jego gorączkowa gadatliwość sama się niejako wyczerpała; od wyjścia z domu Riccarda nie wyrzekł słowa, Gemma zaś była szczerze zadowolona z tego milczenia. Zawsze czuła się skrepowana w jego towarzystwie, a dziś więcej niż kiedykolwiek, gdyż dziwne jego zachowanie się podczas zebrania komitetu wprowadziło ją w pomieszanie.

Koło pałacu Uffizich przystanął nagle i zwrócił się do niej z zapytaniem:

- Czy pani zmęczona?

- Nie, dlaczego?

- Ani specjalnie zajęta dziś wieczór?

- Nie.

- Prosiłbym panią, by zechciała się przejść ze mną.

- Dokąd?

- Bez określonego celu, dokądkolwiek pani zechce.

- Ale czemu?

Zawahał się,

- Nie... nie mógłbym tego powiedzieć... a w każdym razie... sprawiłoby mi to dużą trudność. Jeżeli jednak pani może, to proszę mi nie odmawiać.

Podniósł nagle oczy wlepione w ziemię i wtedy ujrzała ich dziwny wyraz.

- Panu coś jest - rzekła łagodnie.

Oderwał listek od kwiatka tkwiącego w butonierce i począł go szarpać w drobne strzępki. Kogo on przypomina w sposób tak uderzający? Kogoś, mającego tę samą ruchliwość palców i gorączkowy, nerwowy gest.

- Czuję się zgnębiony - wymamrotał głosem zaledwie słyszalnym, patrząc na swe ręce. - Nie mogę być sam dzisiejszego wieczora. Czy będzie mi pani towarzyszyć?

- Rozumie się, jeśli pan nie wolałby pójść do mnie.

- Nie, chodźmy raczej na obiad do restauracji. Jest tu w pobliżu na Signoria. No, proszę nie odmawiać, już pani przedtem przyrzekła.

Weszli do restauracji, gdzie zamówił obiad, którego prawie nie tknął milcząco uporczywie i krusząc chleb lub szarpiąc nerwowo frędzle obrusa. Gemma czuła się w najwyższym stopniu nieswojo i zaczęła już żałować, że mu nie odmówiła. Milczenie stawało się z każdą chwilą bardziej przygniatające; nie była jednak w stanie rozpocząć rozmowy potocznej z człowiekiem, który zapomniał, zda się, o jej obecności. Na koniec podniósł oczy i niespodziewanie rzekł:

- Czy nie zechciałaby pani zobaczyć przedstawienia kuglarzy?

Spojrzała nań zdumiona. Czy znów sobie nabił głowę przedstawieniami kuglarzy?

- Czy pani to kiedyś widziała? - spytał, zanim zdążyła się odezwać.

- Nie... jak mi się zdaje. Nie przypuszczam, by to mogło być zajmujące.

- Bardzo zajmujące. Sądzę, że niepodobna studiować życia ludu nie znając takich przedstawień. Proszę, wracajmy do Porta della Croce.

Gdy tam przybyli, kuglarze rozpięli już namiot koło bramy miasta, a obrzydliwe piski skrzypiec i dudnienie trąb obwieszczało rozpoczęcie przedstawienia.

Program był jak najbardziej prymitywny. Kilku kłownów, arlekinów, linoskoków, cyrkowiec skaczący przez obręcz, uszmiękowana kolombina i garbus strojący rozmaite nudne a idiotyczne grymasy stanowili całą siłę atrakcyjną wędrowniej trupy. Dowcipy i sztuczki nie były na ogół ordynarne lub obrażające, lecz całkiem zwietrzałe i jałowe, a nad całością ciążyła przygniatająca tępota i płytkość. Audytorium śmiało się i klaskało przez wrodzoną uprzejmość toskańską, lecz jedynym punktem, który się istotnie podobał, była rola garbusa, jakkolwiek Gemma nie mogła się w niej dopatrzeć dowcipu ani zręczności. Był to po prostu szereg dziwacznych i

ohydnych grymasów, które widzowie od razu naśladowali sadowiąc sobie dzieci na ramionach, by lepiej mogły zobaczyć „brzydkiego człowieka”.

- Signor Rivarez, czy to dla pana naprawdę widok zajmujący? - spytała Gemma zwracając się do Szerszenia stojącego obok niej i oplatającego ramieniem jeden z drewnianych pali namiotu. - Zdaje mi się...

Urwała i wpatrywała się weń milcząca. Z wyjątkiem Montanellego w owej chwili, gdy stała przy nim obok furtki ogrodowej w Livorno, nie widziała nigdy twarzy ludzkiej wyrażającej tak bezdenne, beznadziejne cierpienie. Patrząc na niego musiała myśleć o piekle Dantego.

W tej chwili garbus, otrzymawszy kulaka od jednego z kłownów, wywrócił kozła i niby dziwaczny kloc stoczył się poza arenę. Rozpoczął się dialog dwóch kłownów, a Szerszeń ocknął się jakby ze snu.

- Czy pójdziemy - spytał - czy też chce się pani jeszcze przyglądać?

- Wolę odejść.

Opuścili namiot i wśród ciemnej zieleni szli ku rzece. Przez kilka chwil milczeli.

- Co pani sądzi o przedstawieniu? - spytał Szerszeń.

- Przykre zajęcie, moim zdaniem, a pewna część wydała mi się wprost niemą.

- Która część?

- Wszystkie te grymasy i łamańce. Były po prostu wstrętne, a w żadnym z nich nie widziałam zręczności.

- Mówi pani o popisach garbusa?

Znając jego szczególną drażliwość na punkcie ułomności fizycznej, wystrzegą się mówić wyraźnie o tej części przedstawienia; gdy jednak sam o to spytał, odparła:

- Tak, ten punkt mi się zupełnie nie podobał.

- A właśnie on najlepiej bawił publiczność.

- Prawda, i to właśnie najgorsze ze wszystkiego.

- Ponieważ było nieartystyczne?

- N...nie, wszystko tam było nieartystyczne. Najgorsze, bo było okrutne.

Uśmiechnął się.

- Okrutne? Względem garbusa?

- Zdaje mi się... Oczywiście on sam był całkiem obojętny, bez wątpienia jest to dla niego po prostu sposób zarabiania na życie, tak samo jak dla cyrkowca lub kolombiny. A jednak widok takiego poniżenia ludzkiej istoty przygnębia i upokarza.

- On prawdopodobnie nie jest bardziej poniżony, niż był nim rozpoczynając ten zawód. Przeważna część ludzi znosi poniżenie takie lub inne.

- Tak, ale... panu się to wyda zapewne głupim przesądem, dla mnie jednak ciało ludzkie jest rzeczą świętą. Nie mogę patrzeć, gdy się je zozydza lub traktuje w sposób ubliżający.

- A dusza ludzka?

Przystanął nagle i wsparłszy jedną rękę na kamiennej balustradzie wału spojrział jej prosto w oczy.

- Dusza? - powtórzyła przystając również i patrząc nań ze zdumieniem.

Nagłym namiętnym ruchem wyciągnął rękę przed siebie.

- Czy nigdy się pani nie zastanowiła, że ten nędzny kłown może mieć duszę, żywą, walczącą duszę ludzką, uwięzioną w tym krzywym, pokracznym ciele, zmuszoną dla niego harować? Pani, która zdaje się tak tkliwa... która lituje się nad ciałem w stroju błazna i dzwoneczkach... czy pani nigdy nie pomyślała o nieszczęsnej duszy, nie posiadającej nawet błazeńskiego łachmana dla okrycia strasznej swej nagości? Pomyśleć, jak drzeć musi z zimna, smagana wstydem i bólem wobec wszystkich tych ludzi... czując ich urąganie niby uderzenie bata... ich śmiechy piekące niby rozpalone żelazo! Pomyśleć, jak rozgląda się wokół... tak bezsilna wobec nich wszystkich... bo góry nie chcą na nią runąć... skały nie mają serca, by ją osłonić... zazdroszcząc szczerom, które mogły wleźć w jakąś dziurę i ukryć się... i niech pani pamięta, że dusza jest niema... nie posiada głosu, by wykrzyknąć swą nędzę... musi cierpieć, cierpieć, cierpieć... Och! Co ja za głupstwa wygaduję! Czemu się pani nie śmieje nareszcie! Brak pani zmysłu humoru!

Powoli, w śmiertelnym milczeniu odwróciła się i poszła dalej wzdłuż rzeki. W ciągu całego wieczora ani na jedno mgnienie oka nie przypuszczała, by jego cierpienie, jakiegokolwiek ono było, mogło mieć coś wspólnego z przedstawieniem kuglarzy. A teraz, gdy nagły ten wybuch odsłonił jej drobny skrawek jego życia wewnętrznego, nie mogła w przeogromnym współczuciu, jakie dlań miała, znaleźć ani jednego odpowiedniego słowa. On szedł obok niej z odwróconą głową i patrzył w rzekę.

- Proszę, by pani zechciała zrozumieć - począł nagle, zwracając się ku niej z miną hardą - że wszystko, co mówiłem przedtem, jest jedynie wytworem wyobraźni. Lubię fantazjować, ale nie lubię, by ludzie brali to na serio.

Nie odpowiedziała i znów szli obok siebie w milczeniu. Gdy przechodzili obok bramy pałacu Uffizich, przebiegł w poprzek ulicy i pochylił się nad ciemnym tłumoczkiem leżącym koło parkanu.

- Co ci jest, dziecko? - spytał łagodnym głosem, jakiego nigdy u niego nie słyszała. - Czemu nie idziesz do domu?

Tłumoczek poruszył się i zamruczał coś cichutkim, żalonym głosem. Gemma podeszła również do bramy i ujrzała sześciolatnie może dziecko, brudne i obdarte, skulone na bruku jak wystraszone zwierzątko. Szerszeń pochylił się nad jego rozczochraną głowiną.

- Co mówisz? - spytał pochylając się jeszcze niżej, by usłyszeć niewyraźną odpowiedź. - Musisz wracać do domu i pójść spać, tacy mali chłopcy nie mogą być w nocy na ulicy, przemarzniesz zupełnie. No, daj rękę i wstawaj szybko, jak mężczyzna! Gdzie mieszkasz?

Ujął dziecko za rękę, by je podnieść. Odpowiedzią był przenikliwy krzyk i nagle cofnięcie się małego.

- Co to jest? - spytał Szerszeń przyklękając na bruku obok skulonego dziecka. - Ach! signora, proszę spojrzeć!

Ramię i kabacik dziecka były pokrwawione.

- Powiedz mi, co ci się stało? - pieszczotliwie pytał Szerszeń. - Czy może upadłeś? Nie! Więc co? Czy cię kto bił? Ach tak! Domyślam się... A kto?

- Wujek.

- Tak! Kiedy to było?

- Dziś rano. Był pijany, a ja... ja...

- Wszedłeś mu w drogę, czy tak? Nie należy, człowieczku, wchodzić w drogę ludziom pijanym, nie lubią tego. Signora, co poczniemy z tym biednym maleństwem? Chodź, synku, tu do światła, zobaczę to ramionko. No, obejmij mnie ręką za szyję, ja cię nie urażę.

Wziął chłopaka na ramię i przeniósłszy go przez ulicę posadził na kamiennej balustradzie. Następnie scyzorykiem zręcznie rozciął podarty rękaw, oparłszy głowę dziecka na swej piersi, Gemma zaś podtrzymywała zranione ramię. Było okryte sińcami i podrapane, a w jednym miejscu widniała głęboka rana.

- Tak strasznie bić takie maleństwo - mamrotał Szerszeń obwiązując ranę chusteczką, by szorstki kabat nie dotykał jej i nie drażnił. - Czym ci to zrobił?

- Łopata. Poszedłem go prosić o solda, by kupić trochę polenty w sklepie na rogu, a on mnie uderzył łopata.

Szerszeń się wzdrygnął. - Ach! - szepnął - to boli. Biedne moje małeństwo.

- Uderzył mnie łopata... a ja zacząłem uciekać... zacząłem uciekać... bo mnie bił.

- I tak się wałęsałeś aż do tej chwili, bez obiadu?

Zamiast odpowiedzi dziecko zaczęło łkać gwałtownie. Szerszeń zdjął je z balustrady.

- Cicho, cicho! Zaraz temu wszystkiemu zaradzimy. Gdybym tylko mógł dostać jakąś dorożkę. Obawiam się, że wszystkie będą koło teatru, bo dziś uroczyste przedstawienie. Signora, bardzo mi przykro, że tak długo panią zatrzymuję, ale...

- Nie, nie! pójdę raczej z panem. Może będę potrzebna. Czy potrafi go pan nieść tak daleko? Nie bardzo ciężki?

- Och, dziękuję! Dam sobie jakoś radę.

Przed teatrem czekało kilka dorożek, ale były już zajęte. Przedstawienie się skończyło i większa część publiczności już się rozeszła.

Nazwisko Zity widniało na plakatach, wydrukowane dużymi literami: tańczyła tego wieczora w balecie. Poprosiwszy Gemmę, by chwilę zaczekała, Szerszeń podszedł ku kulisom i spytał jednego z portierów:

- Czy madame Reni już odjechała?

- Nie, proszę pana - odparł portier, z osłupieniem patrząc na eleganckiego pana z obdartym dzieckiem na ręku. - Madame Reni właśnie wychodzi, czeka na nią powóz. Tak jest, już idzie.

Zita schodziła ze schodów, wsparta na ramieniu młodego oficera kawalerii. Wyglądała bardzo powabnie w płaszczu teatralnym z płomiennego aksamitu, zarzuconym na strój balowy, i z wielkim wachlarzem ze strusich piór zwisającym u pasa. U wejścia przystanęła i wysunąwszy rękę spod ramienia oficera przystąpiła do Szerszenia w najwyższym zdumieniu.

- Feliksie - wyszeptła - cóż ty tu masz?

- Zabrałem to dziecko z ulicy, zranione jest i zgłodniałe. Muszę je jak najprędzej odwieźć do domu, a ponieważ nie ma tu nigdzie dorożki, więc muszę wziąć twój powóz.

- Feliksie! Chyba nie weźmiesz do swego mieszkania tego szkaradnego dziadowskiego dziecka. Poślij po policjanta i każ je odwieźć do schroniska lub innego odpowiedniego miejsca. Nie możesz przecież wszystkich żebraków z miasta...

- Dziecko jest zranione - powtórzył - do schroniska mogę je oddać jutro, jeśli będzie potrzeba, ale naprzód muszę opatrzyć ranę i dać mu jeść.

Na twarzy Zity pojawił się grymas wstrętu - Oparłeś mu głowę o swoją koszulę! jak możesz! Takie brudne!

Szerszeń spojrzał na nią z nagłym błyskiem gniewu.

- Dziecko jest głodne - rzekł surowo. - Wiesz, co to znaczy?

- Signor Rivarez - wmieszała się Gemma podchodząc - moje mieszkanie jest bardzo blisko. Zabierzmy tam chłopca. A jeśli pan nie znajdzie dorożki, postaram się, by mogło zanoć u mnie.

Szybko się odwrócił. - Nie sprawi to pani kłopotu?

- Ależ nie! Dobranoc, madame Reni!

Cyganka złożyła sztywny ukłon; wzruszywszy gniewnie ramionami, wsparła się znów na swym oficerze i ujawszy tren sukni przeszła koło nich do powozu, którego ją chciano pozbawić.

- Panie Rivarez, mogę odesłać powóz, by zabrał pana i dziecko - rzekła przystając u wejścia.

- Dobrze. - Podszedł do powozu, dał woźnicy adres i wrócił ze swym ciężarem do Gemmy.

Katie oczekiwała powrotu swej pani, a usłyszawszy, co się stało, pobiegła po ciepłą wodę i inne rzeczy potrzebne do opatrzenia rany. Usadowiwszy dziecko na krześle Szerszeń ukląkł obok na podłodze, zręcznie zdjął podartą odzież, po czym delikatną i wprawną ręką obmył ranę i obandażował. Właśnie skończył myć dziecko i otulał je ciepłym kocem, gdy weszła Gemma z tacą w ręku.

- Czy pański pacjent może się już zabrać do wieczerzy? - spytała uśmiechając się na widok dziecka. - Właśnie mu ją przygotowałam.

Szerszeń wstał i zebrał rozrzucone po podłodze łachmany. - Boję się, czy nie narobiliśmy tu za dużo nieporządku - rzekł usprawiedliwiająco. - Te szmaty najlepiej będzie od razu wrzucić w ogień, a jutro kupię mu coś nowego. Czy nie ma pani w domu trochę jakiego alkoholu? Sądzę, że należałoby mu dać parę kropli. A teraz, jeśli pani pozwoli, obmyję sobie ręce.

Po spożyciu wieczerzy dziecko natychmiast zasnęło na kolanach Szerszenia, wsparty rozczochraną główką o gors jego białej koszuli. Gemma, zakrzętnawszy się z Katie koło uporządkowania swego pokoju, usiadła przy stole.

- Signor Rivarez, musi się pan czymś posilić przed odejściem. Obiadu pan prawie nie tknął, a już późno.

- Napiłbym się chętnie herbaty na sposób angielski, jeśli można. Przykro mi, że pani przeszkadzam o tak spóźnionej porze.

- To nic. Proszę ułożyć dziecko na sofie, inaczej pan się zmęczy. Chwileczkę, proszę podłożyć tylko prześcieradło. Co pan z nim pocznie?

- Jutro? Dowiem się, czy nie ma innych krewnych prócz tego pijanego bydlaka, a jeśli nie, to będę musiał posłuchać rady madame Reni i umieścić je w przytułku. Dla chłopca byłoby prawdopodobnie najlepiej, gdybym mu przywiązał ciężki kamień i wrzucił o do rzeki, ale to by mnie naraziło na niemiłe następstwa. Jak mocno zasnęło! Małe, nieszczęśliwe biedactwo, niezdolne nawet do samoobrony, jak zbłąkany kot.

Gdy Katie weszła z herbatą, chłopiec otworzył oczy i usiadł z miną przerażoną. Poznawszy Szerszenia, którego już uważał za swego naturalnego opiekuna, zaczął się posuwać po sofie, w czym przeszkadzał otulający go koc, i w końcu przycupnął koło Rivareza. Ożywił się już teraz dostatecznie, aby być ciekawym; zauważywszy u lewej ręki Szerszenia, w której ten trzymał ciastko, brak dwóch palców zapytał:

- A to co?

- To? Ciasteczko. Czy ci dać? Chyba już dość miałeś. Zaczekaj do jutra, maleńki.

- Nie, to! - Wyciągnął rączkę i dotknął koniuszków odjętych palców i wielkiej blizny na przegubie ręki. Szerszeń odłożył ciastko.

- Ach, to? Widzisz, to coś podobnego jak na twym ramieniu - uderzył mnie ktoś silniejszy ode mnie.

- Bardzo bolało?

- Już nie wiem, chyba nie bardziej niż inne rzeczy. Ale teraz się już połóż, nie trzeba być takim ciekawym w nocy, kiedy dzieci powinny spać.

Zanim powóz zajechał, malec znów zasnął, a Szerszeń nie chcąc mu przerywać snu wziął go ostrożnie na ręce i zniósł z pietra.

- Była pani dziś dla mnie czymś w rodzaju anioła stróża - rzekł do Gemmy przystając na progu. - Sądzę jednak, że to nie przeszkodzi klócić się do woli w najbliższej przyszłości.

- Ja wcale nie mam ochoty do kłótni.

- A ja mam. Życie byłoby nieznośne bez kłótni. Dobra kłótnia jest solą ziemi, lepszą od przedstawienia kuglarzy!

Z tymi słowami wyszedł, śmiejąc się cicho do siebie, i ze śpiącym dzieckiem na ręku począł schodzić ze schodów.

ROZDZIAŁ VII

Jednego z pierwszych dni stycznia Martini, rozesławszy okólnik zapraszający członków komitetu literackiego na zebranie miesięczne, otrzymał od Szerszenia lakoniczną, ołówkiem nakreśloną odpowiedź: „Bardzo żałuję - nie mogę przyjść”. To go trochę rozdrażniło, gdyż do zaproszenia dopisał: „Ważne sprawy na porządku dziennym”. Istotnie, już na zuchwałstwo zakrawa to lekceważące traktowanie wszystkiego. W ciągu dnia nadeszły trzy listy zawierające złe wiadomości, ponadto dął wschodni wiatr, wszystko to razem wprawilo Martiniego w najgorszy humor. Toteż gdy przed rozpoczęciem posiedzenia doktor Riccardo spytał: - Nie ma Rivareza? - Martini odparł mrukliwie:

- Zdaje się, że nawinęło mu się coś bardziej zajmującego, więc nie może czy też nie chce przyjść.

- Doprawdy, Martini - z rozdrażnieniem rzekł Galli - jesteście chyba człowiekiem najbardziej nietolerancyjnym w całej Florencji. Jak się raz na kogoś uweźmiecie, ze wszystkiego robicie mu zarzut. Jak mógł Rivarez przyjść na posiedzenie, skoro jest chory?

- Kto wam powiedział, że chory?

- Nie wiecie? Przecież leży już od czterech dni.

- Co mu jest?

- Nie wiem. Odłożył spotkanie ze mną na czwartek z powodu niedyspozycji, a wczoraj wieczór, gdy do niego zaszedłem, dowiedziałem się, że jest zbyt chory, by mógł się z kim widzieć. Myślałem, że Riccardo się nim zajął.

- Nie wiedziałem o niczym. Zajdę tam jeszcze wieczorem i zobaczę, co mu jest.

Nazajutrz rano Riccardo bardzo blady i wyczerpany wszedł do małej pracowni Gemmy. Siedziała przy stole odczytując monotonne szeregi cyfr Martiniemu, który z

powiększającym szkłem w jednej ręce, a z cieniutko zaostrzonym ołówkiem w drugiej robił w książce drobne znaczki. Ruchem ręki dała wchodzącemu znak, by nie przerywał szyfrowania; usiadł więc obok niej na sofie i ziewnął jak człowiek przemocą odpędzający sen.

- 2, 4, 3, 7, 6, 1, 3, 5, 4, 1 - Gemma odczytywała miarowo jak maszyna. - 8, 4, 7, 2, 5, i koniec zdania, Cezarze.

Wetknęła szpilkę w papier, tam gdzie przerwała czytanie, i odwróciła się.

- Dzień dobry, doktorze. Wyglądacie na strasznie wyczerpanego! Czyście nie chory? - Och, nie, tylko znużony jestem. Miałem okropną noc u Rivareza.

- U Rivareza?

- Tak, czuwałem przy nim całą noc, a teraz muszę iść do moich chorych w szpitalu. Wstąpiłem właśnie, by się dowiedzieć, czy nie znacie kogoś, kto mógłby się nim zająć w ciągu najbliższych dni. Stan jego jest wprost straszliwy. Rozumie się, że zrobię, co tylko będę mógł, ale mam tak mało wolnego czasu, a o pielęgniarce nie chciał wprost słyszeć.

- Co mu jest właściwie?

- Ach, komplikacja bardzo przykra. Przede wszystkim...

- Przede wszystkim, czy jedliście śniadanie?

- Tak, dziękuję. Otóż co do Rivareza... to niewątpliwie bardzo skomplikowana historia nerwowa; głównym powodem dolegliwości jest dawna rana, straszliwie zaniedbana. Ogółem, stan jego jest po prostu okropny, sądzę, że to z czasu owej wojny w Ameryce Południowej... Może się nie leczył należycie. Prawdopodobnie załatwiono się z tym w sposób najbardziej prymitywny; szczęście, że w ogóle został przy życiu. Pozostała jednak chroniczna skłonność do zapalenia i najmniejsze głupstwo może spowodować atak.

- Czy to niebezpieczne?

- Poniękąd tak, lecz główne niebezpieczeństwo w danym wypadku polega na tym, że chory, doprowadzony do ostateczności, może wziąć dawkę arseniku.

- Takie to bolesne?

- Po prostu straszliwie! Nie rozumiem, jak Rivarez może znieść taki ból. Byłem zmuszony dać mu opium... czego nie lubię stosować przy nerwowych pacjentach, lecz musiałem mu jakoś ulżyć.

- Sądzę, że jest bardzo nerwowy.

- Bardzo, ale przy tym niezwykle wytrzymały. Dopóki nie stracił przytomności z bólu, jego panowanie nad sobą było wprost imponujące. Ale na ostatku miałem z nim straszną przeprawę. I chcecie wiedzieć, jak długo to trwa? Akurat piątą noc z rzędu, a tu ani żywej duszy do pomocy, z wyjątkiem głupiej gospodyni, która nie zbudziłaby się, choćby się dom cały zawalił, gdyby się nawet zbudziła, też nie byłoby z niej wielkiej pociechy.

- A baletnica?

- No tak, pomyślcie tylko: nie pozwala jej się zbliżyć. Czuje do niej jakiś wprost chorobliwy wstręt. Jednym słowem, to najdziwniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem - nierozwikłany splot przeciwieństw.

Wyjął zegarek, i spojrzał zamyślony. - Spóźnię się do szpitala, ale trudno. Asystent musi sobie dać radę beze mnie. Żałuję tylko, że dowiedziałem się tak późno, nie byłbym dopuścił do tego, by się tak męczył noc po nocy.

- Ale czemu, na Boga, nie dał znać, że chory? - przerwał Martini. - Przecież mógł się domyślić, że nie bylibyśmy go w takim stanie zostawili na łasce losu.

- Doktorze - rzekła Gemma - powinniście byli wezwać kogoś z naszych ludzi zamiast się tak męczyć przez całą noc.

- Droga pani, chciałem co prawda posłać po Gallego, ale Rivarez tak się zirytował na samą myśl o tym, że nie śmiałem już próbować. Gdy go spytałem, czy chciałby może mieć koło siebie kogoś innego, patrzył na mnie przez chwilę, jakbym postradał zmysły, po czym zakrył sobie oczy obiema rękami i rzekł: „Nie wzywajcie ich, będą się śmiać!” Był jakby opętany lękiem, że ludzie będą się śmiać z czegoś. Nie mogłem się domyślić z czego, bo ciągle mówił po hiszpańsku, ale chorzy wygadują nieraz najdziwniejsze rzeczy.

- A kto jest przy nim teraz? - spytała Gemma.

- Nikt, z wyjątkiem gospodyni i jej dziewczyny.

- Zaraz do niego pójde - rzekł Martini.

- Dziękuję, ja zajde znów wieczorem. W szufladzie stołu koło dużego okna znajdziecie moje dyspozycje, a opium jest na półce w sąsiednim pokoju. Gdy nastąpi znów atak bólu, dajcie mu jedną dawkę, nie więcej; tylko nie zostawiajcie flaszki w pobliżu, bo ostatecznie mógłby się jednak nie oprzeć.

Gdy Martini wszedł do przyćmionego pokoju, Szerszeń szybko zwrócił się ku niemu twarzą i wyciągając rozpaloną rękę zaczął, siłąc się bezskutecznie na zwykły swój lekki ton:

- Ach, Martini! Przychodźcie mnie piłować o te korekty. No, na nic się nie zda besztanina, że opuściłem wczorajsze posiedzenie komitetu, niedobrze się jakoś czułem i...

- Dajcież pokój posiedzeniu. Widziałem się właśnie z Riccardem i przychodzę się dowiedzieć, czy nie mógłbym wam być w czym pomocny.

Twarz Szerszenia nagle skamieniała.

- Och, istotnie, to bardzo ładnie z waszej strony, ale trudziliście się całkiem zbytecznie. Jestem tylko tak trochę rozklejony.

- Tak też wywnioskowałem ze słów Riccarda. Podobno przy was czuwał tej nocy?

Szerszeń zagryzł usta z wściekłością.

- Jest mi zupełnie dobrze, dziękuję wam, nie potrzebuję niczego.

- Dobrze, będę siedział w drugim pokoju, skoro wolicie być sami. Drzwi zostawię uchylone na wypadek, gdybyście mnie potrzebowali.

- Ach, proszę, nie róbcie sobie kłopotu. Mnie naprawdę niczego nie potrzeba. Na darmo tylko tracilibyście czas.

- Głupstwo! - szorstko przerwał Martini. - Po co te komedie? Cóż to, myślicie, że nie mam oczu? Leżcie spokojnie i starajcie się zasnąć.

Przeszedł do przyległego pokoju i zostawiwszy drzwi otwarte usiadł z książką w rękę. Niezadługo usłyszał, że Szerszeń poruszył się niespokojnie dwa czy trzy razy. Odłożył książkę i nasłuchiwał. Chwila ciszy, po czym znów ruch niespokojny, a następnie szybki, ciężki oddech człowieka zaciskającego zęby, by stłumić jęk.

Wszedł do chorego.

- Rivarez, czy może wam czegoś potrzeba?

Nie otrzymawszy odpowiedzi podszedł do łóżka. Szerszeń, śmiertelnie błądy i siny, spojrział na niego i w milczeniu potrząsnął głową.

- Może wam dać trochę opium? Riccardo powiedział, żebyście wzięli dawkę w razie silnych bólów.

- Dziękuję, jeszcze wytrzymam. Potem może być gorzej.

Martini wzruszył ramionami i usiadł przy łóżku. Przez całą godzinę czuwał w milczeniu, następnie wstał i przyniósł opium.

- Rivarez, to nie może trwać dłużej. Jeżeli wy możecie wytrzymać, to ja nie mogę. Musicie wziąć lekarstwo.

Szerszeń w milczeniu zażył opium. Następnie odwrócił głowę i przymknął oczy. Martini znów usiadł wsłuchując się w jego oddech, który stopniowo stawał się głęboki i miarowy.

Szerszeń był zbyt wyczerpany, by zasnawszy zbudzić się szybko. Przez kilka godzin z rzędu pozostawał bez ruchu. Martini w ciągu dnia i wieczora podchodził kilkakrotnie do łóżka, by spojrzeć na nieruchomą postać, lecz oprócz oddechu chory nie dawał żadnego znaku życia. Twarz jego była tak martwa i przezroczysta, że Martini uczuł nagły lęk. Czyżby mu dał za dużą dawkę opium? Lewe, okaleczone ramię spoczywało bezwładnie na kołdrze; potrząsnął nim z lekka, by obudzić śpiącego. Przy tym ruchu usunął się rozpięty rękaw ukazując mnóstwo głębokich i strasznych blizn, pokrywających ramię aż po łokieć.

- W ładnym stanie musiało być to ramię, gdy rany były świeże - odezwał się za jego plecami głos Riccarda.

- Ach, przyszliście, nareszcie! Riccardo, spójrzcie tylko; czyżby zasnął na wieki? Dałem dawkę przed dziesięciu godzinami i od tego czasu ani drgnął.

Riccardo pochylił się nad łóżkiem i przez chwilę wsłuchiwał się w oddech..

- Oddycha całkiem miarowo. Po prostu straszne wyczerpanie, czego należało się spodziewać po takiej nocy. Nad ranem będzie prawdopodobnie nowy paroksyzm. Chyba ktoś będzie czuwał?

- Galli dał znać, że przyjdzie tu przed dziesiątą.

- Właśnie dochodzi dziesiąta. Ach, budzi się. Trzeba powiedzieć dziewczynie, by przyniosła rosół. Powoli, powoli, Rivarez. No, no, nie potrzebujecie się miotać, nie jestem biskupem.

Szerszeń zerwał się z przerażeniem w oczach. - Moja kolej? - rzekł szybko po hiszpańsku. - Zabawcie publiczność przez chwileczkę, ja... Ach, nie widziałem was, Riccardo.

Rozejrzał się po pokoju i jedną ręką przesunął po czole, jakby oszołomiony. - Martini. Myślałem, żeście odeszli. Musiałem chyba spać.

- Spaliście całe dziesięć godzin jak zaklęta królowa w bajce, a teraz wypijcie trochę rosółu i znów będziecie spać.

- Dziesięć godzin... Martini, chyba nie siedzieliście tu przez cały czas?

- Owszem, zacząłem się już obawiać, czy nie dałem wam za dużej dawki opium.

Szerszeń rzucił mu szydercze spojrzenie.

- To byłoby zbyt piękne! Mielibyście takie spokojne posiedzenia komitetu, prawda? Czego, u diabła, chcecie, Riccardo? Przez litość, zostawcie mnie w spokoju! Nie znoszę tych doktorskich opukiwań.

- Dobrze, wypijcie tylko, a dam wam już spokój. Zajrzę dopiero za dzień lub dwa i gruntownie was obejrzę. Zdaje się, że najgorsze minęło; nie wyglądacie już teraz jak trup przy uczcie.

- Och, będzie mi już całkiem dobrze, dzięki. Kto tu... Galli?

Zdaje się, że zebrały się tu dziś u mnie wszystkie znakomitości.

- Przyszedłem do was na noc.

- Głupstwo! Nie potrzebuję nikogo. Wynoście się nareszcie wszyscy razem! Gdyby się atak nawet powtórzył, to mi nic nie pomożecie. Opium już nie wezmę. To dobre na jeden raz.

- Właściwie macie rację - rzekł Riccardo. - Tylko że takie postępowanie bywa czasem trudne do wykonania.

Szerszeń spojrzał nań z uśmiechem. - Nie obawiajcie się! Gdybym się bawił w podobne rzeczy, byłbym to już zrobił dawno.

- Bądź co bądź nie zostawię was samego - sucho oświadczył Riccardo. - Galli, chodźcie ze mną na chwilę do drugiego pokoju, mam wam coś do powiedzenia. Dobranoc, Rivarez, wpadnę tu jutro.

Martini chciał również wyjść za nimi, gdy usłyszał swe nazwisko wypowiedziane niemal szeptem. Szerszeń wciągnął doń rękę.

- Dzięki!

- Och, głupstwo! Próbujcie zasnąć.

Po odejściu Riccarda Martini rozmawiał jeszcze chwilę z Gallim w dalszym pokoju. Otwierając bramę usłyszał, że powóz zatrzymał się u furtki ogrodu, a niebawem ukazała się na ścieżce kobieca postać. To Zita wracała widocznie z jakiegoś przedstawienia. Uchylił kapelusza i przystanął, czekając aż przejdzie, po czym wyszedł na ciemną dróżkę wiodącą do Poggio Imperiale. Wtem furka skrzypnęła i usłyszał za sobą szybkie kroki.

- Niech pan zaczeka! - zawołała Zita.

Gdy się odwrócił, przystanąła, po czym wolnym krokiem zaczęła się doń zbliżać, jedną ręką wodząc po przydrożnym płocie. W rogu ulicy była tylko jedna

latarnia i w jej świetle ujrzał, że stała ze spuszczoną głową, jakby zmieszana lub zawstydzona.

- Jak się czuje? - spytała nie podnosząc oczu.

- Znacznie lepiej niż dziś rano. Spał prawie cały dzień i jest mniej wyczerpany. Zdaje się, że atak mija. - Ciągle jeszcze stała ze spuszczonymi oczyma.

- Czy bardzo było źle tym razem?

- Zdaje mi się, że możliwie najgorzej.

- Domyślam się. Gdy mi nie pozwalała wchodzić do pokoju, to wiem, że zawsze jest źle.

- Czy często miewa takie ataki?

- To zależy. Jak czasem. Zeszłego lata w Szwajcarii czuł się całkiem dobrze, ale poprzedniej zimy w Wiedniu było okropnie. Przez wiele dni nie pozwolił mi się zbliżyć. Nie cierpi mnie, gdy jest chory.

Na chwilę podniosła oczy i spuściwszy je znowu, ciągnęła:

- Ilekroć czuje, że to się zbliża, posyłał mnie pod jakimś pozorem na bal lub koncert, czy coś podobnego, a sam zamykał się w pokoju. Ja wracałam i siadałam pod drzwiami... byłby wściekły, gdyby był wiedział. Psa wpuszczał do siebie, gdy skomlał, a mnie nigdy. Zdaje mi się, że więcej dba o niego.

W tonie jej i zachowaniu czuć było dziwne, głuche wyzwanie.

- Mam nadzieję, że nie będzie już tak źle - łagodnie rzekł Martini. - Doktor Riccardo poważnie się nim zajmie. Może mu się uda uzyskać stałe polepszenie. A w każdym razie ulży mu na pewien czas. Niemniej powinna nas pani powiadomić, gdyby się to kiedy powtórzyło. Byłby znacznie mniej cierpiał, gdybyśmy się byli wcześniej dowiedzieli. Dobranoc.

Wyciągnął do niej rękę, lecz ona cofnęła się szybko, czyniąc gest odmowy.

- Nie wiem, dlaczego miałby pan podawać rękę jego utrzymance.

- Jak pani uważa... - zaczął z zakłopotaniem.

Tupnęła nogą. - Nienawidzę pana! - krzyknęła podnosząc na niego oczy jak dwa płonące węgle. - Nienawidzę was wszystkich! Przychodźcie do niego mówić o polityce, a on wam pozwala siedzieć całą noc i bierze od was lekarstwa uśmierzające, a mnie nie wolno spojrzeć na niego bodaj przez szparkę w drzwiach! Czym on jest dla was? Jakim prawem mi go zabieracie? Nienawidzę was! Nienawidzę! Nienawidzę!

Wybuchnęła gwałtownym łkaniem i wbiegając na powrót do ogrodu zatrzasnęła mu furtkę przed samym nosem.

- Wielkie nieba! - rzeki do siebie Martini. - Toż ta dziewczyna naprawdę go kocha! Jakże to wszystko dziwne...

ROZDZIAŁ VIII

Szerszeń szybko powracał do zdrowia. W dziesięć dni później Riccardo, zaszedłszy do niego pewnego popołudnia, zastał go leżącego w tureckim szlafroku na sofie, w żywej rozmowie z Martinim i Gallim. Mówił już nawet o wyjściu z domu, ale Riccardo roześmiał się tylko i spytał, czy przypadkiem nie miałby ochoty odbyć od razu pieszej wycieczki do Fiesole.

- Moglibyście na przykład złożyć wizytę Grassinim - dodał. - Jestem pewny, że madame byłaby zachwycona, zwłaszcza teraz, gdy macie twarz tak bladą i zajmującą.

Szerszeń splótł ręce tragicznym gestem.

- Dalibóg! Że też to mi nie przyszło na myśl! Wzięłaby mnie oczywiście za jednego z włoskich męczenników i wygłosiłaby patriotyczną mowę. A ja musiałbym się naturalnie dostosować do roli i powiedzieć jej, że pocięto mnie na sztuki w jakimś lochu podziemnym, a potem jako tako złożono w całość, ona zaś dopytywałaby się znów szczegółów, jakiego doznawałem uczucia przy tej operacji. Sądzicie, Riccardo, że nie uwierzyłaby? Otóż stawiam mój indyjski sztylet przeciw temu waszemu tasiemcowi w słoju, że połknie najgrubsze kłamstwo, jakie tylko zdołam wymyślić. To chyba wspaniała stawka, z której powinniście skwapliwie skorzystać.

- Dziękuję, nie jestem jednak takim amatorem narzędzi morderczych.

- Tasiemiec bywa równie morderczy jak sztylet, a nie tak ładny.

- Cóż z tego, moi drodzy, kiedy mnie nie potrzeba sztyletu, potrzeba mi zaś tasiemca. Martini, muszę iść dalej. Czy wy macie dyżur przy tym nieposłusznym pacjentem?

- Tylko do trzeciej. Idziemy obaj z Gallim do San Miniato, a signora Bolla zastąpi mnie przez ten czas.

- Signora Bolla! - powtórzył Szerszeń jakby przerażony. - Nie, Martini, nie z tego! Nie mogę się na to zgodzić, by dama trudziła się moją osobą i dolegliwościami. Zresztą, gdzie będzie siedzieć? Chyba nie zechce przyjść tutaj!

- Odkąd to tak gwałtownie zważacie na konwenanse? – zaśmiał się Riccardo. - Moi drodzy, signora Bolla jest naszą główną pielęgniarką. Pielęgnowała chorych, kiedy jeszcze nosiła krótkie sukienki, i wiem, że lepiej to robi niż najlepsza siostra miłosierdzia. Nie zechce przyjść do waszego pokoju! Chyba mieliście na myśli żonę Grassiniego! No, jej nie potrzebuję zostawiać żadnych zaleceń. Wielkie i nieba! Już wpół do trzeciej, uciekam!

- Rivarez, weźcie lekarstwo, zanim przyjdzie signora Bolla - rzekł Galli zbliżając się z flaszeczką lekarstwa.

- Do licha z tymi lekarstwami! - Szerszeń był właśnie w okresie rozdrażnienia towarzyszącego rekonwalescencji i pielęgnujący go z całym oddaniem znajomi mieli z nim ciągle przepawy. - P ...po co mnie wciąż k... karmicie tymi obrzydliwościami, skoro bóle minęły?

- Właśnie po to, by nie wróciły. Chybaby wam nie było przyjemnie, gdyby was napadły teraz i signora Bolla musiała wam podawać opium.

- Dajcie spokój. Jeśli bóle mają wrócić, to wrócą, to nie jak b...ból zębów, by go można odstraszyć waszymi marnymi miksturkami. Tyle z nich pociechy co z dziecinnej s...sikawki podczas pożaru. Niemniej mogę wam zrobić tę przyjemność.

Lewą ręką ujął szklankę z lekarstwem, a widok okropnych blizn przypomniał Gallemu poprzedni temat rozmowy.

- A propos - spytał - gdzie was tak pięknie uraczono? Czy na wojnie?

- Czy wam dopiero co nie mówiłem, że w lochach więziennych i...

- Tak, ale to kompozycja specjalnie przeznaczona dla pani Grassini. Serio, czy to z wojny z Brazylią⁴⁴?

- Tak, dostało mi się tam trochę, prócz tego na polowaniach w dzikich okolicach i jeszcze tu i ówdzie.

- Ach tak, podczas tej ekspedycji naukowej. Musiał to być okres obfitujący w nadzwyczajne wypadki.

⁴⁴ Prawdopodobnie aluzja do powstania republikanów na południu Brazylii. Wystąpili oni przeciw władzom portugalskim. W ruchu tym brał udział Garibaldi.

- Oczywiście, że w dzikich krajach nie można się ustrzec od niezwykłych przygód - lekkim tonem odparł Szerszeń - a trudno znów, by wszystkie mogły być przyjemne.

- A jednak nie rozumiem, jak można otrzymać tyle ran, chyba w jakiejś okropnej potyczce z dzikimi zwierzętami, ot, na przykład te blizny na lewym ramieniu.

- Ach, to pamiątka z polowania na pumy. Widzicie, strzeliłem...

Ozwało się pukanie do drzwi.

- Czy pokój w porządku, Martini? Tak? W takim razie otwórzcie, proszę. Signora istotnie bardzo łaskawa, proszę wybaczyć, że nie wstaję.

- To się rozumie, nie jestem gościem. Przychodzę trochę wcześniej, Cezarze. Myślałam, że ci spieszo.

- Mogę jeszcze zostać kwadrans. Złożę twój płaszcz w drugim pokoju. Czy mam też wziąć koszyczek?

- Uważaj, są w nim świeże jaja. Katie przyniosła je dziś rano z Monte Oliverto. A tu pęk ciemierników dla signora Rivareza; wiem, że pan lubi kwiaty.

Siadła przy stole i zaczęła układać kwiaty, które następnie umieściła w wazonie.

- Rivarez - ozwał się Galli - opowiedzcie nam dalszy ciąg tego polowania na pumy.

- Ach tak! Signora pozwoli... Galli wypytywał mnie właśnie o szczegóły z mego życia w Ameryce Południowej i o to, w jaki sposób moje lewe ramię zostało tak strzaskane. Otóż to się stało w Peru. Podczas polowania na pumy musieliśmy wplaw przebyć rzekę, a gdy później wycelowałem do zwierza, nabój był mokry i nie wystrzelił. Rozumie się, że puma nie czekała, aż po raz drugi nabiję broń, i oto rezultat.

- To musiała być niemiła przygoda.

- Och, nie jest znowu tak źle. Naturalnie, bywają czasem nieprzyjemności, ale na ogół życie tam wspaniałe. Na przykład polowanie na węże...

Rozgadał się i sypał jedno opowiadanie po drugim; z czasów wojny argentyńskiej, to znów o wyprawach do Brazylii, o przygodach myśliwskich i awanturach z dzikimi krajowcami lub zwierzętami. Galli słuchał z takim zachwytem, jak dziecko bajki, i co chwila przerywał opowiadanie, by o coś zapytać. Miał wrażliwą neapolitańską naturę i lubił wszelkie sensacje.

Gemma wyjęła z koszyczka jakąś robótkę i słuchała ze spuszczonej oczyma nie przestając dziergać. Martini zmarszczył brwi i niecierpliwie się poruszył. Sposób opowiadania tych przygód wydawał mu się pyszałkowaty i pretensjonalny; mimo bezwiednego podziwu dla człowieka umiającego znosić ból fizyczny ze zdumiewającą wytrwałością, którą mógł zaobserwować w ubiegłym tygodniu, czuł jednak głęboką niechęć do Rivareza i całego jego postępowania.

- To musiało być cudne życie! - z naiwną zazdrością westchnął Galli. - Dziwię się, jak mogliście się zdecydować na wyjazd z Brazylii. Inne kraje muszą się chyba wydawać po niej strasznie prozaiczne!

- Najlepiej czułem się jednak w Peru i Ekwadorze – rzekł Szerszeń.- Ten pas ziemi jest istotnie wspaniały! Oczywiście, że bardzo gorąco na pobrzeżu Ekwadoru, no i wygód też niewiele, ale krajobrazy wprost niezrównane.

- Mnie się zdaje - rzekł Galli - że zupełna swoboda życia w kraju barbarzyńskim bardziej by mnie pociągała niż najpiękniejsza sceneria krajobrazu. Tam człowiek musi mieć chyba pełne poczucie swej godności, jakiego nigdy nie może zaznać wśród tłoku naszych miast.

- Tak - odparł Szerszeń - to znaczy...

Gemma podniosła oczy od robótki i spojrzała nań. Okrył się nagle purpurowym rumieńcem i urwał.

- Czy może bóle wracają? - trwożnie zapytał Galli.

- Och, nic poważnego dzięki waszemu u-u-śmierzającemu lekowi, któremu tak bluźniłem. Już odchodzicie, Martini?

- Tak, chodźmy, Galli, inaczej się spóźnimy.

Gemma wyszła wraz z nimi i po chwili wróciła niosąc szklankę mleka podbitego jajem.

- Proszę wypić - rzekła łagodnie a stanowczo, zabierając się znów do swej roboty. Szerszeń potulnie wypił.

Przez pół godziny żadne nie rzekło słowa. Nareszcie Szerszeń rzekł bardzo cicho:

- Signora Bolla!

Podniosła oczy. Szarpał frędzle dywanu okrywającego sofę i miał oczy spuszczone.

- Pani nie wierzyła, że mówiłem teraz prawdę - począł.

- Ani na chwilę nie wątpiłam, że pan mówił nieprawdę - odpowiedziała spokojnie.

- Miała pani rację. Wszystko to było nieprawdą.

- To, co pan mówił o wojnie?

- O wszystkim. Wcale nie brałem udziału w tej wojnie, a podczas wyprawy naukowej istotnie miałem niejedną przygodę i większa część opowiedzianych zdarzeń zawiera prawdę, lecz zgruchotano mi kości w inny sposób. Skoro mnie pani przyłapała na jednym kłamstwie, to sędzę, że mogę wyznać i resztę.

- Nie uważa pan, że szkoda trudu na wymyślanie tylu bajek? - spytała.

- Cóż pani chce? Jak to brzmi wasze angielskie przysłowie: „Nie zadawaj pytań, a nie usłyszysz kłamstw”. Przecież nie sprawia mi najmniejszej przyjemności okłamywać w ten sposób ludzi, muszę im jednak coś powiedzieć, gdy pytają, w jaki sposób stałem się kaleką. A skoro już muszę zmyślać, niech przynajmniej będzie to coś ładnego. Widziała pani, jaki Galli był rozbawiony.

- Woli się pan podobać Gallemu, niż mówić prawdę?

- Prawdę! - spojrzał na nią trzymając w ręku oderwaną frędzlę. - Chyba pani nie żąda, bym tym ludziom mówił prawdę? Prędzej bym sobie dał język wyrwać! - Po chwili dorzucił dziwnie jakoś nieśmiało: - Nigdy jej nikomu nie powiedziałem, ale powiem pani, jeśli zechcesz posłuchać.

Odłożyła robotę w milczeniu. Dziwnie bolesnym wzruszeniem przejmował ją ten twardy, tajemniczy, niesympatyczny człowiek odsłaniający nagle swe przeżycia przed kobietą, którą zaledwie znał, a której najwyraźniej nie lubił. Nastąpiła długa chwila milczenia, po czym podniosła nań oczy. Lewym ramieniem wsparł się na stojącym obok stoliczku i przysłonił oczy okaleczoną ręką. Zauważyła nerwowe wyprężenie palców i silne pulsowanie żyły biegnącej koło blizny u przegubu ręki. Podeszła do niego i cicho przemówiła po imieniu. Zerwał się gwałtownie i podniósł głowę.

- Z...zapomniałem - wymamrotał. - Miałem pani o... powiedzieć o...

- O tym... wypadku, który spowodował pańskie kalectwo. Ale jeśli to panu sprawia przykrość...

- O wypadku? Och, to zgruchotanie kości! Tak... tylko, że to nie był żaden wypadek, lecz pogrzebacz.

Spojrzała nań w najwyższym zdumieniu. Ręką, trzęsącą się bardzo wyraźnie, odgarnęła włosy z czoła i popatrzył na nią z uśmiechem.

- Może pani usiądzie? Proszę tu przysunąć krzesło. Przykro mi, że nie mogę pani usłużyć. Tak, is...stotnie, gdy teraz o tym pomyślę, to widzę, że ten wypadek byłby dla Riccarda czymś nieocenionym. Jak prawdziwy chirurg ma on istną predylekcję do złamanych kości, a zdaje mi się, że przy owej sposobności złamano we mnie wszystko, co tylko złamać można, z wyjątkiem karku.

- I męstwa - wtrąciła. - Ale to pan zapewne zalicza do swych właściwości nie dających się złamać.

Potrząsnął głową przecząco. - Nie, moje męstwo zostało później naprawione w ten sam sposób co reszta mej istoty; ale wówczas było najzupełniej zdruzgotane, jak rozbita filiżanka; i to było najstraszniejsze. Ach... tak; zacząłem pani mówić o tym pogrzebaczu. Otóż... zaraz wyliczę... lat temu trzymaście byłem w Limie. Powiedziałem wpierw, że Peru jest krajem rozkosznym, tylko że mniej tam przyjemnie ludziom pozbawionym środków do życia, jak to właśnie mnie się przydarzyło. Zawlokłem się do Argentyny, a następnie do Chile, idąc pieszo i przeważnie głodując, z Valparaiso zaś wyruszyłem na statku dla bydła jako rezerwowego marynarza. Nie znalazłszy zajęcia w Limie, udałem się do doków okrętowych w Callao, by tam jeszcze spróbować szczęścia. Otóż w tych portach znajdują się osławione lokale - punkty zborne dla marynarzy. Po pewnym czasie dostałem służbę w jednej z tych jaskiń gry. Miałem gotować i usługiwać, podawać trunki majtkom i ich dziewczętom i spełniać inne tego rodzaju zajęcia. Robota niezbyt przyjemna, a jednak byłem szczęśliwy, że ją dostałem; miałem przynajmniej co jeść, widziałem twarze ludzkie i słyszałem ludzkie głosy. Pani się to zapewne nie wyda korzystną zmianą losu, ale ja właśnie przebyłem żółtą febrę, leżąc sam jeden na podwórzu nędznej rudery zamieszkaanej przez nędzarzy, i to mnie przejęło takim strachem przed samotnością. Otóż pewnej nocy rozkazano mi, bym wyrzucił pijanego majtka malajskiego, który przegrawszy wszystkie pieniądze wpadł we wściekłość. Musiałem oczywiście usłuchać, jeśli nie chciałem stracić służby i znów przymierać głodem; ale cóż, był dwa razy silniejszy ode mnie - miałem niespełna dwadzieścia jeden lat, a po febrze byłem słaby jak kot. Przy tym majtek miał pogrzebacza.

Przerwał na chwilę, rzucając jej nieufne spojrzenie, po czym znów mówił:

- Najwidoczniej miał zamiar utłuc mnie na miejscu, ale coś tam sfuszerował - dość, że zostawił mi jeszcze tyle całych kości, bym mógł żyć.

- A czemu tamci się nie wmieszali? Wszyscy się bali jednego majtka?

Spojrzał na nią i wybuchnął śmiechem.

- Tamci? Gracze i właściciele? Prawda, pani tego nie rozumie! Ja byłem ich służącym... ich własnością. Stali wokół i bawili się w najlepsze. Coś podobnego uchodzi tam za dobry żart. Bo i cóż? Istotnie dobry, tylko nie dla tego, kto jest przedmiotem owych żartów. Często tak bywa przy żartach.

Dreszcz ją przebiegł.

- I jak się to skończyło?

- O tym już dużo pani powiedzieć nie mogę. Zazwyczaj człowiek nie pamięta pierwszych dni po podobnej historii. Ale w pobliżu był gdzieś chirurg okrętowy i zdaje się, że ktoś go zaweźwał widząc, że jeszcze zipię. On mię tam jakoś poskładał. Riccardo uważa, że haniebnie, ale to może być zawiść kolegi. Bądź co bądź, gdy odzyskałem przytomność, jakaś staruszka tameczna przygarnęła mnie z „chrześcijańskiego miłosierdzia” - to brzmi komicznie, nieprawdaż? Całymi dniami siadywała w kącie chałupy skulona, paląc czarną fajkę, plując na podłogę i mrucząc do siebie. W każdym razie jednak miała najlepsze intencje i powiedziała, że mogę umrzeć spokojnie, bo nikt mi tu nie będzie przeszkadzał. Ale duch oporu był we mnie zawsze silny i wybrałem życie. Trudna to była historia - zebrać na powrót resztki życia, i nieraz mi się zdaje, że cała ta gra niewarta była świeczki. Niezależnie od tego cierpliwość tej kobiety była imponująca. Leżałem w jej chałupie... Jak długo to trwało?... Przeszło cztery miesiące. Miotalem się od czasu do czasu w delirium jak furiat, poza tym zaś potulny byłem jak niedźwiedź, gdy go boli ucho. Ból był, co prawda, nie lada, a mnie w dzieciństwie zbyt rozpieszczono.

- A potem?

- Och, potem,.. Jakoś się wykaraskałem i powlokłem dalej. Proszę nie myśleć, że zrobiłem to ze względu na biedną kobietę, której dobroci nadużywałem - o takie rzeczy przestałem się już troszczyć - tylko że nie mogłem po prostu znieść dłużej tego miejsca. Mówiła pani dopiero co o moim męstwie, gdyby mnie pani widziała wówczas! Najgorsze bóle przychodziły zwykle wieczorem, o zmroku, a ja całe popołudnie leżałem sam i patrzyłem, jak słońce zapada coraz niżej, niżej... Och, pani nie może tego zrozumieć. Dotąd nie jestem w stanie patrzeć na zachód słońca.

Długa pauza.

- A potem powlokłem się dalej szukać roboty - pobyt w Limie byłby mnie doprowadził do obłądzenia. Tak dostałem się do Cuzco i tam... Doprawdy, nie wiem, po co opowiadam pani tę starą historię, która nawet nie jest zabawna.

Podniosła głowę i spojrzała nad poważnie, głęboko. - Proszę nie mówić w ten sposób.

Przygryzł wargi i oderwał znów frędzlę od dywanu.

- Czy mam dalej opowiadać? - spytał po chwili.

- Jak... pan chce... Obawiam się, że panu za ciężko wracać do tych wspomnień.

- Sądzi pani, że zapominam, nie mówiąc o nich? Wtedy jeszcze gorzej. Tylko proszę nie myśleć, że to samo tylko wspomnienie ówczesnego mego stanu prześladuje mnie w ten sposób. Chodzi mi o coś innego, o to, że straciłem panowanie nad sobą.

- Nie... nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

- Że wyczerpała się wówczas cała moja odwaga i poczułem się tchórzem.

- Ostatecznie istnieje granica ludzkiej wytrzymałości.

- A człowiek, który już raz stanął u tej granicy, nie może wiedzieć, kiedy znów przy niej stanąć może.

- Czy nie zechciałby mi pan powiedzieć - spytała z pewnym wahaniem - jakim sposobem znalazł się pan w takich warunkach w dwudziestym roku życia.

- Bardzo proste: w ojczyźnie było mi bardzo dobrze... a potem uciekłem.

- Czemu?

Zaśmiał się znów nieprzyjemnie.

- Czemu? Ponieważ byłem, jak się zdaje, młodym zarozumiałcem. W domu miałem wszelkie możliwe wygody, psuto mnie i rozpieszczano, więc wmówiłem w siebie, że cały świat jest z różowej waty i cukrowanych migdałów. Aż tu pewnego dnia odkryłem, że ktoś, komu ufałem, oszukał mnie. Czemu się pani wzdrygnęła? Co pani?

- Nic.

- Odkryłem, że mnie oplatano kłamstwem... ot, drobne doświadczenie życiowe, ale jak powiedziałem, byłem młody i zarozumiały i myślałem, że kłamcy idą prosto do piekła. Więc uciekłem z domu i ugrzązłem w Ameryce Południowej, tonąc lub pływając, jak się dało. Bez centa w kieszeni, nie umiejąc słowa po hiszpańsku, miałem, by zarobić na chleb, białe ręce i pańskie przyzwyczajenia. Więc naturalny rezultat był ten, że wpadłem w otchłań prawdziwego piekła, gdzie przestałem wierzyć w piekło

zmyślone. Otchłań to była co się zowie i trwała całe pięć lat, aż do wyprawy Dupreza, która mnie z niej wydobyła.

- Przez pięć lat! Ach, to okropne! I nie miał pan żadnych przyjaciół?

- Przyjaciół! Ja... - zwrócił się do niej z nagłym wybuchem – ja nigdy nie miałem przyjaciela.

W tej chwili jakby się zawstydził swej gwałtowności i zaczął szybko mówić:

- Proszę tego nie brać zbyt poważnie; zdaje mi się, że zbyt ciemno to wszystko przedstawiam. Przez pierwsze półtora roku nie było znów tak źle; byłem młody i silny i jakoś sobie dawałem radę, zanim Malajczyk zostawił mi po sobie taką pamiątkę. Od tego czasu nie mogłem dostać roboty. To zdumiewające, jak skutecznym narzędziem jest pogrzebacz, jeśli się go umie użyć należycie... A kaleki nie chce nikt przyjąć do roboty.

- Jaką robotę pan wykonywał?

- Jaką mogłem dostać. Przez pewien czas spełniałem wszelkie posługi u Murzynów na plantacjach cukru, przynosząc, odnosząc, itd. Ale na nic się to nie zdało: dozorczy zawsze mnie wypędzali. Zbyt byłem kulawy, by szybko biegać, a wielkich ciężarów też dźwigać nie mogłem. Przy tym raz po raz dostawałem tych ataków zapalenia czy jak ona się tam zowie, ta przekłeta choroba... Po pewnym czasie udałem się do kopalń srebra, by tam dostać zajęcie, ale zabiegi moje spełzyły na niczym. Kierownicy śmiali się na samą propozycję, a robotnicy od razu mnie napadali.

- Z jakiej racji?

- Och, zwykły rys ludzkiej natury. Widzieli, że mogę im oddać tylko jedną ręką. Ostatecznie miałem tego dość i powlokłem się dalej, na chybił trafił, idąc i idąc w nadziei, że coś się nadarzy.

- Tak ciągle pieszo? Z tą kulawą nogą?

Oddech mu zatamowało, podniósł nagle oczy.

- Byłem... byłem głodny.

Odwróciła nieco głowę i oparła brodę na rękę. Po chwilowej pauzie znów zaczął, a głos jego stawał się coraz cichszy.

- Szedłem i szedłem, aż niemal bliski byłem obłądu, i nic się nie nadarzało. Dowlokłem się do Ekwadoru, a tam było gorzej niż kiedykolwiek. Od czasu do czasu dostawałem coś do podrutowania - wcale ze mnie niezły druciarz - albo trzeba było

gdzieś pobiec, albo wyczyścić chlew, czasem... och, sam już nie wiem, czego wówczas nie robiłem. Aż na koniec pewnego dnia...

Delikatna, brązowa ręka nagle wpiła się w stół, a Gemma, podniósłszy głowę, rzuciła nań trwożne spojrzenie. Był do niej zwrócony profilem, dokładnie więc mogła widzieć żyłę na jego skroni, pulsującą szybko, nieregularnie. Pochyliła się i położyła rękę na jego ramieniu:

- Niech pan przestanie, to zbyt okrutne.

Przez chwilę wpatrywał się w jej rękę, jakby się wahał, następnie potrząsnął głową i znów zaczął:

- Pewnego dnia spotkałem wędrowną trupę kuglarzy. Przypomina sobie pani niedawne przedstawienie? Otóż coś podobnego, tylko ordynarniejsze i bardziej nieprzyzwoite. Oczywiście, że mieli też w programie walkę byków. Rozłożyli właśnie namiot przy drodze, by przenocować, a ja wszedłem tam prosić o jałmużnę. Był straszny upał, a ja umierałem wprost z głodu i zemdlałem... u drzwi namiotu. Miewałem wówczas napady omdlenia, jak pensjonarka w zbyt ciasnym gorsecie. Dość, że zabrali mnie do namiotu, dali wódki, jeść, a... a nazajutrz rano... zaproponowali mi...

Znów pauza.

- Potrzebowali właśnie garbusa lub innej poczwary, by ulicznicy mieli kogo obrzucać łupinami z pomarańcz lub bananów... coś, co by ich rozśmieszało. Widziała pani kłowna w owym cyrku... otóż ja takim byłem... przez dwa lata.

Wyuczyłem się sztuczek potrzebnych. Nie byłem wprawdzie dość zniekształcony, lecz uzupełnili to garbem sztucznym, a kalectwo mej nogi i ręki wyzyskali w całej pełni... a ludzie tam są tak bezkrytyczni; wystarczy dać im tylko jakieś żywe stworzenie do torturowania... strój błazna też się przyczynia do zabawy.

Jedyną przeszkodę stanowiło to, że często byłem chory i niezdolny do występów. Niekiedy przedsiębiorca bywał w złym humorze i zmuszał mnie do wyjścia na arenę, gdy miałem owe ataki... Zdaje mi się, że te wieczory największe miały powodzenie. Raz, pamiętam, zemdlałem z bólu w czasie przedstawienia... Gdy odzyskałem przytomność., widzowie tłoczyli się wokół mnie... świszcząc, wyjąc i obrzucając mnie...

- Dość! Nie mogę więcej! Na miłość Boga, proszę przestać.

Zerwała się, oburącz zatykając sobie uszy. Przerwał i podniósłszy na nią wzrok ujrzał łzy w jej źrenicach.

- U licha, toż ze mnie idiota! - szepnęła.

Podeszła ku oknu i stała chwilę bez ruchu. Gdy się odwróciła, Szerszeń znów był wsparty o stół., ręką przesłaniał sobie oczy. Widocznie zapomniał o jej obecności, a ona usiadła obok niego nie mówiąc słowa. Po długim milczeniu rzekła powoli.

- Chciałabym pana o coś spytać.

- Proszę - rzekł nie zmieniając pozycji.

- Czemu pan sobie nie podciął gardła?

Spojrzał na nią w najwyższym zdumieniu. - Nie spodziewałem się tego po pani - rzekł. - A moje dzieło? Kto byłby go za mnie dokonał?

- Pańskie dzieło... Ach, tak! Mówił pan przed chwilą o swym tchórzostwie; jeśli pan jednak przeszedł przez to wszystko i mimo to pozostał wierny swemu celowi, jest pan najdzielniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Znów sobie zasłonił oczy, w namiętny, silny uścisk ujawszy jej rękę. Wokół zaległa cisza zdająca się nie mieć końca.

Nagle w ogrodzie rozległ się świeży sopran śpiewający łamaną francuszczyzną uliczną piosenkę:

*Eh, Pierrot! Danse, Pierrot!
Danse un peu, mon pauvre Jeannot!
Vive la danse et l'allegresse!
Si moi je pleure ou moi je soupire,
Si moi je fais la triste figure,
Monsieur, ce n'est que pour rire!
Ha! ha! ha! ha!
Monsieur, ce n'est que pour rire!*

Na dźwięk pierwszych słów Szerszeń wyrwał palce z ręki Gemmy i cofnął się ze stłumionym jękiem. Ona oplotła mu ramię obiema rękami, ściskając je silnie, jakby ściskała rękę człowieka poddającego się operacji chirurgicznej. Gdy śpiew zamilkł, a w ogrodzie rozległ się śmiech i oklaski, podniósł oczy z wyrazem torturowanego zwierzęcia.

- Tak, to Zita ze swymi przyjaciółmi oficerami. Próbowala tu wtargnąć onegdajszego wieczora przed przybyciem Riccarda. Byłbym oszalał, gdyby mnie dotknęła.

- Przecież ona nie wie - szepnęła Gemma - nie może zrozumieć...

Nowy wybuch śmiechu w ogrodzie. Gemma wstała i otworzyła okno. W szalu przetykanym złotem, kokieteryjnie zarzuconym na głowę, stała Zita pośrodku ścieżki, trzymając w ręku wiązanek fiołków, o którą zdawali się ubiegać trzej młodzi oficerowie.

- Madame Reni! - zawołała Gemma.

Twarz Zity sposepniała jak chmura gradowa.

- Madame? - rzekła, podnosząc głowę z wyzywającym spojrzeniem.

- Może by przyjaciele pani rozmawiali trochę ciszej? Signor Rivarez czuje się bardzo źle.

Cyganka rzuciła wiązanek fiołków.

- *Allez-vous en!* - rzekła zwracając się do zdumionych oficerów. - *Vous m'embêtez, messieurs!*⁴⁵

Powoli wyszła z ogrodu. Gemma zamknęła okno.

- Odeszli - rzekła zwracając się do niego.

- Dzięki. Przykro mi... że panią trudziłem.

- To nie był trud... - Od razu wyczuł w jej głosie pewne wahanie.

- Lecz? - podjął. ~ Signora nie dokończyła zdania. Nie wypowiedziała pani tego „ale”, które pani miała na myśli.

- Jeśli pan czyta nie dopowiedziane myśli, to proszę się nie obrażać tym, co w nich znajduje. To, oczywiście, sprawa osobista, lecz nie mogę zrozumieć...

- Mego wstrętu do madame Reni? To tylko wtedy...

- Nie, tylko tego, dlaczego pan żyje z kobietą, do której czuje pan wstręt. Ja to uważam za obelgę dla niej jako kobiety i...

- Kobieta! - Wybuchnął ostrym śmiechem. - I coś podobnego pani nazywa kobietą? *Madame, ce n'est que pour rire!*⁴⁶

- To nieładnie! - odparła. - Pan nie ma prawa mówić o niej w ten sposób... zwłaszcza wobec innej kobiety!

Odwrócił się i szeroko rozwartymi źrenicami wpatrywał się przez okno w zachodzące słońce. Spuściła story i zawarła okiennice, by nie widział zachodu, po czym usiadła przy drugim oknie i podjęła swą robotkę.

- Może zapalić lampę?

⁴⁵ *Allez-vous en! Vous m'embêtez, messieurs!* (fr.) - Wynoście się, nudzicie mnie, panowie!

⁴⁶ *Madame, ce n'est que pour rire!* (fr.) - Uśmieć się tylko można, proszę pani!

Potrząsnął głową przecząco.

Gdy się ściemniło, Gemma odłożyła robotę i przez chwilę siedziała ze złożonymi rękami, w milczeniu patrząc na nieruchomą postać Szerszenia. Zmierzch wieczorny, rzucając cienie na jego twarz, łagodził niejako jej ostry wyraz szyderstwa i pewności siebie, pogłębiając tragiczne linie dokoła ust. Przez dziwne jakieś skojarzenie myśli pamięć jej pobiegła nagle do kamiennego krzyża wzniesionego przez jej ojca ku pamięci Artura i noszącego napis:

Wszystkie twe bałwany i fale przepłynęły nade mną

Minęła cała godzina w nieprzerwanym milczeniu. Nareszcie wstała i cicho wyszła z pokoju. Wróciwszy z lampą przystanąła na chwilę, sądząc, że Szerszeń zasnął. Gdy światło padło mu na twarz, odwrócił głowę ku wchodzącej.

- Zrobiłam panu filiżankę kawy - rzekła stawiając lampę.

- Proszę postawić. I niech się pani zbliży na chwilę, dobrze? - Ujął obydwie jej ręce. - Rozmyślałem... Ma pani zupełną rację, brzydtko się zaplątałem. Ale trudno. Nie co dnia napotyka człowiek kobietę, którą może... kochać, a ja... ja byłem w głębokiej otchłani. Boję się...

- Pan się boi...

- Ciemności. Czasem nie mam odwagi być w nocy sam. Muszę mieć obok siebie coś żywego... coś realnego... „A synowie Królestwa będą wrzuceni w ciemności zewnętrzne...” Nie, nie. To tylko piekielko z szopki... mnie idzie o ciemności wewnętrzne. Tam nie ma płaczu ni zgrzytania zębów, tylko cisza... cisza...

Żrenice rozszerzyły mu się nadmiernie. Siedziała bez ruchu nie śmiejąc prawie oddychać.

- To wszystko jest dla pani zagadką, nieprawdaż? Pani tego nie może zrozumieć... na szczęście. Chciałem tylko powiedzieć, że musiałbym chyba oszaleć, gdybym był sam... Proszę nie myśleć o mnie zbyt źle, jeśli to możliwe. Nie jestem takim zwierzęciem, za jakie mnie pani zapewne uważa.

- Ja pana nie mogę sądzić - odparła. - Nie cierpiałam tyle co pan. Ale... i ja byłam w głębokiej otchłani, i sędzę...jestem nawet pewna... że jeśli strach przed czymś pchnie pana do spełnienia czegoś naprawdę okrutnego, niesprawiedliwego czy nieszlachetnego, niewątpliwie będzie pan później żałował. Zresztą, jeśli pan zblądził w tym jednym wypadku, to wiem, że ja na pańskim miejscu byłabym się zabląkała ostatecznie... i umarła złorzecząc Bogu.

Ciągle jeszcze trzymał ją za rękę. - Proszę mi powiedzieć - szepnął - czy w życiu swym nigdy nie popełniła pani czegoś naprawdę okrutnego?

Nie dawała odpowiedzi, lecz opuściła głowę na pierś, a dwie duże łzy spadły mu na rękę.

- Powiedz! - szepnął gorączkowo, mocniej ściskając jej rękę. - Powiedz... Ja pani wyznałem całą swą nędzę.

- Tak... kiedyś... dawno temu. Popełniłam to wobec człowieka, którego najbardziej kochałam na świecie.

Ściskające ją rękę drżały gwałtownie, lecz nie zwalniały uścisku.

- Był moim towarzyszem - mówiła dalej - a ja uwierzyłam w oszczerstwo... w podłe kłamstwo wymyślane przez policję. Uderzyłam go w twarz jako zdrajcę, a on odszedł i utopił się. A w dwa dni później dowiedziałam się, że był niewinny. Kto wie, czy to nie jest wspomnienie okropniejsze niż którekolwiek z pańskiego życia. Dałabym sobie odciąć prawą rękę, gdyby się mogło odstać to, co uczyniłam.

Coś błyskawicznego, niebezpiecznego... coś, czego nigdy wpierw nie widziała... błysnęło w jego oczach. Szybkim ruchem pochylił głowę i pocałował ją w rękę.

Cofnęła się z przerażeniem na twarzy. - Nie! - krzyknęła błagalnie. - Proszę tego nie robić nigdy! To boli!

- A pani sądzi, że nie bolało człowieka, którego pani zabiła?

- Człowieka... którego... zabiłam... Ach, Cezar wchodzi do ogrodu... Muszę... muszę odejść!

Gdy Martini wszedł do pokoju, zastał Szerszenia samego obok nie tkniętej filiżanki kawy. Mruczał coś cicho, jakby tając siebie samego.

ROZDZIAŁ IX

W kilka dni później Szerszeń, blady jeszcze, utykając bardziej niż zwykle, wszedł do biblioteki publicznej i zażądał kazań kardynała Montanellego. Riccardo, czytający przy sąsiednim stole, podniósł głowę. Bardzo lubił Szerszenia, lecz nienawidził tej jego dziwnej złośliwości.

- Przygotowujecie nową salwę pocisków przeciw temu nieszczęsnemu kardynałowi? - spytał trochę rozdrażniony.

- Moi drodzy, powiedzcie, dlaczego p...podsuwacie l...ludziom zawsze złe intencje? To w w...wysokim stopniu niechrześcijańskie. Przygotowuję rozprawę o współczesnej teologii dla n...n...nowego pisma.

- Dla jakiego nowego pisma? - Riccardo zmarszczył brwi. Byłoby już publiczną tajemnicą, że oczekiwano nowej ustawy prasowej, a opozycja przygotowywała miastu niespodziankę w postaci nowego radykalnego dziennika? Dotąd było to przecież otoczone najściślejszą tajemnicą.

- Rozumie się, że dla „Gazety Oszusta” albo „Kalendarza Kościelnego”.

- Pst! Przeszkadzamy innym czytelnikom.

- Ha, w takim razie trzymajcie się swojej chirurgii, która jest waszą specjalnością, a mnie pozostawcie moją t...teologię. Ja się nie mieszam do waszych złamanych kości, chociaż wiem o nich z...znacznie więcej niż wy. - Zabrał się do tomu kazań z wielkim skupieniem. Jeden z bibliotekarzy zbliżył się doń.

- Signor Rivarez! Zdaje mi się, że pan brał udział w ekspedycji Dupreza badającej dorzecze Amazonki? Może nam pan zechce udzielić pewnych objaśnień. Jedna pani żąda szczegółów o ekspedycji, a sprawozdania są właśnie u introligatora.

- O co zapytuje?

- Chce tylko wiedzieć, w którym roku ekspedycja wyruszyła i kiedy dotarła do Ekwadoru.

- Wyruszyła z Paryża jesienią 1837 roku, a w Quito była w kwietniu 1838 roku. Bawiliśmy w Brazylii trzy lata, następnie ruszyliśmy do Rio, a do Paryża powróciliśmy latem 1841 roku. Czy pani ta żąda dat poszczególnych odkryć?

- Nie, dziękuję, tylko tyle. Zanotowałem sobie. Beppo, proszę cię, podaj tę notatkę signorze Bolla. Jeszcze raz dzięki, signor Rivarez. Przepraszam, że panu przeszkodziłem.

Szerszeń wsunął się w głąb fotela marszcząc czoło. Na co potrzebne jej te daty? Kiedy dotarli do Ekwadoru...

Gemma wróciła do domu z otrzymanym świstkiem papieru w rękę. W kwietniu 1838... a Artur umari w maju 1833. Pięć lat...

Zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem. Źle spała ostatnich kilka nocy i czarne cienie wystąpiły jej pod oczyma.

- Pięć lat... i „w domu wszelkie możliwe wygody”... i „ktoś komu ufał, oszukał go”... oszukał go... a on to odkrył...

Przystanąła, oburącz ujmując się za głowę. Och, to przecież szaleństwo... wręcz niemożliwe... głupie.

A jednak przetrząsnęli cały port i nic!

Pięć lat, a miał niespełna dwadzieścia jeden, gdy ów marynarz... Musiał więc mieć dziewiętnaście, gdy uciekł z domu. Czyż nie powiedział: „półtora roku”... I skąd u niego te błękitne oczy i nerwowe niespokojne palce? Przy tym ta zawziętość na Montanellego? Pięć lat... pięć lat...

Gdyby była pewna, że się utopił... gdyby widziała zwłoki, stara rana musiałaby się kiedyś zabiżnić, wspomnienie straciłoby swą groźbę. Może za jakie lat dwadzieścia nauczyłaby się patrzeć w przeszłość bez trwogi.

Całą młodość zatrzała jej myśl o tym, co popełniła. Wytrwale, dzień po dniu, rok po roku walczyła z demonem sumienia. Ciągle musiała sobie przypominać, że praca jej należy do przyszłości i ciągle musiała zamykać oczy i uszy przed widmem przeszłości. I dzień po dniu, rok po roku prześladował ją obraz zwłok wyłaniający się z morza, a w sercu jej nie milknął gorzki okrzyk: „Ja zabiłam Artura! Artur utonął”. I bywały okresy, gdy ciężar ten zdawał się jej już nie do zniesienia.

A teraz oddałaby pół życia, gdyby ciężar ten mogła znów odzyskać. Świadomość, że zabiła go, sprawiła jej ból, z którym się już oswoiła; za długo go znosiła, by teraz upaść pod jego brzemieniem. Ale jeżeli popchnęła Artura nie do samobójstwa, lecz... Usiadła, obiema rękami zasłaniając sobie oczy. Pomyśleć, że całe jej życie było tak ciężkie z powodu jego śmierci! Gdybyż go pchnęła tylko w objęcia śmierci...

Bezlitośnie, skrupulatnie, szczegół po szczególe rozpatrywała piekło jego przeszłości. Stało przed nią tak żywe, jak gdyby sama to wszystko widziała i przeżywała: bezsilny lęk, szyderstwo gorsze od śmierci, strach samotności zupełnej, powolna, miazdząca, nieubłagana agonია. Czuła to wszystko tak silnie, jak gdyby ona sama siedziała przy nim w wilgotnej chacie indiańskiej i cierpiała z nim w kopalniach srebra... na plantacjach... na przedstawieniach kuglarzy.

Kuglarzy... Nie, musi przynajmniej ten obraz wyrwać z pamięci. Można oszaleć siedząc tak i myśląc o tym.

Otworzyła szufladkę biurka. Zawierała kilka osobistych rzeczy, których nie miała siły zniszczyć. Sentymentalne rozczulanie się błahostkami dalekie było jej naturze; przechowywanie tych pamiątek było ustępstwem na korzyść uczucia, które tłumiała siłą woli. Rzadko tylko pozwalała sobie otwierać tę szufladkę.

Teraz zaczęła z niej wyjmować jedno po drugim; pierwszy list Giovanniego, kwiaty, które trzymał w martwej dłoni, pukiel włosów zmarłego dziecka i zaschły liść z mogiły ojca. W głębi szufladki był miniaturowany portrecik Artura, gdy miał lat dziesięć - jedyna jego istniejąca podobizna.

Wzięła ją do rąk i wpatrywała się w tę śliczną głowę dziecka, dopóki młodzieńcza twarz Artura nie stanęła jej przed oczyma z całą wyrazistością. Zmysłowa linia ust, duże, poważne oczy, przeczysty wyraz twarzy - wszystko to wryte było w jej pamięci z taką wiernością, jak gdyby go wczoraj dopiero widziała. Powoli łzy napłynęły jej do oczu i przesłoniły portret.

Och, jakże mogła pomyśleć coś tak strasznego! Świątokradztwem byłoby przypuszczać bodaj na chwilę, że ten jasny, daleki duch miałby być przykuty do brudnej nędzy życia. Tak, bogowie kochali go trochę i pozwolili mu umrzeć młodo. Tysiąc razy lepiej, że pogrążył się w ostatecznej nicości, niżby miał żyć jako Szerszeń - Szerszeń ze swym nienagannie zawiązanym krawatem i wątpliwymi dowcipami, ostrym językiem i baletnicą! Nie, nie! To straszna, niedorzeczna fantazja, a ona zatruwa sobie duszę złudnymi widziadłami! Artur nie żyje.

- Czy mogę wejść? - spytał miękki głos ode drzwi.

Drgnęła tak gwałtownie, że portret wypadł jej z rąk, a Szerszeń zbliżył się utykając i podniósł go z podłogi?

- Jakże mnie pan przestraszył! - rzekła.

- B...bardzo mi przykro. Czy może przeszkadzam?

- Nie. Przeglądam tylko stare pamiątki.

Zawahała się na chwilę, po czym podała mu miniaturę.

- Co pan sądzi o tej głowie?

Gdy się przyglądał, śledziła wyraz jego twarzy z takim napięciem, jak gdyby od niego zależało jej życie. Twarz ta była jednak tylko krytyczna i obojętna.

- Ciężkie pani stawia przede mną zadanie - rzekł po chwili. - Portret jest wyblakły, a z twarzy dziecka trudno coś wyczytać. Zdaje mi się jednak, że dziecko to wyrośnie na człowieka nieszczęśliwego i najlepiej by zrobiło wcale nie wyrastając.

- Czemu?

- Proszę spojrzeć na linię dolnej wargi... T...to oznacza naturę odczuwającą cierpienie jako cierpienie, a zło jako zło. Dla takich nie ma miejsca na świecie, tu potrzeba ludzi nie czujących nic poza swą pracą.

- Czy głowa ta nie przypomina panu kogoś znajomego?

Przyjrzał się miniaturze uważnie.

- Tak, jakie to dziwne! Oczywiście, że bardzo jest podobny.

- Do kogo?

- Do k...k...kardynała Montannellego. Ciekaw jestem, czy ten nienaganny k...kardynał nie ma...powiedzmy... bratanków? Kto jest ten chłopczyk, jeśli wolno spytać?

- To portret z lat dziecińczych mego przyjaciela, o którym panu kiedyś mówiłam.

- Którego pani zabiła?

Drgnęła mimo woli. Jak lekko, z jakim okrucieństwem wymawiał to okropne słowo!

- Tak, którego zabiłam, jeśli istotnie nie żyje.

- Jeśli?

Nie spuszczała oczu z jego twarzy.

- Czasem o tym wątpiłam. Nigdy nie znaleziono zwłok. Mógł przecież uciec jak pan do Ameryki Południowej.

- Miejmy nadzieję, że tak nie jest. Musiałaby pani ciężkie wlec za sobą wspomnienie. Ja s...swego czasu bywałem w poważnych opalach i niejedną duszę posłałem może do piekła; gdybym jednak miał na sumieniu coś takiego, jak wypędzenie jakiejś żyjącej i...isj:oty do Ameryki Południowej, to p...prawdziwie źle sypiałbym po nocach...

- Więc pan sądzi - przerwała zbliżając się doń z zaciśniętymi rękoma - że gdyby nie utonął... i gdyby przeżył to, co pan... pan sądzi, że nie wróciłby nigdy, by zapomnieć o przeszłości? Pan sądzi, że nie zapomniaby nigdy? Niech pan pamięta, że i mnie to coś kosztowało. Proszę spojrzeć.

Odgarnęła z czoła gęstą falę włosów. Wśród czarnych pukli biegł bujny kosmyk włosów całkiem siwych.

Nastąpiło długie milczenie.

- Sądzę - rzekł Szerszeń na koniec - że zmarłych lepiej jest pozostawić w spokoju. Trudno pewne rzeczy zapomnieć. I gdybym ja był na miejscu zmarłego przyjaciela pani, to p...pozostałbym umarłym. Zmartwychwstały jest upiorem bardzo niepożądanym.

Włożyła miniaturkę do szufladki i zamknęła biurko.

- Okrutna zasada - rzekła. - A teraz mówmy o czym innym.

- Przyszedłem pomówić o pewnej sprawie, jeśli pani pozwoli, o sprawie prywatnej, właściwie o planie, który mi przyszedł na myśl.

Przysunęła krzesło do stołu i usiadła.

- Co pani sądzi o projektowanej ustawie prasowej? - zaczął bez śladu zwykłego zacinania się.

- Co ja o tym myślę? Myślę, że niewiele z niej będzie pociechy, ale w każdym razie lepszy rydz niż nic.

- Niewątpliwie. Więc pani zamierza pracować w jednym z nowych pism przygotowanych przez tych pocziwców?

- Myślałam o tym. W takim wydawnictwie jest zawsze dużo roboty mechanicznej: druk, rozsyłanie.

- Jak długo zamierza pani trwonić w ten sposób swe siły umysłowe?

- Czemu „trwonić”?

- Ponieważ jest to trwonienie. Wie pani doskonale, że ma pani znacznie lepszą głowę niż większość tych mężczyzn, z którymi pani pracuje, a jednak pozwala pani robić z siebie jucznego wielbłąda, istne faktotum do wszystkiego. Umysłowo przewyższa pani takiego Grassiniego czy Gallego; w porównaniu z panią to studenci, a jednak pani siedzi nad ich korektami jak niewolnica.

- Przede wszystkim nie siedzę nad korektami, a następnie pan zdaje się mieć przesadne wyobrażenie o mych zdolnościach. Nie są one tak świetne, jak pan sądzi.

- Wcale nie sądzę, by były świetne - odparł spokojnie - uważam je jednak za zdrowe i solidne, co jest znacznie ważniejsze. Podczas jałowych posiedzeń komitetu pani zawsze wydobywa sens logiczny z ogólnej gmatwaniny.

- Jest pan niesprawiedliwy dla innych. Martini, na przykład, myśli bardzo logicznie, a zdolności Fabriziego i Legi są również bardzo wybitne. Grassini zna się też lepiej na włoskiej statystyce ekonomicznej niż niejeden urzędnik państwowy.

- Bardzo być może, co zresztą znaczy niewiele. Ale dajmy na razie pokój ich osobom i zdolnościom. Pozostaje faktem, że przy swych zdolnościach pani mogłaby działać znacznie więcej i zająć miejsce bardziej odpowiedzialne niż obecnie.

- Jestem zadowolona z obecnego. Robota, którą spełniam, nie ma zbyt wielkiej wartości, ale każdy z nas robi, co może.

- Signora Bolla, ja i pani zaszliśmy już zbyt daleko, by się bawić w komplementy lub przesadną skromność. Proszę powiedzieć otwarcie, czy pani nie sądzi, że zużywa swe zdolności na pracę, którą mogliby równie dobrze wykonywać ludzie o niższej inteligencji?

- Skoro pan tak nalega, przyznaję, że tak jest... do pewnego stopnia.

- Więc czemu pani pozwala, by to trwało w dalszym ciągu?

Brak odpowiedzi.

- Czemu pani na to pozwala?

- Bo nie mogę inaczej.

- Czemu?

Spojrzała nań z wyrzutem. - Nieładnie... niedobrze, że pan tak nalega.

- Mimo to niech pani odpowie.

- Skoro pan musi wiedzieć, więc... dlatego, że życie moje zostało zdruzgotane i brak mi sił do rozpoczęcia teraz czegoś istotnego. Właśnie nadaję się na konia dorożkarskiego i na posługaczkę partii rewolucyjnej. Przynajmniej spełniam moją robotę sumiennie, a ostatecznie ktoś by ją spełniać musiał.

- Oczywiście, ktoś by ją spełniał, ale nie ciągle ta sama osoba.

- Do niczego innego nie czuję się zdolna.

Przyglądał się jej badawczo na wpół przymrużonymi oczyma. Podniosła głowę.

- Znow wracamy do poprzedniego tematu, a mieliśmy mówić o jakiejś sprawie. Zapewniam pana, że na nic się nie zda przypominać mi, co mogłam zrobić w życiu. Nie zrobię już nic. Ale może potrafię być panu pomocna w obmyśleniu tego planu, o którym pan wspomniał. Co to jest takiego?

- Naprzód pani mówi, że na nic się nie zda podsuwanie jakichkolwiek projektów, a potem chce pani wiedzieć, o co mi chodzi. Otóż mój plan wymaga pomocy pani nie tylko w obmyśleniu go, lecz także w wykonaniu.

- Proszę powiedzieć, a potem możemy dyskutować.

- Chciałbym się wpiery dowiedzieć, czy słyszała już pani coś o planach powstania w Wenecji.

- Od czasu amnestii ciągle przecież słyszę o planach powstania i intrygach sanfedystów, lecz wyznać muszę, że nie dowierzam zarówno jednemu, jak i drugiemu.

- Tak samo ja, w większości wypadków. Tu jednak mówię o czynionych w całej prowincji przygotowaniach do powstania przeciwko Austriakom. Mnóstwo młodzieży

w posiadłościach papieskich, a zwłaszcza w Czterech Legacjach⁴⁷, przygotowuje się potajemnie do przebycia granicy i przyłączenia się w charakterze ochotników. A od moich przyjaciół w Rumunii dowiaduję się...

- Proszę mi powiedzieć - przerwała - czy pan jest całkiem pewny, że tym przyjaciołom można ufać?

- Bezwarunkowo. Znam ich osobiście i pracowałem z nimi.

- To znaczy, że są to członkowie „bojówki”, do której pan należy. Niech pan wybaczy, ale ja zawsze trochę nie dowierzam, gdy chodzi o informacje pochodzące od tajnych stowarzyszeń. Zdaje mi się, że zwyczaj...

- Kto pani powiedział, że należę do jakiejś „bojówki”? - przerwał jej ostro.

- Nikt, odgadłam.

- Ach! - Oparł się o poręcz krzesła i spojrzał na nią marszcząc czoło. - Czy pani się zawsze domyśla czyichś spraw prywatnych? - spytał po chwili.

- Bardzo często. Umiem obserwować uważnie i ze szczegółów wysnuwać wnioski. Mówię to panu dlatego, aby był pan ostrożny, jeśli chce, żebym się czegoś nie dowiedziała.

- Nie zależy mi na ukrywaniu przed panią czegokolwiek, jeśli to nie rozejdzie się dalej. Sądzę wszakże...

Podniosła głowę na wpół zdumiona, na wpół urażona.

- To zastrzeżenie chyba zupełnie zbyteczne.

- Wiem, oczywiście, że pani nie mówiłaby ludziom niepartyjnym, ale może członkom partii...

- Do partii należą moje czyny, nie osobiste domysły i fantazje. To się rozumie, że nie wspomnę ani słówkiem.

- Dzięki. A może pani już odgadła, do której bojówki należę?

- Spodziewam się... niech pana nie obraża moja szczerłość, pan przecież rozpoczął tę rozmowę, spodziewam się, że nie do Nożowców.

- Czemu się pani tego spodziewa?

- Ponieważ się pan nadaje do lepszych rzeczy...

⁴⁷ Cztery Legacje - cztery prowincje państwa kościelnego, w którym władzę sprawowali legaci (przedstawiciele) papiescy.

- My wszyscy nadajemy się do lepszych rzeczy niż te, które spełniamy. Odpowiadam pani własnymi jej słowami. Nie należę jednak do Nożowców, lecz do Czerwonych Pasów. To poważniejszy związek i poważniej też traktuje swą robotę.

- Ma pan na myśli nożownictwo?

- Także to, obok wielu innych rzeczy. A jednak noże są bardzo użyteczne, ale tylko przy dobrze zorganizowanej propagandzie. Czego nie lubię u Nożowców, to właśnie tego, że wszystkie trudności na świecie podejmują się rozwikłać nożem. W tym tkwi ich wielki błąd. Można rozwikłać wiele, ale nie wszystko.

- Naprawdę pan sądzi, że nożem da się cośkolwiek rozwikłać?

Spojrzał zdumiony.

- Rozumie się - ciągnęła dalej - że chwilowo usuwa to pewne trudności spowodowane obecnością zręcznego szpiega lub niewygodnego urzędnika, czy jednak nie stwarza nowych trudności, jeszcze gorszych od tamtej usuniętej, to inna kwestia. Przypomina mi się bajka o domu czysto wysprzątanym i urządzonego i siedmiu diabłach. Każde zabójstwo jeszcze bardziej rozjąttrza policję, ludzi zaś przyzwyczajają do gwałtów i brutalności, a taki stan społeczeństwa może być jeszcze gorszy.

- A co się stanie, sądzi pani, z nadejściem rewolucji? Czy wówczas ludzie nie przyzwyczajają się do gwałtów? Wojna jest wojną.

- Tak, lecz jawna rewolucja to co innego. To tylko jedna chwila w życiu narodu i cena, jaką opłacamy nasz postęp, Niewątpliwie dział się będą rzeczy straszne, nieodłączne od każdej rewolucji, ale będą to fakty odosobnione - wyjątkowe rysy wyjątkowej chwili. Najstraszniejszym zaś skutkiem tego dorywczego nożownictwa jest to, że przechodzi w zwyczaj. Ludzie zaczynają patrzeć na to jak na wypadki codzienne i stopniowo zaciera się poczucie nietykalności życia ludzkiego. Krótce byłam w Rumunii, ale to, co widziałam, uczyniło na mnie wrażenie, że lud tamtejszy wprowadził się czy też wprowadza dopiero do mechanicznej potrzeby gwałtu.

- Zaiste, nawet to jest lepsze od mechanicznej potrzeby uległości i posłuszeństwa.

- Ja tak nie sądzę. Wszystkie potrzeby mechaniczne są złe i niewolnicze, a ta jest ponadto okrutna. Oczywiście, jeśli pan uważa pracę rewolucyjną jedynie za sposób wymuszenia na rządzie pewnych określonych koncesji, to tajna bojówka i nóż muszą się panu wydać bronią najlepszą, bo żaden rząd niczego bardziej się nie lęka niż noża. Jeśli pan jednak jest tego zdania co ja, że zmuszenie rządu do ustępstw nie jest celem, lecz tylko środkiem do celu wiodącym, i że istotną naszą potrzebą jest zreformowanie

stosunku człowieka do człowieka, to w takim razie należy się zabrać do dzieła inaczej. Przyzwyczajenie nieoświeconych ludzi do widoku krwi nie podnosi ich mniemania o wartości życia ludzkiego.

- A o wartości religii?

- Nie rozumiem.

Uśmiechnął się.

- Zdaje mi się, że pani i ja w czym innym widzimy korzenie zła. Pani widzi je w niedocenianiu wartości życia ludzkiego.

- Raczej nietykalności jednostki ludzkiej.

- Może to pani określić dowolnie. Moim zdaniem wszelka przyczyna naszych grubych błędów i pomyłek tkwi w chorobie umysłowej zwanej religią.

- W jakiejś poszczególnej religii?

- Och nie! To tylko kwestia zewnętrznych oznak. Choroba sama polega na tym, co nazywamy religijnym nastrojem umysłów. Tym chorobliwym pragnieniem stworzenia sobie fetysza i ubóstwiania go, padania na kolana i oddawania czemuś czci. Czy tym czymś będzie Jezus czy Budda, czy jakieś cudowne drzewo, to już mała różnica. Oczywiście, że pani się ze mną nie zgadza. Mogłaby pani hołdować ateizmowi, agnostycyzmowi czy innemu kierunkowi filozoficznemu, a ja na sto mil zwietrzyłbym usposobienie religijne. Ale na nic się nie przyda dyskusja. Myli się pani jednak sądząc, że uważam nożownictwo jedynie za sposób usuwania niewygodnych urzędników. To przede wszystkim najlepszy sposób podważenia autorytetu Kościoła i nauczania ludzi patrzeć na agentów klerykalnych jak na wszelkie inne robactwo.

- A gdy pan tego dokona, gdy wyzwoli pan dzikie instynkty drzemiące w ludzkiej sklerozie przeciwko Kościołowi, wówczas...

- Wówczas dokonane będzie dzieło, dla którego warto mi żyć.

- Więc to jest owym dziełem, o którym mi pan wtedy mówił?

- Tak, właśnie to.

Wzdrygnęła się i odwróciła głowę.

- Zawiodłem oczekiwania pani? - spytał podnosząc na nią oczy i uśmiechając się.

- Nie, nie to właściwie. Tylko... że... się pana... trochę boję.

Po chwili zwróciła się ku niemu i rzekła swym zwykłym, rzeczowym tonem:

- To dyskusja zupełnie bezpłodna. Zbyt się różnimy w naszych poglądach. Ja wierzę w propagandę i jeszcze raz w propagandę, i jeśli się to da przeprowadzić, w jawne powstanie.

- W takim razie wracajmy do mego planu. Pozostaje w pewnym związku z propagandą, a przede wszystkim z powstaniem.

- Tak?

- Jak pani już mówiłem, wielu ochotników w Romanii przyłączy się do Wenecjan. Jednakże nie wiemy jeszcze, kiedy powstanie wybuchnie. Nie nastąpi ono przed jesienią lub zimą, lecz ochotnicy w Apeninach muszą być uzbrojeni i gotowi, aby na pierwsze wezwanie ruszyć na równiny. Podjąłem się przemyścić dla nich broń i amunicję na terytorium papieskie...

- Przepraszam. Jak się to dzieje, że pan pracuje z tym stronnictwem? Przecież rewolucjoniści w Lombardii i Wenecji są zwolennikami nowego papieża? Oświadczają się za reformami liberalnymi i idą ręką w rękę z postępowym ruchem Kościoła. Jak może „bezkompromisowy” antyklerykał, jakim pan jesteś, łączyć się z nimi?

Wzruszył ramionami.

- Co mnie to obchodzi, że zabawiają się lalką, skoro tylko wykonują robotę? Rozumie się, że swą postacią sztandarową uczynią papieża. Co mi na tym zależy, jaką drogą to się stanie, jeśli tylko powstanie dojdzie do skutku. Każdy kij dobry jest na psa, tak samo każde hasło zdolne pobudzić lud przeciw Austriakom.

- A jakiej pomocy żąda pan ode mnie?

- Głównie przy przemycaniu broni.

- Jak mogłabym jednak tego dokonać?

- Właśnie pani najlepiej się do tego nadaje. Zamierzam kupić broń w Anglii, lecz przewóz nastrocza dość znaczne trudności. Niepodobna jej sprowadzać przez którykolwiek z portów papieskich, musi iść przez Toskanię i przez Apeniny.

- To znaczy przez dwie granice zamiast jednej.

- Tak, lecz inna droga jest zupełnie beznadziejna, niepodobna przemyścić wielkiego transportu do portu niehandlowego, a wiadomo pani, że liczba łodzi w Civita Vecchia nie przekracza trzech i jednego czółna rybackiego. Niechbyśmy tylko przebyli Toskanię, to ja już biorę na siebie granicę papieską; moi ludzie znają każdą górską ścieżynę i mamy mnóstwo kryjówek. Transport musi przejść morzem do

Livorno i tu właśnie zaczyna się największa trudność - nie pozostaję w stosunkach z tamtejszymi przemysłowcami, a sądzę, że pani się zna z nimi.

- Proszę mi dać pięć minut do namysłu.

Przechyliła się naprzód, wsparłszy łokieć na kolanach, a brodę na rękę. Po chwili milczenia podniosła oczy.

- Możliwe, że w tej pracy byłabym użyteczna, ale przede wszystkim muszę panu zadać jedno pytanie. Czy może mi pan dać słowo, że praca ta nie pozostaje w jakimkolwiek związku z morderstwem i w ogóle z terrorem?

- Daję słowo. Przecież to się rozumie, że nie żądałbym pomocy pani w pracy, której pani nie uznaje.

- Kiedy mam panu dać odpowiedź stanowczą?

- Niewiele mam czasu do stracenia, lecz w każdym razie mogę pani pozostawić parę dni do namysłu.

- Będzie pan wolny w najbliższą sobotę wieczorem?

- Zaraz... dzisiaj czwartek... tak, będę wolny!

- Więc proszę przyjść do mnie. Zastanowię się nad wszystkim i dam ostateczną odpowiedź.

Następnej niedzieli Gemma przesłała na ręce miejscowego komitetu partii Mazziniego zawiadomienie, że pragnąc podjąć pewną pracę natury politycznej będzie zmuszona na kilka miesięcy zaniechać dotychczasowych swych robót, za które była dotąd odpowiedzialna wobec partii.

Wiadomość ta wywołała pewne zdziwienie, lecz komitet nie stawiał żadnych przeszkód. Od wielu lat signora Bolla znana była jako człowiek, na którego zdaniu można polegać; toteż członkowie komitetu zrozumieli, że jeśli przesiądzie jakiś krok nieoczekiwany, musi mieć po temu ważne powody.

Martiniemu powiedziała otwarcie, że podjęła się pomagać Szerszeniowi w pewnej „robocie” na granicy. Postawiła warunek, by wolno jej było wtajemniczyć starego swego przyjaciela, chciała uniknąć nieporozumień, przykrych wątpliwości i tajemnic. Sądziła, że należy mu się z jej strony taki dowód zaufania. Wysłuchał w milczeniu, lecz z miny jego wyczytała, nie rozumiejąc powodu, że wieść ta głęboko go zraniła.

Siedzieli na tarasie jej mieszkania, skąd ponad czerwonymi dachami otwierał się widok aż na Fiesole. Po długim milczeniu Martini wstał i zaczął chodzić tam i na powrót z rękoma w kieszeniach, cicho poświstując, co było u niego niezawodną oznaką rozdrażnienia. Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

- Cezarze, widzę, że cię ta sprawa męczy - rzekła wreszcie. - Bardzo mi przykro, że to cię tak gnębi, lecz postąpiłam według najlepszego swego uznania.

- Nie o sprawę mi chodzi. Nic o niej nie wiem, lecz zapewne musi być słuszna, skoro ty się na nią godzisz. Ja nie dowierzam człowiekowi.

- Sądzę, że go nie rozumiesz. I ja mu nie dowierzałam, dopóki go nie poznałam dokładnie. Oczywiście, że daleki jest od doskonałości, ale znacznie jest lepszy, niż sądzisz.

- Bardzo być może. - Przez chwilę chodził tam i z powrotem w milczeniu, po czym przystanął koło niej. - Gemmo, zaniechaj tego! Zaniechaj, zanim będzie za późno! Nie daj wciągnąć się temu człowiekowi w jakieś sprawy, bo będziesz później żałować.

- Cezarze - rzekła łagodnie - nie myślisz tak, jak mówisz. Nikt mnie w nic nie wciąga. Postanowienie to powzięłam z własnej woli, dobrze się nad wszystkim zastanowiwszy. Ty żywisz osobistą niechęć do Rivareza, ale teraz mówimy o polityce, nie o ludziach.

- Madonna! Zaniechaj! To człowiek niebezpieczny, tajemniczy, okrutny, bezwzględny... i zakochany w tobie.

Cofnęła się.

- Cezarze, co ci się roi?

- Jest w tobie zakochany! - powtórzył Martini. - Madonna, trzymaj się z dala od tego człowieka!

- Drogi Cezarze, nie mogę się od niego trzymać z dala i nie mogę ci tego wytłumaczyć. Jesteśmy z sobą związani, niezależnie od naszych osobistych pragnień lub czynów.

- Skoro jesteście związani, to nie ma już o czym mówić - znużonym głosem odparł Martini.

Odszedł tłumacząc się, że jest bardzo zajęty, i przez kilka godzin włóczył się po błotnistych ulicach. Świat wydał mu się bardzo ciemny tego wieczora. Jego jedyne kochanie... a oto ta śliska kreatura wtargnęła i skradła mu je.

ROZDZIAŁ X

W połowie lutego Szerszeń udał się do Livorno. Gemma zapoznała go tu z młodym Anglikiem o liberalnych poglądach, agentem okrętowym, którego ona i mąż znali kiedyś w Anglii. Oddawał on niekiedy drobne przysługi radykałom florentyńskim: pożyczał pieniędzy w ciężkich okolicznościach, pozwalał pod swoim adresem handlowym posyłać listy partyjne itd.; wszystko to jednak za pośrednictwem Gemmy i jako osobisty jej przyjaciel. Zgodnie z etyką partyjną mogła przeto ze znajomości tej korzystać w sposób, jaki uważała za właściwy. Czy w danym wypadku na coś on się przyda, to inna kwestia. Bo co innego prosić zaprzyjaźnionego sympatyka o użyczenie swego adresu dla listów przychodzących z Sycylii lub o przechowanie pewnych dokumentów w kącie kantoru, a co innego prosić go o przemycanie transportu broni dla rewolucjonistów; toteż bardzo słabą miała nadzieję, by się zgodził.

- Może pan jednak spróbować - rzekła do Szerszenia - chociaż nie sędzę, by coś z tego było. Gdyby pan zwrócił się do niego z tym poleceniem i żądał pięciuset skudów, to jestem pewna, że natychmiast by je panu wypłacił - jest bardzo hojny - a od biedy może zgodziłby się też na pożyczanie paszportu lub ukrycie w piwnicy zbiega politycznego, ale gdy pan wspomni przed nim o czymś takim jak broń, to spojrzy na pana tak, jakby sądził, że oboje straciliśmy rozum.

- Może jednak da pewne wskazówki lub poleci jakimś zaprzyjaźnionym żeglarzom - odparł Szerszeń. - W każdym razie warto spróbować.

Pewnego dnia z końcem miesiąca zjawił się w jej pracowni, ubrany mniej starannie niż zwykle, lecz natychmiast wyczytała z jego twarzy, że ma do zakomunikowania przyjemne wiadomości.

- Ach, nareszcie! Zaczęłam już przypuszczać, że się panu coś przydarzyło.

- Uważałem, że bezpieczniej jest nie pisać, a wrócić wcześniej nie mogłem.

- Dopiero co pan wrócił?

- Przychodzę prosto z dylizansu. Wstąpiłem na chwilę, by pani powiedzieć, że sprawa załatwiona.

- To znaczy, że Bailey naprawdę zgodził się panu pomagać?

- Więcej niż pomagać, sam podjął się pakowania, przesyłek... wszystkiego. Broń będzie ukryta w pakach towarowych i przyjdzie tu prosto z Anglii. Wspólnik Bailey'a, Williams, serdeczny jego przyjaciel, zgodził się na wysłanie transportu z Southampton, a Bailey potrafił się już prześliznąć przez urząd celny w Livorno. I dlatego bawiłem tak długo. Williams wyjeżdżał właśnie do Southampton, a ja odprowadziłem go aż do Genui.

- By po drodze omówić szczegóły?

Tak; dopóki nie dostałem tak silnej choroby morskiej, że nie byłem zdolny do omawiania czegokolwiek.

- Pan nie umie podróżować okrętem? - spytała szybko, przypominając sobie, jak strasznie Artur cierpiał na morską chorobę, gdy pewnego dnia ojciec zabrał ich oboje na małą wycieczkę statkiem.

- Och, zupełnie nie umiem, mimo że tak wiele podróżowałem okrętem. Rozmówiliśmy się jednak bardzo szczegółowo w Genui, gdy brał ładunek. Zapewne pani zna Williamsa? Na wskroś dobry chłopiec, przy tym rozsądny i budzący zaufanie. Tak samo Bailey, no i umieją trzymać język za zębami.

- Zdaje mi się jednak, że Bailey grubo się narazi podejmując się czegoś podobnego.

- Powiedziałem mu to, lecz rzucił mi chmurne spojrzenie i odparł: „Co to pana obchodzi?” Dosłownie tego się po nim spodziewałem. Gdybym Bailey'a spotkał w Timbuktu, zbliżyłbym się do niego i rzekł: „Dzień dobry, Angliku!”

- Nic mogę jednak pojąć, jak pan ich mógł skłonić do tego, zwłaszcza Williamsa; po nim już najmniej byłabym się tego spodziewała.

- Tak, początkowo bardzo się wzbraniał, nie ze względu na niebezpieczeństwo, tylko że to takie „niekupieckie”. Powoli jednak zdołałem go nakłonić.. Ale przejdźmy teraz do szczegółów.

Słońce zachodziło, gdy Szerszeń zbliżył się do swego mieszkania. Pęki kwitnącego *pyrus japonica*, opadające na mur ogrodu, wydawały się całkiem ciemne w zmierzchu wieczornym. Zerwał kilka kiści i zabrał z sobą do domu. Gdy otworzył drzwi pracowni, Zita zerwała się z kąta pokoju i wybiegła mu naprzeciw.

- Och, Feliksie, myślałam, że już nie wrócisz!

W pierwszym odruchu chciał ją ostro zapytać, co tu robi w jego pracowni, lecz przypomniawszy sobie, że nie widział jej już od trzech tygodni, wyciągnął rękę i rzekł oziębło:

- Dobry wieczór, Zito, jak się masz?

Podsunęła mu twarz do pocałunku, lecz przeszedł mimo, jakby nie widział jej ruchu, i wziął wazę, by w niej ułożyć kwiaty. W tej chwili drzwi rozwarły się na oścież i owczarek wpadłszy do pokoju zaczął skakać jak szalony wokół swego pana, szczekając i skomląc ze szczęścia. Odłożył kwiaty i schylił się, by pogłaskać psa.

- Dobrze, Szatan, dobrze, jak się masz, stary? To ja, naprawdę. No, podaj łapę jak dobry pies.

Twarcz Zity znów przybrała wyraz twardy, ponury.

- Czy pójdziemy na obiad? - spytała chłodno. - Kazałam przygotować u mnie, bo pisałeś, że wracasz wieczorem.

Szybko się odwrócił.

- Bardzo mi przy...przykro, że m...musiałaś czekać! Trochę tylko się przebiorę i przyjdę. A m...może będziesz tak dobra włożyć to do wody.

Wchodząc do jadalni Zity zobaczył ją przed zwierciadłem przypinającą do stanika pęk kwiatów. Widocznie postanowiła być w dobrym humorze, bo z pogodną twarzą podeszła do niego trzymając w ręku bukietik szkarłatnych pączków.

- To do twej butonierki, pozwól, że ci przypnę.

Podczas obiadu starał się, jak mógł, być przyjemnym towarzyszem i podtrzymać rozmowę, co wywołało na jej twarzy promienny uśmiech. Widoczna radość Zity z jego powrotu wprawiła go w pewne zakłopotanie, oswoił się bowiem z tym, że ona prowadzi własne życie wśród swych przyjaciół i znajomych, i nigdy nie przyszło mu na myśl, iż mogłaby odczuwać brak jego osoby. A jednak teraz jej podniecenie świadczyło, że musiała cierpieć z powodu jego nieobecności.

- Każę podać kawę na taras - rzekła - taki ciepły wieczór.

- Dobrze. Czy wziąć gitarę? Może coś zaśpiewasz.

Zarumieniła się ze szczęścia; był bardzo wymagający, jeśli chodziło o muzykę, i rzadko prosił ją, by śpiewała.

Na tarasie stała szeroka drewniana ława biegnąca wzdłuż muru. Szerszeń usiadł w kącie, skąd otwierał się widok na góry. Zita zaś usadowiła się na niskim murze, używając ławy za podnózek, a plecy wsparła o kolumnę. Nie obchodził ją krajobraz, wołała patrzeć na Szerszenia.

- Daj mi papierosa - rzekła. Zdaje mi się, że od twego wyjazdu ani razu nie paliłam.

- Doskonała myśl! Właśnie potrzeba mi p...papierosa, żebym czuł się w pełni szczęśliwy.

Pochyliła się naprzód i spojrzała nań poważnie.

- Czy naprawdę jesteś szczęśliwy?

Szerszeń podniósł do góry swe ruchliwe brwi.

- Czemu nie? Zjadłem dobry obiad, patrzę na jeden z najpiękniejszych krajobrazów w całej Europie, a teraz czeka mnie czarna kawa i węgierska pieśń ludowa. Nie mam nic na sumieniu ani na żołądku, i czego może człowiek jeszcze pożądać?

- A ja mam jeszcze coś godnego pożądania.

- Co takiego?

- To - rzuciła mu kartonowe pudełeczko.

- Palone migdały! Czemu mi nie powiedziałaś przed papierosem? - wykrzyknął tonem wyrzutu.

- Och, ty dzieciaku! Przecież możesz je zjeść po papierosie. A teraz kawa.

Szerszeń wysączał kawę i gryzł palone migdały z poważną i skupioną miną kota pijącego śmietankę.

- Jak to miło wrócić do przyzwoitej kawy po tej lurze, jaką się dostaje w Livorno! - rzekł swym przeciągłym głosem.

- Powód wystarczający, by zostać teraz w domu, skoro wróciłeś.

- Niedługo pozostanę, jutro muszę znów wyjechać.

Uśmiech zamarł na jej twarzy.

- Jutro! Po co? Dokąd znów jedziesz?

- Och, do d...dwóch czy trzech miejscowości za interesami.

W rozmowie z Gemmą postanowił, że osobiście ruszy w Apeniny ułożyć się z przemytnikami nadgranicznymi co do transportu broni. Przebycie granicy papieskiej połączone było z poważnym niebezpieczeństwem; musiał to jednak zrobić, jeśli dzieło miało dojść do skutku.

- Zawsze interesy! - cicho westchnęła Zita, a głośno spytała: - Długo będziesz w podróży?

- Nie, pr...prawdopodobnie dwa tygodnie lub trzy.

- Pewnie to znów taki interes? - spytała nagle.

- Taki interes?

- Tak, jeden z tych, przy których wciąż próbujesz skrócić kark... ta wieczna polityka.

- Tak, to ma coś wspólnego z polityką.

Zita odrzuciła papierosa.

- Okłamujesz mnie - rzekła. - Z pewnością narażasz się na jakieś niebezpieczeństwo.

- Idę po p...prostu do czeluści p...piekielnych - odparł tonem znudzonym. - M...może tam masz jakich przyjaciół, którym chciałabyś przesłać trochę bluszczu? Więc nie obrywaj go, proszę.

Zerwała pełną garść zieleni oplatającej kolumnę tarasu, a teraz odrzuciła ją daleko w gwałtownym wybuchu gniewu.

- Idziesz w niebezpieczeństwo - powtórzyła - i nie chcesz mi nawet tego powiedzieć. Sądzisz, że jestem tylko dobra do żartów i drwin? Nim się spostrzeżesz, spotka cię szubienica. I to wszystko przez tę politykę! Ciągłe i wiecznie polityka, już jej mam powyżej uszu!

- T...tak samo ja - rzekł Szerszeń poziewając - toteż mówmy o czym innym. Chyba że mi coś zaśpiewasz.

- Dobrze. Daj gitarę. Co mam zaśpiewać?

- Balladę o utraconym koniu, doskonale nadaje się do twego głosu.

Zaczęła śpiewać starą balladę węgierską o człowieku, który traci naprzód swego konia, następnie dom, później ukochaną i pociesza się refleksją, że „więcej utracono pod Mohaczem”⁴⁸. Była to jedna z ulubionych pieśni Szerszenia; złowroga i tragiczna melodia i gorzki stoicyzm refrenu przemawiały do niego silniej niż jakakolwiek muzyka nastrojowa.

Zita była dzisiaj przy głosie; tony płynęły z jej piersi czyste i potężne, pełne płomiennej żądzы życia. Włoskie lub słowiańskie pieśni byłaby oddała źle, niemieckie jeszcze gorzej, lecz ludowe pieśni węgierskie śpiewała wspaniale.

Szerszeń słuchał z szeroko rozwartymi żrenicami i rozchylonymi ustami; nigdy nie słyszał jej śpiewającej z takim przejęciem. Przy ostatnim wierszu głos jej zaczął raptownie drżeć.

Ach, nie szkodzi! Więcej stracono...

⁴⁸ W bitwie pod Mohaczem w 1526 roku Turcy doszczętnie rozbili armię węgiersko-czeską.

Padła na ławę łkając głośno i kryjąc twarz w gęstwie bluszczu.

- Zito! - Szerszeń wstał i wziął z jej rąk gitarę. - Co ci jest?

Łkała wciąż konwulsyjnie, ukrywając twarz w dłoniach. Dotknął jej ramienia.

- Powiedz, co ci się stało - rzekł pieszczotliwie.

- Zostaw mnie samą! - łkała cofając się. - Zostaw mnie samą!

Wrócił szybko na swe miejsce i czekał, aż się uspokoi. Nagle uczył jej ramiona oplatające mu szyję, klęczała u jego stóp.

- Feliksie. Nie odjeżdżaj! Nie odjeżdżaj!

- Pomówimy o tym później - odparł łagodnie uwalniając się z jej objęć. - Wpierw powiedz, co cię tak wyprowadziło z równowagi. Czy się czegoś lękasz?

W milczeniu potrząsnęła głową.

- Czy wyrządziłem ci przykrość?

- Nie - objęła go za szyję.

- Więc co?

- Zabiją cię - wyszeptwała nareszcie. - Słyszałam, jak jeden z tych ludzi, co tu przychodzą, powiedział kiedyś, że narażasz się na niebezpieczeństwo, a gdy cię o to pytam, to mnie wyśmiewasz!

- Moje drogie dziecko - rzekł Szerszeń ochłonawszy nieco z chwilowego zdumienia - nabiłaś sobie głowę przesadnymi obawami. Bardzo to prawdopodobne, że mnie kiedyś zabiją; to przecież zupełnie naturalny koniec rewolucjonisty. Ale nie ma żadnego powodu przypuszczać, że spotka mnie to właśnie teraz. Wcale się nie narażam więcej od innych ludzi.

- Od innych ludzi... A co mnie obchodzą inni ludzie? Gdybyś mnie kochał, nie odjeżdżałbyś ode mnie i nie pozwolił, bym po całych nocach rozmyślała, czy cię nie uwięziono, lub śniła, że już nie żyjesz, ilekroć mi się uda zasnąć. Mniej dbasz o mnie niż o twego psa!

Szerszeń wstał i powoli przeszedł na drugą stronę tarasu. Nie był przygotowany na podobną scenę i nie wiedział, co odpowiedzieć. Tak, Gemma miała słuszość; brzydko się zaplątał i trudno będzie węzeł ten rozplątać.

- Usiądź, pomówimy spokojnie - rzekł po chwili, wracając na dawne miejsce. - Zdaje mi się, żeśmy się nie rozumieli wzajemnie. Oczywiście nie śmiałbym się, gdybym wiedział, że bierzesz to tak poważnie. Powiedz mi otwarcie, co ci jest, a wtedy będziemy mogli wyjaśnić nieporozumienie, jeśli jakieś istnieje.

- Tu nie ma nic do wyjaśnienia. Widzę przecież, że nie dbasz o mnie tyle nawet co o złamany szeląg.

- Moje drogie dziecko, bądźmy z sobą szczerzy. Zawsze się starałem stosunek nasz ułożyć całkiem jasno i zdaje mi się, że nigdy cię nie łudziłem.

- Och nie! Byłeś zawsze szczerzy i nawet nie próbowałeś uważać mnie za co innego, jak za prostytutkę, trochę świecącego szychu, który przechodził już przez ręce tylu innych...

- Zito, przestań! Nie myślałem w ten sposób o żadnej żyjącej istocie.

- Nigdy mnie nie kochałeś - powtórzyła z posępnym uporem.

- Nie, nigdy cię nie kochałem. Posłuchaj, a może nie będziesz myśleć o mnie tak źle.

- Kto ci powiedział, że źle o tobie myślę? Ja...

- Posłuchaj chwileczkę. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie wierzę w żadne kodeksy moralne i nie uznaję ich. Dla mnie stosunek mężczyzny i kobiety jest jedynie kwestią osobistej sympatii lub antypatii.

- I pieniędzy - przerwała z ostrym śmiechem. Skurcz przebiegł po jego twarzy, zawahał się na chwilę.

- Tak, to jest istotnie brzydka strona całej sprawy. Ale wierzaj mi, gdybym był sądził, że mnie nie lubisz lub czujesz jakiś wstręt do tego wszystkiego, nigdy nie byłbym korzystał z twojej sytuacji. Nigdy tego nie uczyniłem wobec żadnej kobiety i nigdy też nie udawałem żadnych uczuć, których nie żywiłem. Możesz mi wierzyć, że mówię ci szczerą prawdę...

Zamilkł na chwilę, lecz ona ciągle nie odpowiadała.

- Myślałem - zaczął znowu - że jeśli człowiek jest sam na świecie i czuje potrzebę... obecności kobiety, gdy spotka kobietę, która go pociąga, a której nie jest wstrętny, to ma prawo przyjąć wdzięcznym i przyjaznym sercem przyjemność takiego współżycia ofiarowanego mu dobrowolnie, nie wiążąc się żadnym węzłem silniejszym. Nie widziałem w takim stosunku nic złego, jeśli nie było w nim nieuczciwości, obelgi lub kłamstwa. Co do twoich znajomości z innymi mężczyznami przedtem, zanim mnie spotkałaś, to wcale o tym nie myślałem. Sądziłem tylko, że stosunek ten będzie przyjemny dla nas obojga i że każde z nas ma prawo go zerwać, skoro stanie się uciążliwy. Jeśli się pomyliłem... jeśli ty zaczęłaś się na to zapatrywać inaczej... w takim razie...

Znów zamilkł.

- W takim razie? - szepnęła nie podnosząc oczu.

- W takim razie wyrządziłem ci krzywdę i bardzo mi jest przykro. Nie miałem jednak tego zamiaru.

- „Nie miałem tego zamiaru”... „nie sadiłem”... Feliksie, czy ty jesteś ze spiżu? Czy nigdy w życiu nie kochałeś żadnej kobiety i dlatego nie możesz dostrzec, iż cię kocham?

Dreszcz przebiegł go od stóp do głowy. Tak dawno już nikt nie mówił mu: „kocham cię”. W tej chwili zerwała się i oplótła go ramionami.

- Feliksie, odejdz stąd! Odejdz ze mną z tego straszego kraju, od tych strasznych ludzi i polityki! Co my z nimi mamy wspólnego? Odejdz stąd, a będziemy szczęśliwi. Wyjedźmy razem do Ameryki Południowej, gdzie żyłeś dawniej.

Strach fizyczny wywołany tym skojarzeniem myślowym przywrócił mu panowanie nad sobą; odjął jej ręce oplatające mu szyję i ujął je oburącz.

- Zito! Staraj się zrozumieć, co ci mówię. Nie kocham cię, a gdybym cię nawet kochał, i tak nie wyjechałbym z tobą. Mam tu we Włoszech moją pracę i towarzyszy...

- I kogoś, kogo kochasz bardziej niż mnie! - krzyknęła wyzywająco. - Och, mogłabym cię zamordować! Nie o towarzyszy ci chodzi, lecz... ja wiem o kogo!

- Zamilknij - rzekł spokojnie. - Jesteś podniecona i wyobrażasz sobie rzeczy nie istniejące.

- Myślisz, że chodzi mi o signorę Bolla? Och, mnie nie tak łatwo wywieść w pole! Z nią mówisz tylko o polityce, a dbasz o nią tyle co o mnie. To kardynał!

Szerszeń zerwał się, jak ugodzony strzałą.

- Kardynał? - powtórzył machinalnie.

- Kardynał Montanelli, który tu wygłaszał kazania w jesieni. Myślisz, że nie widziałam twej twarzy, kiedy przejeżdżał jego powóz? Byłeś biały jak moja chustka. A teraz trzęsiesz się cały jak liść, ponieważ wspomniałam jego nazwisko.

Wstał z ławy.

- Nie wiesz, co mówisz - rzekł bardzo cicho i powoli. - Ja... nienawidzę kardynała. To najgorszy mój wróg.

- Wróg czy nie, ale kochasz go najbardziej na świecie. Spójrz mi w oczy, zaprzecz, jeśli możesz.

Odwrócił się i patrzył w ogród. Rzuciła nań szybkie spojrzenie, na wpół żalując tego, co uczyniła; w milczeniu jego było coś przerażającego. Nareszcie podeszła doń cicho jak strwożone dziecko i nieśmiało pociągnęła go za rękaw. Obejrzał się.

- To prawda - rzekł.

ROZDZIAŁ XI

A nie m...mógłbym go spotkać gdzieś w górach? Brisighella to miejsce zbyt dla mnie niebezpieczne.

- Każda pięć ziemi w Romani jest dla was niebezpieczna, ale w tej chwili Brisighella jest bezpieczniejsza niż jakakolwiek miejscowość.

- Czemu?

- Zaraz wam to wytłumaczę. Uważajcie, by ten w błękitnej bluzie nie zobaczył waszej twarzy, to szpieg. Tak, straszna była burza, nie pamiętam już, kiedy ostatnio winnice były tak okropnie zniszczone.

Szerszeń rozpostarł ramiona na stole i położył na nich głowę, jak człowiek zmęczony trudem lub winem, a niebezpieczny przybysz w błękitnej bluzie, rzuciwszy wokół szybkie spojrzenie, zobaczył tylko dwóch wieśniaków rozmawiających przy winie o zbiorach oraz śpiącego górala, z głową na stole. Był to widok tak zwyczajny w małych miejscowościach jak Marradi, że właściciel błękitnej bluzy od razu zrozumiał, iż na nic się tu nie zda podsłuchiwanie; toteż wypiłszy duszkiem wino przeszedł do drugiej izby. Tu, oparłszy się o kantor, leniwie gawędził z gospodarzem, od czasu do czasu rzucając ukradkiem spojrzenie na siedzących. Dwaj wieśniacy w dalszym ciągu wysączaali wino, miejscowym dialektem omawiając pogodę, a Szerszeń chrapał jak człowiek mający czyste sumienie.

Nareszcie szpieg utwierdził się w przekonaniu, że szkoda marnować czasu w tej winiarni; zapłacił rachunek i wyszedłszy z gospody powlókł się wąską uliczką. Szerszeń ziewając i przeciągając się wstał, rękawem płóciennej bluzy przecierając zaspane oczy.

- Ładne sposoby - rzekł wyjmując z kieszeni kozik, by z leżącego na stole bochenka razowego chleba ukroić sobie kromkę. - Mocno wam dokuczali, Michale, w ostatnich czasach?

- Gorzej niż w sierpniu moskity. Ani minuty spokoju, gdzie się ruszysz, na każdym kroku szpieg. Nawet w górach, gdzie się nie ważyli pokazywać, teraz puszczają się po trzech lub po czterech razem, prawda, Gino? Dlatego właśnie urządziliśmy to wasze spotkanie z Domenichinem w mieście.

- A czemu w Brisighelli? Miasto graniczne jest zawsze pełne szpiegów.

- Właśnie teraz Brisighella jest doskonałym miejscem. Roi się tu od pielgrzymów ze wszystkich części kraju.

- Przecież droga tędy nigdzie nie prowadzi.

- Czemu? Niedaleko drogi do Rzymu, a wielu pielgrzymów wielkanocnych wprost tu nawet zdąża na mszę.

- Nie w...wiedziałem, że w Brisighelli jest coś nadzwyczajnego.

- Właśnie kardynał. Nie pamiętacie, jak zeszłego roku jeździł do Florencji? To ten sam kardynał Montanelli. Powiadają, że zrobił tam ogromne wrażenie.

- Być może, nie chodzę na kazania.

- Ale widzicie, on uchodzi za świętego.

- Jak mu się to udało?

- Nie wiem. Sądzę, że może dlatego, iż rozdaje wszystkie swe dochody, a sam żyje jak wiejski proboszcz wydając czterysta lub pięćset skudów rocznie.

- Ach - wtrącił mężczyzna zwany Gino - chodzi tu o coś więcej. Nie tylko rozdaje pieniądze, lecz całe życie spędza na ratowaniu biednych, doglądaniu chorych i słuchaniu od rana do wieczora ich skarg i żalów. Ja nie jestem większym zwolennikiem księży niż wy, Michale, ale trzeba przyznać, że monsignor Montanelli nie jest taki jak inni kardynałowie.

- Och, i ja sądę, że jest raczej głupcem niż łotrem! - odparł Michał. - Tak czy owak, ludność za nim szaleje, a ostatnią zachcianką pielgrzymów jest otrzymanie jego błogosławieństwa. Domenichino postanowił wmieszać się w tłum jako przekupień z koszem tanich krzyżyków i różańców. Lud kupuje takie rzeczy i prosi kardynała, by ich dotknął; następnie zawieszają to na szyjach dzieci jako talizman od złego.

- Poczekajcie. A gdybym ja tak poszedł jako pielgrzym? To prze...przebranie jest doskonałe, ale sądę, że nie n...należy się pokazywać w Brisighelli w tej samej skórze co tu; gdyby mnie złapali, m...mieliby dowód przeciw wam.

- Nie złapią was, przygotowaliśmy dla was doskonałe przebranie, paszport i wszystko, co potrzeba.

- Co to ma być?

- Stary pielgrzym hiszpański, pokutujący rozbójnik z Sierra. Zachorował zeszłego roku w Ankonie, a jeden z naszych przyjaciół zabrał go z litości na statek kupiecki i przywiózł do Wenecji, gdzie miał przyjaciół; przez wdzięczność zostawił nam swe papiery. Właśnie przydadzą się dla was.

- Pokutujący r...rozbójnik? A co b...będzie z policją?

- Och, bądźcie spokojni. On już przed kilku laty odsłużył swą karę jako galernik i jeździł do Jerozolimy i wszystkich możliwych świętych miejsc, by ocalić duszę. Przez pomyłkę zabił swego syna wzięwszy go za kogo innego i w przystępie wyrzutów sumienia oddał się w ręce policji.

- Czy był już stary?

- Tak, ale siwa broda i peruka doskonale temu zaradzą, a dalszy rysopis zgadza się z twoim do najdrobniejszych szczegółów. Stary żołnierz, chromy i z raną od szabli w poprzek policzka jak wy. Przy tym Hiszpan... a wy będziecie też mogli mówić z pielgrzymami hiszpańskimi po hiszpańsku.

- Gdzie mam spotkać Domenichina?

- Przyłączcie się do pielgrzymów przy rozstajnej drodze, którą wam pokażemy na mapie. Mówcie, że zabłądziliście w górach. A kiedy dojdziecie do miasta, pójdziecie z nimi na rynek, przed pałac kardynała.

- Och, więc j...jednak żyje w pałacu, p...pomimo że jest świętym?

- Mieszka w jednym tylko skrzydle, bo resztę przemienił w szpital. Otóż będziecie tam wszyscy czekać, aż wyjdzie wam udzielić błogosławieństwa, a Domenichino podejdzie do was z koszem i spyta: „Ojcze, czy jesteście jednym z pielgrzymów”. Wy zaś odpowiedzcie: „Jestem nieszczęśliwym grzesznikiem”. Wtedy on postawi kosz i wytrze sobie twarz rękawem, a wy ofiarujecie mu sześć soldów za różaniec.

- A on oznaczy mi miejsce spotkania?

- Tak, będzie miał dość czasu podać wam adres, gdy tłum będzie się gapił na Montanellego. Taki był nasz plan, ale jeśli wam nie odpowiada, to możemy jeszcze zawiadomić Domenichina i ułożyć coś innego.

- Niech będzie, jak postanowiono, tylko postarajcie się o dobrą brodę i perukę.

*

- Ojcze, czy jesteście jednym z pielgrzymów?

Szerszeń, siedzący na schodach biskupiego pałacu, spojrzał spod swych rozczochranych, siwych kędziorów i drżącym, ochrypłym głosem, o silnym cudzoziemskim akcencie, wymówił hasło. Domenichino rozluźnił na ramieniu skórzany rzemień i ustawił na stopniu kosz napełniony świętymi drobiazgami. Tłum wieśniaków i pielgrzymów, siedzących i wałęsających się po rynku, nie zwracał na nich uwagi, niemniej dla ostrożności prowadzili rozmowę sztuczną: Domenichino dialektem miejscowym, a Szerszeń łamanym językiem włoskim przeplatany słowami hiszpańskimi.

- Jego eminencja! Jego eminencja wychodzi! - rozległy się okrzyki stojących u drzwi pałacu. - Usuńcie się, eminencja nadchodzi.

Wstali obydwaj.

- Ojczy, macie tu - rzekł Domenichino wsuwając Szerszeniowi do ręki mały obrazek owinięty papierem - weźcie i to, módlcie się za mnie, gdy będziecie w Rzymie.

Szerszeń wsunął obrazek w zanadrze i skierował wzrok na postać w fioletowej szacie i szkarłatnej czapce, która stała na najwyższym stopniu schodów wyciągając błogosławiące dłonie nad zbitą masą ludzi.

Montanelli powoli zstępował ze schodów, a lud cisnął się całując mu rękę. Niektórzy klękali i całowali rąbek jego szaty, gdy obok nich przechodził.

- Pokój z wami, moje dzieci.

Na dźwięk tego czystego, metalicznego głosu Szerszeń pochylił głowę tak nisko, że białe kosmyki opadły mu na twarz, a Domenichino, widząc, jak laska pielgrzyma drży w jego ręce, pomyślał z podziwem: Co za aktor!

Stojąca w pobliżu kobieta podniosła dziecko i wzięła je na ręce.

- Chodź, Cecco - rzekła. - Jego eminencja cię pobłogosławi, jak Pan Jezus błogosławił dzieci.

Szerszeń postąpił o krok naprzód i przystanął. Och, zbyt ciężko! Wszyscy ci obcy przybysze... pielgrzymi, górale, wszyscy mogli zbliżyć się i mówić z nim, a jego ręka będzie dotykać włosów ich dzieci. I może powie: *carino* do wiejskiego chłopca, jak zwykł był mówić...

Znów padł na stopień odwracając głowę, by nie widzieć. Gdybyż mógł wtulić się w jakiś kąt i zatkać sobie uszy, by nie słyszeć tego głosu! Nie! To przechodzi ludzkie siły... Być tak blisko, tak blisko, że tylko wyciągnąć ramię, a dotknie tej drogiej ręki.

- Może wejdiesz do domu, przyjacielu? - ozwał się łagodny głos. - Obawiam się, czy ci nie zimno.

Serce Szerszenia stanęło nagle. Przez chwilę nie czuł nic prócz bolesnego ciśnienia krwi, która usiłowała rozerwać mu klatkę piersiową, a następnie poczęła spływać płonąca strugą, hucząc po całym ciele. Podniósł głowę. W głębokich, poważnych oczach stojącej nad nim postaci pojawiło się nagle wzruszenie i boskie współczucie na widok jego twarzy.

- Zatrzymajcie się na chwileczkę, przyjaciele - rzekł Montanelli zwracając się do tłumu - muszę się z nim rozmówić.

Lud cofnął się powoli, szepcząc między sobą, a Szerszeń, siedząc bez ruchu z zaciśniętymi zębami i oczami wbitymi w ziemię, uczył na ramieniu lekkie dotknięcie ręki Montanellego.

- Musiałeś wiele cierpieć? Czy mogę ci w czymkolwiek pomóc?

Szerszeń w milczeniu potrząsnął głową.

- Jesteś pielgrzymem?

- Jestem nieszczęsnym grzesznikiem.

Przypadkowe podobieństwo pytania Montanellego z umówionym hasłem wydało mu się źdźbłem ratunku, którego uczepił się w swej rozpacz, dając automatyczną odpowiedź. Pod miłościwym dotknięciem ręki, która zdawała się palić mu ramię, zaczął cały drżeć.

Kardynał pochylił się nad nim jeszcze niżej.

- Może chciałbyś pomówić ze mną na osobności? Gdybym ci mógł być pomocnym...

Po raz pierwszy Szerszeń spojrzał mu w oczy prosto i spokojnie; odzyskiwał już panowanie nad sobą.

- Na nic by się nie zdało - rzekł - to beznadziejne.

Urzędnik policyjny wysunął się z cizby.

- Wasza eminencja wybaczy, że przeszkadzam. Ten starzec, zdaje się, niezupełnie jest zdrowy na umyśle. Przy tym nieszkodliwy, a papiery ma w porządku, więc zostawiamy go w spokoju. Odbywał karę jako galernik za jakąś wielką zbrodnię, a teraz czyni pokutę.

- Wielka zbrodnia - powtórzył Szerszeń powoli potrząsając głową.

- Dziękuję, kapitanie, proszę nas na chwilę zostawić samych. Mój przyjacielu, nic nie jest beznadziejne, jeśli człowiek szczerze żałuje. Może przyjdiesz do mnie wieczorem?

- Czy wasza eminencja przyjmie człowieka, który winien jest śmierci własnego syna?

Zapytanie powiedziane zostało prawie tonem wyzwania, a Montanelli drgnął i zatrząsł się, jakby go zimny wiatr owiał.

- Niech mnie Bóg broni, bym cię miał potępić, cokolwiek uczyniłeś! - rzekł uroczyście. - W jego oczach jesteśmy wszyscy jako nieczysty łachman i jako szata splugawiona są wszystkie sprawiedliwości nasze. Jeśli przyjdiesz do mnie, przyjmę cię tak, jak pragnę, by On mię przyjął w godzinę śmierci.

Szerszeń wyciągnął przed siebie ręce ruchem nagłym, gwałtownym.

- Posłuchajcie! - zawołał. - Wy wszyscy, chrześcijanie, posłuchajcie! Jeśli ktoś zabił swego jedyne go syna, który go kochał i ufał mu bezgranicznie, który był krwią jego krwi i kością jego kości, jeśli syna swego wtrącił w potworną otchłań kłamstwem i oszustwem - czy dla człowieka takiego może istnieć zbawienie na ziemi albo w niebie? Wyznałem grzech swój przed Bogiem i ludźmi i odcierpiałem karę nałożoną mi przez ludzi, a oni mnie uwolnili, ale kiedy powie mi Bóg, że już dosyć tej męki? Jakie błogosławieństwo zwolni duszę mą od tej klątwy? Jakie rozgrzeszenie zdoła zmazać to, co uczyniłem?

W śmiertelnej ciszy, jaka nastąpiła po tym wybuchu, lud zwrócił oczy na Montanellego i ujrzał, jak krzyż szybko wznosił się opadał na jego falującej piersi. Nareszcie podniósł oczy i drżącą ręką udzielił błogosławieństwa.

- Bóg jest miłosierny - rzekł. - Złóż ciężar swój u stóp Jego tronu, gdyż napisano: „Sercem skruszonym i strapionym nie pogardzisz”.

Odwrócił się i szedł przez rynek przystając co parę kroków, by przemówić do biednych lub wziąć na rękę któreś z dzieci.

Wieczorem, stosując się do zleceń wypisanych na papierze osłaniającym obrazek, Szerszeń ruszył na oznaczone miejsce schadzki. Był nim dom miejscowego lekarza, czynnego członka bojówki. Większa część spiskowców już się zebrała, a radość ich na widok Szerszenia dostarczyła mu nowego dowodu - jeśli jeszcze takiego potrzebował - jaką sympatią otaczali swego przywódcę.

- Bardzo jesteśmy radzi, że was widzimy - rzekł doktor - ale jeszcze bardziej będziemy radzi, gdy was już tu nie będzie. Strasznie to ryzykowne przedsięwzięcie i co

do mnie - byłem przeciwny temu planowi. Czy jesteście pewni, że żaden z tych szczurów policyjnych nie zauważył was dzisiaj rano?

- Och, z...zauważyli mnie niejednokrotnie, lecz mnie nie p...poznali. Domenichino spisał się znakomicie. Ale gdzie on? Nie widzę go.

- Jeszcze nie przyszedł. Więc wszystko poszło gładko? A kardynał udzielił wam błogosławieństwa?

- Błogosławieństwa? Ach, to jeszcze nic - odparł Domenichino ukazując się właśnie w drzwiach. - Rivarez, jesteście pełni niespodzianek jak piernik wigilijny. Jakimi jeszcze talentami wprawicie nas w podziw w najbliższej przyszłości?

- O cóż znowu chodzi? - znużonym głosem spytał Szerszeń, wsparty wygodnie o poduszki sofy i palący cygaro. Miał na sobie jeszcze strój pielgrzyma; odłożył brodę i perukę.

- Nie miałem pojęcia, że taki z was świetny aktor. Nigdy w życiu nie widziałem sceny równie wspaniałej. Przecież omal do łez wzruszyliście jego eminencję.

- Co to było, Rivarez, opowiedzcie.

Szerszeń wzruszył ramionami. Był dziwnie małowówny i lakoniczny, a tamci widząc, że nic z niego nie wydobędą, zwrócili się o wyjaśnienie do Domenichina. Gdy ten opowiedział scenę przed pałacem biskupim, pewien młody robotnik, który nie przyłączył się do ogólnego śmiechu, rzekł krótko:

- Rozumie się, że to było bardzo zręczne, ale nie wiem, jaka korzyść może wyniknąć z całej tej maskarady.

- Korzyść taka - wtrącił Szerszeń - że mogę tu chodzić i robić, co mi się podoba, a nikomu nie przyjdzie nawet na myśl podejrzewać mnie o cośkolwiek. Historia ta rozniesie się jutro po całej okolicy, a gdy mnie spotka szpieg, zaraz sobie pomyśli: „To szalony Diego, który w rynku wypowiadał się publicznie ze swych grzechów”. To chyba jest korzyścią.

- Tak, to prawda. Niemniej wolałbym, gdyby się było obeszło bez zadrwienia z kardynała. Za dobry jest, by sobie wobec niego pozwalać na tego rodzaju figle.

- I mnie wydał się wcale przyzwoity - niedbale przyznał Szerszeń.

- Głupstwa pleciesz, Sandro! Nam nie potrzeba kardynałów! - zawołał Domenichino. - Zresztą gdyby monsignor Montanelli przyjął ofiarowaną mu posadę w Rzymie, nie byłby się teraz naraził na żart Rivareza.

- Nie przyjął miejsca w Rzymie, bo nie chciał porzucić swej pracy tutaj.

- Raczej z obawy przed trucizną agentów Lambruschiniego.

Już oni tam coś mają przeciw niemu, możesz być pewny. Jeśli kardynał, zwłaszcza do tego stopnia popularny, woli pozostać w takiej przez Boga i ludzi zapomnianej dziurze jak ta, to wiadomo, co to znaczy, nieprawdaż, Rivarez?

Rivarez puszczał kółka dymu.

- Może i tu chodzi o serce „skruszone i strapione” - zauważył odchylając w tył głowę, by ścigać wzrokiem misterne smugi dymu. - Ale przystąpmy teraz do sprawy.

Poczęli szczegółowo omawiać rozmaite plany dotyczące przemykania i ukrycia broni. Szerszeń słuchał z natężoną uwagą, prostując niekiedy ostro nieścisle wiadomości lub odrzucając nierozsądne propozycje. Gdy wszyscy wypowiedzieli już swe zdania, podał sam kilka praktycznych wniosków, przyjętych przeważnie bez dyskusji. Na tym ukończono posiedzenie. Postanowiono, że aż do powrotu Szerszenia do Toskanii będą unikać zebrań o późnej godzinie, mogących ściągnąć uwagę policji. Zaraz więc po godzinie dziesiątej uczestnicy zebrania zaczęli się rozchodzić, z wyjątkiem doktora, Szerszenia i Domenichina, którzy jako komitet ściślejszy mieli jeszcze omówić pewne sprawy specjalne. Po długiej i gorącej dyskusji Domenichino spojrzął na zegarek.

- Wpół do dwunastej, nie możemy dłużej pozostać, inaczej spotkamy się z nocnym stróżem.

- A kiedyż on przechodzi? - spytał Szerszeń.

- Około północy, a ja muszę być w domu przed jego przyjściem. Dobranoc, Giordan... Rivarez, czy pójdziemy razem?

- Sądzę, że bezpieczniej będzie osobno. Więc mamy się jeszcze spotkać?

- Tak, w Castel Bolognese. Nie wiem jeszcze, w jakim będę przebraniu, ale wy macie przecież hasło. Wyruszyście stąd jutro?

Szerszeń przed zwierciadłem wkładał uważnie perukę i brodę.

- Tak, jutro rano, z pielgrzymami. Pojutrze zachoruję i zostanę w chacie pasterskiej, a potem pędzę przez góry. Będę tam wcześniej od was. Dobranoc.

Północ biła z wieży katedralnej, gdy Szerszeń stanął u drzwi wielkiej, próżnej stodoły, którą oddano pielgrzymom na nocleg. Podłoga pokryta była niezgrabnymi, ciężkimi postaciami, chrapiących w najlepsze, a powietrze było tu nieznośnie ciężkie i stęchłe. Cofnął się z pewną odrazą - spać tu niepodobna. Przejdzie się raczej, a może znajdzie jakąś szopę lub stertę siana, gdzie będzie przynajmniej czysto i spokojnie.

Noc była przecudna, księżyc w pełni płynął spokojnie po purpurowym niebie. Zaczął się wałęsać ulicami bez celu, pogrążony w przykrych rozmyślaniach nad ranną sceną i żalując głęboko, że się zgodził na propozycję Domenichina urządzenia schadzki w Brisighelli. Gdyby od razu uznał tę miejscowość za zbyt niebezpieczną byłiby wybrali inne miejsce, a jego kardynała ominęłaby ta okropna, a zarazem śmieszna farsa.

Jak ojciec się zmienił! A jednak głos jego pozostał niezmienny, brzmiał tak samo jak w owych dawnych dniach, gdy zwykł był mówić: *carino*.

Na rogu ulicy błysnęła latarka stróża nocnego, więc Szerszeń skręcił w wąską i krętą uliczkę. Uszedłszy kilka sążni znalazł się na placu katedralnym, tuż obok lewego skrzydła pałacu biskupiego. Plac zalany był poświatą księżyca i nie było na nim żywej duszy; jednakże boczne drzwi wiodące do katedry stały otworem. Widocznie zakrystian zapomniał je zamknąć. Przecież o tak późnej porze nocnej nikogo nie ma w katedrze. Gdyby tak wszedł i przespał się na jednej z ław zamiast w dusznej stodole; rano wymknie się przed przyjściem zakrystiana, a jeżeli go nawet kto zobaczy, to niechybnie pomyśli, że szalony Diego odmawiał pacierze w jakimś kącie kaplicy i nie zauważył, gdy zamykano katedrę.

Chwilę nasłuchiwał przy drzwiach, po czym wszedł swym lekkim, bezszelestnym krokiem, który pozostał mu z dawnych czasów mimo kalectwa. Światło księżyca, wpływające przez okno, szerokimi smugami zalewało marmurową posadzkę. Zwłaszcza prezbiterium oświetlone było tak jasno, że widać było najdrobniejszy szczegół jak we dnie. U stopni klęczał kardynał Montanelli z odkrytą głową i splecionymi rękoma.

Szerszeń cofnął się w głąb nawy. Wymknąć się, zanim Montanelli go dostrzeże? Niewątpliwie, to byłoby najrozsądniejsze, a może i najmniej okrutne. A jednak co mu szkodzi podejść jeszcze trochę... raz jeszcze ujrzeć twarz ojca, teraz, gdy tłum się rozszedł i nie ma już potrzeby podtrzymywać ohydnej komedii jak rano? Może to ostatnia sposobność... a ojciec nie musi go przecież widzieć. Podejdzie cichutko, na palcach i spojrzy... jeden jedyny raz. A potem wróci do swej pracy.

Skradając się w cieniu filarów, zbliżył się na palcach do bariery i przystanął u bocznego wejścia, tuż obok ołtarza. Cień padający od tronu biskupiego był dość gęsty, by go ukryć; wsunął się więc w najgłębszy mrok i czekał z zapartym oddechem.

- Biedny mój chłopiec! O Boże! Mój biedny chłopiec!

W urywanym tym szepcie drgała rozpacz tak bezgraniczna, że mimo woli Szerszeń zadrżał. Potem ciężkie, głębokie, suche łkanie wydobyło się z piersi kardynała. Szerszeń widział, jak załamywał ręce.

Nie sądził, że będzie tak ciężko. Jak często mówił sobie z gorzkim przeświadczeniem: „Nie potrzebujesz się trapić, ta rana dawno się zabiłniła”. A oto po tylu latach widzi ją odsłoniętą i krwawiącą dotychczas. Jak łatwo byłoby ją uleczyć nareszcie! Wystarczy tylko wyciągnąć rękę... postąpić jeden krok i rzec: „Ojcze, to ja,..” A także Gemma z tym pasmem siwych włosów... Och, gdybyż mógł wybaczyć! Gdybyż mógł wyrwać z pamięci przeszłość, która wryła się tak głęboko: Malajczyka, plantacje cukru, występy w cyrku! Żadne cierpienie nie może się mierzyć z tą okropną rozterką - chcieć wybaczyć, tęsknić do możliwości wybaczenia i wiedzieć, że to daremne, że nie zdoła, nie potrafi wybaczyć.

Montanelli wstał nareszcie, przeżegnał się i odwrócił od ołtarza. Szerszeń bardziej jeszcze cofnął się w cień, by go nie dostrzeżono, by nie zdradziło go gwałtowne bicie serca; po czym odetchnął głęboko, z uczuciem ulgi. Montanelli przeszedł obok niego tak blisko, że fioletowa jego szata musnęła mu twarz... przeszedł i nie dostrzegł go.

Nie dostrzegł go... Och, cóż uczynił? Zapewne to ostatnia sposobność... ostatnia okazja, a on ją zmarnował. Zerwał się i postąpił ku światłu.

- Ojcze!

Dźwięk własnego głosu, rozlegającego się i zamierającego wzdłuż łuków sklepienia, przejął go upiorną trwogą. Na powrót cofnął się w cień. Montanelli stał obok kolumny, nieruchomy, nasłuchując, z nadmiernie rozszerzonymi oczyma, w których widniał śmiertelny lęk. Szerszeń nie wiedział, jak długo trwało to milczenie, może jedną minutę, może wieczność całą. Nagły wstrząs przywrócił mu przytomność. Montanelli począł się słaniać jakby miał upaść, usta jego poruszyły się bezdźwięcznie.

- Arturze! - wydobył się na koniec słaby szepc. - Och, wody głębokie...

Szerszeń zbliżył się doń.

- Wasza eminencja wybaczy! Myślałem, że to któryś z księży.

- Ach, pielgrzym? - Montanelli w jednej chwili odzyskał panowanie nad sobą, choć niespokojne migotanie szafiru na palcu zdradzało, że bardzo drży mu ręka. - Czy ci czegoś potrzeba, przyjacielu? Późno jest, a katedra w nocy zamknięta.

- Błagam waszą eminencję o wybaczenie, jeśli zawiniłem. Widziałem drzwi otwarte i wszedłem się pomodlić, a zobaczywszy kapłana, jak mi się zdawało, pogrążonego w rozmyślaniach, czekałem, by go prosić o błogosławieństwo.

Wydobył krzyżyk kupiony u Domenichina. Montanelli wziął go z jego ręki i położył na ołtarzu.

- Weź to, mój synu - rzekł - i uspokój się, gdyż Bóg jest dobry i miłosierny. Idź do Rzymu i proś o błogosławieństwo Jego namiestnika, ojca świętego. Pokój z tobą!

Szerszeń pochylił głowę, by otrzymać błogosławieństwo, i skierował się ku wyjściu.

- Stój - powstrzymał go Montanelli.

Stał wsparty jedną ręką o balustradę.

- Gdy w Rzymie przyjmiesz komunię świętą - rzekł - pomódl się za człowieka głęboko nieszczęśliwego, na którego duszy ciężko zawisła ręka Pana.

Łzy drżały w jego głosie, postanowienie Szerszenia zachwiało się. Jeszcze jedna chwila, a byłby się zdradził. Lecz nagle stanął mu znów przed oczyma cyrk i jak Jonasz przypomniał sobie, że słuszny jest gniew jego.

- Kimże jestem, by Pan wysłuchał mych modłów? Trędotatym i wyrzutkiem? Gdybym mógł złożyć u Jego tronu, jak wasza eminencja, ofiarę świętego życia, duszy bez plamy i hańby tajemnej...

Montaneili szybko się odwrócił.

- Ja mogę złożyć tylko jedną ofiarę: złamane serce.

W parę dni później Szerszeń wrócił do Florencji dylizanssem z Pistoii. Udał się wprost do mieszkania Gemmy, lecz nie zastał jej w domu. Kazał powiedzieć, że wróci nazajutrz rano, i ruszył do siebie, szczerze pragnąc nie zastać Zity gospodarującej w jego pracowni. Jej wyrzuty pełne zazdrości szarpałyby mu dziś nerwy jak świder dentysty.

- Dobry wieczór, Bianco - przywitał pokojówkę otwierającą mu drzwi. - Czy była tu dziś pani Reni?

Spojrzała nań zdumiona.

- Pani Reni? A czy wróciła, proszę pana?

- Co to znaczy? - spytał marszcząc czoło i przystając nagle koło progu.

- Wyjechała przecież zaraz po odjeździe pana i zostawiła wszystkie swoje rzeczy. Nie powiedziała nawet, że odchodzi.

- Zaraz po moim wyjeździe? Więc prz...przed dwoma tygodniami?

- Tak, proszę pana, w ten sam dzień, kiedy pan wyjechał. A jej rzeczy leżą porzucone i wszyscy sąsiedzi o tym mówią.

Odwrócił się od progu i nie rzekłszy słowa, spieszenie skręcił w uliczkę, gdzie było mieszkanie Zity. Wszystkie podarki od niego leżały nie tknięte na zwykłym miejscu, nigdzie jednak listu ani skrawka papieru.

- Proszę pana - ozwała się tego wieczora Bianka wsuwając głowę do pokoju - jakaś stara kobieta...

Odwrócił się gniewnie.

- Czego tu chcesz?

- Jakaś stara kobieta chce się z panem widzieć.

- Czego żąda? Powiedz, że nie mogę jej przyjąć, jestem bardzo zajęty.

- Przychodziła tu prawie każdego wieczora pytać, kiedy pan wróci.

- Zapytaj, cz...czego żąda. Albo zaczekaj, sam się z nią rozmówię.

Stara kobieta czekała u drzwi jego przedpokoju. Odziana bardzo ubogo, twarz miała całkiem brązową i pomarszczoną jak suchy owoc, a głowę obwiązaną pstrym szalem. Gdy Szerszeń wszedł, wstała i spojrzała nań bystrymi czarnymi oczyma.

- To wy jesteście tym kulawym panem - rzekła, badawczym spojrzeniem obrzucając go od stóp do głowy. - Przychodzę z poleceniem od Zity Reni.

Otworzył drzwi pracowni wskazując jej, by weszła, po czym wszedł za nią i zamknął drzwi, by Bianka nie słyszała rozmowy.

- Siadajcie, proszę. A teraz p...powiedzcie mi, kim jesteście.

- To pana nie obchodzi. Przyszłam powiedzieć, że Zita Reni odeszła z moim synem.

- Z...waszym... synem?

- Tak, skoro pan nie umie dziewczyny utrzymać, to nie trzeba się skarżyć, gdy inny ją zabierze. Mój syn ma krew w żyłach, a nie mleko i wodę; pochodzi z rodu Cyganów.

- Ach, wy jesteście Cyganką? Więc Zita wróciła do swoich?

Spojrzała nań ze zdumieniem pełnym wzgardy. Widocznie ci chrześcijanie nie mają w sobie nawet tyle męskości, by odczuć obelgę.

- Z jakiej to gliny pan zrobiony, żeby miała przy panu zostać? Nasze kobiety mogą się z wami chwilę pobawić, gdy mają na to ochotę i gdy im jeszcze dobrze zapłacicie, ale krew cygańska zawsze wróci do Cyganów.

Twarz Szerszenia pozostała zimna i spokojna.

- Czy odeszła z obozem cygańskim, czy tylko z waszym synem?

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

- Chciałby ją pan ścigać i dostać z powrotem. Już za późno, trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

- Nie, chciałbym tylko wiedzieć prawdę, jeśli mi ją możecie powiedzieć.

Wzruszyła ramionami, nie warto nawet łajać człowieka przyjmującego wszystko tak potulnie.

- No to powiem panu prawdę, że w ten dzień, kiedy pan wyjechał, spotkała na drodze mego syna i przemówiła do niego po cygańsku, a kiedy się przekonał, że ona z naszych, choć ubrana po pańsku, to się zakochał w jej urodzie, jak to nasi mężczyźni umieją, i zabrał ją do naszego obozu. Opowiedziała nam swoje nieszczęście, a tak to biedactwo płakało i łkało, że serca nam się krajały. Pocieszaliśmy ją, jakeśmy mogli, no a potem zdjęła te ładne stroje i ubrała się jak nasze dziewczęta, i przystała do mojego syna, żeby mu być żoną, a on jej mężem. On jej nie powie: „Nie kocham cię” albo też „mam co innego do roboty”. Jak kobieta jest młoda, to potrzebuje mężczyzny, a jaki to z pana mężczyzna, że nawet nie pocałuje ładnej dziewczyny, gdy mu się sama rzuca na szyję?

- Powiedzieliście - przerwał - że macie do mnie jakieś polecenie.

- Tak, zatrzymałam się tu z tego powodu, choć obóz już wyruszył. Kazała wam powiedzieć, że dość już ma waszych ludzi i ich wymysłów, i ospałej krwi, i że wraca do swoich i chce być wolną. „Powiedz mu - prosiła mnie - że jestem kobietą i że go kochała, i dlatego nie chcę być jego utrzymanką”. I słusznie zrobiła. Nic nie szkodzi, że dziewczyna zarobi trochę pieniędzy swoją urodą, po to przecież ma urodę, ale cygańskiej dziewczynie nie przystoi kochać mężczyzny z waszego plemienia.

Szerszeń wstał.

- To wszystko? - spytał. - Więc jej powiedzcie, że dobrze zrobiła i spodziewam się, że będzie szczęśliwa. To jej powiedzcie ode mnie. Dobranoc!

Stał całkiem spokojny, dopóki nie wyszła z ogrodu; wówczas siadł i obiema rękami zakrył sobie twarz.

Znowu policzek! Czy nie pozostanie mu ani strzępek dumy, ani odrobina godności własnej? Chyba już wycierpiał wszystko, co człowiek wycierpieć może; serce jego wyrzucono do kałuży, by przechodnie mogli je deptać nogami; w duszy jego nie było najdrobniejszego zakątka, gdzie by czyjaś wzgarda lub szyderstwo nie wypaliły niezatartego piętna. A oto jeszcze ta cygańska dziewczyna, którą zabrał z ulicy, nawet ona miała w ręku bicz.

Szatan zaskomlał przy drzwiach. Szerszeń wstał, by mu otworzyć. Pies skoczył do swego pana ze zwykłymi objawami szalonej radości, lecz dostrzegłszy rychło, że coś zaszło, zwinął się na macie koło jego krzesła i zimny nos przyłożył do zmartwiałej ręki.

W godzinę później weszła Gemma. Nikt nie odpowiedział na jej pukanie, gdyż Bianka, widząc, że pan nie żąda obiadu, wymknęła się do kucharki w sąsiedztwie. Zostawiła drzwi otwarte i światło w przedpokoju. Zaczekawszy chwilę Gemma zdecydowała się wejść i odszukać Szerszenia, gdyż chciała mu zakomunikować ważne zlecenie otrzymane od Bailey'a. Zapukała do pracowni i w odpowiedzi usłyszała z wewnątrz głos Szerszenia:

- Możesz odejść, Bianco. Nie potrzebuję niczego.

Cicho otworzyła drzwi. W pokoju było prawie ciemno, lecz lampa z przedpokoju rzucała przez otwarte drzwi długą smugę światła; przy jej blasku Gemma zobaczyła Szerszenia siedzącego z głową zwieszoną na piersi i psa śpiącego u jego nóg.

- To ja - rzekła.

Zerwał się.

- Gemmo... Gemmo! Och, jak bardzo cię potrzebuję!

Zanim zdołała się odezwać, klęczał u jej stóp kryjąc twarz w fałdach jej sukni. Konwulsyjne drżenie wstrząsało całą jego postacią, boleśniejsze czyniąc wrażenie od łez.

Stała nieruchoma. Nie mogła nic zrobić, by mu dopomóc, nic zgoła. I to było najboleśniejsze ze wszystkiego. Musiała patrzeć bierna i nieruchoma, ona, która oddałaby życie, by mu zaoszczędzić bólu. Gdybyż miała odwagę schylić się nad nim, objąć go ramionami i przycisnąć do serca, i bronić choćby własnym ciałem od wszelkiej dalszej krzywdy i cierpienia, może odzyskałaby Artura, może nastalby dzień i pierzchły czarne mary.

Ale nie, nie! jakże zdołałby zapomnieć? Czyż nie ona wtrąciła go do piekła, ona sama, tą oto prawą ręką?

Pozwoliła minąć chwili jedynej. Zerwał się szybko i usiadł przy stole, dłonią zakrywając oczy i gryząc dolną wargę, jakby ją chciał przegryźć.

Po chwili spojrzął i rzekł spokojnie:

- Obawiam się, czy pani nie przestraszyłem.

Wyciągnęła doń obydwie ręce.

- Drogi, czyż nie jesteśmy już na tyle przyjaciółmi, byś mi mógł trochę zaufać?

Co się stało?

- Przykrość zupełnie osobista. Nie widzę powodu, dlaczego miałyby się pani tym kłopotać.

- Posłuchaj -mówiła dalej, ujmując jego rękę w obydwie swoje dłonie, by powstrzymać jej konwulsyjne drżenie. - Nie próbowałam się wtrącać do spraw nie swoich. Ale teraz, gdy z własnej woli obdarzyłeś mnie zaufaniem, czy nie zechcesz dodać jeszcze trochę i mówić ze mną jak z siostrą? Zachowaj maskę na twojej twarzy, jeśli to ci daje jakąś pociechę, ale nie noś maski na duszy, ze względu na siebie samego.

Jeszcze niżej zwiesił głowę.

- Musisz być cierpliwa. Obawiam się, że będę nieprzyjemnym bratem, gdybyś jednak wiedziała... byłem bliski obłędu w ostatnich dniach. Niemal tak jak w Ameryce Południowej. Nie wiadomo czemu, diabeł we mnie wstępuje i... - urwał.

- Czy nie wolno mi dzielić twojej udręki? - wyszeptała nareszcie.

Głowa jego osunęła się na jej ramię. „Ciężko zawisła ręka Pana”.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ I

Najbliższych pięć tygodni przyniosło Gemmie i Szerszeniowi tyle wzruszeń i taki nadmiar gorączkowej pracy, że niewiele im pozostało czasu i energii do myślenia o sprawach osobistych. Po przemyczeniu broni na terytorium papieskie stanęło przed nimi zadanie jeszcze trudniejsze i bardziej ryzykowne, mianowicie, przetransportowanie jej z tajnych kryjówek w górskich pieczarach i jaskiniach do rozmaitych ognisk rewolucyjnych, a stamtąd do poszczególnych wiosek. Cały okrąg roił się od szpiegów, a Domenichino, któremu Szerszeń powierzył właśnie sprawę amunicji, wysłał do Florencji człowieka ze stanowczym żądaniem pomocy lub przedłużenia terminu. Szerszeń nastawał, by pracę ukończono w połowie czerwca, co wobec niesłychanych trudności w przewożeniu ciężkich transportów po złych drogach, wśród ogromnych przeszkód i ciągłych opóźnień, wywołanych koniecznością unikania podejrzeń, doprowadzało Domenichina wprost do rozpacz.

Jestem między Scyllą a Charybdą - pisał. - Nie mogę pracować szybko, by się nie zdradzić, a nie wolno mi pracować powoli, jeśli mamy być gotowi na czas oznaczony. Albo przyślijcie bezzwłocznie odpowiednią pomoc, albo zawiadomcie Wenecjan, że nie będziemy gotowi przed pierwszym tygodniem lipca.

Szerszeń poszedł z tym listem do Gemmy, a gdy ona czytała, on siedział ze spuszczonej oczyma, gładząc futerko kota pod włos.

- To źle - rzekła. - Nie możemy Wenecjanom dać czekać całe trzy tygodnie.

- Oczywiście, że nie możemy. Niedorzeczność! Domenichino p...powinien by o tym wiedzieć. My się musimy stosować do Wenecjan, nie oni do nas.

- Moim zdaniem Domenichino nie tu nie winien; widocznie zrobił, co było w jego mocy, trudno przecież żądać niemożliwości.

- Toteż nie Domenichino tu winien, lecz fakt, że jest sam jeden, gdy potrzeba dwóch. Przynajmniej jeden człowiek odpowiedzialny powinien by strzec składów, a drugi zająć się transportem. Ma zupełną rację, trzeba mu wysłać pomoc.

- Ale jak możemy mu pomóc? We Florencji nie ma ani jednego człowieka, którego można by wysłać - Więc m...muszę sam.

Wsunęła się w głąb krzesła i spojrzała nań, lekko marszcząc czoło.

- Nie, to być nie może, zbyt niebezpieczne?

- A jednak trzeba będzie tak zrobić, jeśli nie z...znajdziemy innego sposobu.

- Więc musimy znaleźć inny sposób. To wykluczone, by pan miał tam iść.

W kącikach jego ust pojawił się wyraz uporu.

- Nic w...widzę powodu, dlaczego by to miało być wykluczone.

- Zobacz pan, jeśli się chwilę zastanowi. Dopiero pięć tygodni, jak pan wrócił; policja jest na tropie tej historii pielgrzymy i węszy po całym kraju za rozwiązaniem. Tak, wiem, że pan się umie przebierać, ale proszę sobie przypomnieć, jaka masa ludzi widziała was jako Diega i jako włościanina, a niepodobna przecież ukryć kulejącej nogi i blizny w poprzek twarzy.

- M...mnóstwo jest na świecie ludzi kulawych.

- Tak, ale w Rumunii nie ma znów tak wiele ludzi kulawych i z taką blizną na twarzy, i ze zdruzgotanym lewym ramieniem, i z błękitnymi oczyma przy tak ciemnej cerze.

- Och, oczy mogę sobie zmienić belladoną.

- Nie możesz pan zmienić innych rzeczy. Nie, to być nie może. Ze wszystkimi tymi charakterystycznymi oznakami iść tam teraz, to tak samo, jakby pan z otwartymi oczyma szedł prosto w nastawione sidła. Na pewno by pana schwytali.

- A j...jednak Domenichinowi musi ktoś pomagać.

- Ale to nie będzie pomocą, jeśli pana schwycą właśnie w chwili najbardziej krytycznej. Uwieszenie pana równałoby się upadkowi całej sprawy.

Niełatwo było go jednak przekonać, więc dyskutowali w dalszym ciągu, do żadnego nie dochodząc rezultatu. Gemma zaczęła sobie uświadamiać, jak niewyczerpane zasoby spokojnego uporu tkwiły w jego charakterze, i gdyby nie chodziło o sprawę tak bardzo ją obchodzącą, byłaby się poddała, ustąpiła od razu dla świętego spokoju. W tym jednak wypadku uważała za swój obowiązek stawiać opór: praktyczna korzyść projektowanej podróży nie wydawała się na tyle doniosła, by dla niej warto było narażać się na takie niebezpieczeństwo. Poza tym nie mogła się oprzeć myśli, że to jego pragnienie płynęło nie tyle z przekonania o naglącej potrzebie politycznej, ile raczej z chorobliwego pożądania niebezpieczeństw. Przyzwyczał się do narażania życia, a ta jego pożądlivość rzucania się bez potrzeby w niebezpieczeństwo wydawała się jej pewnego rodzaju rozkiełznaniem, któremu należy przeciwstawić się spokojnie, lecz stanowczo. Wyczerpawszy bezskutecznie wszystkie argumenty, które odbijały się o jego niezłomny upór, wymierzyła swój ostatni pocisk.

- Rozmówmy się szczerze - rzekła - i nazwijmy rzeczy po imieniu. Postanowiliście pójść nie ze względu na Domenichina. To osobiste pragnienie?

- Nieprawda! - przerwał gwałtownie. - On mnie nie obchodzi!

Mogę się doskonale obejść bez jego widoku, i nie ujrzyć go już nigdy w życiu.

Urwał, wyczytawszy z jej twarzy, że się zdradził. Oczy ich spotkały się na jedną sekundę i oboje opuścili powieki: żadne nie wymówiło nazwiska, które mieli na myśli.

- Nie... ze względu na osobę Domenichina - wymamrotał nareszcie, z twarzą na wpół ukrytą w futerku kota - lecz... cała sprawa upadnie, jeśli nie otrzyma pomocy.

Nie zwracając uwagi na drobny ten wybieg mówiła, jakby nie było żadnej przerwy:

- To wasza potrzeba narażania się na niebezpieczeństwo skłania was do tego kroku. Łakniecie niebezpieczeństwa, gdy was coś dręczy, tak samo jak łaknęliście opium, gdy byliście chorzy.

- To nie ja domagałem się opium - odparł wyzywająco - inni nalegali, bym je zażył.

- Przyznaję. Trochę się pysznicie swym stoicyzmem, więc nie domagacie się ulgi w cierpieniach fizycznych. Dotknęłoby to waszą dumę, a jednak dla uspokojenia wzburzonych nerwów chcecie narażać życie. Ostatecznie jest to tylko różnica konwencjonalna.

Przechylił w tył głowę kota i spojrzał mu w okrągłe, zielone oczy.

- Czy to prawda, Pasht? - spytał. - Czy te wszystkie złośliwości, które twoja pani o mnie wygaduje, są prawdą? Czy to naprawdę *mea culpa, mea m...maxima culpa*? Ty mądre stworzenie, czy ty nigdy nie domagasz się opium? Twoi przodkowie byli bogami w Egipcie i nikt im nie d...deptał po ogonie. A jednak ciekaw jestem, co by się stało z twym w...wyniosłym spokojem wobec cierpień ziemskich, gdybym ci tak przyłożył ł...łapkę do tej świecy. Czy w...wtedy zażądałbyś opium? Powiedz? A może... śmierci? Nie, kici, my nie mamy prawa umrzeć dla własnej wygody. Wolno nam pluć i prz...przeklinać trochę, jeśli nas to pociesza, ale łapki cofnąć nie wolno.

- No, idź sobie! - Zdjęła kota z jego kolan i posadziła na podnóżku. - Będziemy się kiedy indziej zastanawiać nad tymi rzeczami.

Teraz musimy obmyśleć, jakby pomóc Domenichinowi. Katie, co tam, gość? Jestem zajęta.

- Miss Wright przyniosła to dla pani.

Pakiecik troskliwie opieczętowany zawierał list zaadresowany do panny Wright. Na pakiecie była pieczęć papieska. Dawne koleżanki Gemmy mieszkały dotąd we Florencji, a ważniejsze jej listy przychodziły dla większego bezpieczeństwa na ich adres.

- Podpis Michała - rzekła, szybko przebiegając list zdający się zawierać jakieś wiadomości o letniku w Apeninach, a wskazując na dwie drobne plamki w rogu arkusika dodała: - Chemiczny atrament.

Odczynnik jest w trzeciej szufladzie biurka. Tak, tam właśnie.

Rozłożył list na pulpicie i przesunął po nim szczoteczką. Gdy prawdziwa treść wyłoniła się jasnofioletową linijką, wsunął się w głąb krzesła i wybuchnął śmiechem.

- Co to? - spytała gorączkowo. Podał jej list. „Domenichino uwięziony. Przybywajcie natychmiast.” Osunęła się na krzesło z listem w ręku i beznadziejnie spojrzenie utkwiała w Szerszeniu.

- I c... cóż? - spytał nareszcie swym miękkim, ironicznym głosem - czy teraz już przyznajecie, że muszę pójść?

- Tak, zdaje mi się, że musicie - westchnęła. - A ja także.

Spojrzał na nią, lekko się cofając.

- Wy także? Ależ...

- Rozumie się. Wiem dobrze, że to bardzo niefortunnie nikogo nie zostawić we Florencji, ale wszystko musi teraz ustąpić na drugi plan wobec konieczności zdobycia jeszcze jednej pary rąk.

- Będzie tam można dostać niejedną parę rąk.

- Tylko nie należącą do ludzi, którym można bezwzględnie zaufać. Wszak powiedzieliście sami, że koniecznie potrzeba tam dwojga ludzi odpowiedzialnych, a skoro Domenichino nie mógł sobie sam dać rady, to widocznie jest to niemożliwe dla jednego człowieka. A człowiek tak straszliwie skompromitowany jak wy musi się jeszcze bardziej mieć na baczności i potrzeba mu pomocy bardziej niż komukolwiek. Otóż zamiast was i Domenichina będziecie wy i ja.

Przez chwilę namyślał się marszcząc czoło.

- Tak, macie rację - rzekł - i im wcześniej wyruszymy, tym lepiej. Tylko nie możemy wyjeżdżać razem. Jeśli ja wyjadę dziś w nocy, to wy będziecie mogli wyruszyć... powiedzmy, jutro po południu.

- Dokąd?

- To musimy jeszcze omówić. Sądzę, że najlepiej będzie ruszyć w...wprost do Faenzy. Jeśli wyjadę późną nocą do Borgo San Lorenzo, to będę jeszcze mógł przysposobić sobie przebranie i ruszyć dalej.

- Nie pozostaje nam chyba nic innego - rzekła z lekką troską na twarzy - ale to ogromnie dla was niebezpieczne wyjeżdżać tak nagle i przemytnikom powierzać przygotowanie przebrania w Borgo. Powinni byście poczekać przynajmniej trzy dni i zostawić podwójne ślady wyjazdu, zanim przedostaniecie się przez granicę.

- Nie potrzebujecie się lękać - odparł z uśmiechem - mogą mnie wziąć gdzieś dalej, ale nie na granicy. Gdy się raz dostanę w góry, będę tak bezpieczny jak tu; w całych Apeninach nie ma przemytnika, który by mnie zdradził. Nie wiem tylko, jak wy się przedostaniecie.

- Och, to bardzo proste! Wezmę paszport Ludwika Wright i wyjadę na pobyt letni. Nikt mnie nie zna w Romanii, ale was zna każdy szpieg.

- Na... sz...szczęście zna mnie też każdy przemytnik.

Wyjęła zegarek.

- Wpół do trzeciej. Mamy więc popołudnie i wieczór, jeśli istotnie zamierzacie wyruszyć w nocy.

- W takim razie najlepiej będzie, jeśli teraz pójde do domu.

Przygotuję wszystko i zamówię dobrego konia. Do San Lorenzo pojedę konno, tak będzie bezpieczniej.

- Ależ wynajęcia konia nie uważam za bezpieczne. Właściciel...

- Nie myślę też o wynajęciu. Znam kogoś, kto mi pożyczy konia i komu mogę zaufać. Już mi oddawał rozmaite usługi. Jeden z pastuchów odprowadzi konia za dwa tygodnie. Wrócę do was o piątej lub wpół do szóstej, a tymczasem chciałbym być od...odszukali Martiniego i w... wszystko mu wytłumaczyli.

- Martiniego! - zwróciła się ku niemu i spojrzała zdumiona.

- Tak, musimy go wtajemniczyć, chyba że macie kogo innego.

- Nie rozumiem dobrze, o co wam chodzi.

- Musimy tu mieć kogoś zaufanego na wypadek niezwykłych jakichś trudności, a z całej gromady najwięcej mam zaufania do Martiniego. Rozumie się, że Riccardo zrobiłby dla nas, co byłoby w jego mocy, ale sądzą, że Martini ma tęszą głowę. Zresztą znacie go lepiej ode mnie, więc uczynicie, jak uważacie.

- Wcale nie wątpię, że można na Martinim polegać pod każdym względem, i sądzę też, że nie odmówiłby nam swojej pomocy. Tylko...

Zrozumiał natychmiast.

- Gemmo, czy byłoby ci przyjemnie, gdybyś się dowiedziała, że przyjaciel w ciężkiej potrzebie nie zwrócił się do ciebie o pomoc z obawy sprawienia ci chwilowej przykrości lub bólu? Czy uważałabyś to za istotną dobroć lub serdeczność?

- Dobrze - rzekła po chwilowym milczeniu - zaraz pošlę Katie z prośbą, by tu przyszedł, a ja tymczasem pójdę do Ludwiki po paszport. Przynęcała mi go pożyczyć, skoro tylko zażądam. A co z pieniędzmi? Może podjąć coś w banku?,

- Nie, nie traćmy na to czasu; ja wezmę tyle, by nam starczyło na pewien czas. Gdy moje się wyczerpią, sięgniemy do waszej kasy. A zatem do wpół do szóstej. Czy was zastanę?

- O tak! Wrócę znacznie wcześniej.

Wrócił o pół godziny później, niż przypuszczał, i zastał Gemmę i Martiniego siedzących na tarasie. Od razu spostrzegł, że rozmowa musiała być przykra, gdyż ślady wzburzenia widoczne były na twarzach obojga; przy tym Martini był niezwykle milczący i ponury.

- Wszystko przygotowane? - spytała podnosząc oczy.

- Tak, przynoszę wam też potrzebne pieniądze. Koń będzie na mnie czekał koło rogatki Ponte Rosso o pierwszej w nocy.

- Czy nie za późno? Powinni byście stanąć w San Lorenzo o świcie, zanim ludzie wstają.

- Toteż stanę. Koń doskonały, a chcę stąd wyjechać niepostrzeżenie. Nie wrócę też już do siebie, szpieg kręci się koło bramy i myśli, że jestem w domu.

- Jakżeście wyszli, że was nie zobaczył?

- Oknem kuchennym, do ogródka, a stamtąd przez parkan sąsiada na ulicę i dlatego się spóźniłem. Wywiodłem go jednak w pole pozostawiając w oświetlonej pracowni właściciela konia; będzie tam siedział przez cały wieczór. Szpieg, widząc w pokoju światło i cień człowieka przy biurku, będzie pewny, że cały wieczór siedzę w domu i piszę.

- Więc zostanieie tu aż do chwili, gdy będzie czas pójść ku rogatce?

- Tak, nie chcę, by mnie dziś jeszcze widziano na ulicy. Macie papierosa, Martini? Signorze Bolla nie szkodzi dym, prawda?

- I tak wychodzę pomóc Katie w przyrządzaniu obiadu.

Po jej wyjściu Martini zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem, z rękami splecionymi na plecach. Szerszeń siedział paląc cygaro i patrząc w milczeniu na mżący deszcz.

- Rivarez! - zaczął Martini przystając tuż przed nim, lecz nie podnosząc oczu. -
W jakie sprawy ją wciągacie?

Szerszeń wyjął z ust cygaro wypuszczając smugę dymu.

- Sama uczyniła wybór - odparł - bez czyjejkolwiek namowy.

- Tak, tak... wiem. Powiedzcie mi jednak...

Urwał.

- Powiem wam, co tylko będę mógł.

- A zatem... nie znam szczegółów tych waszych robót w górach... czy narażacie ją na wielkie niebezpieczeństwo?

- Chcecie wiedzieć prawdę?

- Tak.

- A zatem, tak.

Martini odwrócił się i znów zaczął chodzić tam i z powrotem. Po chwili przystanął.

- Chciałbym wam zadać jeszcze inne pytanie. Jeśli nie chcecie odpowiedzieć, to oczywiście nie odpowiadajcie; ale jeśli odpowiecie, to odpowiedzcie szczerze. Czy ją kochacie?

Szerszeń powoli strzepnął popiół z końca cygara i znów palił w milczeniu.

- To znaczy... że nie chcecie odpowiedzieć?

- Nie, tylko że mam prawo wiedzieć, dlaczego zadajecie mi to pytanie.

- Dlaczego? Wielki Boże, człowieku, czyż nie widzisz?

- Ach! - Odłożył cygaro i poważnie spojrzał na Martiniego. - Tak - rzekł nareszcie powoli i cicho. - Kocham ją. Nie myślcie jednak, że zamierzam czynić jej wyznania lub sobie tym zawracać głowę. Ja tylko zamierzam...

- Zamierzacie tylko...

- Umrzeć.

Patrzył przed siebie zimnym, zmartwiałym wzrokiem, jakby już nie żył. Gdy znów zaczął mówić, głos jego był dziwnie bezdźwięczny i miarowy.

- Nie potrzebujecie jej tym trwożyć przedwcześnie – mówił powoli - lecz nie mam ani cienia nadziei. Sprawa jest niebezpieczna dla każdego, ona o tym wie równie dobrze jak ja; przemytnicy jednak uczynią wszystko, by ją uchronić. Dobrzy chłopcy, chociaż trochę brutalni. Co do mnie, to mam już sznur na szyi i z chwilą gdy przekroczę granicę, węzeł się zaciśnie.

- Rivarez, co chcecie przez to powiedzieć? Rozumie się, że sprawa niebezpieczna, zwłaszcza dla was; dobrze to rozumiem, a jednak tyle razy przekraczaliście już granicę i zawsze wam się udawało.

- Tak, a tym razem się nie uda.

- Ale czemu? Jak możecie z góry o tym wiedzieć?

Szerszeń zaśmiał się sucho.

- Pamiętacie niemiecką legendę o człowieku, który umarł spotkawszy swego sobowtóra? Nie? Nie znacie? Ukazał mu się w nocy w miejscu samotnym, rozpaczliwie łamiąc ręce. Otóż widzicie, ja spotkałem swego sobowtóra za ostatnią bytność w górach i wiem, że gdy teraz przekroczę granicę, już nie powrócę.

Martini zbliżył się i położył rękę na poręczy jego krzesła.

- Rivarez, posłuchajcie, nie rozumiem ani słowa z tej całej metafizyki, ale rozumiem jedno: jeśli jesteście w takim usposobieniu, nie możecie ruszyć w drogę. Najłatwiej człowieka uwięzić, gdy on sam ma przekonanie, że go uwiężą. Musicie być chory albo wam coś dolega, że dajecie przystęp takim urojeniom. Słuchajcie, a gdybym tak ja was zastąpił? Mogę się podjąć wszelkiej roboty, a wy zawiadomicie tylko swych ludzi...

- Czyli że was mam pozwolić zabić zamiast siebie? To byłoby naprawdę bardzo dowcipne.

- Och, nie tak znów łatwo mnie zabić! Mnie nie znają tak dobrze jak was. A zresztą gdyby nawet...

Urwał, a Szerszeń powoli podniósł nań wzrok pytający. Ręka Martiniego osunęła się z poręczy krzesła.

- Najprawdopodobniej nie odczułaby mej śmierci tak jak waszej - dokończył tonem najbardziej rzeczowym. - Przy tym chodzi tu o sprawę publiczną, więc musimy ją rozpatrzeć ze stanowiska utylitarnego, jakości towaru. Wasza „wartość bezwzględna” - czyż nie tak nazywają to ekonomiści? - jest większa niż moja; jestem dość rozsądny, by o tym wiedzieć, jakkolwiek nie mam powodu lubić was szczególnie.

Jesteście człowiekiem znaczniejszym niż ja, chociaż nie wiem, czy lepszym, ale wy macie większą wartość i śmierć wasza większą byłaby stratą niż moja.

Mówił to wszystko tonem, jakim mógłby omawiać ceny akcji na giełdzie. Szerszeń podniósł oczy wzdrygając się lekko, jakby od dotkliwego chłodu.

- Chcielibyście, bym czekał, aż grób się sam otworzy przede mną, by mnie pochłonąć? *Jeśli trza umrzeć, jak oblubienicę mrok ten powitam i zamknę w ramiona...*⁴⁹. Widzicie, Martini, i ja, i wygadamy teraz głupstwa.

- Wy z pewnością - burknął Martini.

- Zgoda, lecz wy także. Na Boga, nie bawmy się w romantyczne poświęcenia, jak Don Carlos⁵⁰ i markiz Posa⁵¹. Żyjemy w dziewiętnastym wieku. Jeśli moją rzeczą jest umrzeć - należy to zrobić.

- Więc jeśli moją rzeczą jest żyć, to także należy to zrobić – czy tak? Rivarez, wy macie szczęście.

- Tak - lakonicznie odparł Szerszeń - ja zawsze miałem szczęście.

W milczeniu palili przez parę chwil, po czym zaczęli mówić o sprawach ogólnych. Gdy Gemma weszła, aby poprosić na obiad, żaden z nich ani wyrazem twarzy, ani zachowaniem się nie zdradził, jak ważną prowadzili rozmowę. Po obiedzie omawiali rozmaite plany czyniąc przygotowania aż do godziny jedenastej; wówczas Martini wstał i wziął kapelusz.

- Pójdę teraz do domu, by Rivarezowi przynieść mój płaszcz.

Mniej będzie wpadał w oko niż to jasne ubranie. Przy tym rozejrzę się trochę, czy nie ma szpiegów w pobliżu.

- Czy odprowadzicie mnie do roгатki?

- Tak; bezpieczniej dwom niż jednemu, na wypadek gdyby was śledzono. Wróć koło północy. Absolutnie nie wychodźcie beze mnie. Gemmo, najlepiej będzie, gdy zabiorę twój klucz, by potem nie budzić nikogo dzwonieniem.

Spojrzała nań podając mu klucz. Zrozumiała natychmiast, że wynalazł tylko pozór, by ją zostawić samą z Rivarezem.

⁴⁹ Szekspir: „Miarka za miarkę”, akt III, scena I.

⁵⁰ Don Carlos - słynny syn króla hiszpańskiego Filipa II. Stanął w obronie ciemniejszego ludu i został za to przez swego ojca wtrącony do więzienia, gdzie zmarł. Jego postać przedstawił wielki poeta niemiecki Fryderyk Schiller w tragedii „Don Carlos”

⁵¹ Markiz Posa - jeden z bohaterów tragedii Schillera, nieugięty bojownik o wolność i obrońca ludu flandryjskiego.

- Pomówimy jutro - rzekła. - Będziemy mieli czas przed południem, gdy spakuję rzeczy.

- O tak, aż nadto czasu. Rivarez, miałem was jeszcze spytać o pewne drobiazgi, ale możemy o tym mówić idąc ku rogate. Gemmo, powiedz lepiej Katie, by się położyła, no i zachowujcie się możliwie cicho. Do widzenia, około dwunastej.

Odszedł z lekkim skinieniem głowy i uśmiechem, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, by sąsiedzi myśleli, że goście signory Bolla już wyszli.

Gemma wyszła do kuchni powiedzieć Katie, by się położyła, a sama wróciła z czarną kawą.

- Może byście się położyli na chwilę? - spytała. - Przez całą noc nie będziecie mogli spocząć.

- Och, przenigdy! Będę spał w San Lorenzo, gdy mi będą przygotowywać przebranie.

- W takim razie napijcie się kawy. Czekać, dam wam trochę słodczy.

Gdy uklękła koło szuflady, nagle pochylił się nad nią.

- Co wy tu macie! Czekoladki z kremem i angielski cukier lodowaty! Toż to królewskie s...smakołyki!

Spojrzała nań, lekko się uśmiechając z jego entuzjastycznych okrzyków.

- Tak lubicie łakocie? Zawsze je przechowuję dla Cezara; prawdziwy dzieciak, gdy chodzi o słodczy.

- Is...istotnie? Musicie mu jutro d...ać inne, bo te ja sobie zabiorę. Nie, nie! cukier lodowaty w...włożę do kieszeni, niech mnie pociesza za wszystkie utraczone rozkosze życia. S...spodziewam się, że d...dadzą mi do ust kawałek cukru l...lodowatego, gdy mnie będą wieszać.

- Och, pozwólcie, niech wam przynajmniej opakuję, inaczej polepicie sobie całe kieszenie. I czekoladki także?

- Nie, te zjemy teraz oboje.

- Kiedy ja nie lubię czekolady, a chcę byście usiedli porządnie, jak rozsądny człowiek. Wątpię, czy będziemy jeszcze mieli sposobność pomówienia z sobą, zanim któreś z nas zabiją, a...

- Patrzcie, ona nie lubi czekoladek! - mrucał cichutko. - W takim razie muszę się rozkoszować sam. Przecież to wieczerza wisielca, nieprawdaż? Wszystkie moje

kaprysy muszą dziś być uwzględnione. Przede wszystkim proszę usiąść na tym fotelu, a ponieważ ja miałem się położyć, więc ułożę się tu całkiem wygodnie.

Rzucił się na matę u jej stóp i wsparłszy łokieć o poręcz fotela podniósł na nią oczy.

- Jakaś ty blada! - szepnął. - To dlatego, że bierzesz życie ze strony smutnej i nie lubisz czekoladek...

- Proszę, bądź poważny przez pięć minut. Wszak chodzi o życie lub śmierć.

- Droga, ani przez jedną minutę. Ni życie, ni śmierć niewarte tego.

Ujął obydwie jej ręce i gładził jej koniuszki palców.

- Minerwo, nie patrz tak poważnie, bo się rozpłaczę, a ty będziesz żałować... Uśmiechnij się, proszę, masz taki c...cudowny, niespodziany uśmiech. No tak! Droga, nie gniewaj się! Zjedźmy razem ciastka jak dwoje grzecznych dzieci nie sprzecajmy się... bo jutro umrzemy.

Wziął z półmiska ciastko i przełamał je ze skrupulatną ścisłością, dzieląc lukier w samym środku.

- To pewnego rodzaju sakrament, jaki ci poczciwi ludzie przyjmują w kościele. „Bierzcie, jedzcie, to jest ciało moje”. I musimy n...napić się wina z tego s...samego kieliszka, tak. „To czyńcie na pamiątkę...”

Odstawił kieliszek.

- Przestań! - wykrztusiła, niemal wybuchając łkaniem. Podniósł oczy i znów ją ujął za rękę.

- Cicho, już cicho! Bądźmy chwilę spokojni. Gdy jedno z nas umrze, drugie ma o tej chwili pamiętać. Zapomnimy o tym świecie głupim, natarczywym, co nam rozdziera uszy; odejdziemy razem ręka w rękę; odejdziemy w tajne przybytki śmierci i spoczniemy wśród czerwonych maków. Cicho! Bądźmy całkiem cicho.

Oparł głowę o jej kolana i jedną dłonią zasłonił sobie twarz. Pochyliła się nad nim w milczeniu, kładąc drugą rękę na jego ciemnych włosach. Tak mijał czas, a żadne nie poruszyło się i nie rzekło słowa.

- Drogi, północ dochodzi! - rzekła nareszcie. Podniósł głowę. - Pozostaje nam tylko pięć minut czasu, zaraz przyjdzie Martini. Może się już nie zobaczymy nigdy. Czy nie masz mi nic do powiedzenia?

Podniósł się powoli i przeszedł w drugi kąt pokoju. Nastąpiła chwila milczenia.

- Jedno tylko mam do powiedzenia - zaczął głosem ledwie dosłyszalnym - tylko jedno...

Urwał i usiadł przy oknie, w obu rękach ukrywając twarz.

- Długo się zastanawiałeś, czy być litościwym - rzekła cicho.

- Niewiele litości spotkałem na świecie i z początku... myślałem... że nie zależy ci...

- Teraz już nie myślisz.

Czekała chwilę na odpowiedź, następnie podeszła ku niemu.

- Powiedz mi prawdę na koniec - szepnęła. - Pomyśl, że ty zginiesz, nie ja... czy przez całe życie mam nie wiedzieć... nigdy nie mieć pewności...

Ujął jej ręce silnym uściskiem.

- Jeżeli zginę... Widzisz, gdy wyjechałem do Ameryki Południowej... Ach, Martini!

Urwał drgnąwszy gwałtownie i na oścież otworzył drzwi. Martini wycierał obuwie o matę.

- P...punktualny co do m...minuty, jak zawsze! Martini, z was ch...chyba żywych...chronometr. Czy to t...ten płaszcz p...podróżny?

- Tak, i jeszcze parę drobiazgów. Chciałem je ustrzec od deszczu, ale leje jak z cebra. Boję się, że będziecie mieli straszną podróż.

- Och, to nic. Ulica wolna?

- Tak, zdaje się, że wszyscy szpiedzy śpią, co by mnie nawet nie dziwiło w tak ohydną noc. Gemmo, czy to kawa? Musi się napić czegoś gorącego, zanim wyjdzie na to powietrze.

- Czarna kawa, i to bardzo mocna. Zaraz przegotuję trochę mleka.

Wyszła do kuchni, gwałtownie zaciskając zęby i ręce, by powstrzymać łkanie. Gdy wróciła z mlekiem, Szerszeń stał już w płaszczu i zapinał kamasze przyniesione przez Martiniego. Stojąc wypił filiżankę kawy i ujął kapelusz o szerokich kresach.

- Czas chyba wyruszyć, Martini, na wszelki wypadek musimy się trochę powałęsać, zanim ruszymy ku rogatce. Do widzenia tymczasem, signora, spotkamy się w piątek w Forli, jeśli nie zajdzie nic nieoczekiwanego. Aha, jeszcze chwilkę; oto mój a...adres.

Wyrwał kartkę z notatnika i nakreślił ołówkiem parę słów.

- Mam już - rzekła głucho.

- Ma...a pani? Na wszelki w...wypadek zostawię i to. Martini, chodźmy. Cicho! Żeby drzwi nie skrzyknęły!

Ostrożnie zeszli ze schodów. Gdy brama zamknęła się za nimi, Gemma wróciła do pokoju i machinalnie rozwinęła świstek papieru, który jej wsunął do ręki. Pod adresem wyczytała:

Tam powiem Ci wszystko.

ROZDZIAŁ II

W Brisighelli był dzień targowy i wieśniacy przybyli tłumnie z okolicznych wiosek i siól z trzodą i drobiem, nabiałem i na wpół dzikim bydłem górskim. Na placu targowym bezustannie tłoczyły się gromady ludzi śmiejąc się, żartując, targując suche figi, tanie ciastka i ziarna słonecznika. Opalone, bose dzieciaki tarzały się po bruku, z gołymi główkami na skwarze słonecznym, gdy matki siedziały pod drzewami z koszami jaj i masła.

Monsignor Montanelli, wyszedłszy pozdrowić włościan, został od razu otoczony wrzaskliwą gromadą dzieci trzymających dlań w pogotowiu ogromne pęki irysów, szkarłatnych maków i białych narcyzów, zerwanych na zboczu gór. Wieśniacy tolerowali to jego namiętne rozmiłowanie się w polnych kwiatkach jako jeden z drobnych kaprysów, które miewają ludzie bardzo mądrzy. Gdyby ktoś mniej powszechnie kochany i wielbiony napełniał sobie dom wszelkiego rodzaju ziołami i trawskiem, byliby go wyśmiewali, ale „świętemu kardynałowi” wybaczano takie zachcianki.

- I cóż, Manuccio? - odezwał się do jednego z dzieciaków, gładząc go po głowie.

- Wyrosłeś, odkąd cię nie widziałem. A jakże tam z reumatyzmem babki?

- Lepiej jej teraz, eminencjo, ale mama znów chora.

- To mnie martwi. Powiedz mamie, by przyszła tu którego dnia do doktora Giordaniego, może jej co poradzi. Postaram się jakoś pomóc. Może coś się zmieni na lepsze. A ty lepiej teraz wyglądasz, Luigi, jakże tam z oczami?

Szedł powoli, rozmawiając z wieśniakami. Pamiętał imiona i wiek dzieci, wszystkie kłopoty ich i rodziców; toteż przystawał co krok, by z serdeczną życzliwością

spytać to o zdrowie krowy, która zachorowała na Boże Narodzenie, to o popsutą lalkę, którą wóz przejechał podczas ostatniego jarmarku.

Po jego powrocie do pałacu rozpoczął się targ prawdziwy. Kulawy mężczyzna w błękitnej koszuli, z gęstwą czarnych włosów spadających mu na oczy i z głęboką blizną w poprzek lewego policzka, podszedł do jednej z budek i bardzo łamanym językiem włoskim poprosił o szklanekę lemoniady.

- Ty nie z naszych stron - rzekła kobieta podając mu napój.

- Nie. Z Korsyki jestem.

- Może na robotę?

- A tak, wnet będą sianokosy, a jeden pan, co ma wieś koło Rawenny, przejeżdżał kiedyś przez Bastię i powiedział mi, że dużo będzie roboty.

- Myślę, że robotę zawsze dostaniesz ale bardzo tu złe czasy u nas.

- Matko, na Korsyce jeszcze gorzej. My, biedni ludzie, nie wiemy już, czego się imać.

- I przyszedłeś tak sam?

- Nie, z towarzyszem, ot, tamten w czerwonej koszuli. Paolo, chodź no!

Michał słysząc, że go wołają, zbliżał się wolnym krokiem, trzymając ręce w kieszeniach. Był wcale niezłym Korsykaninem mimo ryżej peruki, którą włożył, by zmienić fizjonomię. Szerszeń w nowej swej skórze wyglądał zupełnie jak wieśniak.

Wałęsali się obaj po rynku. Michał świstając przez zęby, Szerszeń zaś z tłumokiem na ramieniu ciężko powłóczył nogami po bruku, by możliwie ukryć swe kalectwo. Czekali na wysłańca, któremu mieli powierzyć ważne zlecenie.

- Tam na koniu Marko, przy skrócie ulicy - nagle szepnął Michał. Szerszeń, dźwigając wciąż swój tłumok, ruszył w stronę jeźdźca.

- Może panu potrzeba kosiarza? - spytał dotykając swej obdartej czapki i palcem przesuwając po uzdeczce konia. Taki był umówiony sygnał, toteż jeździec, wyglądający na ekonoma, zaraz zeskoczył z konia i odrzucił uzdeczkę.

- A jakiej roboty mógłbyś się podjąć, człowieku?

Szerszeń kręcił w palcach swą czapkę.

- Umie, proszę pana, kosić i strzyc żywopłoty - zaczął i nie przerywając ani nie zmieniając tonu ciągnął dalej: - O pierwszej w nocy, koło okrągłej jaskini... Umie też kopać, proszę pana...

- Dobrze, dobrze, ja potrzebuję tylko kosiarza. Czyś tu już był kiedy?

- Raz proszę pana. A musicie być dobrze uzbrojeni: możemy napotkać szwadron jeźdźców. Tylko nie leśną ścieżką, po drugiej stronie bezpieczniej. Jeśli spotkacie szpiega, nie tracić czasu na rozmowy, lecz od razu strzelać... Bo, proszę pana, bardzo szukam roboty.

- Tak, tylko wam mówię, że potrzebuję dobrego kosiarza. Ale nie mam drobnych.

Obdarty żebrak przywłókł się do nich z żalnym, monotonnym zawodem:

- Miejcie zmiłowanie nad biednym ślepcem, w imię Najświętszej Panienki... Odejdźcie stąd natychmiast, zbliża się szwadron jeźdźców... Panno Najświętsza, Królowo Niebios, Dziewico Niepokalana... Was tropią, Rivarez, będą tu za dwie minuty... Wszyscy święci niech wam nagrodzą... Musicie się przebić: szpiegi ze wszystkich stron. Prześliznąć się już niepodobna.

Marko wsunął uzdeczkę w rękę Szerszenia.

- Szybko! Skoczcie w stronę mostu, a konia puście samopas, może się ukryjecie w pieczarze. My wszyscy jesteśmy uzbrojeni, powstrzymamy ich przez jakie dziesięć minut.

- Nie! Was wziąć nie pozwolę. Staniecie w szeregu i strzelać kolejno, po mnie. Zbliżyć się z wolna do przywiązanych koni, a noże mieć w pogotowiu. Cofniemy się walcząc, a gdy rzucę czapkę na ziemię, przecinać sznury i każdy na konia. Może w ten sposób uda się nam umknąć do lasu.

Mówili głosem przyciszonym i tak spokojnie, że nawet najbliższy stojący nie mogli przypuszczać, by rozmowa dotyczyła czego innego prócz sianokosów. Marko, wiodąc swego konia za uzdeczkę, zbliżał się ku reszcie koni przywiązanych koło pałacu; Szerszeń podążał o pół kroku za nim, a w pewnym oddaleniu żebrak z wyciągniętą dłonią, płaczliwie domagając się jałmużny. Michał świszcząc nadchodził z drugiej strony; żebrak spostrzegł go przechodząc, a on spokojnie udzielił tej wiadomości trzem wieśniakom zajadającym surowe cebule w cieniu drzew. Wstali zaraz i poszli za nim; nim ktokolwiek zauważył, wszyscy, jak było ich siedmiu, stali u stopni pałacu, tuż w pobliżu pasących się koni, każdy z ukrytym w rękę pistoletem.

- Nie zdradzić się, dopóki nie rozpocznę - rzekł Szerszeń cicho, ale wyraźnie. - Może nas nie poznają. Gdy ja strzelę, wy po kolei. Nie strzelać w ludzi, lecz okulać konie, to nas nie dopędzą. Trzech was strzela, a trzech ładuje. Gdy ktoś stanie między nami, a naszymi końmi, zastrzelić. Ja biorę gniadego. Gdy rzucę czapkę, wskoczyć na koń i na nic się nie oglądać.

- Nadchodzą - rzekł Michał, a Szerszeń spojrział dokoła z naiwnym zdumieniem, że nagle ustał ruch jarmarczny.

Piętnastu kawalerzystów powoli wjeżdżało na rynek. Trudno im było przebić się przez zwarte tłumy i gdyby nie szpiegdy na wszystkich rogach ulic, siedmiu rewolucjonistów mogłoby wymknąć się z łatwością, gdy uwaga ludzi skupiła się na żołnierzach. Michał zbliżył się nieznacznie do Szerszenia.

- Czy nie moglibyśmy teraz umknąć?

- Nie, jesteśmy otoczeni szpiegami, a jeden mnie poznał. Właśnie wysłał człowieka, by mnie wskazał kapitanowi. Jedyńm dla nas wyjściem będzie okuliwić ich konie.

- Który jest ten szpieg?

- Pierwszy, do którego strzelę. Czyście gotowi? Ustawiają się rzędem, uderzą od razu.

- Z drogi, natychmiast! - krzyknął w tej chwili kapitan. -W imię świątobliwości!

Tłum cofnął się zdumiony i przerażony, a żołnierze szybkim kłusem skoczyli ku grupce stojącej u stopni pałacu. Szerszeń wyciągnął zza bluzy pistolet i strzelił nie do zbliżających się żołnierzy, lecz do podchodzącego do konia szpiega, który padł ze zdruzgotanym obojczykiem. Bezpośrednio po tym wystrzale rozległo się sześć dalszych, jeden po drugim, a równocześnie rewolucjoniści poczęli się cofać w szeregu ku spętany koniom.

Jeden z koni kawalerzystów potknął się i padł; drugi również runął na ziemię z przeraźliwym rżeniem. W tejże chwili ponad krzyki przerażonego ludu wybił się rozkazujący głos oficera, który prostując się w strzemionach i wznosząc miecz ponad głową, komenderował:

- Tędy! Naprzód!

Zachwiał się w siodle i padł ugodzony niechybnym strzałem Szerszenia. Wąska struga krwi spłynęła wzdłuż munduru kapitana, lecz gwałtownym wysiłkiem uniósł się jeszcze raz i chwytając się grzywy konia krzyknął z wściekłością:

- Zabić tego kulawego, jeśli nie zdołacie ująć żywego! To Rivarez!

- Drugi pistolet, szybko! - rozkazał Szerszeń. - I uciekać! Rzucił swą czapkę na ziemię. Był już czas najwyższy, bo miecze rozwścieczonych żołnierzy świsnęły mu tuż nad głową.

- Złożyć broń, natychmiast!

Kardynał Montanelli nagle wsunął się między walczących, a jeden z żołnierzy krzyknął:

- Eminencjo! Wielki Boże! Zamordują go!

Montanelli postąpił krok naprzód i stanął między Szerszeniem a żołnierzami, do których ten mierzył z pistoletu.

Pięciu rewolucjonistów skoczyło już na konie i w cwał pędzili ku górskiej drodze. Marko ostatni dosiadał wierzchowca. Odjeżdżając obejrzał się jeszcze, czy dowódca nie potrzebuje pomocy. Ma gniadosza tuż pod ręką i za chwilę może być bezpieczny... Nagle, z chwilą ukazania się postaci w szkarłatach, Szerszeń zachwiał się, a dłoń z pistoletem opadła bezwładnie. Chwila ta rozstrzygnęła o wszystkim. W okamgnieniu został otoczony i obalony na ziemię, a jeden z żołnierzy uderzeniem miecza wytrącił mu broń z ręki. Marko wbił klaczy ostrogi; podkowy koni kawalerzystów dzwoniły tuż za nim. Na nic się już nie zda wracać i też zostać ujętym. Odwróciwszy się na siodle, by ostatnim strzałem ugodzić najbliższego prześladowcę, ujrzał zbrogzonego krwią Szerszenia pod nogami żołdaków i szpiegów i usłyszał ich dzikie przekleństwa, wycia wściekłości i triumfu.

Kardynał Montanelli nie wiedział, co się stało, gdyż zstąpiwszy ze schodów pałacu poszedł uspokajać wzburzony lud. W chwili gdy pochylał się nad rannym szpiegiem, nagły odruch przerażenia wokoło zmusił go do podniesienia oczu. Żołnierze przeciągali rynkiem wlokąc za sobą na sznurze skrepowanego jeńca. Twarz miał śmiertelnie bladą z bólu i wyczerpania i z trudem chwycił powietrze; mimo to spojrział na kardynała i uśmiechając się białymi wargami, wyszeptał:

- W...win...szuję waszej eminencji.

W pięć dni później Martini przybył do Forli. Poczta przyniosła mu od Gemmy pakiet drukowanych ulotek - sygnał umówiony w razie gwałtownej potrzeby. Pamiętając rozmowę na tarasie, od razu domyślił się, o co chodzi. W ciągu podróży raz po raz sobie powtarzał, że nie ma powodu przypuszczać, by Szerszeniowi wydarzyło się coś złego, i że niedorzecznością jest przywiązywać wagę do dziecinnych przesądów człowieka tak ogromnie nerwowego, o tak wybujałej wyobraźni, a jednak im więcej walczył z niepokojącą go myślą, tym bardziej opanowywała jego umysł.

- Odgaduję. Rivarez uwięziony? - rzekł wchodząc do pokoju Gemmy.

- Zeszłego czwartku w Brisighelli. Bronił się rozpaczliwie, zranił kapitana oddziału i szpiega.

- Zbrojny opór, to źle!

- To nie stanowi różnicy, zbyt już był skompromitowany, by jeden strzał mniej lub więcej miał wpłynąć na jego sytuację.

- I co z nim poczną, sądzisz?

Stała się jeszcze bledsza niż dotychczas.

- Sądzę - rzekła - że nie powinniśmy tracić czasu na odgadywanie, co z nim zamierzają czynić.

- Uważasz, że możemy go odbić?

- Musimy.

Odwrócił się i począł chodzić tam i z powrotem, świstając, z rękoma założonymi na plecach. Gemma pozwalała mu się namyślać. Siedziała nieruchoma, z głową wspartą o poręcz krzesła, zapatrzona przed siebie, z twarzą zastygłą, tragiczną. W takich chwilach wyglądała jak *Melancholia* Dürera⁵².

- Czy go widziałaś? - spytał Martini przystając na chwilę.

- Nie, mieliśmy się spotkać nazajutrz.

- Przypominam sobie. Gdzie go umieścili?

- W twierdzy pod ścisłą strażą i powiadają, że w łańcuchach.

Uczynił gest lekceważenia.

- Och, to nie stanowi różnicy, dobra piłka uwolni go od łańcuchów. Czy tylko nie jest ranny?

- Zdaje się, że został lekko drażniony, lecz dokładnie nie wiemy, Może lepiej, by Michał sam ci opowiedział, bo był obecny, gdy go wzięto.

- Jakże się to stało, że i on nie został ujęty? Czy zbiegł zostawiając Rivareza w ciężkiej chwili?

- Nie jego wina, walczył, dopóki się dało, i ściśle stosował się do rozkazu, tak samo jak wszyscy jego towarzysze. Jedynym człowiekiem, który w ostatniej chwili zapomniał się czy też popełnił błąd, był sam Rivarez. Coś w tym wszystkim jest niepojętego. Zaczekaj chwileczkę, zawołam Michała.

Wyszła z pokoju i zaraz wróciła z Michałem i barczystym jakimś góralem.

- Marko - objaśniła. - Słyszałeś o nim: to jeden z przemytników. Właśnie przybył i może będzie nam mógł coś więcej powiedzieć. Michale, to Cezar Martini, o którym wam już mówiłam. Czy opowiecie mu, coście widzieli?

⁵² Dürer Albrecht (1471-1528) - wielki malarz i rytownik niemiecki. Wybitny przedstawiciel epoki Odrodzenia. „Melancholia” - słynny miedzioryt Dürera.

Michał pokrótce opowiedział walkę z oddziałem kawalerzystów.

- Nie mogę zrozumieć, co to się stało - kończył. - Nikt z nas nie byłby go opuścił, gdybyśmy mogli przypuszczać, że go ujmą, ale wydał rozkaz taki ścisły, a kto mógł pomyśleć, że rzuciwszy czapkę będzie czekał, aż go osaczą. Gniadosz był tuż pod ręką... widziałem, jak przeciął już sznur, którym koń był spętany... no, a ja sam podawałem mu nabity pistolet, zanim skoczyłem na konia. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, chyba że się może potknął, gdy miał dosiąść konia. Ale i w tym wypadku mógł przecież wystrzelić.

- Nie, to nie było tak - wtrącił Marko. - On nawet nie próbował skoczyć na konia. Ja odjeżdżałem ostatni, bo szkapa mi się spłoszyła przez te strzały, no i obejrzałem się, co się z nim dzieje. Doskonale mógłby uciec, gdyby nie kardynał.

- Ach! - rozległ się cichy okrzyk Gemmy, a Martini w najwyższym zdumieniu powtórzył: - Kardynał?

- Tak: rzucił się tuż przed jego pistolet, bodaj go licho! Zdaje mi się, że Rivarez się przeraził, bo opuścił nagle rękę z pistoletem, a drugą podniósł ot tak - lewą ręką przysłonił sobie oczy. - No i rozumie się, że wpadli na niego ze wszystkich stron.

- A ja tego jednak nie rozumiem - rzeki Michał. - To nie wygląda na Rivareza, on nigdy nie tracił głowy w chwili stanowczej.

- Prawdopodobnie opuścił pistolet, by nie zamordować człowieka bezbronnego - wtrącił Martini.

Michał wzruszył ramionami.

- Bezbronni ludzie nie powinni wtykać nosa, gdzie toczy się walka. Wojna jest wojną. Gdyby Rivarez wpakował kulę jego eminencji, zamiast pozwolić się ująć jak oswojony królik, to byłoby o jednego uczciwego człowieka więcej, a o jednego klechę mniej.

Odwrócił się gryząc wąsy. Gniew jego i ból omalże nie wylądowały się łkaniem.

- Bądź co bądź - rzekł Martini - stało się już i szkoda czasu na rozpamiętywanie. Teraz chodzi o to, w jaki sposób można by mu pomóc w ucieczce. Sądzę, że wszyscy jesteście gotowi podjąć się tego?

Michał nie raczył nawet odpowiedzieć na pytanie tak zbyteczne, a przemysłnik krótko się tylko zaśmiał:

- Zastrzeliłbym rodzzonego brata, gdyby odmówił.

- Więc dobrze. Pierwsza rzecz: czy wystaraliście się o plan fortecy?

Gemma odemknęła komodę i wydobyła plik papierów.

- Mam tu wszystkie możliwe plany. To jest parter twierdzy, tu wyższe i niższe piętra wież, a to plan wałów. Tu drogi prowadzące ku równinie, a tu ścieżki, kryjówki górskie i przejścia podziemne.

- Czy wiecie, w której wieży jest więziony?

- We wschodniej, w okrągłej izbie z zakratowanym oknem. Zaznaczyłam to na planie.

- W jaki sposób zdobyliście te wszystkie informacje?

- Od człowieka przezwanego Świerszczem, który jest żołnierzem w straży. To krewniak jednego z naszych ludzi, Gina.

- Szybkoście to załatwili.

- Nie ma czasu do stracenia. Gino udał się zaraz do Brisighelli, a niektóre plany mieliśmy już przedtem. Ten spis kryjówek w górach sporządził sam Rivarez, jak świadczy charakter pisma.

- Jacy to ludzie ci żołnierze w straży?

- Tego nie zdołaliśmy jeszcze wybadać. Świerszcz został tu dopiero co przydzielony i nic nie wie o swych towarzyszach.

- Musimy dowiedzieć się od Gina, jaki jest ów Świerszcz. Czy nie wiadomo nic o zamiarach rządu? Czy będą go sądzić w Brisighelli, czy też przewiozą do Rawenny?

- Tego nie wiemy. Oczywiście Rawenna jest stolicą Legacji i w myśl ustawy ciężkie sprawy karne mogą być rozpatrywane tylko tam, przez trybunał pierwszej instancji. Ale tu, w Czterech Legacjach, nie bardzo się liczą z ustawami i wszystko zależy od osobistych kaprysów tego, kto właśnie sprawuje rządy.

- Nie wezmą go do Rawenny - wtrącił Michał.

- Z czego to wnosicie?

- Jestem pewien. Pułkownik Ferrari, wojskowy gubernator Brisighelli, jest wujem oficera, którego Rivarez zranił, a to taka mściwa bestia, że nie pozwoli sobie wydrzeć z rąk sposobności zmiążdżenia wroga.

- Myślicie, że będzie się starał zatrzymać Rivareza w tutejszej twierdzy?

- Myślę, że będzie się go starał powiesić.

Martini rzucił szybkie spojrzenie na Gemmę. Była bardzo blada, lecz twarz jej nie zmieniła się przy tych słowach. Widocznie myśl ta nie była jej obca.

- Nie będzie mógł chyba tego uczynić bez pewnych formalności - rzekła spokojnie. - Możliwe jednak, że pod jakimś pozorem zwoła sąd wojenny, a potem usprawiedliwi się twierdząc, że wymagało tego bezpieczeństwo miasta.

- A kardynał? Czy zgodzi się na coś podobnego?

- On nie ma władzy w sprawach wojskowych.

- Ale ma wielki wpływ. Najprawdopodobniej gubernator nie poważy się na taki krok bez jego przyzwolenia.

- Tego nie otrzyma nigdy - wtrącił Marko. - Montanelli był zawsze przeciwny sądom wojskowym i wszystkim podobnym postępkom. Dopóki będzie w Brisighelli, nie może mu grozić nic tak bardzo złego. Kardynał zawsze staje po stronie więźniów. Boję się tylko, by Rivareza nie przewieźli do Rawenny. Jeśli się tam dostanie, to stracony raz na zawsze.

- Nie pozwolimy go tam zabrać - rzeki Michał. - Potrafimy odbić go po drodze, ale wydobyć go z twierdzy, to już rzecz całkiem inna.

- Ja myślę - rzekła Gemma - że na nic się zda czekać aż go zechcą przewozić do Rawenny. Musimy podjąć próbę w Brisighelli, i to nie tracąc czasu. Cezarze, zabierzmy się od razu do tych planów fortecznych, a może coś wymyślimy. Ja mam już pewien plan, tylko nie mogę sobie dać rady z jedną przeszkodą.

- Marko, chodźmy - rzekł Michał wstając. - Niech obmyślą swoje plany. Ja zaś muszę dziś po południu pójść do Fognana i chciałbym, żebyś ty ze mną wyruszył. Vincenzo nie przysłał dotąd kartaczy, które miały tu być jeszcze wczoraj.

Po ich wyjściu Martini podszedł do Gemmy i w milczeniu wyciągnął do niej rękę. Pozwoliła mu na chwilę zatrzymać w uścisku końce swych palców.

- Cezarze, byłeś mi zawsze dobrym przyjacielem - rzekła nareszcie - i pomocą w nieszczęściu. A teraz zabierzmy się do rozpatrzenia planów.

ROZDZIAŁ III

A ja raz jeszcze najsolenniejszym zapewniam waszą eminencję, że tą odmową naraża miasto na niebezpieczeństwo.

Gubernator starał się zachować uprzejmy ton należny wysokiemu dostojnikowi Kościoła, lecz głos jego zdradzał wzburzenie. Cierpiał na wątrobę, żona przedkładała

mu ogromne rachunki, a w ciągu ostatnich trzech tygodni miał rozmaite ciężkie przejścia. Ponura, wroga ludność, której nieprzyjazne nastawienie z każdym dniem stawało się jawniejsze; okrąg rojący się od spiskowców i najeżony ukrytą bronią; niedostateczna załoga, której lojalność była bardziej niż wątpliwa; wreszcie kardynał, którego patetycznie określił wobec swego adiutanta jako „uosobienie niepokalanej głupoty”, doprowadziły go już do ostatecznej rozpacz. A teraz w dodatku spadł mu na głowę ten Szerszeń, wcielenie wszelkiego zła.

Zaczawszy od obezwładnienia ulubionego siostrzeńca gubernatora i najrzęczniejszego szpiega, „ten kulawy diabeł hiszpański” rozciągnął swą działalność jeszcze dalej: zbuntował strażę, onieśmielił oficerów prowadzących śledztwo i „zmienił więzienie w klatkę niedźwiedzi”. Trzy tygodnie dopiero upłynęły od jego uwięzienia, a władze Brisighelli miały go już powyżej uszu. Poddawano go raz po raz badaniom, a zużywszy wszelkie środki, jak pogróżki, perswazje i inne wybiegi strategiczne, na jakie tylko mogli się zdobyć, w rezultacie byli tak mądrzy jak w dniu jego uwięzienia. Zaczęli przychodzić do przekonania, że najlepiej byłoby jednak zrobili odstawiając go od razu do Rawenny. Teraz było już za późno błęd ten naprawić. Gubernator zawiadamiając legata o uwięzieniu Rivareza prosił, jako o specjalną łaskę, o powierzenie mu śledztwa w tej sprawie, a wobec łaskawego uwzględnienia tej jego prośby nie mógł się teraz cofnąć bez poniżającego wyznania swej bezsiły.

Wobec tego, jak przewidywali Gemma i Michał, myśl zwołania sądu wojennego zjawiała się w jego głowie jako jedyny sposób wybrnięcia z trudnej sytuacji, a oto upór kardynała, odmawiającego swego przyzwolenia, dopełniał miary jego udręczeń.

- Sądzę - mówił - że gdyby wasza eminencja wiedział, ile ja i moi asystenci znieśliśmy obelg od tego człowieka, to inaczej może zapatrywałby się na tę sprawę. Najzupełniej rozumiem i cenię skrupuły waszej eminencji wobec nieprawidłowości sądów polowych, to jednak jest przypadek wyjątkowy, wymagający więc i środków wyjątkowych.

- Nie ma przypadku - odparł Montanelli - wymagającego niesprawiedliwości, a skazanie człowieka cywilnego wyrokiem tajnego trybunału wojennego jest postępkim zarówno niesprawiedliwym, jak nielegalnym.

- Eminencja raczy wysłuchać, jak sprawa się przedstawia: Oto więzień ten popełnił już kilka zbrodni głównych. Brał udział w osławionej aferze Savigna i komisja wojskowa, mianowana przez monsignora Spinolę, byłaby go niechybnie skazała na rozstrzelanie lub na galery, gdyby nie zdołał umknąć do Toskanii. Od tego czasu nie

przestał spiskować. Znany jest jako wpływowy członek najsroźszej tajnej grupy, nadto podejrzany o aprobowanie, jeśli nie inspirowanie morderstwa trzech tajnych agentów policji. Został niejako przychwycony przy przemycaniu broni do Legacji, stawiał zbrojny opór władzy i niebezpiecznie zranił dwóch urzędników pełniących służbę, a obecnie zagraża ustawicznie bezpieczeństwu i spokojowi miasta. Sądzę, że w podobnym wypadku sąd wojenny jest zupełnie usprawiedliwiony.

- Cokolwiek człowiek ten popełnił - odparł Montanelli - przysługuje mu jednak prawo, by go osądzono zgodnie z ustawą.

- Zwyczajny przebieg sprawy rozpatrywanej przez władze cywilne wymaga jednak dużo czasu. Wasza eminencja raczy zważyć, że w tym wypadku każda chwila jest drogocenna. Pomijając wszystko inne, żyję w ustawicznej trwodze, by nie uciekł.

- Jeśli grozi podobne niebezpieczeństwo, to od pana przecież zależy strzec go najściślej.

- Robię, co w mojej mocy, eminencjo, lecz jestem zależny od służby więziennej, a ten człowiek chyba ich wszystkich zaczarował. Już cztery razy w ciągu trzech tygodni zmuszony byłem zmieniać strażę. Ciągłe nakładam na żołnierzy kary, aż mi się to sprzykrzyło, i wszystko na nic. Nie mogę zapobiec kursowaniu listów tam i z powrotem. Ci głupcy kochają się w nim po prostu, jak gdyby był kobietą.

- To bardzo dziwne. Musi jednak być w nim coś niezwykłego.

- Tak, niezwykła doza diabelstwa. Wasza eminencja wybaczy, ale człowiek ten wyczerpałby cierpliwość świętego. To wprost przechodzi wiarę, że ja sam zmuszony jestem prowadzić całe śledztwo, bo żaden z oficerów nie może już wytrzymać.

- A to czemu?

- Trudno wytłumaczyć, ale gdyby wasza eminencja zechciał raz być obecnym, zrozumiałby od razu. Można by sądzić, że oficer prowadzący śledztwo jest zbrodniarzem, a on sędzią.

- Ale cóż on może czynić tak strasznego? Oczywiście, może odmawiać odpowiedzi, ale nie ma przecież innej broni prócz milczenia.

- I języka jak brzytwa. Eminencjo, wszyscy jesteśmy tylko śmiertelnikami, wielu z nas popełniło w życiu błędy, których nie ma potrzeby wystawiać na widok publiczny. Po prostu słabość natury ludzkiej, a ciężko człowiekowi patrzeć, jak się wywleka i publicznie rzuca w twarz jego drobne uchybienia sprzed dwudziestu lat.

- Czy Rivarez odsłonił jakieś prywatne tajemnice z życia oficera prowadzącego śledztwo?

- Tak, istotnie... Biedny chłopiec popadł w długi będąc jeszcze porucznikiem i pożyczył sobie drobną sumkę z funduszu regimentu.

- Czyli skradł powierzone mu fundusze publiczne.

- To się rozumie, eminencjo, że postąpił niegodnie, ale przyjaciele natychmiast zwrócili tę kwotę i sprawa została zatuszowana... Człowiek z dobrej rodziny... a od tego czasu sprawował się nienagannie. Nie mam pojęcia, skąd Rivarez mógł zdobyć tę wiadomość, dość że zaraz przy rozpoczęciu śledztwa wyjechał z tym starym skandalem, i to w obecności niższych oficerów! A to wszystko z twarzą tak niewinną, jakby odmawiał pacierze! Rozumie się, że historia ta krąży już teraz po całej prowincji. Gdyby eminencja zechciał bodaj jeden raz być obecny przy badaniu, pojąłby niewątpliwie... On nie potrzebowałby o tym wiedzieć.. Eminencja mógłby słuchać nie widziany ...

Montanelli odwrócił się i spojrzał gubernatorowi prosto w oczy; twarz jego miała wyraz, jaki rzadko się w niej pojawiał.

- Jestem kapłanem, a nie szpiegiem policyjnym - oświadczył - i podsłuchiwanie nie należy do moich obowiązków.

- Nie miałem., nie miałem zamiaru obrażać...

- Sądzę, że najlepiej będzie zaprzestać dalszej dyskusji. Jeśli mi pan przyśle więźnia, to spróbuję się z nim rozmówić.

- Śmiałem bardzo unieźlenie prosić waszą eminencję, by tego nie czynił. Człowiek ten jest zupełnie nieobliczalny. Rozsądniej i bezpieczniej byłoby odstąpić w tym jednym wypadku od litery prawa i pozbyć się go jak najprędzej, zanim zdoła dokonać jeszcze więcej złego. Z najwyższą przykrością ośmielam się nalegać na waszą eminencję po tym, co właśnie usłyszałem, ale ostatecznie jestem wobec monsignora legata odpowiedzialny za spokój w mieście...

- A ja - przerwał Montanelli - jestem odpowiedzialny wobec Boga i jego świątobliwości, by w mej diecezji nie dopuszczano się bezprawia. Skoro pułkownik w ten sposób na mnie nalega, muszę upierać się przy mych prawach kardynała. Nie pozwolę na zwołanie tajnego sądu wojennego w czasie pokoju. Jutro o dziesiątej z rana oczekuję tu więźnia, z którym rozmówię się w cztery oczy.

- Jak wasza eminencja sobie życzy - odparł gubernator chmurnie, lecz z należnym szacunkiem, a oddaliwszy się mruknął do siebie. - Z uporu podobni do siebie jak dwie krople wody.

Nikommu nie powiedział o mającym się odbyć spotkaniu aż do chwili, gdy trzeba było rozkuć więźnia i ruszyć do pałacu. „Inaczej - jak wyraził się do swego rannego siostrzeńca - ten najświętobliwszy syn oślicy Balaama, działając wbrew ustawie, może jeszcze narazić mnie na to, że żołnierze, spiskujący z Rivarezem i jego przyjaciółmi, ułatwią mu ucieczkę”.

Gdy Szerszeń, otoczony liczną strażą, wszedł do pokoju kardynała siedzącego właśnie przy stole zarzuconym papierami, w duszy jego ożyło nagle wspomnienie równie gorącego dnia letniego, gdy siedział w podobnej pracowni przerzucając plik kazań w rękopisie. Okiennice były przymknięte jak w tej chwili, by nie dopuścić gorących promieni słońca, a z ulicy dolatywał głos przekupnia owoców: Fragola! Fragola!

Gniewnie odrzucił włosy spadające mu na oczy, a usta ułożył do uśmiechu.

Montanelli oderwał oczy od papierów.

- Możecie zaczekać w przedpokoju - zwrócił się do straży.

- Wasza eminencja raczy zważyć - zaczął sierżant zniżonym głosem i z widocznym niepokojem - pułkownik uważa więźnia za bardzo niebezpiecznego i sądzi, że byłoby lepiej...

Nagły błysk pojawił się w oczach Montanellego.

- Możecie zaczekać w przedpokoju - powtórzył spokojnie, a sierżant, salutując i mamrocząc usprawiedliwienie, z wylękłą twarzą opuścił pokój wraz ze swymi ludźmi.

- Proszę usiąść - rzekł kardynał po ich wyjściu. Szerszeń usłuchał w milczeniu.

- Signor Rivarez - odezwał się po chwili kardynał - chciałbym zadać parę pytań i byłbym bardzo zobowiązany, gdyby pan zechciał na nie odpowiedzieć.

Szerszeń się uśmiechnął - G...g...głównym moim zajęciem jest t...teraz w...wysłuchiwanie pytań.

- I nieodpowiadanie na nie? Słyszałem o tym; ale te pytania zadają panu urzędnicy badający pańską sprawę, którym obowiązek nakazuje zużytkować odpowiedzi pana jako dowód.

- A w...waszej eminencji? - Ukryta obelga tkwiła raczej w tonie zapytania niż w słowach i kardynał natychmiast ją odczuł; niemniej twarz jego zachowała wyraz niezmaconej łagodności.

- Czy pan odpowie, czy nie, wszystko pozostanie między mną a panem. Gdybym dotknął pańskich tajemnic politycznych, to oczywiście, że mi pan nie

odpowie. W przeciwnym jednak razie spodziewam się, że jakkolwiek jesteśmy całkiem obcy, nie odmówi mi pan odpowiedzi - z osobistej grzeczności dla mnie.

- Jestem w...w... z...zupełności do usług waszej eminencji. - Powiedział to z lekkim ukłonem i wyrazem twarzy, który mógł każdemu odebrać ochotę domagania się grzeczności.

- Przede wszystkim więc obwiniają pana o przemykanie broni do tego okręgu. Do czego broń ta miała służyć?

- D...d...do z...zabijania szczurów.

- To straszna odpowiedź. Czy wszystkich swych bliźnich uważa pan za szczury, jeśli nie mogą myśleć tak samo jak pan?

- N...niektórych.

Montanelli oparł się o poręcz krzesła i przez chwilę patrzył nań w milczeniu.

- Co to pan ma na ręce? - spytał nagle.

Szerszeń spojrział na lewą swą rękę. - Dawne z...z...znaki ukąszeń niektórych szczurów.

- Wybaczy pan, ja pytam o drugą rękę, Widzę na niej świeży ślad.

Delikatna, gibka prawa ręka była straszliwie podrapana i pocięta. Szerszeń podniósł ją do góry. Na przegubie była mocno obrzmiała, a w poprzek biegła długa i głęboka rana.

- Och, to t...tylko dr...drobnostka - odparł. - kiedy mnie uwięziono... dzięki waszej eminencji... - znów skłonił się lekko - jeden z żołnierzy przespacerował się po mej ręce.

Montanelli ujął go za rękę i dokładnie obejrzał ranę. - Jak to być może, że po trzech tygodniach jest w stanie zapalnym? - spytał.

- Prawdopodobnie u...u...ucisk łańcucha niezbyt jej posłużył.

Kardynał zmarszczył brwi.

- Założyli łańcuch na świeżą ranę?

- R...rozumie się, eminencjo, do tego przecież są świeże rany. Stare nie na wiele się przydadzą, bołą tylko trochę, a nie p...p...pieką mniej iż jak należy.

Montanelli znów spojrział na niego bystro, badawczo, następnie wstał i otworzył szufladę pełną rozmaitych środków aptecznych.

- Proszę dać tę rękę - rzekł.

Szerszeń z twarzą twardą, jakby wykutą z żelaza, wyciągnął rękę, a Montanelli, obmywszy ranę, delikatnie ją obandażował. Widać było, że często robił podobne rzeczy.

- Rozmówię się co do tych kajdan - rzekł. - A teraz chciałbym panu zadać inne pytanie: Co pan zamierza uczynić?

- O...o...odpowiedź bardzo prosta, eminencjo,.. Uciec, jeśli się uda, a jeśli nie, to umrzeć.

- Dlaczego „umrzeć”?

- Dlatego, że jeśli gubernator nie uzyska wyroku rozstrzelania, to skazą mnie na galery, a dla mnie r...równa się to śmierci. Nie mam z...z...zdrowia, by to wytrzymać.

Montanelli wsparłszy łokieć na stole zadumał się w milczeniu. Szerszeń mu nie przeszkadzał. Wsunął się w głąb fotela i wpół zmrużywszy oczy oddał się rozkosznemu uczuciu ulgi fizycznej po zdjęciu łańcuchów.

- Przypuśćmy - począł znów Montanelli - że uda się panu uciec: co by pan uczynił ze swym życiem?

- Juz waszej eminencji powiedziałem: z...zabijałbym szczury.

- Zabijałby pan szczury. To znaczy, że gdybym panu pozwolił teraz uniknąć - przypuśćmy, że miałbym władzę po temu - to pan użyłby swej swobody do szerzenia gwałtu i rozlewu krwi zamiast temu zapobiegać?

Szerszeń podniósł wzrok na wizerunek Chrystusa na ścianie. - „Nie pokój, ale miecz”, byłbym przynajmniej w dobrym t...towarzystwie. Chociaż co do mnie, to wolę pistolety.

- Signor Rivarez - rzekł kardynał z niewzruszonym spokojem - ja pana nie dotknąłem ani jedną obelgą i nie powiedziałem ani jednego lekceważącego słowa o pańskich wierzeniach i przyjaciołach. Czy nie mogę prosić o taką samą uprzejmość; czy też pragnie mi pan nasunąć przypuszczenie, że ateista nie może być dżentelmenem?

- Ach, z ...zupełnie zapomniałem. Wasza eminencja zalicza widać uprzejmość do wysokich cnót chrześcijańskich. Przypominam sobie to kazanie we Florencji z ok...okazji mej polemiki z bezimiennym o...obrońcą waszej eminencji.

- I o tym chciałem również pomówić. Czy nie zechciałby mi pan podać powodu specjalnego rozgoryczenia na mnie? Jeśli mnie pan wybrał po prostu za odpowiedni cel dla swych pocisków, to rzecz inna. Pańska metoda prowadzenia sporów

politycznych jest sprawą obchodzącą pana i nie mówimy teraz o polityce. Zdawało mi się jednak podówczas, że pan kieruje się względem mnie osobistą jakąś nienawiścią, otóż jeśli tak jest istotnie, bardzo pragnąłbym się dowiedzieć czy kiedykolwiek wyrządziłem panu coś złego lub dałem powód do podobnych uczuć.

Czy mu kiedykolwiek wyrządził coś złego! Szerszeń obandażowaną ręką chwycił się za gardło. - Muszę waszą eminencję odesłać do Szekspira - zaśmiał się krótko. - To tak samo jak z tym człowiekiem, co nie mógł znieść niewinnego, użytecznego kota⁵³. We mnie podobną antypatię budzi ksiądz. Na widok s...sutanny dostają bólu ...zębów.

- Och, jeśli to... - Montanelii wykonał gest lekceważenia. - A jednak - dodał - co innego jest miotać obelgi, a co innego przekreślać fakty. Gdy w odpowiedzi na moje kazania pan twierdził, że wiedziałem, kto był bezimiennym mym obrońcą, to się pan omylił - nie obwiniam pana o świadome sfalszowanie faktu - konstatując coś, co nie było prawdą. Po dzień dzisiejszy nie znam jego nazwiska.

Szerszeń przechylił głowę na jedną stronę, jak oswojony kos, i przez chwilę poważnie patrzył na kardynała, nagle odrzucił ją w tył i wybuchnął głośnym śmiechem. - S...s...sancta simplicitas!⁵⁴ Och, co za słodki, niewinny, idylliczny człowiek... i nigdy się nie domyślił! Nigdy eminencja nie widział diabelnego kopyta?

Montanelli powstał. - Signor Rivarez, czy mam z tego wnioskować, że pan sam pisał całą tę polemikę?

- To było skandaliczne, wiem o tym - odparł Szerszeń szeroko otwierając swe niewinne, błękitne oczy. - A eminencja p...połknął to wszystko, jakby to b...była ostryga. To było bardzo brzydkie, ale...oh! jakież to b...było zabawne!

Montanelli zagryzł usta i znów usiadł przy biurku. Od pierwszej chwili zauważył, że Szerszeń usiłuje wyprowadzić go z równowagi, i postanowił nie dopuścić do tego żadną miarą; zaczynał już jednak pojmować ostateczne rozdrażnienie gubernatora. Człowiekowi, który od trzech tygodni spędza po dwie godziny dziennie na badaniu Szerszenia, należy wybaczyć, jeśli tu i ówdzie wyrwie mu się ostrzejsze słowo.

- Dajmy pokój tej rozmowie - rzekł spokojnie. - Chciałem się z panem rozmówić w sprawie następującej: Moje stanowisko kardynała upoważnia mnie - jeśli zechcę korzystać z przysługującego mi przywileju - do zabrania głosu w kwestii

⁵³ Aluzja do „Kupca weneckiego” Szekspira, akt IV, scena 1.

⁵⁴ Sancta simplicitas (łac.) - Święta prostota.

dotyczącej pana. Jedynym użytkiem, jaki mógłbym z przywileju tego uczynić, byłoby zapobieżenie wszelkim krokom gwałtownym, gdyby nie były one konieczne do udaremnienia kroków gwałtownych grożących innym ze strony pana. Zawezwiałem pana dlatego, by się dowiedzieć, czy nie ma pan jakiegoś zażalenia - w sprawie kajdan już się rozmówię - ale może jeszcze co innego; do pewnego stopnia zaś uważałem za swój obowiązek poznać trochę człowieka, zanim go miałem sądzić.

- Nie mam żadnego zażalenia. *A la guerre, comme à la guerre*⁵⁵. Nie jestem żakiem, bym od jakiegokolwiek rządu spodziewał się pieszczot za przemykanie broni na jego terytorium. Całkiem naturalne, że godzić muszą we mnie z całą siłą. A co do poznania mnie jako człowieka, to uczyniłem już kiedyś waszej eminencji spowiedź ze swych grzechów. Czy to nie wystarczy? Wasza eminencja ż...ż...życzy sobie, bym ją powtórzył?

- Nie rozumiem pana - chłodno rzeki Montanelli biorąc z biurka ołówek i obracając go między palcami.

- Chyba eminencja nie zapomniał spowiedzi starego Diega, pielgrzymka? - I nagle zmieniając głos zaczął mówić jak Diego: - Jestem nieszczęsnym grzesznikiem...

Ołówek złamał się w rękę Montanellego. - Tego za wiele! - rzekł.

Szerszeń przechylił głowę w tył i zaśmiawszy się krótko, śledził kardynała chodzącego po pokoju tam i z powrotem.

- Signor Rivarez - rzekł Montanelli przystając wreszcie naprzeciw niego - wyrządził mi pan krzywdę, jaką człowiek zrodzony z kobiety zawahałby się wyrządzić najgorszemu swemu nieprzyjacielowi. Wdarł się pan w osobiste me cierpienie, by sobie urządzić żart i zadrwić z bólu bliźniego. Raz jeszcze pana błagam: czy uczyniłem panu kiedykolwiek coś złego? A jeśli nie, to czemu pan bezlitośnie ze mnie zadrwił?

Szerszeń wsparty o poduszki fotela spojrzał nań, a na usta jego wybiegł chłodny, subtelny, nieprzenikniony uśmiech.

- To mnie b...b...bawiło, eminencja brał sobie to wszystko tak bardzo do serca... i przypo...pomiędzy mi to trochę... przedstawienie w cyrku.

Montanelli, blady jak płótno, odwrócił się, nacisnął dzwonek.

- Możecie zabrać więźnia - rzekł do wchodzącej straży.

Po ich wyjściu usiadł przy stole, drżąc jeszcze z oburzenia, i przysunął sobie plik sprawozdań przysłanych mu przez rozmaitych księży z jego diecezji.

⁵⁵ *A la guerre, comme à la guerre* (franc.) - Na wojnie, jak to na wojnie.

Ale natychmiast je odsunął i wsparłszy się na stole ukrył twarz w dłoniach. Szerszeń pozostawił po sobie straszny cień, upiorny jakiś ślad swojej osobowości tłukący się po kątach pokoju; Montanelli siedział drżący i skulony, nie śmiejąc spojrzeć, by nie zobaczyć widma, którego nie było. Wrażenie graniczyło nieomal z halucynacją. Oczywiście, wytwór podrażnionych nerwów, a jednak czuł nie wypowiedzianą trwogę przed upiorną tą zjawą - poranioną ręką, okrutnym uśmiechem, tajemniczymi oczyma, głębokimi jak morska toń...

Otrząsnął się i przysunął papiery. Przez cały dzień nie miał ani jednej wolnej chwili, by dać przystęp widziadłom; ale późno w nocy, wchodząc do sypialni, przystanął na progu zdjęty nagłą trwogą. A jeśli mu się ukaże we śnie? Szybko się opamiętał i ukląkł przed wizerunkiem Ukrzyżowanego.

Ale przez całą noc nie zmrugał oka.

ROZDZIAŁ IV

Mimo oburzenia Montanelli nie zapomniał o danym przyrzeczeniu. Zaprotestował tak gwałtownie przeciw brutalnemu nałożeniu łańcuchów na okaleczoną rękę Rivareza, że nieszczęsny gubernator, nie wiedząc już, co począć, w przystępie niepoczytalnej irytacji kazał zdjąć z więźnia wszystkie pęta.

- Skąd mogę wiedzieć - mruzczał do swego adiutanta - co jego eminencja zarzuci mi następnym razem? Jeśli zwyczajne kajdanki nazywa „okrucieństwem”, to niezadługo zażąda, by odjęto kraty więzienne albo też każe mi karmić Rivareza ostrygami i truflami. Za moich młodych lat złoczyńca był złoczyńcą i odpowiednio go też traktowano, nikomu nie przychodziło na myśl uważać zdrajcę za coś lepszego niż złodzieja,.. Ale teraz buntownicy wchodzą w modę, a jego eminencja zdaje się popierać wszystkich łotrów w kraju.

- Nie wiem w ogóle, dlaczego ma się wtrącać do tego - zauważył adiutant. - Nie jest przecież legatem i nie ma władzy w sprawach cywilnych ani wojskowych. Podług prawa...

- Na co się zda powoływanie na prawo? Kto będzie się teraz liczył z prawem, skoro sam ojciec święty pootwieriał więzienia i wypuścił na nas całą bandę tych liberalnych nicponiów! To zupełny obłęd! Rozumie się, że monsignor Montanelli chce

sobie też nadać powagi. Za rządów jego świątobliwości poprzedniego papieża zachowywał się cichutko, ale teraz gra za to pierwsze skrzypce. Nagle wyrósł, obsypany laskami, i może robić, co mu się podoba. Jak mogę mu się sprzeciwiać? Nie wiem przecież, czy nie ma tajnego upoważnienia z Watykanu. Wszystko teraz do góry nogami; niepodobna wiedzieć, co się może stać nazajutrz. W dawnych, dobrych czasach człowiek dobrze wiedział, czego się trzymać, ale dziś...

Gubernator żałośnie pokiwał głową. Świat, w którym kardynałowie zajmowali się takimi drobnostkami jak dyscyplina więzienna i mówili o „prawach” przestępców politycznych, zbyt był zawył dla jego głowy.

Szerszeń natomiast wrócił do twierdzy w stanie rozdrażnienia graniczącego z histerią. Spotkanie z Montanełlim doprowadziło jego napięcie nerwowe do ostatecznej granicy i końcową brutalność o przedstawieniu w cyrku wyrzucił w przystępie najwyższej rozpacz, by po prostu przeciąć rozmowę, która za parę minut byłaby się skończyła łkaniem.

Zawezwany tego samego dnia przed komisję śledczą, na każde przedłożone mu pytanie odpowiadał spazmatycznym śmiechem, a gdy gubernator doprowadzony do ostateczności zaczął kląć, on nie mógł wprost opanować szalonych wybuchów śmiechu. Nieszczęśliwy gubernator pienił się i zżymał grożąc niesfornemu więźniowi wszelkimi karami; ostatecznie jednak, jak ongi James Burton, doszedł do przekonania, że szkoda sił i czasu dla człowieka będącego najwidoczniej w stanie niepoczytalnym.

Szerszeń, odprowadzony do celi, rzucił się na pryczę w stanie beznadziejnego zgnębienia, które zawsze zjawiało się u niego po hałaśliwych atakach wesołości. Tak leżał do wieczora, bez ruchu, a nawet bez myśli; po gwałtownych wzruszeniach tego rana popadł w dziwną apatię i własną swą nędzę odczuwał tylko jako mechaniczny ciężar tłoczący jego skamieniałą istotę, która zapomniała już o swym duchowym istnieniu. Istotnie, niewiele mu zależy na tym, jak się to wszystko skończy; jedyną rzeczą, jaka musi obchodzić każdą istotę czującą, jest unikanie cierpień przechodzących siły, a czy ulgę tę przyniosą zmienione warunki, czy też zabicie w sobie wszelkiej wrażliwości, to już wszystko jedno. Może mu się uda uciec; może go zabiją; w każdym razie nigdy już nie zobaczy się z ojcem, bo wszystko to jest tylko próżną i daremną samoudręką.

Jeden z dozorców przyniósł wieczerzę. Szerszeń spojrzał na niego z głuchą obojętnością.

- Która godzina?

- Szósta, proszę pana. Oto wieczerza.

Szerszeń spojrział z obrzydzeniem na wystawą, cuchnącą, na wpół zimną strawę i odwrócił głowę. Był zarówno fizycznie chory, jak duchowo wyczerpany i widok jedzenia przyprawiał go o mdłości.

- Zachoruje pan, jeśli nie będzie nic jeść - szybko rzekł żołnierz. - W każdym razie niech pan zje kawałek chleba, to panu posłuży.

Wypowiedział to z dziwną powagą, podnosząc z tacy kawałek gąbczastego chleba i kładąc z powrotem. W okamgnieniu zbudził się w Szerszeniu konspirator; domyślił się, że w chlebie coś się znajduje.

- Zostawcie, będę jadł po trochu - rzekł obojętnie. Drzwi były otwarte i sierżant mógł słyszeć każde słowo wymówione w celi.

Gdy drzwi się zamknęły, upewnił się wpierw, czy ktoś nie śledzi go przez dziurkę, po czym ostrożnie rozkruszył chleb. Znalazł to, czego się spodziewał: wiązaneczkę małych pitek. Zawinięte były w papier, na którym napisano kilka słów. Troskliwie wygładził świstek i zbliżył go do promyczka światła wpadającego przez kratę. Pismo było tak drobne, a papier tak cieniuchny, że z wielkim tylko trudem zdołał nareszcie odczytać:

Drzwi otwarte i noc ciemna. Przepilujcie jak najszybciej i wyjdźcie podziemnym korytarzem, między drugą a trzecią. Wszystko gotowe, a nierychło nadarzy się podobna sposobność.

Gorączkowo miętosił w rękach świstek papieru. Wszystko przygotowane i pozostaje mu tylko przepiłować kraty; jak szczęśliwie się złożyło, że go rozkuto! Nie potrzebuje teraz rozpiłowywać kajdan. Ile tam tych sztab? Dwie, cztery, a każdą w dwóch miejscach, więc osiem. Och, zdąży w ciągu nocy, jeśli się będzie śpieszył... Jakim sposobem Gemma i Martini zdołali przygotować wszystko tak szybko - przebrania, paszporty, kryjówki? Musieli chyba harować w sposób nieludzki... I ostatecznie zostało przy jej planie. Zaśmiał się w duchu z własnej głupoty, jakby to miało znaczenie, czy projekt jej lub nie, skoro tylko jest dobry! A jednak było mu przyjemnie, że to ona upierała się przy planie wykorzystania korytarza podziemnego, wbrew przemytnikom, którzy proponowali spuszczenie się po sznurowej drabince. Jej plan był trudniejszy, lecz nie wymagał jak tamten zabicia strażnika pełniącego służbę

od wschodniej strony twierdzy. Toteż gdy przedłożono mu obydwaj, bez wahania wybrał projekt Gemmy.

Ułożono plan w ten sposób, że zaprzyjaźniony strażnik więzienny, przewany Świerszczem, skorzysta z pierwszej sposobności i nie wtajemniczając swych kolegów, odemknie żelazną bramę wiodącą z podwórza do korytarza podziemnego poniżej wałów twierdzy, po czym znów zawiesi klucz na dawnym miejscu. Szerszeń, powiadomiony o tym, przepiłuje sztaby żelaznego okratowania, rozedrze koszulę i skręci ją w linę, po której spuści się na szeroki wschodni wał okalający twierdzę. Wzdłuż tego wału musi się czołgać na rękach i kolanach, gdy strażnik będzie szedł w przeciwnym kierunku, gdy się zaś zwróci w jego stronę, musi leżeć koło muru nieruchomo. W południowo-wschodnim rogu jest na wpół zniszczona wieża, obrośnięta miejscami gęstwą bluszczu; wielkie masy kamieni odpadły z niej i leżały w podwórzu tworząc kupę gruzu przytykającą do muru. Z tej wieżyczki musi się spuścić po bluszczu i kupie gruzu na podwórze, po czym cicho otworzy nie domkniętą bramę i dostanie się do podziemnego tunelu. Przed wielu wiekami tunel ten stanowił tajemny korytarz łączący twierdzę z wieżą na sąsiednim wzgórzu, teraz jednak przejście to było zupełnie zaniedbane, a tu i ówdzie zabarykadowane odłamami skal. Nikt prócz przemytników nie znał pewnego troskliwie strzeżonego otworu, wydrążonego przez nich w zboczu gór; nikt nie przypuszczał, że często przez wiele tygodni ukrywali tam zapasy zakazanych towarów, tuż pod wałem twierdzy, gdy urzędnicy celni na próżno przetrząsali domy ponurych góralskich wściekłym wejrzeniem. Tą dziurą Szerszeń miał wydostać się w góry i w ciemności ruszyć do pewnego samotnego ustronia, gdzie go będzie czekać Martini z jednym z przemytników. Największą trudność stanowiło odemknięcie bramy po przejściu patrolu nocnego. Okazja taka nie trafiała się co dzień; a przy tym w noc bardzo jasną niepodobna było spuścić się po linie bez zwrócenia uwagi straży. Tego wieczora wszystko złożyło się tak pomyślnie, że musieli korzystać z rzadkiej sposobności.

Usiadł i zaczął gryźć kawałek chleba. Przynajmniej nie był mu tak wstrętny jak reszta wiktów więziennych, a musiał przecież coś zjeść, by nie opaść z sił.

Najlepiej zrobi, gdy się trochę położy i spróbuje zasnąć; i tak nie może zabrać się do piłowania przed dziesiątą, a ciężka go czeka robota.

Więc jednak ojciec chciał mu umożliwić ucieczkę! To całkiem na niego wygląda. Ale on nie zgodzi się na to nigdy. Wszystko raczej niż to! Jeśli umknie, to dzięki sobie i swym towarzyszom; nie potrzebuje żadnych łask od księży.

Jak gorąco! Zapewne zbiera się na burzę; powietrze takie strasznie ciężkie i duszne. Niespokojnie rzucał się po więziennej pryczy, podkładając sobie pod głowę obandażowaną prawą rękę, to znów ją cofając. Jak go pali, jak pulsuje gwałtownie! I jakiś tępy ból odzywa się we wszystkich dawnych ranach. Co to może być? Ach, głupstwo! To tylko niepokój przed burzą. Musi trochę zasnąć i wypocząć, zanim się zabierze do piłowania.

Osiem sztab, a takie silne i grube! Ile jeszcze pozostaje do przepiłowania? Chyba niewiele. Musi już piłować kilka godzin... nieskończonych godzin... oczywiście... i stąd ten ból w ramieniu... Och, jak boli; przenika po prostu do szpiku kości. Ale chyba nie z piłowania pochodzi ów okropny ból w boku, a pulsowanie i palenie w okaleczonej nodze - czy i to z piłowania?

Zerwał się. Nie, wcale nie spał; śnił na jawie z otwartymi oczyma... śnił o piłowaniu, którego dopiero miał dokonać. Oto widnieje krata nie tknięta, mocna i gruba jak przedtem. A z oddali słychać właśnie zegar wydzwaniający godzinę dziesiątą. Musi się zabrać do roboty.

Wyjrzał małym otworem i przekonawszy się, że nikt nie podgląda wydobyl jedną z piłek ukrytych na piersi.

Nie, na pewno nic mu nie jest! Po prostu przywidzenie. To klucie w boku pochodzi z niestrawności lub przeziębienia albo czegoś podobnego; nic dziwnego zresztą po trzytygodniowym znoszeniu tego straszego powietrza i stawy więziennej. A te bóle i gwałtowne pulsowanie w całym ciele wynikają po pierwsze ze wzburzenia nerwowego, a po drugie z braku ruchu. Tak, niewątpliwie; to wszystko z braku ruchu. Że też mu to wcześniej nie przyszło do głowy...

Mimo to usiądzie na chwilę i zaczeka, aż bóle ustąpią, zanim się weźmie do roboty. Prawdopodobnie przejdą za parę minut.

Siedzieć beczynnie to stokroć gorzej. Nieruchomy, zdany jest na łaskę i niełaskę bólu. Twarz mu poszarzała z trwogi. Nie! Musi się zebrać, przystąpić do roboty i otrząsnąć się z tego wszystkiego. Czuć ból lub nie czuć - to od niego przecież zależy; otóż nie będzie czuł, przewycięży ból, odpędzi.

Wstał i głośno, wyraźnie rzekł do siebie.

- Nie jestem chory, nie mam czasu na chorobę. Muszę przepiłować te sztaby i nie zachoruję.

Zabrał się do piłowania.

Kwadrans na jedenastą... wpół do jedenastej... trzy kwadransy... Piłuje i piłuje bez wytchnienia, a każdy zgrzyt piłki zdaje się rozdzierać mu ciało i mózg. - Ciekaw jestem, co wpierw przepiłuję - zaśmiał się sucho - siebie czy kratę? - Zaciął zęby i dalej piłował.

Wpół do dwunastej. Ciągłe jeszcze piłuje, mimo że ręka zdrętwiała i nabrzmiała potwornie, zaledwie już zdoła utrzymać piłkę. Nie, nie wolno odpocząć; jeśli raz zaprzestanie tej okropnej roboty, nie będzie już miał sił zabrać się do niej ponownie.

Strażnik poruszył się za drzwiami, a lufa karabinu zadzwoniła o okienko. Szerszeń przerwał i rozejrzał się trzymając jeszcze piłkę w podniesionej ręce. Czy dostrzegli?

Mała kulka wleciała przez okienko i upadła na podłogę. Odłożył piłkę i schylił się, aby podjąć krągły przedmiot. Był to zawinięty świstek papieru.

Jakaż to daleka droga zstępować i zstępować coraz niżej, gdy czarne bałwany mkną wokół niego... i szumią, i huczą...

Ach tak! Schylił się przecież tylko, by podjąć papier. Ma lekki zawrót głowy, bardzo wiele ludzi dostaje zawrotu, gdy się schylają. Nic mu nie jest, nic zgoła.

Podniósł papier, podszedł do światła i rozwinął powoli.

Przyjdźcie dziś za wszelką cenę, jutro Świerszcz zostanie stąd przeniesiony. To jedyna nasza sposobność.

Zniszczył papier tak samo jak poprzedni i znów się zabrał do roboty, z niemym uporem i rozpaczą.

Pierwsza. Pracuje już trzy godziny i przepiłował sześć sztab. Jeszcze dwie, potem wspiąć się...

Zaczął sobie przypominać, jak przychodziły dawniej te straszne ataki. Ostatni był w Nowy Rok; wzdrygnął się na wspomnienie owych pięciu nocy. Ale wówczas nie zjawiał się tak nagle; nigdy w ogóle nie spadło to nań tak nagle. Opuścił piłkę i wzniosł do góry obydwie ręce w ślepej rozpacz, modląc się po raz pierwszy od chwili odrzucenia wiary - modląc się do czegokolwiek... do niczego... do wszystkiego....

- Nie dziś! Och, niech zachoruję jutro! Zniosę wszystko jutro - byle nie tej nocy!

Przez chwilę stał bez ruchu, obie ręce przyciskając do skroni, po czym znów podjął piłkę i wrócił do roboty.

Wpół do drugiej. Zabrał się do ostatniej sztaby. Rękaw koszuli pogryzł zębami na strzępy, na wargach miał krew, czerwona mgła przesłaniała mu oczy, pot kroplisty spływał z czoła, a on piłował, piłował, piłował...

Po wschodzie słońca Montanelli zasnął nareszcie. Wyczerpany ostatecznie męką i niepokojem całodziennym, na chwilę zasnął spokojnie, po czym zjawily się senne majaki.

Początkowo chaotyczne, zagmatwane urywki obrazów i marzeń, jedno po drugim, falujące i bezładne, lecz wszystkie przygniatające nieokreślonym jakimś wrażeniem walki i cierpienia, rzucające ten sam nieuchwytny cień grozy. Teraz zaczął śnić o bezsenności; dawny, straszny, dobrze mu znany sen, od lat przejmujący go lękiem najwyższym. I nawet we śnie wiedział, że wszystko to już śnił kiedyś...

Chodził po dużym, pustym placu starając się znaleźć jakieś spokojne miejsce, gdzie mógłby się położyć i zasnąć. Wszędzie jednak pełno ludzi chodzących tam i z powrotem; rozmawiają, śmieją się, wykrzykują, odmawiają modlitwy, dzwonią i uderzają w blaszane instrumenty. Chwilami udaje mu się oddalić nieco od zgiełku i spocząć to na trawie, to na drewnianej ławie lub płycie kamiennej. Zamyka oczy i zasłania je obiema rękami, by uchronić się przed światłem, mówiąc do siebie: „A teraz zasnę”. Ale tłumy cisną się już do niego krzycząc, wyjąc, wołając go po imieniu, błagając: „Zbudź się! Zbudź się szybko, jesteś nam potrzebny!”

To znów jest w wielkim pałacu, w pokojach urządzonych z przepychem, gdzie pełno łóżek i miękkich dywanów. Noc ciemna, więc mówi sobie: „Tu na koniec znajdę spokojne miejsce do snu”. Ale zaledwie ułożył się w ciemnym pokoju, ktoś zbliżył się z lampą, bezlitosnym światłem błysnął mu pod powieki i rzekł: „Wstawaj, jesteś potrzebny”.

Wstał i zaczął chodzić, potykając się i ślaniając, jak stworzenie ugodzone śmiertelną strzałą; i słyszał, jak zegar wydzwonił godzinę pierwszą, i wiedział, że minęło już pół nocy tak cennej, a tak krótkiej. Druga, trzecia, czwarta i piąta, bo o szóstej całe miasto się zbudzi i nie będzie już ciszy.

Przeszedł do drugiego pokoju i chciał się położyć na łóżku, lecz ktoś zerwał się z poduszek krzycząc: „To moje łóżko!”, a on cofnął się z rozpaczą w duszy.

Godzina biła po godzinie, a on ciągle jeszcze chodził, z pokoju do pokoju, z domu do domu, z korytarza na korytarz. Okropny szary świt podpełzał już coraz

bliżej, zegary wybiły piątą, noc minęła, a on nie zaznał spoczynku. „Och, dolo! Znów dzień, znów nowy dzień!”

Był w długim podziemnym korytarzu, w niskim, sklepionym przejściu zdającym się nie mieć końca. Płonęły tu jarzące się lampy i kandelabry, a przez okratowany sufit płynęły dźwięki wesołej muzyki, odgłosy tańców i śmiechów. Tam, na górze, w świetle ludzi żywych, na pewno odbywają się jakieś zabawy. „Och, jakiegoś miejsca... gdzie by się można ukryć i spać; małego miejsca... chociażby grobu”. Mówiąc to potknął się o otwarty grób. Otwarty grób, cuchnący śmiercią i zgnilizną... „Ach, mniejsza o to, byleby zasnąć!”

- „To mój grób!” - Gladys podniosła głowę i spojrzała nań przez rozpadające się gieźło, a on ukląkł i wyciągnął do niej ramiona.

„Gladys! Gladys! Miej trochę litości nade mną, pozwól mi wtulić się do tego wąskiego dołu i zasnąć. Nie żądam twej miłości, nie dotknę cię, nie powiem słowa; tylko pozwól mi się położyć i zasnąć!

Och, ukochana, jakże dawno już nie spałem. Nie mam sił do przeżycia jeszcze jednego dnia. Światło wżera mi się w duszę, zgiełk kruszy mi mózg. Gladys, pozwól mi tu wejść i zasnąć!”.

I śmiertelnym jej gieźłem chce sobie zasłonić oczy. Ale ona cofa się z okrzykiem:

„To świętokradztwo! Jesteś księdzem!”

Idzie dalej i dalej, aż nad sam brzeg morza ku nagim skałom, gdzie gore oślepiające słońce, a wody jęczą swą głuchą, wieczną, nieukojoną skargę.

„Ach! - szepcze - morze będzie litościwsze, ono też znużone jest śmiertelnie i nie może spać”.

Wtedy Artur wyłania się z głębi i woła:

„Morze jest moje!”

- Eminencjo! Eminencjo!

Montanelli zerwał się przerażony. Służący puka do drzwi. Wstał mechanicznie i otworzył, a tamten zauważył natychmiast jego zmienioną i cierpiącą twarz.

- Czy eminencja... może chory?

Obydwie ręce przycisnął do czoła.

- Nie, spałem tylko, a tyś mnie przebudził.

- Bardzo żałuję, ale zdawało mi się, że wcześniej rano eminenca chodził po pokoju, więc sądziłem...

- Czy już późno?

- Dziewiąta, przyszedł gubernator i mówi, że ma bardzo ważną wiadomość, a ponieważ wie, że eminenca wstaje wcześniej...

- Czy czeka na dole? Zaraz tam przyjdę.

Ubrał się i zszedł ze schodów.

- Obawiam się, czy eminenca nie weźmie mi zło, że tak wcześniej nachodzę... - zaczął gubernator.

- Spodziewam się, że nic nie zaszło?

- Owszem, bardzo wiele. Rivarez omal że nie umknął z twierdzy.

- Skoro jednak nie umknął, nie stało się nic złego. Cóż to było?

- Znalaziono go w podwórzu tuż obok żelaznej furtki. Gdy patrol przyszedł na inspekcję o trzeciej w nocy, jeden z żołnierzy potknął się o coś leżącego na ziemi, a gdy przynieśli światło, ujrzeli Rivareza, nieprzytomnego, na ścieżce w podwórzu. Zrobili natychmiast alarm i zbudzili mnie. Zbadawszy jego celę ujrzałem, że wszystkie sztaby kraty zostały przepiłowane, a u jednej zwisała lina skręcona z płótna. Spuścił się po niej i wspinał się po murze. Brama żelazna wiodąca do tunelu była odemknięta. Wydaje się, że przekupiono strażę.

- Ale skąd wziął się na ścieżce? Czy spadł może z muru i potłukł się?

- Ja tak myślałem, eminenco, ale chirurg więzienny nie może znaleźć żadnego śladu potłuczenia. Żołnierz, który wczoraj pełnił służbę, powiada, że Rivarez wyglądał bardzo źle wczoraj wieczór, gdy mu przyniósł wieczerzę, i nie tknął nawet jedzenia. Ale to banialuki: chory człowiek nie zdołałby przepiłować takich sztab i wspinać się po dachu. To być nie może.

- A sam nic nie powiedział?

- Jest nieprzytomny, eminenco.

- Dotąd?

- Od czasu do czasu odzyskuje przytomność i jęczy, a potem znów traci świadomość.

- To bardzo dziwne. Co o tym sądzi lekarz?

- Nie wie, co sądzić. Nie znajduje żadnego śladu choroby serca, która mogłaby w tym wypadku tłumaczyć całe zajście, ale cokolwiek mu się stało, atak musiał być

nagły i w ostatniej chwili udaremnił ucieczkę. Co do mnie, to wierzę tu w bezpośredni udział łaskawej Opatrzności.

Montanelli lekko zmarszczył brwi.

- Co pan zamierza z nim zrobić? - spytał.

- Sprawę tę muszę załatwić w najbliższych dniach. Tymczasem otrzymałem dobrą nauczkę. To właśnie skutek rozkucia łańcuchów, nie uchybiając waszej eminencji.

- Mam nadzieję - przerwał Montanelli - że przynajmniej podczas choroby nie każe mu pan nałożyć kajdan. Człowiek w takim stanie, jak pan opisał, nie może chyba podjąć ponownej próby ucieczki.

- Postaram się o to, by jej nie mógł podjąć - mruknął do siebie gubernator wychodząc. - Niech się jego eminencja każe wypchać ze swymi sentymentalnymi skrupułami, z którymi nie myślę się już liczyć. Rivarez skuty jest jak się należy i tak pozostanie, chory czy nie.

Ale jak to się mogło stać? Zemdlął w ostatniej chwili, gdy wszystko było gotowe, bo był już przecież przy bramie! To jakby potworny jakiś zart.

- A ja wam mówię - odparł Martini - że jedynym wytłumaczeniem, na jakie mogę się zdobyć, jest chyba to, że dostał tego swojego ataku i opierał się chorobie, póki mu starczyło sił, a wydostawszy się na podwórze zemdlął z wyczerpania.

Marko gwałtownie strzepnął popiół z fajki.

- Tak czy owak, wszystko przepadło. Teraz już nic dla niego zrobić nie możemy. Biedny człowiek.

- Biedny człowiek! - cicho jak echo powtórzył Martini. I on zaczął sobie uświadamiać, że świat będzie dlań pusty i smutny bez Szerszenia.

- Co ona o tym sądzi? - spytał przemytnik skierowując wzrok w kąt pokoju, gdzie siedziała Gemma z rękoma opuszczonymi na kolana, zapatrzona przed siebie w pustkę.

- Nie pytałem jej, nie rzekła słowa, odkąd przyniosłem jej tę wiadomość. Najlepiej pozostawić ją teraz w spokoju.

Zdawałoby się, że nie dostrzega ich obecności; mimo to mówili głosem przyciszonym, jakby w pokoju znajdował się umarły. Po ciężkiej chwili milczenia Marko wstał i odłożył fajkę.

- Wrócę tu wieczorem - rzekł, lecz Martini powstrzymał go gestem.

- Nie odchodźcie jeszcze, chciałbym z wami pomówić. - Jeszcze bardziej zniżył głos i niemal szeptem zapytał: - Czy istotnie nie ma żadnej nadziei?

- Nie widzę. Po raz drugi nie możemy się ważyć. Gdyby nawet był zdrow i mógł zrobić, co do niego należy, to my nie moglibyśmy i tak podjąć się naszej części. Zmienili wszystkich dozorców i możecie być pewni, że Świerszcz już nie będzie mógł tego zrobić.

- Czy nie sądzicie - nagle spytał Martini - że gdy odzyska zdrowie, można byłoby coś zrobić, gdyby niespodzianie odwołano straż z fortecy?

- Gdyby Odwołano straż? Jak to?

- Przypuśćmy, że przechodząc koło gubernatora podczas pochodu procesji koło fortecy w święto Bożego Ciała ja do niego strzelę; wówczas wszyscy dozorecy wypadną z twierdzy, by mnie ująć, a was kilku, korzystając z popłochu, zdołaloby może wyrwać Rivareza. Oczywiście, że to nie jest żaden plan obmyślony, ale tak mi strzeliło do głowy.

- Wątpię, czyby się to dało zrobić - odparł Marko z twarzą bardzo poważną. - Musiałoby się bardzo dokładnie wszystko obmyśleć. Ale... - urwał i utkwiał wzrok w Martinim - gdyby się okazało możliwe, czy wy zrobilibyście to?

Martini był człowiekiem bardzo wstrzemięźliwym w warunkach normalnych, ale obecnie warunki nie były normalne. Spojrzał przemytnikowi prosto w oczy.

- Czy ja bym to zrobił? - powtórzył. - Spójrzcie na nią! Dalsze wyjaśnienia były zbędne. W tych słowach wyraził wszystko.

Marko odwrócił głowę i spojrzał w kąt pokoju.

Siedziała nieruchoma przez cały czas ich rozmowy. W twarzy jej nie było wątpliwości ni lęku, ni smutku; widniał na niej jedynie cień śmierci. Oczy przemytnika z wolna napełniły się łzami.

- Śpieszcie się, Michale! - zawołał otwierając szybko drzwi werandy. - Jeszcze nie skończyliście, we dwóch? A tu milion rzeczy do zrobienia.

Michał, a za nim Gino weszli z werandy.

- Już jestem gotów - rzekł. - Chcę tylko zapytać signorę...

Skierował się ku niej, lecz Martini ujął go za ramię.

- Pozostawcie ją w spokoju, niech będzie sama.

- Dajcie jej pokój! - dodał Marko. - Nic jej nie pomożemy. Bóg wie, że ciężko nam wszystkim, a co dopiero tej biedaczce.

ROZDZIAŁ V

Przez tydzień stan Szerszenia był straszny. Atak był niezwykle gwałtowny, a gubernator, rozwścieczony obawą i bezradnością, nie tylko kazał skuć mu ręce i nogi, lecz uparł się, by go rzemieniami tak silnie przywiązać do tapczanu, że za każdym poruszeniem chorego wcinały mu się w ciało. Znosił wszystko ze swym uporczywym, gorzkim stoicyzmem przez dni sześć. Ale szóstego wieczora duma jego załamała się i począł błagać lekarza o dawkę opium. Doktor gotów był spełnić jego życzenie, lecz gubernator, dowiedziawszy się o tym, surowo zakazał „podobnego szaleństwa”.

- Skąd pan może wiedzieć, do czego mu to potrzebne? - rzekł. - Bardzo możliwe, że ta cała choroba jest tylko udawaniem, a teraz chce otruć dozorcę lub wymyślić inny jaki piekielny figiel. Rivarez zdolny jest do wszystkiego.

- Moja dawka nie wystarczyłaby do otrucia dozorca - odparł lekarz nie mogąc powstrzymać uśmiechu. - A co się tyczy udawania, to może pan być spokojny. Bliżej mu do śmierci.

- Tak czy owak, nie pozwalam. Jeżeli kto chce być delikatnie traktowany, to niech się też zachowuje odpowiednio. Jemu aż nadto należy się obostrzenie. Może go to oduczy zabawiać się sztabami kraty.

- Ustawa jednak zabrania tortur - odważył się zaprotestować lekarz - a to się niemal równa torturom.

- O ile mi wiadomo, ustawa nie wspomina o stosowaniu opium - zgryźliwie odparł gubernator.

- Oczywiście, że pan pułkownik tu decyduje, sądzę jednak, że każe pan przynajmniej zdjąć rzemienie. To już zupełnie zbyteczne potęgowanie jego męki. Uciezki, niepodobna się obawiać. Nie utrzymałby się na nogach, gdyby go pan nawet uwolnił.

- Drogi panie, lekarz może się mylić jak każdy człowiek. Kazałem go przywiązać i tak zostanie.

- Więc niech mu chociaż zwolnią nieco ramię. To już po prostu barbarzyństwo, podobne krępowanie chorego.

- Zostanie tak, jak jest, i wypraszam sobie zarzucanie mi barbarzyństwa. Jeżeli coś robię, to mam do tego powód.

Tak minęła siódma noc bez żadnej ulgi, a żołnierz pełniący służbę pod drzwiami celi żegnał się raz po raz, słuchając przez całą noc rozdzierających jęków chorego.

Na koniec wyczerpała się wytrzymałość Szerszenia.

O szóstej rano dozorca, kończąc służbę, cicho otworzył drzwi i wszedł do celi. Wiedział, że dopuszcza się wielkiego przekroczenia dyscypliny, lecz nie miał sił opuścić Szerszenia bez jednego słowa pociechy.

Zastał go leżącego spokojnie, z przymkniętymi oczami i rozchyłonymi ustami. Stał przez chwilę nieruchomy, po czym nachylił się i spytał:

- Czy mógłbym coś zrobić dla pana? Mam tylko minutę czasu.

Szerszeń otworzył oczy. - Zostawcie mnie w spokoju - jęknął. - Zostawcie mnie w spokoju.

Zasnął, zanim żołnierz zdołał wysunąć się z celi.

W dziesięć dni później gubernator znów zjawił się w pałacu, lecz nie zastał kardynała, który odwiedzał właśnie chorego w Pieve d'Ottavo i miał wrócić dopiero po południu.

Tego samego dnia wieczorem, gdy właśnie zasiadł do obiadu, wszedł służący oznajmiając:

- Jego eminencja pragnie pomówić z panem gubernatorem.

Gubernator, rzucając szybkie spojrzenie w zwierciadło, czy uniform w porządku, przybrał minę pełną godności i udał się do sali przyjęć, gdzie siedział Montanelli bębniąc palcami lekko o poręcz krzesła i wyglądając na ulicę z wyrazem niepokoju na twarzy.

- Słyszałem, że pan był dziś u mnie - rzekł przerywając grzeczności gubernatora tonem nieco despotycznym, jakiego nigdy nie używał wobec wieśniaków. - Prawdopodobnie chodzi panu o sprawę, o której ja również chciałem z panem pomówić.

- Chodzi o Rivareza, eminencjo.

- Domyślałem się tego. W ciągu ostatnich kilku dni przemyślałem całą tę sprawę. Zanim jednak do tego przystąpimy, pragnąłbym usłyszeć, co nowego miał mi pan do powiedzenia.

Gubernator szarpał wąsy z wyrazem zakłopotania.

- Co prawda, to idąc tu myślałem, że może wasza eminencja ma mi coś do powiedzenia. Jeśli eminencja sprzeciwia się w dalszym ciągu memu projektowi, to pragnąłbym usłyszeć jego radę, bo szczerze wyznaje, że nie wiem, co począć.

- Czy są jakieś nowe trudności?

- Tylko ta, że w najbliższy czwartek, 3 czerwca, przypada Boże Ciało, i w ten lub inny sposób sprawa musi być przed tym dniem załatwiona.

- Tak, w czwartek będzie Boże Ciało, ale dlaczego sprawa musi być załatwiona przedtem?

- Bardzo mi przykro, że muszę się niejako sprzeciwiać waszej eminencji, lecz nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za bezpieczeństwo miasta, jeśli Rivarez nie zostanie wpierw usunięty. Najbrutalniejsza hołota z gór przybywa tu na ten dzień, jak eminencji wiadomo, bardzo jest prawdopodobne, że zechcą przypościć szturm do twierdzy i wyrwać Rivareza. To się im nie uda, już ja się o to postaram; choćbym ich miał odpędzić od bram armatami. Ale niewątpliwie czeka nas coś podobnego. Tu, w Rumunii, lud jest burzliwy, a skoro raz wydobędą noże...

- Sądzę, że przy odrobinie dobrej woli można temu zapobiec. Ja jestem zdania, że ludzie tutejsi bardzo łatwo dadzą się prowadzić, jeśli się z nimi postępuje odpowiednio. Oczywiście, gdy się chce uzyskać coś od nich groźbą lub przymusem, to niepodobna dać sobie z nimi rady. Czy pan jednak ma podstawę do podejrzenia, że chcą odbić więźnia?

- Wczoraj i dziś rano słyszałem z ust moich najzaufańszych agentów, że rozmaite wieści obiegają cały ten okręg i że lud przygotowuje się do czegoś złego. Szczegółów wydobyć nie zdołali; gdyby to było możliwe, łatwiej można by złemu zapobiec. W każdym razie, po ostatnim wypadku wolę być ostrożny. Z tak chytrym lisem jak Rivarez nie można nigdy być dość przewidującym.

- Ostatnio słyszałem, że był zbyt chory, by przemówić lub poruszyć się o własnych siłach. Czy już mu lepiej?

- Zdaje się, że mu znacznie lepiej. Był istotnie bardzo chory... jeśli nie udawał przez cały czas.

- Czy ma pan podstawę do podobnego przypuszczenia?

- Lekarz zdaje się być przekonany o prawdziwości jego choroby, ale w każdym razie bardzo to dziwna choroba. Bądź co bądź, wraca teraz do sił i bardziej jest nieprzystępny niż kiedykolwiek.

- Cóż znowu zrobił?

.- Na szczęście nie może zrobić wiele - odparł gubernator uśmiechając się na wspomnienie rzemieni. - Ale zachowuje się w sposób trudny do opisanego. Wczoraj rano poszedłem do jego celi zadać mu kilka pytań; nie może jeszcze przyjść do sali... a sądziłem, że najlepiej będzie, by go nie widziano przed wyzdrowieniem. Zaraz się rozchodzą rozmaite plotki.

- Więc pan go poszedł badać do celi?

- Tak, eminencjo, sądziłem, że teraz okaże się przystępniejszy.

Montanelli przyjrzał mu się uważnie, jak gdyby patrzył na nieznane mu a wstrętne zwierzę. Na szczęście gubernator bawił się rękojeścią miecza i nie zauważył tego spojrzenia. W dalszym ciągu opowiadał całkiem spokojnie:

- Nie poddałem go żadnej specjalnej dyscyplinie, lecz byłem zmuszony trzymać go krótko, zwłaszcza, że to więzienie wojskowe... Otóż myślałem, że trochę pobłażliwości dobrze na niego podziała. Przyrzekłem mu pewne ulgi, jeśli zechce się naleźyć zachowywać; i jak eminencja sądzi, co mi odpowiedział? Leżał spokojnie patrząc na mnie przez minutę jak wilk z klatki, następnie rzekł całkiem łagodnie: „Pułkowniku, nie mogę wstać, by pana udusić, ale mam dobre zęby, radzę usunąć trochę swe gardło...” Wyglądał jak dziki kot.

- Nie dziwi mnie to wszystko - spokojnie odparł kardynał. - Ale chcę panu zadać jedno pytanie. Czy naprawdę pan wierzy, że obecność Rivareza w tutejszym więzieniu zagraża bezpieczeństwu i spokojowi tego okręgu?

- Jestem o tym najgłębiej przekonany.

- Sądzi pan, że dla zapobieżenia rozlewowi krwi trzeba koniecznie pozbyć się go w jakiś sposób przed Bożym Ciałem?

- Mogę tylko powtórzyć, że jeśli on tu będzie w czwartek, nie spodziewam się, by święto upłynęło bez walki, i to poważnej.

- I sądzi pan, że nie groziłoby to niebezpieczeństwo, gdyby jego tu nie było?

- W tym wypadku obeszłoby się chyba bez rozruchów lub co najwyżej skończyłoby się na wrzaskach i rzucaniu kamieniami. Jeśli wasza eminencja poda jakiś sposób pozbycia się go, ja biorę na siebie utrzymanie spokoju. W przeciwnym

razie oczekuję zamieszek bardzo poważnych. Jestem przekonany, że przygotowuje się nowy plan ucieczki, a czwartek jest właśnie dniem, w którym należy się spodziewać próby uwolnienia więźnia. Otóż gdy rano tegoż dnia dowiedzą się nagle, że wcale go nie ma w twierdzy, plan ich upadnie sam przez się i nie będą mieli podstawy do wszczęcia rozruchów. Ale jeśli będziemy zmuszeni je odpierać i miecze błysną wśród nagromadzonych tłumów, to nie mogę ręczyć, czy przed wieczorem miasto nie będzie spalone.

- W takim razie czemu go pan nie odstawi do Rawenny?

- Bóg widzi, eminencjo, jak chętnie bym to uczynił. Ale jakże mogę przeszkodzić, by go nie odbili po drodze? Nie mam dość żołnierzy, by odeprzeć zbrojny napad, a wszyscy ci górale mają noże, strzelby lub coś podobnego.

- Więc w dalszym ciągu obstatek pan przy zwołaniu sądu wojennego i uzyskaniu mej zgody?

- Eminencja wybaczy, ja tylko proszę o jedno - radę, w jaki sposób zapobiec rozlewowi krwi i rozruchom. Chętnie przyznaję, że takie wyroki wojskowe jak pułkownika Freddi były często nadmiernie surowe i drażniły lud zamiast go uspokajać, lecz w tym wypadku uważam sąd wojenny za środek rozsądny, który będzie miał w przyszłości zbawienne skutki. Udaremni bunt, który sam w sobie byłby strasznym nieszczęściem i prawdopodobnie spowodowałby ponowne ustanowienie komisji wojskowych, zniesionych przez jego świątobliwość.

Gubernator z patosem zakończył tę swoją przemowę i czekał odpowiedzi. Długo musiał czekać, gdy kardynał nareszcie przemówił, słowa jego były równie zdumiewające, jak nieoczekiwane.

- Pułkowniku Ferrari, czy wierzysz w Boga?

- Eminencjo! - wykrztusił pułkownik.

- Czy wierzysz pan w Boga? - powtórzył Montanelli wstając z krzesła i patrząc nań poważnie, badawczo. Pułkownik również wstał.

- Eminencjo, jestem chrześcijaninem i nigdy mi nie odmówiono rozgrzeszenia.

Montanelli podniósł krzyż, który nosił na piersi.

- Więc przysięgnij na krzyż Zbawiciela, który za ciebie zginął, że mówiłeś mi prawdę.

Pułkownik stał bez ruchu z najwyższym zdumieniem wpatrzony w krzyż. Nie mógł się zorientować, kto z nich, on czy kardynał, postradał zmysły.

- Żądałeś pan ode mnie - mówił dalej Montanelli - bym dał przyzwolenie na śmierć człowieka. Pocałuj krzyż, jeśli śmiesz to uczynić, i powiedz mi, że wierzysz, iż nie ma innego sposobu zapobieżenia większemu jeszcze rozlewowi krwi. I pamiętaj, że jeśli mi powiesz nieprawdę, zabijesz nieśmiertelną swą duszę.

Po krótkiej pauzie gubernator pochylił się i przycisnął krzyż do ust.

- Wierzę - rzekł.

Montanelli odwrócił się powoli.

- Dam panu stanowczą odpowiedź jutro. Wpierw muszę zobaczyć Rivareza i pomówić z nim na osobności.

- Eminencjo... jeśli wolno radzić... jestem pewny, że eminencja tego pożałuje. A propos, przysłał do mnie w tych dniach dozorcę, że chciałby zobaczyć waszą eminencję; nie przyjąłem jednak tego do wiadomości, gdyż...

- Nie przyjął pan do wiadomości! - powtórzył Montanelli. - Człowiek w takim położeniu żąda czegoś, a pan nie przyjmuje tego do wiadomości?

- Przykro mi, że eminencja jest niezadowolony. Nie chciałem niepokoić eminencji z powodu takiej bezczelności. Znam Rivareza dostatecznie, by wiedzieć, że chciał tylko waszą eminencję obrzucić obelgami. I jeśli wolno mi wyrazić swe zdanie, to uważałbym za wielką nieostrożność zbliżać się teraz do niego. Jest po prostu niebezpieczny... do tego stopnia, że byłem zmuszony skrepować poniekąd swobodę jego ruchów nakładając lekkie więzy...

- Więc istotnie pan sądzisz, że należy się obawiać człowieka chorego i bezbronnego, którego swobodę ruchów pan skrepował nakładając lekkie więzy? - Montanelli mówił prawie spokojnie, lecz pułkownik wyczuł w jego tonie chłodną wzgardę i rumieniec gniewu oblał mu twarz.

- Eminencja postąpi według swego uznania - rzekł możliwie najszywniej. - Chciałem tylko zaoszczędzić eminencji przykrości usłyszenia strasznych bluźnierstw tego człowieka.

- A co pan uważasz za większą przykrość dla chrześcijanina; usłyszeć bluźniercze słowa czy opuścić bliźniego w nieszczęściu?

Gubernator stał sztywny i wyprostowany, z miną urzędową, niby maska z drewna. Czul się głęboko dotknięty zachowaniem Montanellego i okazywał to nadmierną ceremonialnością.

- O jakiej porze eminencja życzy sobie pójść do więzienia? - spytał.

- Natychmiast.

- Jak eminencja rozkaże. Tylko może parę minut zechce eminencja poczekać, bym go kazał przygotować.

Gubernator zstąpił nagle ze swego urzędowego piedestału. Nie chciał, by Montanelli widział rzemienie.

- Dziękuję, wolę go zobaczyć takim, jak jest, bez przygotowania. Idę natychmiast do twierdzy. Dobranoc panu, jutro rano prześlę swą odpowiedź.

ROZDZIAŁ VI

Słyszając otwierające się drzwi celi Szerszeń odwrócił głowę z tępą obojętnością. Sądził, że to znów gubernator przychodzi go dręczyć badaniami. Kilku żołnierzy wchodziło na schodki brzęcząc karabinami, następnie ozwał się jakiś uniżony głos:

- Lepiej zejść tędy, eminencjo.

Zerwał się konwulsyjnie i zaraz opadł, z trudem chwytając oddech pod strasznym uciskiem rzemieni.

Wszedł Montanelli z sierżantem i trzema dozorcami.

- Eminencja raczy troszeczkę poczekać - trwożnie począł sierżant - zaraz przyniosą krzesło. Wasza eminencja wybaczy... gdybyśmy byli wiedzieli, wszystko byłoby przygotowane.

- Nie trzeba żadnych przygotowań. Proszę nas zostawić samych, sierżancie, i poczekać z ludźmi koło schodów, dobrze?

- Tak, eminencjo. Oto krzesło. Czy je postawić koło niego?

Szerszeń leżał z przymkniętymi oczyma, czuł jednak na sobie wzrok Montanellego.

- Zdaje mi się, że śpi, eminencjo - zaczął sierżant, lecz Szerszeń otworzył oczy.

- Nie - rzekł.

Wychodząc żołnierze przystanęli słysząc nagły okrzyk Montanellego, a odwróciwszy się zobaczyli, jak pochylony badał rzemienie krępujące więźnia.

- Kto to zrobił? - spytał.

Sierżant miętosił w rękę czapkę.

- Taki był wyraźny rozkaz gubernatora, eminencjo.

- Nie wiedziałem o tym, signor Rivarez - rzekł Montanelli tonem głębokiego zgnębienia.

- Powiedziałem waszej eminencji - odparł Szerszeń z uśmiechem - że nie s...spodziewam się, by mnie głaskano po głowie.

- Sierzancie, jak długo to trwa?

- Odkąd usiłował uciec, eminencjo.

- To znaczy od przeszło dwóch tygodni? Proszę przynieść nóż i rozciąć to natychmiast.

- Wasza eminencja raczy mnie wysłuchać: doktor chciał przeciąć, ale pułkownik Ferrari nie pozwolił.

- Proszę zaraz dać nóż - Montanelli mówił zwykłym głosem, lecz żołnierze widzieli, że zbladł z gniewu. Sierzant wyjął z kieszeni kozik i pochylił się, by przeciąć rzemień krępujący ramiona. Niezbyt był zgrabny, szarpnął więc rzemień tak niezręcznie, że Szerszeń drgnął mimo woli i zagryzł usta. Montanelli przystąpił do tapczanu.

- Nie umiesz, daj mnie ten nóż.

- Ach! - Szerszeń z przeciągłym westchnieniem ulgi wyciągnął ramiona, a po chwili Montanelli przeciął drugi rzemień krępujący mu nogi.

- Sierzancie, proszę też zdjąć kajdany i zostać tu na chwilę. Chcę z tobą pomówić.

Stał przy oknie, dopóki sierżant, rozkuwszy kajdany, nie zbliżył się do niego.

- Teraz - rzekł - proszę mi opowiedzieć wszystko, co się tu stało.

Sierzant z wielką skwapliwością opowiedział wszystko, co tylko wiedział o chorobie Szerszenia, o „środkach dyscyplinarnych" i bezowocnej interwencji doktora.

- Myślę jednak, eminencjo - dodał żołnierz - że pułkownik potrzebował tych rzemieni jako środka do wydobywania zeznań.

- Zeznań?

- Tak, eminencjo, raz słyszałem, jak obiecywał je zdjąć, jeśli - rzucił okiem na Szerszenia - odpowie mu na pytanie.

Montanelli kurczowo obejmował ręką parapet okna, a żołnierze zamienili ze sobą spojrzenia; nigdy jeszcze nie widzieli łagodnego kardynała w takim gniewie. Co do Szerszenia, to zapomniał o ich istnieniu, zapomniał o wszystkim poza fizycznym

uczuciem swobody. Każdy jego członek był zeszywniały, więc się teraz przewracał i poruszał w najwyższej rozkoszy wolności.

- Możesz odejść, sierżancie - rzekł kardynał. - Nie potrzebujesz się obawiać złamania dyscypliny, miałeś obowiązek odpowiedzieć, gdy cię pytam. Pilnuj, by nam nikt nie przeszkadzał. Wyjdę, gdy załatwię sprawę.

Gdy drzwi zamknęły się za żołnierzami, oparł się o parapet okna, patrząc przez chwilę na zachodzące słońce, by Szerszeniowi pozwolić trochę odetchnąć.

- Słyszałem - ozwał się na koniec, odchodząc od okna i siadając koło pryczy - że pan chciał ze mną pomówić na osobności. Jeśli pan czuje się o tyle dobrze, by mi powiedzieć, czego ode mnie żąda, jestem na usługi.

Mówił bardzo chłodno, w sposób sztywny, wyniosły, obcy całej jego naturze. Przed zdjęciem rzemieni Szerszeń był dlań ciężko skrzywdzoną i torturowaną istotą ludzką; teraz jednak przypomniał sobie ostatnie zetknięcie i śmiertelną obelgę, jaką się ono zakończyło. Szerszeń podniósł wzrok, niedbale wsparłszy głowę na rękę. Posiadał dar przybierania wdzięcznych póz i gdy twarz jego pozostawała ukryta w cieniu, nikt nie byłby się domyślił, jak ciężkie przeżył koleje. Gdy jednak podniósł oczy na Montanellego, jasne światło przedwieczne ukazało jego straszliwie wychudłą i bladą twarz i ślady cierpienia, jakie wyryły się na niej w ciągu ostatnich dni. Gniew Montanellego od razu zniknął.

- Zdaje mi się, że pan był bardzo ciężko chory - rzekł. - Ogromnie mi przykro, że tego przedtem nie wiedziałem. Byłbym wcześniej położył temu koniec.

Szerszeń wzruszył ramionami.

- Wojna jest wojną - rzekł chłodno. - Wasza eminencja teoretycznie sprzeciwia się rzemieniom, z punktu widzenia chrześcijanina, trudno jednak żądać tego od pułkownika. Niewątpliwie, nie chciałby on ich próbować na własnej skórze - t...tak samo ja. Ale to jest kwestia osobistych z...z...zapatrywań. Obecnie ja jestem pod wozem - to i c... cóż robić? Bardzo też łaskawie ze strony eminencji, że raczył tu przyjść, może to jednak uczynił również z p...punktu widzenia chrześcijańskiego. Odwiedzać więźniów - ach tak! „Coście uczynili jednemu z tych maluczkich...” Niezbyt to pochlebne, niemniej jeden z tych maluczkich jest wdzięczny.

- Signor Rivarez - przerwał kardynał - przyszedłem tu w pańskiej sprawie, a nie w mojej. Gdyby pan nie był „pod wozem”, jak to pan określił, nie byłbym z panem mówił po tym, co mi pan ostatnio powiedział, pan jednak ma podwójny przywilej: jako więzień i człowiek chory; toteż nie mogłem panu odmówić. Czy ma mi pan coś do

powiedzenia, czy też posłał pan po mnie jedynie po to, by bawić się miotaniem obelg na starca?

Milczenie. Szerszeń odwrócił się i leżał bez ruchu, przysłoniwszy ręką oczy.

- Bardzo... mi przykro, że muszę trudzić - rzekł na koniec głosem stłumionym - czy nie mógłbym prosić o trochę wody?

Przy oknie stał dzbanek z wodą; Montanelli wstał i przyniósł go. Podsunąwszy ramię pod plecy chorego, by go trochę podnieść, uczył nagle zimne, wilgotne palce zaciskające się koło jego ręki niby kleszcze.

- Dajcie mi rękę... szybko... na jedną chwilę - szepnął Szerszeń. - Och, cóż wam to szkodzi? Na jedną chwilę!

Padł na pryczę kryjąc twarz na ramieniu Montanellego i drżąc od stóp do głowy.

- Proszę się napić trochę wody - rzekł Montanelli.

Szerszeń usłuchał w milczeniu, po czym znów złożył głowę na pryczy i przymknął oczy. Nie byłby w stanie wytłumaczyć, co się z nim stało, gdy ręka Montanellego dotknęła jego policzka. Wiedział tylko, że nigdy nie przeżył nic równie straszego.

Montanelli przysunął krzesło jeszcze bliżej do pryczy i usiadł. Szerszeń leżał nieruchomy jak trup, twarz jego była martwa i ściągnięta. Po długim milczeniu otworzył oczy i utkwiał w kardynale upiorne spojrzenie.

- Dziękuję. Bardzo... mi przykro. Zdaje mi się... że eminenca o coś pytał?

- Pan nie jest zdolny do rozmowy. Jeśli mi pan chce coś powiedzieć, to spróbuję tu zajść jutro.

- Proszę, niech eminenca nie odchodzi... naprawdę, nic mi nie jest. Byłem... byłem trochę podcięty w ostatnich dniach, jakkolwiek częściowo udawałem... jak eminenca powie pułkownik.

- Wolę sam sobie formułować sądy - spokojnie odparł Montanelli.

- I... tak samo pułkownik. A niekiedy wpada nawet na pomysły dowcipne. Nawet by się tego nikt po nim nie s...s...spodziewał; a jednak cz...czasami zdarzają mu się oryginalne pomysły. Zeszłego piątku na przykład zdaje mi się, że to było w piątek, chociaż w ostatnich czasach trochę mi się p...p...pomieszały daty... Otóż p...prosiłem o dawkę opium. Dokładnie to pamiętam, a on przyszedł i p...powiedział, że d...dostanę d...dawkę, jeśli mu p...powiem, kto o...odemknął bramę. Pamiętam, jak

mówił: „Jeśli to ból prawdziwy, to się pan zgodzisz, jeśli nie, to będę to uważał za dowód, że wszystko jest udane”. Nie przyszło mi wówczas do głowy, ile w tym jest komizmu... To jedna z...z najzabawniejszych rze...rzeczy.

Wybuchnął nagłym, ostrym śmiechem, po czym zwrócił się do milczącego kardynała mówiąc coraz szybciej i zacinając się tak często, że słowa stawały się wprost niezrozumiałe:

- Nie w...widzicie, jakie to z...zab...awne? Rozu...zumie się: wy, re...re...ligijni ludzie, nie m...macie żadnego poczucia h... h... humoru, wszystko bierzecie tr...trag...gicznie. Na p...przykład ta noc w katedrze... jacy b...byliście strasznie ur...roczyści! Swoją drogą j...jak ja musiałem w...wyglądać pat...tetycznie jako pielgrzym: je...jestem pewny, że n...nie widzicie nawet nic k...k...komicznego w tym, z... czym dzisiaj przychodzicie.

Montanelli wstał.

- Przyszedłem tu, by usłyszeć, co mi pan miał do powiedzenia, ale zdaje się, że jest pan dziś zbyt rozdrażniony. Lekarz da panu jakiś środek uspokajający i pomówimy jutro, gdy pan odpocznie i prześpi się trochę.

- S...spać? Och, będę spał doskonale, gdy eminencja zgodzi się na p..plan pułkownika. Od...drobina ołowiu jest zn...znakomitym środkiem uspokajającym.

- Nie rozumiem - rzekł Montanelli, patrząc nań z przerażeniem.

Szerszeń ponownie wybuchnął śmiechem.

- Eminencjo, eminencjo, p...prawda jest k...k...kardynalną cnotą chrześcijańską. Czyż eminencja sądzi, że nie w...wiem, jak gw...gwałtownie pułkownik nalega, aby eminencja dał przy...przy... zwolenie na sąd wojenny? L...lepiej byłoby przy...przy... zwolnić, eminencjo, k...każdy inny prałat p...postąpiłby tak bez ch...chwili namysłu. *Cosi fan tutti*⁵⁶, przy tym zr...zrobilibyście tyle dobrego, a tak m...małą szkodę! Istotnie, to n...niewarte tych w...wszystkich bezsennych nocy w...waszej eminencji.

- Proszę, przestań się pan śmiać na chwilę - przerwał Montanelli - i powiedz mi, skąd się o tym dowiedziałeś. Kto panu o tym mówił?

- A...alboż pułkownik nie m...mówi wam, że j...jestem diabłem, nie cz...człowiekiem? Nie? A mnie to t...t...tyle razy już p...powtórzył! A więc jestem o tyle d...diabłem, by umieć trochę się d...domyślić. Wasza eminencja, na przykład, uważa

⁵⁶ *Cosi fan tutti* (wł.) - Tak czynią wszyscy.

mnie za prz...przekłątą plagę i pragnie, aby k...kto inny r...roztrzygnął o moim losie, aby eminenca nie p...potrzebował z...zakłócać swego dr...drażliwego sumienia. D...dobrze od...gadłem, prawda?

- Proszę posłuchać - rzekł kardynał siadając znów obok niego z twarzą bardzo poważną. - W jakikolwiek sposób pan się dowiedział, niemniej jest to prawdą. Pułkownik Ferrari obawia się, że pańscy przyjaciele podejmą nową próbę uwolnienia pana, i pragnie temu zapobiec... w sposób, o jakim pan mówił. Widzi pan, że mówię z panem całkiem otwarcie.

- Eminencja zawsze był sł...słynny ze swej prawdomówności - z goryczą zauważył Szerszeń.

- Wiadomo panu naturalnie - mówił dalej Montanelli - że prawie nie mam żadnej władzy w sprawach świeckich, jestem biskupem nie legatem. Posiadam jednak dość znaczny wpływ w tym okręgu i sędzę, że pułkownik nie odważy się na krok ostateczny, jeśli nie otrzyma mego bodaj milczącego przyzwolenia. Dotychczas bezwarunkowo się sprzeciwiałem, jakkolwiek nalegał na mnie bardzo silnie i starał się zwalczyć me skrupuły zapewniając, że w najbliższy czwartek, gdy tłumy ludu zgromadzą się na procesję, grozi wielkie niebezpieczeństwo zbrojnego napadu w celu uwolnienia pana, napadu, który prawdopodobnie doprowadzi do rozlewu krwi. Czy pan uważa, co mówię?

Szerszeń bezprzytomnie wpatrywał się w okno. Obejrzał się i odpowiedział głosem znużonym.

- Tak, uważam.

- A może pan istotnie nie ma dość sił do rozmowy? Czy nie będzie lepiej, gdy przyjdę tu jutro rano? Chodzi o sprawę bardzo ważną i pragnę, by się pan nad nią zastanowił.

- Wolę się pozbyć dziś - odparł Szerszeń tym samym tonem. - Uważam dokładnie na każde słowo.

- Otóż jeśli to prawda - począł znów Montanelli - że istotnie grozi niebezpieczeństwo rozlewu krwi i rozruchów z powodu pana, ja biorę na siebie straszną odpowiedzialność sprzeciwiając się pułkownikowi, a sędzę, że w tym, co mówi, jest jakaś odrobina prawdy. Z drugiej strony, skłonny jestem przypuszczać, że sąd jego wypływa w pewnej mierze z osobistej animozji do pana i że zapewne wyolbrzymia owo rzekomo grożące niebezpieczeństwo. To mi się wydaje bardzo prawdopodobne, zwłaszcza teraz, gdy przekonałem się o jego bezczelnej brutalności. -

Rzucił okiem na rzemienie i kajdany leżące obok pryczy i znów mówił: - Jeśli się zgodzę, zabiją pana, a jeśli odmówię, narażam życie ludzi niewinnych. Rozmyślałem długo nad tą sprawą i całą duszą szukałem wyjścia z tej okropnej alternatywy. Ostatecznie powziąłem jednak postanowienie...

- Zabicia mnie i o...ocalenia ludzi niewinnych. Oczywiście, jedyne postanowienie godne chrześcijanina. „Jeżeli cię prawa ręka twoja gorszy...” Ja nie mam zaszczytu b...być prawą ręką waszej eminencji, a g...gorszyłem go: konkluzja przeto jasna. Czy nie mógł mi eminencja tego powiedzieć bez takiej przedmowy?

Szerszeń mówił z tępą obojętnością i wzdargą jak człowiek znudzony całą tą sprawą.

- A zatem? - dodał po chwili. - Czy takie jest postanowienie waszej eminencji?

Szerszeń poprawił się na pryczy i podsunąwszy obie ręce pod głowę patrzył na Montanellego oczyma na wpół zmrużonymi. Kardynał, pochyliwszy głowę na piersi w głębokiej zadumie, jedną ręką z lekka uderzał o poręcz krzesła. Och, ten dawny, znany ruch!

- Postanowiłem - rzekł nareszcie, podnosząc głowę - uczynić coś całkiem niebywałego. Gdy dowiedziałem się, że pan chce się ze mną widzieć, postanowiłem tu przyjść i powiedzieć panu wszystko, jak to właśnie uczyniłem, a następnie złożyć sprawę w ręce pana.

- W... moje ręce?

- Signor Rivarez, nie przyszedłem do pana jako kardynał lub biskup albo też sędzia, przyszedłem jak jeden człowiek do drugiego. Nie pytam, czy panu wiadomo coś o planie, którego się obawia pułkownik. Rozumiem doskonale, że jeśli pan wie o tym, to jest to pańską tajemnicą i pan mi jej nie powie. Ale proszę pana tylko, by zechciał wczuć się w moje położenie. Jestem starcem i niedługo mi już żyć na świecie. Chciałbym zejść do grobu bez krwi na rękach.

- Czy nie ma jej eminencja dotychczas?

Montanelli stał się jeszcze bledszy, lecz mówił dalej spokojnie:

- Przez całe życie zwalczałem represje i okrucieństwo, gdziekolwiek je spotkałem. Zawsze się sprzeciwiałem wszelkiej karze śmierci; protestowałem usilnie i niejednokrotnie przeciw sądom wojennym za ostatnich rządów i z tego powodu popadłem w niełaskę. Po dzień dzisiejszy całego swego wpływu i władzy używałem zawsze na wyjednywanie łaski i przebaczenia. Proszę mi przynajmniej wierzyć, że mówię prawdę. Teraz mam rozwiązać sprawę tak zawiłą. Odmawiając pułkownikowi

narażam miasto na niebezpieczeństwo rozruchów i wszystkich następstw, a to dla ratowania życia człowieka, który bluźni przeciw mej religii, mnie samego oczernił, skrzywdził i zelżył (choć to jest jeszcze stosunkowo błahostką) i który - jestem głęboko przekonany - zrobiłby ze swego życia, gdybym mu je darował, zły użytek. A jednak chodzi tu o życie człowieka.

Zamilkł na chwilę, po czym znów zaczął:

- Signor Rivarez, wszystko, co wiem o pańskiej karierze, wydaje mi się złe i szkodliwe, a przez długi czas uważałem pana za człowieka bezwzględnego, gwałtownego i z niczym się nie liczącego.

W pewnej mierze i dziś jeszcze podtrzymuję ten mój sąd. Jednakże w ciągu ostatnich dwóch tygodni okazał pan, że jest człowiekiem dzielnym i wiernym wobec swych przyjaciół. Także u żołnierzy umiał pan wzbudzić przywiązanie i szacunek, czego nie każdy zdołałby dokonać. Myślę więc, że może pana osądziłem fałszywie, że może w głębi duszy jest pan lepszy, niż to na zewnątrz okazuje. Zwracam się przeto do owego lepszego „ja” w panu i solennie pana błagam, zaklinam na sumienie, byś mi powiedział prawdę: jak postąpiłbyś będąc na moim miejscu?

Nastąpiła długa chwila milczenia, po czym Szerszeń podniósł nań oczy.

- Co najmniej postanawiałbym sam o swoich czynach i przyjmował za nie odpowiedzialność. A z pewnością nie łączyłbym do drugich, by z chrześcijańską tchórzliwością prosić ich o rozwiązywanie za mnie własnych moich problemów!

Wybuch był tak nagły, a niezwykła jego namiętność i gwałtowność stanowiły takie uderzające przeciwieństwo przybranej przed chwilą sztucznej obojętności, że zdawało się, iż teraz dopiero zrzucił z siebie maskę.

- My, ateści - mówił w uniesieniu - rozumiemy, że jeśli człowiek ma do zniesienia jakiś ciężar, to musi go znosić, jak może, a jeśli pod nim upadnie, ha! tym gorzej dla niego. Ale chrześcijanin musi jęczeć przed swym Bogiem lub swymi świętymi, a jeśli oni nie chcą mu pomóc, to bodaj przed swymi nieprzyjaciółmi - zawsze znajdzie sobie czyjeś barki, by na nie zwalić swój ciężar. Czy wasza Biblia albo mszał czy inne jakieś teologiczne bazgroły nie uczą was, jak postępować, i dlatego musicie przychodzić do mnie, bym wam powiedział, co macie czynić! Wielkie nieba! Człowieku, czy sądzisz, iż nie mam już dość własnej męki, czy chcesz na moje barki zwalić odpowiedzialność za swoje czyny? Wracaj do twego Jezusa, On wymagał od

sługi zwrotu ostatniego grosza, to i wy zróbcie to samo. Ostatecznie zabijecie tylko ateistę, człowieka, który źle wymawia „szibolet”⁵⁷, a to chyba nie jest zbrodnią.

Urwał z trudem chwytając oddech, po czym wybuchnął:

- I wam to mówić o okrucieństwie? Przecież ten osioł dardanelski, pułkownik, nie mógłby mnie tak dręczyć, chociażby się nie wiem jak starał - za głupi na to. Bo najwyżej wymyśli rzemieńskie więzy, a gdy je już zaciśnie, to wyczerpie się cały jego dowcip. Każdy dureń to potrafi! Ale wasza eminencja.... „Racz pan podpisać na siebie wyrok śmierci, bo ja mam zbyt czułe serce, bym sam to mógł uczynić”. Och, na to potrzeba być chrześcijaninem, by w ten sposób smagać - delikatnym, współczującym chrześcijaninem, który blednie na widok zbyt ciasnego rzemienia! Powinienem się być domyślić, gdy eminencja wchodził tu niby anioł miłosierdzia... tak wzburzony „barbarzyństwem” pułkownika... że teraz dopiero zacznie się moja męka! Czemu eminencja na mnie tak patrzy? Ależ zgódź się, człowieku, oczywiście, i wracaj do domu na obiad. Cała ta historia niewarta tyle zachodu. Powiedz swemu pułkownikowi, że może mnie zastrzelić albo powiesić, co ładniej, albo też upiec żywcem, jeśli mu to sprawi przyjemność i niech mu to wyjdzie na zdrowie.

Szerszeń zmieniony był w tej chwili nie do poznania; bezprzytomny z wściekłości i rozpacz, drżał cały i ciężko dyszał, a w oczach migotały mu zielone błyski jak u rozwścieczonego kota.

Montanelli wstał i patrzył nań w milczeniu. Nie domyślał się bezpośredniej przyczyny tych namiętnych wyrzutów, lecz rozumiał, jak otchłanny ból je dyktował, a rozumiejąc przebaczył w duszy wszystkie dawne obelgi.

- Spokojnie! - rzekł. - Nie miałem zamiaru urazić pana tak boleśnie. Zaiste, nigdy nie chciałem zwałać swego ciężaru na pańskie barki, bo i tak ma pan aż nadto do dźwigania. Świadomie nie postąpiłem tak nigdy wobec żadnej istoty żyjącej.

- Kłamstwo! - krzyknął Szerszeń z płonącymi oczyma. - A biskupstwo?

- ...Biskupstwo?

- Ach, zapomniałeś? Tak łatwo zapominać! „Arturze, jeśli nie chcesz, to dam odpowiedź odmowną”. Ja miałem postanawiać o twoim losie, ja w dziewiętnastym roku życia. Gdyby to nie było tak ohydne, mogłoby być zabawne.

- Dość! - Montanelli z okrzykiem rozpacz oburącz chwycił się za głowę. Po chwili opuścił ręce i powoli podszedł do okna. Tu usiadł na parapecie, jednym

⁵⁷ Szibolet - autorka nawiązuje tu do opowieści biblijnej, według której po wymowie słowa „szibolet” (po hebrajsku: kłos, strumień) Gileadyjczycy rozpoznali swych wrogów - Efraimitów.

ramieniem wsparty o kratę, do której przycisnął czoło. Szerszeń leżąc wlepił w niego oczy, cały drżący. W tej chwili Montanelli wstał i zbliżył się do niego; usta miał szare jak popiół.

- Bardzo mi przykro - rzekł, rozpaczliwie usiłując zachować zwykły spokój - ale muszę odejść. Ja... jest mi słabo...

Dygotał jak w febrze. Cała wściekłość Szerszenia ulotniła się w okamgnieniu.

- Ojczy, czyż nie widzisz...

Montanelli cofnął się i znieruchomiał.

- Tylko nie to! - szepnął nareszcie. - Wielki Boże, wszystko, lecz nie to! Jeśli tracę zmysły...

Szerszeń podniósł się na jednym ramieniu i ujął jego drżące ręce.

- Ojczy, czy nie możesz pojąć, że ja nie utonąłem? - Ręce, które trzymał w swym uścisku, stały się nagle lodowate i martwe. Przez chwilę panowała cisza, po czym Montanelli ukląkł kryjąc twarz na piersi Szerszenia.

Gdy podniósł głowę, słońce już zaszło, a czerwone blaski konały na zachodzie. Zapomnieli o miejscu i czasie, o życiu i śmierci, zapomnieli nawet o tym, że byli nieprzyjaciółmi.

- Arturze - szepnął Montanelli - czy ty jesteś naprawdę? Wróciłeś do mnie od umarłych?

- Od umarłych... - powtórzył Szerszeń wzdrygając się. Leżał cicho, złożony rękę na ramieniu Montanellego jak chore dziecko tulące się do matki.

- Wróciłeś... wróciłeś nareszcie!

Z piersi Szerszenia wydobyło się głębokie westchnienie

- Tak - rzekł - a ty masz ze mną walczyć lub mnie zabić.

- Och, cicho, *carino!* Czym jest teraz to wszystko? Byliśmy jak dwoje dzieci zabłąkanych wśród ciemności i biorących się wzajemnie za widma. Teraz odnaleźliśmy się i wychodzimy na światło. Mój biedny chłopczy, jak ty się zmieniłeś! Wyglądasz, jakby ocean ludzkiej nędzy przepłynął nad twoją głową, ty, który byłeś tak pełen radości życia! Arturze, czy to ty naprawdę? Tak często śniłem, że wróciłeś do mnie, a potem budziłem się i widziałem tylko straszliwy mrok ziejący z martwej pustki. Skąd mogę wiedzieć, że i teraz się nie zbudzę, by ujrzeć, że wszystko to jest snem tylko? Daj mi jakiś dowód namacalny, powiedz, jak się to wszystko stało.

- W sposób dość prosty. Ukryłem się na okręcie towarowym i jako bezpłatny pasażer dojechałem do Ameryki Południowej.

- A tam?

- Tam... żyłem, jeśli to można nazwać życiem, dopóki... Och, poznałem jeszcze inne rzeczy prócz seminariów teologicznych, od czasu jak przestałeś mi wykładać filozofię! Powiadasz, że śniłeś o mnie... tak, a ja o tobie...

Urwał wzdrygając się gwałtownie.

- Raz - zaczął znów głosem urywanym - pracowałem w kopalniach Ekwadoru...

- Przecież nie jako górnik?

- Nie, jako pomocnik górników - jako popychadło, na równi z kulisami. Mieliśmy barak do spania u wniścicia do kopalń i pewnej nocy... byłem chory, tak samo jak w ostatnich dniach, i nosząc kamienie w słonecznym żarze... musiałem mieć gorączkę, bo nagle ujrzałem ciebie przechodzącego koło bramy. Trzymałeś w ręku krucyfiks podobny do tego na ścianie. Modliłeś się i przeszedłeś mimo mnie, nie odwróciwszy głowy. Krzyknąłem, byś mi pomógł... dał trucizny lub noża... cokolwiek, by tylko skończyć, zanim oszaleję. A ty... ach!

Jedną ręką zakrył sobie oczy. Drugą Montanelli ciągle jeszcze trzymał w uścisku.

- Widziałem z twej twarzy, że słyszałeś me wołanie, ale poszedłeś dalej, odmawiając modlitwy. Gdy skończyłeś i ucałowałeś krucyfiks, odwróciłeś się i szepnąłeś: „Bardzo mi cię żał, Arturze, ale nie śmiem tego okazać, by nie obrazić Jego”. A ja spojrzałem na drewnianą figurę i zobaczyłem, że się śmieje. A gdy odzyskałem przytomność i ujrzałem barak i trędowatych kulisów, zrozumiałem wszystko. Zrozumiałem, że więcej ci zależy na względach tego twojego, wrogiego mi Boga niż na wyrwaniu mnie z otchłani piekła.

I zapamiętałem sobie dobrze. Zapomniałem o tym na chwilę teraz właśnie, gdy mnie dotknąłeś; byłem... ciężko chory i kochałem cię kiedyś. Ale między nami nie może być nic, tylko wojna, wojna i jeszcze raz wojna. Czemu mnie trzymasz za rękę? Czyż nie widzisz, że dopóki wierzysz w tego swojego Chrystusa, nie możemy być dla siebie niczym innym, tylko wrogami?

Montanelli pochylił głowę i ucałował okaleczoną rękę.

- Arturze, jakże mogę przestać wierzyć w Niego? Jeśli zachowałem wiarę przez wszystkie te straszne lata, to czyż mogę zwątpić o Nim teraz, teraz, gdy mi oddaje ciebie? Zważ tylko: przecież ja myślałem, że cię zabiłem.

- To dopiero uczynisz.

- Arturze! - Był to krzyk grozy, lecz Szerszeń mówił dalej, nie zwracając uwagi:

- Cokolwiek się stanie, bądźmy szczerzy, a nie połowiczni. Ty i ja stoimy po dwóch stronach otchłani i na nic nie przyda się wyciągać do siebie dłoni ponad przepaścią. Jeśli wiesz, że nie możesz czy nie chcesz wyrzec się ot, Tego - rzucił spojrzenie na wizerunek Chrystusa na ścianie - to musisz się zgodzić na to, co pułkownik...

- Zgodzić się! Wielki Boże... zgodzić się... Arturze, przecież ja cię kocham!

Twarz Szerszenia ściągnęła się straszliwie.

- Kogo kochasz bardziej, mnie czy... Tego?

Montanelli powoli podniósł się z krzesła. Dusza zamierała w nim z trwogi i fizycznie zdawał się jakby zapadać w sobie, słabnąć, starzeć się i kurczyć jak liść zwarzony mrozem. Zbudził się ze snu, a mrok złowieszczy ział wokół niego wśród martwej pustki.

- Arturze, miej nade mną trochę litości.

- A czy ty ją miałeś nade mną, gdy kłamstwem swym wypędziłeś mnie między Murzynów, bym był ich niewolnikiem na plantacjach cukru? Wzdrygasz się... och, ci święci o czułych sercach! Oto człowiek podług upodobania Boga - człowiek, który żałuje swych grzechów i żyje. Nikt nie umiera, tylko własny, jego syn. Powiadasz, że mnie kochasz... drogo zapłaciłem za tę twoją miłość! Czy sądzisz, że mogę wszystko wymazać i znów być Arturem za kilka łagodnych słów... ja, który szorowałem garnki w zgniłych lupanarach mieszaińców i byłem stajennym chłopakiem u kreolskich farmerów, bardziej zezwierzęconych niż ich bydło? Ja, który w czapce i w dzwoneczkach byłem błaznem w wędrownym cyrku kuglarzy... zwierzęciem jucznym, popychadłem matadorów na placu, gdzie odbywały się walki byków; ja, który byłem niewolnikiem każdego wyrzutka; ja, który zdychałem z głodu, opluwany i deptany nogami, który zebrałem o zgniłe ochłapy i nie dostawałem ich, bo psy miały przecież pierwszeństwo? Och, na co się zda mówić o tym wszystkim? Czyż zdołałbym ci powiedzieć, do czego mnie doprowadziłeś? A teraz... teraz mnie kochasz? Jakże więc mnie kochasz? Czy dość, by dla mnie wyrzec się swego Boga? Och, cóż On dla ciebie zrobił, ten wiecznotrwały Jezus, co On wycierpiał dla ciebie, byś Go miał więcej kochać niż mnie? Czy za przekłute ręce jest ci tak bardzo drogi? Spójrz na moje! Spójrz tu i tu, i tu!

Rozerwał koszulę obnażając straszliwe swe blizny.

- Ojcze, ten twój Bóg jest fałszem, Jego rany są udane, Jego cierpienia - farsą. To ja mam prawo do twego serca! Ojcze, nie ma tortury, której mi nie zadałeś; gdybyś mógł wiedzieć, czym było moje życie! A jednak nie chciałem umrzeć! Wszystko znosiłem nakazując swej duszy cierpliwość, bo chciałem wrócić, by walczyć z tym twoim Bogiem. Ten cel był mi tarczą obronną, on mnie uchronił od obłędu i powtórnej śmierci. A teraz oto wracam i ciągle jeszcze widzę Go na moim miejscu - tę rzekomą ofiarę, która była na krzyżu przez sześć godzin, zaiste! by następnie zmartwychwstać! Ojcze, ja byłem na krzyżu przez pięć lat i także zmartwychwstałem. Co teraz ze mną uczynisz?

Bezsilny opadł na pryczę. Montanelli siedział jak kamienna figura lub jak trup. Najpierw, pod naporem rozpaczliwego wybuchu Szerszenia, drżał lekko, wzdrygając się jak pod uderzeniami bicia; z wolna jednak znieruchomiał. Po długim milczeniu podniósł wzrok i głosem martwym, powolnym mówił:

- Arturze, czy nie wytłumaczysz się jaśniej? Wprawiasz mnie w takie pomieszenie i trwogę, że nie rozumiem twoich słów. Powiedz, czego ode mnie żądasz?

Szerszeń zwrócił ku niemu swą upiorną twarz.

- Nie żądam niczego. Któż by wymuszał miłość? Masz wolny wybór między nami dwoma: który z nas jest droższy. Jeśli Go kochasz bardziej, wybierz Jego.

- Nie rozumiem - bezdźwięcznie powtórzył Montanelli. - Jakże ja mogę wybierać? Nie mogę przecież cofnąć przeszłości.

- Masz wybrać między nami. Jeśli mnie kochasz, zdejmij ten krzyż z piersi i chodź ze mną. Przyjaciele moi przygotowują nową próbę uwolnienia mnie, a przy twojej pomocy dokonają tego z łatwością. A potem, gdy wydostaniemy się za granicę, uznaj mnie publicznie za syna. Jeśli mnie jednak nie kochasz dostatecznie, by to uczynić, jeśli ten drewniany bożek droższy ci jest niż ja, w takim razie... idź do pułkownika i powiedz mu, że się zgadzasz. A jeśli masz iść, to idź natychmiast i zaoszczędź mi bólu patrzenia na ciebie. I tak już mam dosyć.

Montanelli podniósł oczy drżąc całym ciałem. Zaczął rozumieć.

- Naturalnie, że się porozumiem z twymi przyjaciółmi. Ale pójść z tobą... to niepodobna... wszak jestem księdzem.

- A ja nie przyjmuję żadnych łask od księży. Ojcze, ja nie chcę już żadnych kompromisów! Dość ich już miałem i następstw z nich płynących. Musisz się wyrzec swego stanu duchownego lub mnie.

- Jak mogę się wyrzec ciebie, Arturze? Jak mogę się wyrzec ciebie?

- Więc wyrzeknij się Jego. Masz wybrać między nami. Czy chciałbyś ofiarować część swej miłości mnie, a część temu nienawistnemu Bogu? Ja nie chcę resztek po Nim. Jeśli należysz do Niego, nie należysz do mnie.

- Czy chcesz mi złamać serce? Arturze! Arturze! Chcesz mnie doprowadzić do obłądu?

Szerszeń ręką uderzył w ścianę.

- Masz wybrać między nami! - powtórzył raz jeszcze.

Montanelli wyjął z zanadru pudełeczko, w którym mieścił się kawałek zmiętego, zniszczonego papieru.

- Spójrz! - rzekł.

Wierzyłem w Ciebie jak w Boga. Bóg jest figurą ulepioną z gliny, którą mogę rozbić młotem, a Ty mnie mamilesz kłamstwem.

Szerszeń ze śmiechem oddał świstek papieru. - Jak r...rozkosznie młodym jest człowiek w dziewiętnastym roku życia! Wziąć młot i rozbić coś, jakie to się wydaje łatwe. A teraz... teraz ja jestem pod młotem. Co do ciebie, to dość chyba jest ludzi, których możesz nadal mieć swymi kłamstwami, a oni się nawet nie spostrzegą.

- Jak chcesz - rzekł Montanelli. - Być może, na twym miejscu byłbym równie bezsilny... Bóg wie, Arturze, nie mogę zrobić, czego żądasz, ale zrobię, co mogę. Ułatwię ci ucieczkę, a gdy będziesz już bezpieczny, postaram się o jakiś nieszczęśliwy wypadek w górach lub przez pomyłkę zażyję jakiś niby środek nasenny, jak wolisz. Czy cię to zadowoli? Więcej zrobić nie mogę. To wielki grzech, ale sądzę, że On mi wybaczy. On litościwszy niż...

Szerszeń gwałtownym ruchem wyciągnął przed siebie obie ręce.

Och, tego za wiele! Tego już za wiele! Co ja uczyniłem, byś o mnie myślał w ten sposób? Jakie masz prawo... Alboż ja się chcę mścić na tobie! Czyż nie widzisz, że pragnę cię tylko ratować? Czyż nigdy nie zrozumiesz, że cię kocham?

Chwycił ręce Montanellego okrywając je gorącymi pocałunkami i łzami.

- Ojczy, odejdz z nami! Co tu masz do czynienia w tym martwym świecie księży i bożków? Pełno na nich kurzu minionych wieków, przegniłe są, tchną zarazą i zgnilizną! Wyjdz z tego dzumą dotkniętego Kościoła, chodź z nami na światło! Ojczy, to my jesteśmy młodością i życiem, my wiosną wiecznotrwałą, my przyszłością! Ojczy! jutrenka nasza się zbliża, czy nie chcesz być przy wschodzie słońka! Zbudź się ze snu i pozwól nam zapomnieć o strasznej zmorze - zbudź się, a zaczniemy życie od nowa!

Ojcie, ja cię zawsze kochałem... zawsze, nawet wtedy, gdy mnie zabiłeś... czy chcesz mnie zabić ponownie?.

Montanelli wyrwał ręce z jego uścisku. - O Boże, miej litość nade mną! - krzyknął. - Masz oczy swojej matki!

Milczenie, długie, głębokie i nagłe objęło obydwu. W szarym zmierzchu wpatrywali się w siebie nawzajem, a serca ich zamartwiały były od trwogi.

- Czyż masz mi jeszcze co do powiedzenia? - szepnął Montanelli. - Daj mi trochę nadziei.

- Nie. Życie moje nie ma innego celu prócz zwalczania księży. Ja nie jestem człowiekiem, jestem nożem. Jeśli zostawisz mnie przy życiu, usankcjonujesz noże.

Montanelli zwrócił się do figury Ukrzyżowanego. - Boże! Boże, usłysz!

Głos jego skonał w martwej ciszy. Szatańska drwina zabrzmiała znów w głosie Szerszenia.

- Wołaj większym głosem! bo może śpi...

Montanelli zerwał się jak pod uderzeniem obucha. Przez chwilę stał nieruchomy, patrząc przed siebie, po czym usiadł na brzegu pryczy, zakrył twarz dłońmi i wybuchnął łkaniem. Silny dreszcz wstrząsnął Szerszeniem do stóp do głowy, a ciało jego okryło się zimnym potem. Wiedział, co łzy te znaczą.

Naciągnął koc na głowę, by nie słyszeć. Dość chyba, że musi umrzeć, on, wspaniałe, dumne uosobienie życia. Nie mógł jednak uciec przed tym łkaniem; brzmiało mu w uszach, dzwoniło w skroniach, pulsowało w całym ciele. A Montanelli ciągle jeszcze łkał i łkał, a łzy spływały mu wzdłuż palców.

Na koniec przestał łkać i osuszył oczy chusteczką, jak splakane dziecko. Gdy wstał, chustka osunęła mu się z kolan na podłogę.

- Na nic się nie przyda dalsza rozmowa - rzekł. - Rozumiesz?

- Rozumiem - odparł Szerszeń z głuchą uległością. - To nie twoja wina. Twój Bóg jest głodny, trzeba Go nasycić.

Montanelli zwrócił się ku niemu. Grób, który miano kopać, nie był bardziej cichy niż oni. W milczeniu patrzyli sobie wzajem w oczy, tak jak para kochanków patrzy przez barierę, która ich rozdziela.

Szerszeń pierwszy spuścił wzrok. Skurczył się i ukrył twarz, a Montanelli zrozumiał ten ruch, mówiący: „Odejdź!”. Odwrócił się i wyszedł z celi. W chwilę później Szerszeń się zerwał.

- Och, nie zniosę tego! Ojczy, wracaj! Wracaj!

Drzwi były zamknięte. Z wolna spojrział dokoła cichą, rozszerzoną źrenicą i zrozumiał, że wszystko skończone. Galilejczyk zwyciężył. Przez całą noc trawa falowała łagodnie na podwórku - trawa, która wkrótce zwiędnąć miała, podcięta łopata; i całą noc Szerszeń leżał sam w ciemności i łkał.

ROZDZIAŁ VII

We wtorek rano zebrał się sąd wojenny. Wszystko odbyło się w sposób bardzo prosty i szybki; zwykła formalność trwająca niespełna dwadzieścia minut. Istotnie nie było nad czym tracić czasu, obrona była niedozwolona, a jedynymi świadkami byli: raniony szpieg, oficer i kilku żołnierzy. Wyrok wydano z góry; Montanelli nadesłał żądane przyzwolenie, a sędziowie, pułkownik Ferrari, miejscowy major dragonów i dwaj oficerowie straży szwajcarskiej niewiele już mieli do czynienia.

Odczytano głośno oskarżenie, świadkowie złożyli świadectwo, wyrok zaopatrzone podpisami, po czym z należyтым patosem odczytano go skazanemu. Wysłuchał w milczeniu: zapytany zgodnie z przyjętym zwyczajem, czy ma co do powiedzenia, zaprzeczył niecierpliwym ruchem ręki. Na piersi jego spoczywała chustka, która Montanellemu wypadła z ręki. Przez całą noc okrywał ją pocałunkami i łzami niby żywą jakąś istotę. Twarz miał teraz martwą i zastygłą, a koło powiek widoczne jeszcze były ślady łez, jednakże słowo „rozstrzelać” niewiele zdało się go obchodzić. Na dźwięk tego słowa źrenice rozszerzyły się trochę, nic więcej.

- Odprowadzić go do celi - rzekł gubernator po załatwieniu formalności, a sierżant, bliski płaczu, dotknął ramienia nieruchomej postaci. Szerszeń drgnął z lekka.

- Ach tak - rzekł. - Zapomniałem.

Na twarzy gubernatora pojawiło się coś w rodzaju współczucia. Z natury nie był to człowiek okrutny i w głębi duszy wstyd mu było po trosze roli, jaką odegrał w ciągu ostatniego miesiąca. Teraz, dopiąwszy głównego celu, skłonny był do drobnych ustępstw.

- Nie potrzeba mu nakładać kajdan - rzekł patrząc na poranione i nabrzmiałe ręce. - I można go zostawić w jego celi. Cella skazańców jest strasznie ciemna i ponura

- dodał zwracając się do swego siostrzeńca - a w rzeczywistości jest to tylko prosta formalność.

Chrzakał i suwał nogami w widocznym zakłopotaniu, po czym odwołał sierżanta wychodzącego z więzieniem.

- Zaczekajcie, mam mu coś do powiedzenia.

Szerszeń się nie poruszył, jakby nie słyszał słów gubernatora.

- Może pan ma jakie zlecenie do przyjaciół lub krewnych... Zapewne ma pan krewnych?

Nie było odpowiedzi.

- Proszę sobie przypomnieć i powiedzieć mnie albo księdzu. Przypilnuję, by prośbę pana spełniono. Najlepiej proszę ją wyjawić księdzu. Przyjdzie zaraz do celi i spędzi noc przy panu. Gdyby pan miał jakieś inne życzenie...

Szerszeń podniósł oczy.

- Proszę powiedzieć księdzu, że chcę być sam. Nie mam przyjaciół ani zleceń.

- Ale się pan zechce wyspowiadać.

- Jestem ateistą. Nie potrzebuję niczego, tylko by mnie zostawiono w spokoju.

Powiedział to głosem spokojnym, w którym nie było ni gniewu, ni wyzwania, i powoli się odwrócił. W drzwiach jednak przystanął.

- Zapomniałem, pułkowniku, chcę jednak prosić o łaskę. Proszę mnie jutro nie wiązać i nie zasłaniać mi oczu. Będę stał spokojnie.

W środę o wschodzie słońca wyprowadzono go na podwórze. Kulał bardziej niż zwykle i szedł z widocznym trudem, ciężko opierając się na ramieniu sierżanta, lecz cała uległość i znużenie zniknęły z jego twarzy. Lęk upiorny ciężący nad nim w martwej ciszy, widziadła i sny ze świata cieni minęły wraz z nocą, która je zrodziła; widok słońca i nieprzyjaciół, rozbudzających w nim ducha oporu, rozproszył wszelką trwogę.

Sześciu żołnierzy, którym poruczono wykonanie wyroku, ustawiło się rzędem wzdłuż muru oplecionego bluszczem; był to ten sam kruszący się walący mur, po którym się spuścił w noc nieudanej ucieczki. Stojąc obok siebie z karabinami w ręku, z trudem tylko powstrzymywali łzy. Grozę nieopisaną budziła w nich myśl, że oni właśnie mieli zabić Szerszenia. On i jego gryzące odpowiedzi, jego nie milknący śmiech i wspaniała, zachwycająca odwaga rozjaśniły ich posępne, jałowe życie, niby

przelotny promień słońca; myśl, że on ma umrzeć, i to z ich rąk, była dla nich niejako zaćmieniem światła niebieskich.

Pod wielkim drzewem figowym w podwórzu czekał gotowy grób. Wykopały go w nocy ręce niechętne i łzy spadały na rydel. Przechodząc uśmiechnął się na widok czarnej jamy i wędnącej obok trawy i głęboko odetchnął wciągając woń świeżo rozkopanej ziemi.

W pobliżu drzewa sierżant przystanął, a Szerszeń spojrział wokół z najpogodniejszym swym uśmiechem.

- Czy tu mam stanąć, sierżancie?

Żołnierz skinął głową w milczeniu: gardło miał tak zaciśnięte, że nie zdołał wykrztusić słowa. Gubernator, jego siostrzeniec, oficer karabinierów mający komenderować, lekarz i ksiądz byli już w podwórzu i zbliżyli się teraz z minami poważnymi, nieco zmieszani wyzywającą wesołością śmiejących się oczu Szerszenia.

- Dz...dzień dobry panom! Ach, i jego wielbność wstał tak wcześnie! Jak się pan miewa, kapitanie? Teraz panu przyjemniej spotkać się ze mną niż pierwszy raz, prawda? I dotąd jeszcze ręka obandażowana? Widać, że po partacku się spisałem. Ci poczciwi strzelcy lepiej się sprawią - nieprawdaż, chłopcy?

Powiódł spojrzeniem po ponurych twarzach żołnierzy.

- Tym razem bandażę będą zbyteczne. No, no, nie potrzebujecie patrzeć tak żałośnie! Noga do nogi i pokażcie, jak celnie umiecie strzelać. Niezadługo będziecie mieć więcej do roboty, niż podolacie zrobić, a nie masz to jak ćwiczenie.

- Mój synu - przerwał ksiądz zbliżając się do niego, gdy tamci dwaj cofnęli się, by ich zostawić samych - mój synu, za kilka minut staniesz przed obliczem swego Stwórcy. Czy nie możesz inaczej zużytkować tych kilku chwil, jakie ci pozostają na skruchę? Błagam cię, pomyśl, jak straszną jest rzeczą umrzeć bez rozgrzeszenia, z wszystkimi grzechami na duszy. Gdy staniesz przed swym Sędzią, za późno będzie żałować. Czy chcesz zbliżyć się do straszliwego Jego tronu z żartem na ustach?

- Z żartem?... Sądzę, że to waszej wielbności potrzebne byłoby małe kazanie. Gdy kolej przyjdzie na nas, użyjemy armat zamiast pół tuzina martwych karabinów, a wtedy zobaczycie, jak potrafimy żartować.

- Wy użyjecie armat? Och, nieszczęsny człowieku! Więc jeszcze sobie nie uświadomiłeś, nad jaką okropną stoisz przepaścią?

Szerszeń poprzez ramię rzucił spojrzenie na otwarty grób.

- W...więc wasza wielbność sądzi, że złożywszy mnie Tam już się mnie pozbędziecie? Może jeszcze przywalicie ciężkim kamieniem, by za...zapobiec z...zmartwychwstaniu „po trzech dniach”? Niech wasza wielbność będzie spokojny! Nie odbiorę wam monopolu na tanie efekty. Będę leżał cicho jak mysz, gdzie mnie położycie. A jednak użyjemy armat.

- Boże litościwy! - krzyknął ksiądz. - Wybacz temu nieszczęsnemu człowiekowi!

- Amen! - mruknął oficer głębokim basem, a pułkownik i siostrzeniec zbożnie się przeżegnali.

Widząc, że wszystkie nalegania na nic się nie zdadzą, ksiądz wyrzekł się dalszych bezowocnych prób i zawrócił potrząsając głową i mamrocząc modlitwy. Przystąpiono więc do prostych i krótkich przygotowań, a Szerszeń ustawił się w żądanej pozycji na chwilę tylko odwróciwszy głowę, by spojrzeć na czerwono-złoty przepych wschodzącego słońca. Powtórzył prośbę, by mu nie zasłaniano oczu, a jego wyzywająca twarz wymusiła, jakkolwiek niechętnie, przyzwolenie gubernatora. Obaj zapomnieli, na co narażają żołnierzy.

Stał naprzeciw nich uśmiechając się, a im karabiny dygotały w rękach.

- Jestem gotów - rzekł.

Oficer postąpił krok naprzód, lekko drżąc ze wzruszenia. Nigdy jeszcze nie komenderował przy egzekucji.

- Gotów - pal!

Szerszeń zachwiał się lekko, lecz zaraz odzyskał równowagę. Niepewny strzał drasnął mu policzek i trochę krwi spłynęło na białą koszulę. Druga kula drasnęła go powyżej kolana. Gdy dym się rozwiął, żołnierze ujrzeli jego uśmiechniętą twarz, z której okaleczałą ręką wycierał krew.

- Kiepski strzał, chłopcy! - krzyknął i jasnym, wyraźnym głosem, w osłupienie wprawiając nieszczęsnych żołnierzy, dodał: - Spróbujcie jeszcze raz.

Zbiorowy pomruk i dreszcz grozy w szeregu karabinierów. Każdy z nich celował w bok, z tajemną nadzieją, że strzał śmiertelny padnie z ręki sąsiada, nie jego; i oto Szerszeń stoi uśmiechając się do nich...

Egzekucję przemienili tylko w rzeź i trzeba było rozpocząć na nowo. Ogarnął ich nagły lęk i opuściwszy karabiny, w beznadziejnej martwocie słuchali wściekłych przekleństw oficerów, z tępym przerażeniem wpatrzeni w człowieka, którego zabili, a który jednak żył.

Gubernator wygrażał im pięściami pod samym nosem, krzycząc przeraźliwie, by stanęli w szeregu, wycelowali i co prędzej położyli temu koniec. Był tak samo wytrącony z równowagi jak i oni i nie śmiał spojrzeć na straszną postać, która stała, stała i nie chciała paść. Na dźwięk szyderczego głosu Szerszenia, zwracającego się w tej chwili do niego, drgnął cały.

- Niezręczny wyprowadziłeś dziś oddział, pułkowniku! No, pozwól, może ja sobie dam z nimi radę. Dalej chłopcy! Broń wyżej, ty z lewej strony. U licha, człowieku, toż karabin trzymasz jak patelnię! Wszyscy w ordynku? A zatem! Gotów...

- Pal! - przerwał pułkownik rzucając się naprzód. - Toż to niemożliwe, by ten człowiek wydawał rozkaz na siebie samego!

Znów pomieszana, bezładna strzelanina, po czym szereg rozbił się na splot drżących postaci, patrzących przed siebie obłąkanym wzrokiem. Jeden z żołnierzy wcale nie strzelił; odrzucił karabin i przycupnął jęcząc z cicha: - Nie mogę... nie mogę!

Dym rozwiewał się z wolna, stapiając się z rannym brzaskiem słońca. Ujrzeni nareszcie, że Szerszeń padł; lecz równocześnie ujrzeni, że żyje. W pierwszej chwili żołnierze i oficerowie stali jak skamieniali, wpatrzeni w postać wijącą się drgającą na ziemi, po czym lekarz i pułkownik rzucili się naprzód z okrzykiem, gdyż przyklął na jedno kolano i spojrzał na żołnierzy wciąż jeszcze się śmiejąc.

- Znów chybione! Spróbujcie... jeszcze, chłopcy... widzicie... czy nie możecie...

Nagle zachwiał się i padł na trawę.

- Martwy? - zdławionym głosem spytał pułkownik, a doktor przyklęknawszy położył rękę na skrwawionej koszuli i cicho odparł:

- Zdaje się... Bogu dzięki.

- Bogu dzięki! - powtórzył pułkownik. - Nareszcie!

Siostrzeniec dotknął jego ramienia:

- Wuju! Kardynał! Stoi u bramy i chce wejść.

- Co? Nie może tu wejść... ja nie chcę! Gdzie strażę! Eminencjo...

Brama rozwarła się i zamknęła, a Montanelli stał w podwórzu patrząc przed siebie spokojnymi, strasznymi oczyma.

- Eminencjo! Muszę prosić... to nie jest widok dla waszej eminencji! W tej chwili spełniono wyrok; ciało jeszcze...

- Przyszedłem spojrzeć na niego - rzeki Montanelli. Nawet w tej chwili pułkownik zauważył, że wygląda i zachowuje się jak lunatyk.

- Och, Boże! - krzyknął nagle jeden z żołnierzy, a gubernator obejrzał się szybko. Istotnie...

Krwawa masa na trawie znów zaczęła się wić i jęczeć. Doktor rzucił się ku niej i uniósł głowę, opierając ją na kolanie.

- Szybko! - krzyknął rozpaczliwie. - Bestie, kończcież nareszcie! Na miłość Boga! To ponad siły!

Wielkie skrzepy krwi spływały mu po rękach, a konwulsyjne drgawki postaci, którą trzymał w swych ramionach, i nim wstrząsnęły od stóp do głowy. Gdy obłądnym wzrokiem rozglądał się za pomocą, ksiądz pochylił się nad nim i do ust konającego zbliżył krucyfiks.

- W imię Ojca i Syna...

Szerszeń uniósł się nieco na kolanach doktora i szeroko rozwartą źrenicą spojrział na krucyfiks.

Powoli, wśród mrozącej krew w żyłach ciszy, podniósł złamaną prawą rękę i odsunął wizerunek Chrystusa. Została na nim czerwona smuga krwi.

- Ojcie... czy twój... Bóg... nasycony?

Głowa opadła na ramię doktora.

- Eminencjo!

Widząc, że nie budzi się z odrętwienia, pułkownik Ferrari powtórzył głośniejsz:

- Eminencjo!

Montanelli podniósł oczy.

- Nie żyje!

- Nie żyje. Może eminencja odejdzie? Straszny widok.

- Nie żyje - powtórzył Montanelli, znów wlepiając oczy w twarz zmarłego. - Dotknąłem go, a on nie żyje.

- A czegoż on chce od człowieka, któremu wpakowano z pół tuzina kul? - wzgardliwie szepnął oficer, a doktor odszepnął: - Widok krwi wytrącił go z równowagi.

Gubernator dotknął mocno ramienia kardynała.

- Eminencjo, lepiej już nie patrzeć. Czy kapelan może odprowadzić eminencję do domu?

- Tak... pójdę.

Powoli odwrócił się od miejsca przesiąkniętego krwią, a kapelan i sierżant poszli za nim. U bramy przystanął, obejrzał się i z upiornym, cichym zdumieniem powtórzył:

- Nie żyje.

W parę godzin później Marko dążył ku domowi na wzgórzu, by powiedzieć Martiniemu, że nie ma już potrzeby narażać swego życia.

Wszystko było przygotowane do powtórnej ucieczki, która tym razem odbyć się miała dużo prościej. Postanowiono, że następnego dnia, w święto Bożego Ciała, podczas pochodu procesji wzdłuż wzgórza fortecznego, Martini przedrze się przez tłum, wydobędzie pistolet i strzeli gubernatorowi prosto w twarz. W chwili ogólnego zamieszania, które nastąpi po tym zamachu, dwudziestu ludzi zbrojnych rzuci się nagle ku bramie twierdzy, wtargnie do wieży i zabrawszy przemocą klucze wejdzie do celi więźnia, którego uniosą z sobą, zabijając lub obezwładniając każdego, kto im zechce stawiać opór.

Następnie cofną się, walcząc i kryjąc odwrót drugiego oddziału zbrojnych przemytników na koniach, którzy uwiozą Szerszenia do bezpiecznej kryjówki w górach. Jediną osobą z całej grupki, nie wtajemniczoną w ów plan, była Gemma - na wyraźne życzenie Martiniego.

- Dość jeszcze będzie miała czasu trafić się z tego powodu - powiedział.

Gdy przemytnik ukazał się w ogrodzie, Martini otworzył szklane drzwi i wyszedł naprzeciw na werandę.

- Jakie wieści, Marku? Ach!...

Przemytnik zsunął z czoła kapelusz o szerokich kresach. Usiedli na werandzie nie zamieniwszy ani jednego słowa. Skoro tylko zobaczył twarz Marka, Martini zrozumiał.

- Kiedy to się stało? - spytał po długiej chwili milczenia, własny głos wydał mu się tak samo głuchy i nudny jak wszystko na świecie.

- Dziś o wschodzie słońca. Powiedział mi sierżant. Był obecny i widział.

Martini siedział ze spuszczonej oczyma, wysnuwając z rękawa luźną nić.

Marność nad marnościami i to jest marność. Miał umrzeć jutro. I oto kraina jego pragnień zniknęła jak bajeczna kraina złotych snów, rojnych w chwili zachodu słońca, pierzchła z nadejściem mroku, a on z powrotem wciągnięty został w świat powszedniości: w świat Grassinich i Gallich, szyfrowania i pamfletów, partyjnych

niesnasek i jałowych intryg między szpiegami austriackimi - w stary, męczący młyn rewolucyjny.

A gdzieś na samym dnie świadomości wielka pustka, pustka, której już nigdy nic i nikt wypełnić nie zdoła, skoro Szerszeń nie żyje.

Ktoś go o coś pytał. Podniósł głowę zdumiony, że w ogóle istnieje jeszcze coś, o czym warto by mówić.

- Co mówicie?

- Powiedziałem, że wy ją chyba zawiadomicie.

Życie i cała groza życia pojawiły się znów na twarzy Martiniego.

- Ja jej to mam powiedzieć? - wykrzyknął. - Tak samo moglibyście żądać, bym jej nóż wbił w piersi. Och, jakże ja jej mogę powiedzieć... jak mogę?

Obie ręce splótł na oczach; nie widząc poczuł jednak, że przemytnik siedzący obok niego nagle drgnął. Odjął ręce od oczu i spojrzał. W drzwiach stała Gemma.

- Cezarze, słyszałeś? - rzekła. - Już po wszystkim. Rozstrzelany.

ROZDZIAŁ VIII

Introibo ad altare Dei. Montanelli stał u wielkiego ołtarza otoczony duchowieństwem i służbą kościelną i wyraźnym głosem odczytywał mszę. Cała katedra była jedną łuną światła i barw; od odświętnych strojów bractw do filarów przybranych płomiennymi draperiami i kwietnymi girlandami nie było ani jednej posępnej plamy w całym kościele. U drzwi wejściowych wisiały szkarłatne kotary, a w ich fałdach gorzało słońce czerwcowe, prześwietlając je niby ptaki czerwonych maków wśród łanu zboża. Bractwa zakonne ze świecami i pochodniami i grupy parafian z krzyżami i chorągwiami skupiły się w mrocznych kaplicach; w bocznych nawach chylił się las jedwabnych chorągwi procesjonalnych, błyszcząc złożonymi drzewcami i kutasami pod sklepieniem łukowym. Komeżki chórzystów mieniły się tęczowymi barwami w refleksach różnokolorowych witraży; słońce zalewało prezbiterium rzucając migotliwe plamy, pomarańczowe, purpurowe i zielone. Za ołtarzem wisiała lśniąca zasłona ze srebrnej tkaniny, a na tle tej zasłony i dekoracji, i światła płonących widniała postać kardynała w powłóczystych, białych szatach niby marmurowy posąg, w który tchnięto życie.

Jak zwykle w dniu procesjonalne miał tylko przewodniczyć, lecz nie odprawiać nabożeństwa, toteż po skończonych *Indulgentiam* zstąpił ze stopni ołtarza i powoli skierował się ku tronowi biskupiemu wśród głębokich pokłonów duchowieństwa i zgromadzonej rzeszy.

- Boję się, czy eminencja nie jest chory - szepnął jeden z kanoników do swego sąsiada - tak jakoś dziwnie wygląda...

Montanelli pochylił głowę, by mu włożono mitrę lśniąca klejnotami. Kapłan sprawujący honorową godność diakona, wkładając mu ją i spojrzawszy przelotnie na jego twarz, pochylił się i szepnął:

- Czy wasza eminencja nie chory?

Montanelli z lekka odwrócił głowę. Oczy jego były nieprzytomne.

- Wasza eminencja wybaczy! - szepnął ksiądz zginając kolana, po czym cofnął się na swoje miejsce wyrzucając sobie, że przerwał zbożne kontemplacje kardynała.

Ceremoniał odprawiono jak zwykle; Montanelli siedział wyprostowany i spokojny, w błyszczącej mitrze i w szatach ze złocistego brokatu, migocących w słońcu, a ciężkie fałdy białego płaszcza spływały aż na czerwony kobierzec. Światło setek świec załamywało się w szafirach zdobiących jego pierś i opromieniało głębokie, ciche oczy, nie zapalając w nich żadnego blasku; a gdy na słowa: *Benedicte, pater eminentissime* przechylił się, by pobłogosławić kadzidło, wyglądał raczej na jakiegoś wspaniałego a straszliwego ducha gór lodowych, uwieńczonego tęczami i odzianego w śniegi, z wyciągniętymi rękoma zlewającego błogosławieństwa lub przekleństwa.

Przy podniesieniu monstrancji zszedł z tronu i ukląkł przed ołtarzem. Wszystkie jego ruchy były dziwnie spokojne i miarowe, a gdy powstał i znów wracał na swe miejsce, major dragonów, siedzący w galowym uniformie za gubernatorem, szepnął rannemu kapitanowi:

- Stary kardynał goni resztkami, to widoczne. Spełnia swe obowiązki jak automat.

- Tym lepiej! - szepnął kapitan. - Jest nam tylko kulą u nogi od czasu tej przeklętej amnestii.

- Ostatecznie zgodził się jednak na sąd polowy.

- Tak, na koniec, ale długo się nad tym namyślał. Wielkie nieba, jak strasznie parno! Chyba dostaniemy wszyscy udaru słonecznego podczas procesji. Szkoda, że nie jesteśmy kardynałami, by niesiono nad nami baldachim... Pst! Wujek na nas patrzy.

Pułkownik Ferrari spojrział surowo na obydwu młodych oficerów. Po wczorajszym zajściu był w usposobieniu nabożnym i surowym; zarzucał im też brak należytego odczucia sprawy będącej w jego oczach „przykrą koniecznością”.

Mistrzowie ceremonii zaczęli się gromadzić i ustawiać tych, co mieli wziąć udział w procesji.

Pułkownik Ferrari wstał i posunął się naprzód, skinąwszy na obydwu oficerów, by się doń zbliżyli. Po ukończonej mszy i umieszczeniu hostii za kryształową tarczą monstrancji, celebrant i posługujący mu księży cofnęli się do zakrystii, by tam zmienić szaty, a w kościele dał się słyszeć lekki szmer rozmowy. Montanelli pozostał na swym tronie, patrząc prosto przed siebie, znieruchomiąły. Całe morze ludzkiego życia zdawało się przelewać wokół niego i zamierać u jego stóp w ciszę nieprzeniknioną. Przyniesiono mu kadzidło; ruchem automatu podniósł rękę i włożył je do kadzielnicy nie patrząc ni na prawo, ni na lewo.

Księża wrócili z zakrystii i czekali, kiedy zejdzie z tronu. On jednak siedział wciąż bez ruchu. Honorowy diakon, pochyliwszy się, by zdjąć z jego głowę mitrę, szepnął z pewnym wahaniem:

- Eminencjo!

Kardynał się odwrócił.

- Co takiego?

- Obawiam się, by procesja nie utrudziła zbyt waszej eminencji. Słońce tak pali...

- Co mnie obchodzi słońce?

Montanelli powiedział to tonem chłodnym, miarowym, a ksiądz znów się zmieszał, czy go nie uraził swą uwagą.

- Wasza eminencja raczy wybaczyć. Myślałem, że eminencja nie czuje się dobrze.

Montanelli wstał nie dając żadnej odpowiedzi. Przystanął na najwyższym stopniu swego tronu i spytał tym samym miarowym głosem:

- Co to?

Długi tren jego płaszcza spływał ze schodów na podłogę, a na białej jego tkaninie zamigotała nagle ognista plama.

- Tylko refleks słońca załamany w kolorowych witrażach, eminencjo.

- Refleks słońca? Taki czerwony...

Zstąpił ze schodów i ukląkł przed ołtarzem potrząsając kadzielnicą to w tę, to w ową stronę. Gdy ją oddawał, migotliwy promień słońca padł na jego odkrytą głowę i rozszerzone, ku górze wzniesione oczy, zapalając szkarłatną lunę na białej zasłonie, którą nań zarzucali ministranci.

Z rąk diakona wziął monstrancję i wstał, a równocześnie chór i organy zagrzmiały hymnem tryumfalnym:

*Pange, lingua, gloriosi
Corporis mysterium,
Sanguinisque pretiosi
Quem in mundi pretium,
Fructus ventris generon
Rex effudit gentium.*

Rozpostarto nad nim jedwabny baldachim, a honorowi diakoni ustawili się obok niego po obu stronach, zsuwając długie fałdy jego płaszcza. Kościelni podjęli szatę spływającą na podłogę, a świeckie bractwa, rozpoczynające pochód, podwójnym szeregami wyruszyły z nawy trzymając w rękach płonące świece.

Stał ponad mmi przy ołtarzu, nieruchomy pod białym baldachimem, pewnymi rękoma wznosząc ku górze hostię i patrząc na przechodzących. Parami, trzymając świece, chorągwie i pochodnie, krzyże i wizerunki, zstępowali powoli ze stopni prezbiterium i sunęli wzdłuż szerokiej nawy, wśród ukwieconych filarów, by przez otwarte drzwi, strojne w szkarłatną kotarę, wypłynąć na oślepiającą jasność ulicy; a dźwięki ich śpiewów, rozplywając się w głośnym szmerze, tonęły w powodzi coraz to nowych głosów, gdyż z każdą chwilą zwiększał się nieskończony pochód i coraz to nowe kroki rozlegały się echem w nawie kościoła.

Bractwa miejscowe przesunęły się w białych szatach i zasłonach na twarzach; za nimi ruszyli bracia miłosierdzia, w czerni od stóp do głowy, z oczyma słabo błyszczącymi przez otwory w kapturach. Dalej mnisi w uroczystych szeregach; bracia jałmużnicy w posepnych habitach, z bosymi, opalonymi nogami, i biało odziani, poważni dominikanie. A oto władze świeckie; dragoni, karabinierzy i urzędnicy policji; gubernator, w galowym uniformie, w otoczeniu oficerów. Za mmi kroczył diakon z ogromnym krzyżem pomiędzy kościelnymi niosącymi płonące świece; a gdy odsunięto szkarłatne kotary, by im ułatwić przejście, Montanelli stojący pod

baldachimem ujrzał przelotnie część ulicy wysłanej kobiercami i zalanej słońcem, udekorowane domy i dzieci w bieli, rzucające róże. Och, róże! Jakie one czerwone!

Procesja posuwała się coraz dalej w ustawionym porządku: bractwo za bractwem, barwa za barwą. Długie, białe komże ustępowały miejsca bogatym strojom i barwnym ornatom. Teraz przesunął się ogromny, złoty krzyż wzniesiony wysoko ponad płonące świece; za nim kanonicy katedry w białych płaszczach. Przeszedł kapelan niosąc pastorał między dwiema pochodniami, następnie kościelni postąpili krok naprzód, potrząsając kadzielnicami w takt muzyki. Baldachim podniesiono wyżej, licząc kroki: raz, dwa, raz, dwa; i Montanelli wstąpił na drogę krzyżową.

Zszedł ze stopni i kroczył wzdłuż nawy; pod galerią, skąd huczały i grzmiały organy; pod odsuniętą zasłoną, tak czerwoną, tak strasznie czerwoną; wreszcie znalazł się na zalanej słońcem ulicy, gdzie leżały i więdły róże krwawoczerwone, zdeptane na czerwonym kobiercu stopami przechodniów. Na krótką chwilę procesja zatrzymuje się w drzwiach, gdyż świeccy urzędnicy ujmują drążki baldachimowi; po czym rusza dalej, a on z nią, ściskając w rękach monstrancję; wokół niego rozbrzmiewają i cichną głosy chórzystów, w takt poruszają się kadzielnice i słysząc miarowe stąpanie nieprzejrzanego pochodu.

*Verbum caro, panem verum
Verbum carnem efficit;
Sique sanguis Christi merum...*

Wszędzie krew, krew dookoła! Kobierzec rozpościera się przed nim niby krwawa rzeka, róże jak krew rozlane po kamieniach... O Boże! Zaliż Twa ziemia i niebiosy stały się czerwone? Ach, cóż to Ciebie obchodzi, Ty potężny Boże... Ty, którego usta zbryzgane są krwią!

*Tantum ergo Sacramentum,
Veneremur cernui.*

Poprzez kryształową tarczę spojrzął na hostię. Co to wycieka z opłatka... spływając na jego białą szatę? Co on to widzi ciekącego z podniesionej ręki?

Trawa w podwórzu była zdeptana i czerwona... całkiem czerwona... tyle tam było krwi. Spływała z policzka i z przebitej prawej ręki i gorącą czerwoną strugą buchała z boku. Nawet kosmyk włosów był w niej skąpany... włosów całkiem mokrych i przylepionych do czoła... ach, potem śmiertelnym wywołanym męką przedzgonną...

Głosy chórzystów wzbiły się tryumfalnie:

*Genilon, gemittoque,
Laus et jubilatio,
Salus, honor, virtus quoque,
Sit et benedicto*

Och, to już przechodzi miarę. Boże, co siedzisz na spiszowym tronie niebios i śmiejesz się krwawymi ustami, spoglądając na mękę i śmierć, zaliż Ci nie dosyć? Potrzebaż Ci jeszcze tego szyderstwa chwały i czci? Ciało Chrystusa rozdarte dla zbawienia ludzkości, krew Chrystusa przelana dla odkupienia grzechów; czyż nie dosyć?

„Ach, wołaj większym głosem! bo może śpi”

Czy śpisz naprawdę, drogie kochanie, i nie zbudzisz się już nigdy? Albo gród tak zazdrośnie strzeże swej ofiary, a czarna jama pod drzewem nie zwolni cię choćby na chwilę, serce mego serca...

Zza kryształowej tarczy odpowiadano, a krew ociekała przy tych słowach...

„Uczyniłeś wybór, a teraz go żałujesz? Zali życzenie twoje nie zostało spełnione? Spójrz na tych ludzi kroczących w świetle i odzianych w jedwab i złoto: dla nich złożono mnie w czarnej jamie. Spójrz na te dzieci rzucające kwiaty i słuchaj ich śpiewu, jaki jest słodki; dla nich usta me przegryza proch, a róże krwawią się od fontanny bijącej z mego serca. Spójrz na tych ludzi przyklękających, by wypić krew ociekającą z rąbka twej szaty. Dla nich została przelana, dla zaspokojenia ich szalonego pragnienia. Bo napisano: «Większej miłości nad tę żaden nie ma, jeno gdyby kto duszę swoją położył za przyjaciół swoje»”.

Och, Arturze, Arturze! Jest jeszcze miłość większa! Gdy kto oddaje życie swego najbardziej ukochanego, czy nie jest to miłość większa?

A zza tarczy znów odpowiadano:

„Kto jest twym najbardziej ukochanym? Zaprawdę, nie ja”.

A gdy on chciał przemówić, słowa zamarły mu w ustach, bo pieśni chórzystów przeleciały nad nimi jak wiatr północny nad lodowymi polami i zmroziły je w milczenie...

*Dedit fragilibus corporis ferculum,
Dedit et tristibus sanguinis poculum,*

Dicens: Accipite, quod trado vasculum

Ommes ex eo bibite.

Pijcie, chrześcijanie, pijcie ją wszyscy! Azali krew ta nie jest wasza? Dla was czerwona struga krwawi trawę, dla was żywe ciało poćwiartowane i rozdarte. Jedzcie je, kanibale, jedzcie je wszyscy! To wasza uczta i orgia wasza, to dzień waszej radości! Spieszcie się i przybywajcie na ucztę, przyłączcie się do procesji i chodźcie z nami; kobiety i dzieci, młodzi i starzy - chodźcie do podziału ciała! Chodźcie czerpać krew-wino i pijcie, póki czerwone; bierzcie, spożywajcie ciało...

O Boże! Twierdza! Ponura i czarna, o zmurszałych budynkach i ciemnych wieżach, pośrodku nagich wzgórz, patrzyła na procesję ciągnącą poniżej drogą pełną kurzu. Żelazna krata szczyrzyła swe kły nad czeluścią bramy; jak zwierzę przyczajony na górze, twierdza strzegła swej zdobyczy. A jednak, chociażby kły zacisnęły się najmocniej, zostaną wyłamane i skruszone, a grób w podwórzu odda swą ofiarę. Bo zastępy chrześcijańskie zbliżają się, zbliżają w tłumnej procesji na sakramentalną ucztę krwi, jak rzesza zgłodniałych szcurków pędzi do zbiorów, a ich hasłem: „Przynieś, przynieś” i nigdy nie rzekną: „Dosyć”.

„Albo się nie możesz nasycić? Dla tych ludzi poświęciłeś mnie; zniszczyłeś mnie, by oni mogli żyć; i patrz oto: każdy z nich drogą swoją pójdzie, a nie ustąpią ze ścieżek swoich”.

„Oto armia chrześcijan, wyznawców twego Boga; ...lud wielki a mocny... Przed obliczem Jego ogień pożerający, a za Nim płomień spalający, ta ziemia jest przed Nim jak ogród Edenu, ale po Nim będzie pustynią i nie uciecze nikt przed Nim”.

A jednak wracaj, wracaj do mnie, ukochany, żałuję bowiem swego wyboru! Wracaj, a wymkniemy się obaj i wypełniemy w jakiś mroczny, cichy grób, gdzie nas nie znajdzie chciwa armia; ułożymy się obaj, spleciemy uściskiem, i będziemy spać, spać, spać! A zgłodnieli chrześcijanie przejdą nad naszymi głowami w bezlitosnym świetle słońca; ich wycia o krew i ciało zaledwie dojdą do naszych uszu; i pójdą dalej swą drogą, a nas zostawią w spokoju.

A ono znów odpowiada:

„Gdzież mam się ukryć? Zali nie napisano: »...Po mieście chodzić będą, po murze biegać, na domy wstąpią, w okna wleżą jako złodziej«. Gdy sobie zbuduję grób na szczycie góry, czyż oni go nie otworzą? Gdy go wykopię w łożysku rzeki, czyż go nie

rozerwą? Zaprawdę, zapamiętała, jak psy gończe, szukają swej zdobyczy; dla nich krwawią me rany, aby mieli co pić. Czy nie słyszysz ich śpiewów?"

I znów śpiewali wchodząc do katedry pod rozsunięte szkarłaty kotary, bo procesja się skończyła i rozrzucono już wszystkie róże...

*Ave, verum Corpus, natum ,
De Maria Virgine:
Vere passum, immolatum
In cruce pro homine!
Cujus latus perforatum*

*Undam fluxit cum sanguine;
Esto nobis praegustatum
Mortis in examine.*

A gdy przestali śpiewać, wszedł do kaplicy mijając ciche szeregi klęczących mnichów i kapłanów z jarzącymi świecami w rękach. I ujrzał zgłodniałe ich oczy wlepione w świętą hostię, którą niósł, i wiedział, dlaczego pochyłali przed nim głowy. Bo czerwony strumień spływał po jego białych szatach, a na posadzce katedry stopy jego wyciskały krwawe ślady.

Tak przeszedł aż do końca nawy; tu ludzie niosący baldachim przystanęli, on zaś wstąpił na stopnie ołtarza. Po prawej i lewej stronie klęczeli bialo odziani chłopcy potrząsając kadzielnicami, kapłani zaś wznosili do góry płonące pochodnie; oczy ich błyszczały pożądliwie w łunie światła, wpatrzone w Ciało Ofiary.

I gdy tak stał przed ołtarzem wznosząc do góry krwią zbroczone ręce z rozdartym i poszarpanym ciałem swego zamordowanego kochania, głosy gości sproszonych na ucztę przenajświętszą znów wzbily się hymnem potężnym...

*Oh, salutari Hostia,
Quae coeli pandium ostium,
Bella premunt hostila,
Da robur, fer auxilium!*

Ach, a teraz przybywają spożyć Ciało Idź więc, serce drogie, spełnić gorliwie swe przeznaczenie i otworzyć bramy niebieskie dla tych zaciekłych wilków, którym odmówić niepodobna. Bramy otwarte dla mnie wiodą do najgłębszych piekieł.

Gdy honorowy diakon ustawił na ołtarzu święte naczynie, Montanelli osunął się na kolana i padł na stopień, a z białego ołtarza ponad nim strugą płynęła krew ściekając mu na głowę. A głosy śpiewaków wzbijały się rozbrzmiewając pod łukowym sklepieniem i echem odbijając się od wypukłego stropu...

*Uni trinoque Domino
Sit sempiterna gloria;
Qui vitam sine termino
Nobis donet in patria.*

*Sine termino... sine termino*⁵⁸. Och, szczęśliwy Jezu, że mogłeś paść pod krzyżem! Och, szczęśliwy Jezu, że mogłeś rzec: „Dokonało się”.

Te losy nie dokonają się nigdy, wieczne są jak gwiazdy w swym kołobiegu. To robak, który nie umiera, ogień, który nie gaśnie. *Sine termi... no... sine termino!*

Wyczerpany, cierpliwie brał udział w dalszym ceremoniale, wypełniając mechanicznie, z dawnego nawyknienia, rytuał nie mający dlań żadnego już znaczenia. Następnie po udzieleniu błogosławieństwa znów ukląkł przed ołtarzem i zasłonił sobie twarz, a głos księdza odczytującego listę rozgrzeszeń podnosił się i opadał jak daleki odgłos ze świata, do którego on już nie należał.

Głos księdza zamilkł, wówczas Montanelli wstał z klęczek i ruchem ręki nakazał milczenie. Niektóre bractwa cofały się już ku wyjściu, lecz teraz odwracały się spieszenie, szeleszcząc, a po katedrze rozległ się szept: „Jego eminencja będzie mówić!”

Otoczające go duchowieństwo, zdumione i przerażone, przysunęło się, a jeden z księży cicho zapytał: - Wasza eminencja zamierza teraz mówić do ludu?

Ruchem ręki Montanelli go odprawił. Księża cofnęli się szepcząc między sobą. Rzecz niebywała, a nawet przekraczająca regułę, jednakże kardynałowi przysługiwało prawo wprowadzania nowych zwyczajów. Zapewne chodzi o sprawę wyjątkowo ważną; chce zakomunikować jaką nową reformę z Rzymu lub specjalne zlecenie od ojca świętego. Montanelli ze stopni ołtarza patrzył na morze zwróconych ku niemu głów ludzkich. W gorączkowym wyczekiwaniu patrzyli na niego, gdy tak stał ponad nimi, widmowo cichy i biały.

- Pst! Cicho! - nawoływali kierownicy procesji, a szmery bractw zamarły, jak zamiera podmuch wiatru wśród szepczących wierzchołków drzew. Cały nieprzebrany

⁵⁸ Sine termino (łac.) - Bez końca.

tłum z zapartym oddechem wpatrywał się w białą postać na stopniach ołtarza. Powoli, pewnym głosem rozpoczął:

- W Ewangelii św. Jana napisano: „Tak Bóg umiłował świat, że syna swego jednorodzonego dał... aby świat był zbawiony przezeń”.

Oto święto Ciała i Krwi Ofiary poświęconej dla waszego zbawienia: Baranka Bożego, który zgładził grzechy świata; Syna Bożego, który umarł za wasze winy. A wy tu przybyliście w uroczystych strojach, by spożywać ofiarę i złożyć dziękczynienia za wielką tę łaskę. I wiem, że dzisiejszego ranka, gdy przybyliście brać udział w uczcie, spożyć Ciało Ofiary, serca wasze przepęłniły się radością na wspomnienie męki Syna Bożego, który umarł dla waszego zbawienia.

Powiedzcie mi jednak, zali kto z was pomyślał o tej drugiej męce - męce Boga Ojca, który Syna Swego wydał na krzyż? Kto z was pamiętał o męce śmiertelnej Boga Ojca, pochylającego się na swym tronie w niebiosach, by spojrzeć na Kalwarię?

Patrzyłem na ciebie dziś, mój ludu, gdy w szeregach uroczyście kroczyłeś w procesji, i widziałem, że w głębi serc swych wszyscy się radujecie z odpuszczenia grzechów i zbawienia. A jednak proszę was, byście rozważyli, za jaką cenę otrzymaliście owo zbawienie. Zaprawdę, cena to bardzo wysoka i kosztowniejsza nad rubiny - cena krwi.

Słaby, lecz długotrwały dreszcz przebiegł zasłuchany tłum. Księża szeptali między sobą, lecz kaznodzieja znów zaczął mówić, więc zamilkli.

- Przeto powiadam wam dnia dzisiejszego: „Jam jest, którym jest”. Albowiem patrzyłem na waszą słabość i troskę, i na drobne dzieci u waszych stóp; i serce moje wzruszyło się współczuciem, że one miałyby zginąć. I spojrzałem w oczy drogiego mego syna, i wiedziałem, że tu jest odkupienie krwi. I poszedłem swą drogą, by się spełniły jego losy.

To jest odpuszczenie grzechów. On zmarł dla was i mrok go pochłonął; on zmarł i nie masz już zmartwychwstania; on zmarł i ja nie mam syna. Och, mój synu, mój synu!

Głos kardynała załamał się w przeciągłym, bolesnym krzyku, a głosy strwożonego ludu zawtórowały echem potężnym. Duchowieństwo zerwało się ze swych miejsc, a honorowi diakoni rzucili się ku stopniom ołtarza kładąc ręce na ramieniu kaznodziei. Lecz wyrwał im się nagle i zmierzył ich oczyma rozwścieczonego zwierza.

- Co to jest? Alboż nie dość już krwi? Czekaście swej kolei, szakale, wszyscy zostaniecie nasyceni!

Cofnęli się i stłoczyli razem, drżąc gwałtownie; z piersi ich wydobywał się oddech szybki i głośny, a twarze okryła bladość śmiertelna. Montanelli znów zwrócił się do tłumów ślaniających się przed nim i drżących jak łan zboża wstrząsany huraganem.

- Wyście go zabili! Wyście go zabili! A ja jednak zezwoliłem, bo nie chciałem wam dać zginąć! A teraz, gdy przychodzicie do mnie z kłamliwym dziękczynieniem i nieczystymi swymi modłami, żałuję, żałuję, że to uczyniłem! Lepiej byłoby, gdybyście wy wszyscy gnili w swych występkach, w bezdennej otchłani potępienia, aby on tylko został przy życiu. Jakąż wartość mają wasze napiętnowane dusze, by taką za nie składać cenę! Ach, za późno już, za późno! Ja wołam go w głos, a on mnie nie słyszy; biję w drzwi jego grobu, a on się nie budzi; stoję sam w pustym przestworzu i spoglądam od ziemi krwią splamionej, gdzie pogrzebione serce mego serca, ku pustym i strasznym niebiosom, które mi puste zostały. Ja go poświęciłem; och, rodzie jaszczurczy, poświęciłem go dla was!

Bierzcie swe zbawienie, skoro już jest wasze! Rzucam je wam, jak rzuca się kość zgrai warczących brytanów! Cena waszej uczytłożona; chodźcie więc i obżerajcie się, kanibale, krwiożercy, sępy karmiące się umarłymi! Spójrzcie na strugę krwi płynącą z ołtarza, na spienioną, gorącą krew z serca mego kochania, na krew przelaną za was! Żłoczcie ją i chleptajcie, i pomażcie się nią na czerwono! Chwytajcie i wyrrywajcie sobie ciało, pochłaniajcie je... i pozostawcie mnie już w spokoju! Oto ciało oddane dla waszego zbawienia - spójrzcie, jak poszarpane i krwawiące, pulsujące jeszcze w męce życia, drgające agonią śmierci. Bierzcie je, chrześcijanie, i jedzcie!

Chwycił monstrancję z hostią i, wzniosłszy ją ponad głowę, z całej siły rzucił o posadzkę. Na dźwięk metalu uderzającego o kamień księża rzucili się naprzód i dwadzieścia rąk od razu ujęło szaleńca.

Wówczas, wówczas dopiero milczenie tłumu przerodziło się w dzikie, histeryczne krzyki; przewracając krzesła i ławy, tłocząc się w drzwiach, deptając jeden po drugim, zdzierając w pośpiechu draperie i wieńce, nieokiełzana, łkająca fala ludzi wylała się na ulicę.

EPILOG

Gemmo, jakiś człowiek czeka na dole i chce się z tobą zobaczyć.

Martini mówił głosem stłumionym, bezwiednie przyjętym przez oboje w ciągu ostatnich dziesięciu dni. To i pewna powolna miarowość mowy i ruchów była jedyną zewnętrzną oznaką ich cierpienia.

Gemma, z zawiniętymi rękawami, w fartuchu, stała przy stole, przygotowując małe paczki z nabojami. Od wczesnego ranka zajmowała się tą robotą, a teraz w skwarne popołudnie, twarz jej nosiła wyraźne ślady znużenia.

- Ktoś do mnie, Cezarze? Czego może potrzebować?

- Nie wiem, droga. Nie chciał mi powiedzieć. Mówi, że musi się rozmówić z tobą.

- Dobrze. - Zdjęła fartuch i zsunęła podwinięte rękawy. - Muszę więc zejść do niego, choć najprawdopodobniej będzie to szpieg.

- W każdym razie ja będę w sąsiednim pokoju. A gdy się go pozbędziesz, musisz się trochę położyć. Cały dzień byłaś na nogach.

- Och nie, wolę wrócić do roboty.

Powoli zstępowała ze schodów - za nią w milczeniu Martini. W ciągu ostatnich kilku dni postarzała się o dziesięć lat, a siwy kosmyk na głowie rozszerzył się w szeroką wstęgę. Przeważnie miała teraz wzrok spuszczone; gdy go jednak przypadkiem podniosła, dreszcz przebiegał Martiniego na widok grozy w jej oczach.

W małej jadalni zastała niezgrabnego mężczyznę, stojącego na baczność pośrodku pokoju. Cała jego postać i na wpół wystraszony wzrok, jakim ją zmierzył, kazały się jej domyślać, że należy do szwajcarskiej straży⁵⁹. Nosił bluzę wieśniaczą, widocznie nie należącą do niego, i ciągle się rozglądał, jakby z obawy, by go nie zdradzono.

- Rozumie pani po niemiecku? - spytał ciężkim dialektem zuryskim.

- Trochę. Podobno pan o mnie pytał?

- Czy pani jest signora Bolla? Przynoszę list.

- ...List? - Zaczęła drżeć i rękę oparła na stole.

⁵⁹ Straż szwajcarska - najemne wojsko papieskie werbowane w kantonach szwajcarskich.

- Jestem jednym ze straży, tam - przez okno wskazał twierdzę na wzgórzu. - To od... od człowieka, którego rozstrzelano w zeszłym tygodniu. Napisał w ostatnią noc. Przyrzekłem mu, że oddam pani własnoręcznie.

Opuściła głowę. Więc jednak napisał do niej.

- Dlatego przynoszę tak późno - mówił dalej żołnierz. - Powiedział mi, żeby własnoręcznie, a nie mogłem się oddalić, tak mnie strzegli. Musiałem wypożyczyć sobie ten ubiór.

Począł szukać w zanadrzu. Dzień był gorący, więc arkusik złożonego papieru, który wydobył zza bluzy, był nie tylko brudny i wymięty, lecz także wilgotny. Stał przez chwilę suwając nogami w zakłopotaniu, po czym podniósł jedną rękę i poskrobał się w głowę.

- Niech pani nikomu nie wspomni - począł znów nieśmiało, obrzucając ją nieufnym spojrzeniem. - Przyszedłem tu narażając życie...

- Rozumie się, że nie powiem słowa. Proszę chwileczkę poczekać...

Zatrzymała go wyjmując sakiewkę, lecz on się odwrócił obrażony.

- Nie potrzebuję waszych pieniędzy - rzekł szorstko. - Zrobiłem to dla niego, bo o to prosił. Byłbym i więcej zrobił. Dobry był dla mnie. O Boże!

Głos mu się załamał. Podniosła wzrok i ujrzała, jak szorstkim rękawem wycierał sobie oczy.

- Mieliśmy strzelać - mówił głosem przyciszonym - ja i moi towarzysze. Człowiek musi słuchać rozkazu. Spudłowaliśmy i trzeba było drugi raz... a on się śmiał... i nazwał nas niezdarami... a był dla mnie taki dobry...

Cisza zapanowała w pokoju. Po chwili wyprostował się, złożył niezdarny ukłon wojskowy i wyszedł.

Przez chwilę stała nieruchomo, z papierem w ręku, następnie siadła przy oknie, by go odczytać. List napisany był ołówkiem, bardzo drobnym pismem - w niektórych miejscach prawie nieczytelny. Tylko pierwsze dwa słowa były całkiem wyraźne. Napisane były po angielsku:

*Dear Jim*⁶⁰.

Pismo nagle zatarło się i zamgliło. I znów go straciła! - znów go straciła! Na widok dobrze znanego, dziecinnego jej imienia uświadomiła sobie na nowo całą

⁶⁰ *Dear Jim* (ang.) – Droga Jim.

beznadziejność straty; wyciągnęła przed siebie obie ręce w ślepej rozpacz, jak gdyby ciężar brył ziemi ciężących na nim przytłoczył jej serce.

Znów podniosła papier do oczu i zaczęła czytać:

Mają mnie zastrzelić jutro o wschodzie słońca. Jeśli więc mam dotrzymać obietnicy i wszystko Ci powiedzieć, muszę to uczynić teraz. Chociaż, co prawda, niezbyt potrzebne są wyjaśnienia między mną a Tobą. Zawsze się rozumieliśmy bez wielu słów, nawet wtedy, gdy byliśmy małymi dziećmi.

Otóż, jak widzisz, moja droga, nie potrzebowałaś się tak strasznie trapić ową dawną historią policzka. Bolało bardzo, to prawda, ale ostatecznie otrzymałem mnóstwo innych równie bolesnych, a jakoś sobie dałem radę - a dość ich nawet oddałem - i oto jeszcze trwam jak makrela z naszej książeczki dziecięcej (zapomniałem tytułu): „Żywa i skacząca”. Och! Toż jednak mój ostatni skok; jutro rano i... *finita la commedia!* Ty i ja przetłumaczymy to: „Przedstawienie w cyrku skończone”, i bogom złożymy dzięki, że mieli dla nas przynajmniej tyle litości. Niewiele, co prawda, lecz zawsze coś; a za to i za inne jeszcze dobrodziejstwa musimy być prawdziwie wdzięczni.

A co się tyczy jutrzejszego rana, to pragnę, byście oboje z Martinim dobrze to zrozumieli, że jestem całkiem szczęśliwy i zadowolony i nie mógłbym żądać od losu czegoś lepszego. Podaj to Martiniemu jako wieść ode mnie; dobry z niego chłop i dobry towarzysz; on zrozumie. Widzisz, moja droga, ja wiem, że zacofańcy oddają nam dobrą przysługę, a sobie złą, wracając tak szybko do sądów polowych i tajnych wyroków, i wtem też, że jeśli wy, pozostali, wytrwacie silnie i stanowczo, to wielkie zobaczycie rzeczy. Co do mnie, to wyjdę jutro na podwórze z sercem tak lekkim jak dziecko wyruszające do domu na wakacje. Spełniłem przypadająca mi część dzieła, a ten wyrok śmierci jest dowodem, że spełniłem ją jak należy. Zabijają mnie, gdyż się mnie boją, a czegoż więcej może serce ludzkie pożądać?

A jednak pożąda jeszcze czegoś. Człowiek idący na śmierć ma prawo do zaspokojenia osobistego kaprysu, a mój kaprys polega na wytłumaczeniu Ci, dlaczego byłem dla Ciebie zawsze takim brutalem i tak długo pamiętałem starą urazę. Rozumie się, że wiesz o tym doskonale, a jednak muszę Ci powiedzieć to tylko dla przyjemności napisania tych słów. Kochałem Cię, Gemmo, gdy byłaś brzydką dziewczynką w płóciennej sukience ze sztywną kryzką i z mysim ogonkiem spadającym na plecy; i kocham Cię dotąd. Pamiętasz dzień, kiedy Cię pocałowałem w rękę, a ty prosiłaś mnie tak żałośnie, bym „tego już nigdy nie robił”. Wiem, że to był figiel szkaradny, lecz musisz mi go wybaczyć; a teraz całuję papier, gdzie napisałem Twe imię. Tak więc pocałowałem Cię dwa razy i obydwoma razy bez Twego zezwolenia.

To wszystko. Bądź zdrowa, droga moja.

Nie było podpisu, tylko pod listem dopisany był wierszyk, którego uczyli się razem w dzieciństwie.

*Bo czy żyję,
Czyli w grobie,
Szczęsną muchą
Jestem sobie.*

W pół godziny później wszedł do pokoju Martini i zapominając o milczeniu, w którym wytrwał przez połowę swego życia, rzucił trzymany w ręku plakat i oplótł ją ramieniem.

- Gemmo! Co to jest? Przez miłość Boga! Nie łkaj tak strasznie... ty, co nie płaczesz nigdy! Gemmo! Serce moje! Gemmo!

- Nic, nic, Cezarze, powiem ci później. W tej chwili... nie mogę.

Szybko wsunęła do kieszeni list oblany łzami i wychyliła się z okna, by ukryć twarz. Martini milczał przygryzając wąsa. Po tylu latach zdradził się jak żak szkolny... a ona nawet nie zauważyła...

- Dzwon katedralny - rzekła po chwili odwracając się doń. Odzyskała już równowagę. - Ktoś umarł.

- Właśnie to chciałem ci pokazać - odparł Martini zwykłym swym głosem. Podniósł z podłogi plakat i podał jej.

Dużymi literami naprędce wydrukowany plakat z żalobną obwódką donosił, że: „Ukochany nasz biskup, jego eminencja kardynał monsignor Lorenzo Montanelli, zmarł nagle w Rawennie na aneurizm serca”.

Szybko podniosła oczy znad papieru, a Martini potwierdził nie wypowiedziany jej domysł wzruszeniem ramion.

- Cóż chcesz, madonna? Aneurizm jest określeniem równie dobrym jak każde inne.